KRASICKI.

ŻYCIE I DZIEŁA.

KARTKA Z DZIEJÓW LITERATURY.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy).

A cnéj pisania sztuki z dowcipem i gustem,
Tyś pierwsze dał przykłady pod naszym Augustem.

Trembecki. Gość w Hellsbergu.

Nastąpił pierwszy podział Polski; Warmia przypadła Prusom, Krasicki z dyecezyą swą odciętym został od Rzeczypospolitéj.

Chcąc pozostać przy królu w Warszawie, potrzeba było wyrzec się chyba biskupstwa, czego zobojętniały i obrażony król nie wymagał zapewne. Musiał więc Krasicki, godząc się z przeznaczeniem, pozostać przy swéj katedrze i złożyć hołd nowemu panu, którym był Fryderyk II, przyjaciel Voltaire'a, najzłośliwszy i najprzebieglejszy z ludzi, najumiejętniéj wyzyskujący każdego. Nie potrzebujemy kréślić znanego wszystkim wizerunku téj charakterystycznéj postaci, którą tak trafnie Macaulay odmalował.

Sława księcia Biskupa Warmińskiego uprzedziła go w Berlinie, ale i on sam ukazawszy się nie mógł nie podobać się królowi. Dowcipny, wymowny, łagodny, Krasicki przypadł do smaku, chorującemu na dowcip i autorstwo Fryderykowi. Nawzajem król pozyskał sobie Biskupa i grając przed nim rolę dobrodusznego, grzecznością, miłe-

mi słówkami, wreszcie aureolą swéj sławy filozofa i wodza podbił go zupełnie.

W charakterze Krasickiego nie było stawać z kimkolwiek do walki, wolał żyć w pokoju dla prac swoich. Uprzejmość króla uczyniła go wielbicielem człowieka, który olśnić go umiał fałszywą dobrocią i poufałością przybiérającą serdeczności pozory.

W jednćm z pierwszych zapewne spotkań z Fryderykiem II, król filozof żartobliwie się wyraził, iż ma nadzieję że go, potępionego heretyka, Biskup pod swym płaszczykiem do nieba wprowadzi.

— Nie wiém czy się to uda, miał odpowiedzićć Biskup, bo W. Kr. Mość bardzo mi ten płaszczyk okroiłeś kuso.

Stosowało się do umniejszonych znacznie intrat biskupstwa Warmińskiego. Rozśmiał się na tę dowcipną odpowiedź Fryderyk i miał jakoby straty poniesione ofiarą 50.000 talarów wynagrodzić. O czém powątpiewamy bardzo, przy znaném skąpstwie króla. Zapraszał tylko często bardzo miłego Biskupa do Sans-Souçi i naznaczył mu tam nawet apartament po niewdzięcznym Voltairze. Ten pobyt w mieszkaniu poety, autora Henryady, miał natchnąć Krasickiego do napisania Monachomachii; nie zdaje się to nam prawdopodobném.

W pierwszych chwilach zmiany położenia, dostania się pod rządy nowe, Krasicki był trochę niespokojnym o przyszłość. Widać to z listu do brata, w r. 1773 (z Heilsberga d. 18 Marca).

„Przyjazd królewski w te kraje“, pisze, „będzie sytuacyą naszę decydował, i, nadzieja w Bogu, że nie będzie ona tak zła, jakeśmy się z początku obawiali.“

Biskup już się całkowicie na starém zamczysku biskupiém urządził. Widać z téjże korespodencyi, że w tym czasie zachodziły jakieś układy familijne, Krasicki miał w nowym dziale, czy zamianie z bratem, „ulubiony“ sobie Dubieck otrzymać. Brał na siebie pensye młodszych braci, Karola, Marcina, Ksawerego; lecz projekta te do skutku nie przyszły.

Oddalenie się zupełne Krasickiego z Warszawy, poddanie się królowi pruskiemu, musiało wzmódz jeszcze żal Poniatowskiego. W r. 1774 (24 Luty) pani Geoffrin zapytuje:

„Gdy mowa o Biskupie, proszę W. Kr. Mości pozwolić mi zapytać co tam słychać o Biskupie Warmińskim. Jestto prototyp wszystkich niewdzięczników, jacy kiedykolwiek byli i będą na świecie. Wieleż to W. Kr. Mość niewdzięczników narobił.“ Jak widzimy, zawsze taż sama piosenka.

Zmniejszone znacznie dochody biskupie i kapituły nie przeszkadzały Krasickiemu przesiadywać w Berlinie i dosyć kosztownie

urządzać się w Heilsbergu. Nie żałował na to i własnego grosza którego mu brat dostarczał.

W r. 1773, ze składek zbudowany, pierwszy katolicki kościół Ś. Jadwigi, otworzył Biskup d. 1 Listopada. W następnym roku na kapitule we Frauenburgu d. 18 Maja uchwalił nowe przepisy karności i podziału uszczuplonych bardzo przychodów duchowieństwa.

Nie zaniedbywał więc swych obowiązków pasterskich.

W roku 1775 wychodzą nareszcie pierwsze poemata Krasickiego, na wygnaniu Heilsbergskiém prawdopodobnie napisane lub wykończone. Ukazują się one w Warszawie i zdają się torować drogę do przejednania z królem.

Chociaż bajki, niektóre satyry i listy wprzód były znane, poemat żartobliwy pierwszy długi szereg dzieł naszego pisarza rozpoczyna.

Jestli Myszeis alegoryą, pod któréj szatą kryją się pewne osoby i wypadki? wątpimy o tém nieco, to pewna, że koty, szczury i cokolwiek się tu nastręcza poecie, służy mu za doskonały pretext do przypinania łatek wadom narodowym, zręcznego prześmiewania obyczajów wypaczonych. Ani owych Gryzomirów, ni Filusiów nikt dziś już po imieniu nazwać nie potrafi, chociaż kryć się w nich mogą pewne intencye, aluzye, charaktery, które współcześni rozumieli.

Charakter poematu jest przedewszystkiém satyryczny, tak jak większéj części pism Krasickiego, ale satyra jego łagodną jest, grzeczną, delikatną i cała jéj siła na ironii polega.

Nie obfitowała literatura polska dawna w poezye dowcipne a wytworniejszego smaku. Kochanowskiego Fraszki, wesołe i trefne, obyczajem wieku były słone i dobitne, inne ucinki i fraszki naśladowców jego, aż do Wacława Potockiego, który z potęgą słowa, jaką miał od natury, nigdy się nie drożył, a wszelaką rzecz i sprawę po imieniu zwykł był nazywać, tłuste są, zaprawne mocno, więcéj siłą i śmiałością niż wyszukaném słowem celując.

Wesoła, krotochwilna a skromna razem poezya, gdzieniegdzie tylko na sposób francuski kolcem (pointe) opatrzona, prawie u nas była nieznaną. Co Shakespeare mówił na scenie do społeczności najwytworniejszéj angielskiéj XVII wieku, uchodziło u nas poetom. Słowo naówczas cyniczném było, choć pewnie nad dzisiejsze omówienia umiejętne, nie plugawszém.

Ton ironiczny, delikatny, salonowy, dworski, zręczne posługiwanie się słówkiem, wykończenie perłowe, haft pracowity z jakim

Krasicki występuje w Myszeis, były naówczas rzeczami zupełnie nowemi, wielce wdzięcznemi i musiały czytających zachwycać.

Ani jędrny a patetyczny Trembecki, ani napuszony Naruszewicz, ani swawolny Węgierski tego brylantowego stylu nie mieli. Po Krasickim go téż nikt nie wziął w spadku; został jego wyłączną właściwością.

Jak forma i styl, tak język tu zjawia się nowy. Coś w nim zostało z łacińskiéj edukacyi, ale czuć, że potém przeszedł szkołę francuską, z pedantyzmu szkolnego się otrząsnął, ufryzował i uperfumował. Styl to i język harmonijny, dźwięczny, oszlifowany starannie, pieścidełko a cacko.

W dodatkach do pism Krasickiego (T. VIII. 242), wiersz przy oddaniu Myszeidos dowodzi, że autor miał przedewszystkiém na myśli tego króla, co go niewdzięcznikiem nazywał, zabawić i rozerwać. W istocie nigdy więcéj Stan. August pociechy i roztargnienia nie potrzebował.

Zatrudnionemu szczęśliwością kraju,
Przynosić fraszki rzecz nader zuchwała,
Nie zna prostota dworów obyczaju,
    Na co się mogła zdobyć to oddała.
Gdy baba latać będzie, lub gdy kichnie,
Dosyć dla niéj gdy się pan uśmiechnie.

Tak pierwociny swe niósł jednak Krasicki dawnemu królowi, może aby nadąsanego przebłagać.

Forma obrana przez poetę ośmiowierszowych strof (Kochowskiemu już znana) dowodzi, że chciał coś kunsztownie wykończonego stworzyć, nie lękając się trudności jakie nastręczała. Wiersz téż płynie niby muzyce gwoli, mierzony pięknie, strojny, zręcznie się uginający jak tanecznica, na któréj twarzy migają myśli wesołe, to szyderskie, niekiedy poważne i prawie smutne. I to stanowi cechę poematu że, na pozór będąc żartobliwym, w istocie pełen jest satyry ostréj, nauk moralnych. W pierwszéj zaraz pieśni dwór Popiela opisany cale nie na żart, piórem sędziego co nie przebacza.

Zniewieściałego państwa faworyci
Harpije państwa, krew poddanych ssały,
Łupem zdartego ubóstwa nie syci....
. . . .
A dzieląc z panem władzę tronu ślizką,
Sobie rząd dali, a jemu nazwisko.
Zamiast odgłosu wojennego hasła,
Słychać tam było same biesiadniki,
Ochota mężna zupełnie wygasła.

I zapomniane marsowe okrzyki,
Trzoda nikczemna rozkosznie się pasła,
Przy słodkiém brzmieniu przyjemnéj muzyki
Miedziane bramy uwieńczały róże,
A Nymf orszaki były twierdzy stróże.

Nie możnaż by posądzić, że piszący miał na myśli epokę Augusta Mocnego? Zobaczymy daléj.

Cały ten początek, w którym znajdujemy i owo zdanie: „trucizna kraju za grzechy monarsze“ i owę strofę śliczną „Dwór pański źródłem występków lub cnoty i t. d.“ do właściwie żartobliwego poematu nie nastraja. Przegląda myśl surowsza, rzeklibyśmy niemal za ciężka na tę tkaninę lekką, w którą ją spowito.

Król Popiel ów tedy, zakochany najprzód w myszach, niestałéj będąc natury, polubił potém kota Mruczysława. Myszy z łaski wypadły zupełnie, poczęto je srodze prześladować. Taka jest treść pierwszéj pieśni, w któréj opis Kruszwicy i dworu pańskiego główny rys stanowi. Uciśnione myszy i szczury (P. II) uciekają się do króla swojego Gryzomira do Gniezna i składają radę.

Ta rada myszy i szczurów (naturalnie szlachty i magnatów), wzajemnie się gryzących od dawna, odmalowana tak, jakby wzór do niéj z jednego z ostatnich sejmów za Augusta III był wzięty. Czuli to tak dobrze współcześni, iż się całych jéj ustępów na pamięć uczono:

Nie bez przyczyny pobudzał do zgody i t. d.

Można w tém widzieć zarówno aluzyą do senatu i izby poselskiéj jak do Polski i Litwy, gdy nie jeden raz gorące między posłami o prioritas głosu i miejsca spory się wiązały.

Rzecz to niby żartobliwa, w istocie smutna. Widać, że autor nie dla śmiechu dotknął, w sposób tak dobitny rozszerzając się nad nią, niezgody, która była zawsze przeszkodą do wszelkich uchwał zbawiennych.

Myszy sarmackie (P. III) wysyłają do innych krajów, prosząc o pomoc. Z drugiéj strony Mruczysław zbiéra koty i przygotowuje się do wojny. Tu jest opis myszy różnych krajów z ich charakterystyką.

Brzegów Sekwany wymuskane, śliczne..
. . . .
Nim hasło bitwy wodzowie dać raczą,
One tym czasem pląsają i skaczą.
Dunajskie szczury harde i ponure
. . . .
Z nad Tybru trwożne, gdy chodzi o skórę,

Od Elby srogim bojem znamienite,
Tamizy dzikie i sławne w rozpustę (?)
Szwajcarskie wierne, opasłe i tłuste.

Wśród srogiéj walki, król pierzchnął, i myszy pokonane rozbiegły się na wsze strony. Ale na placu krwawego boju legł kot, faworyt królewnéj Duchny, Filuś.

Tonem zrazu poważnym niby (P. IV) treść coraz lżejsza się opiewa. Początek czwartéj pieśni ma zupełnie epiczne zacięcie. Tu sławny wizerunek kota Filusia, już lżejszym piórem skreślony. Królewna rozżalona feruje wyrok zagłady na całe mysze plemię. Kończy pieśń, w przysłowie zmieniony wiersz:

My rządzim światem, a nami kobiéty.

Jestto wiekuista prawda, lecz nigdy ona tak nie biła w oczy, jak za panowania Poniatowskiego.

Wstępna strofa piątéj pieśni jest najlepszém owego czasu określeniem, czém bajka być powinna. Często przywodzono ten ustęp.

Bajka częstokroć sens moralny mieści,
Ztąd Ezop bajką sprawiedliwie słynie,
Źle czyni, który gardzi przypowieści,
Smaczny to owoc choć w podłéj łupinie.
Dźwięk słów wybornych uszy tylko pieści
Jeśli z nich zdatna nauka nie płynie,
Natenczas blaskiem czczym tylko jaśnieją,
I nakształt próchna świécą, a nie grzeją.

Uciekający z placu boju Gryzomir dostaje się do chaty czarownicy i zgłodniały wpada w łapkę. Opis chaty owéj wiedźmy wyborny. Ulitowawszy się nad nieszczęśliwym, czarownica bierze go z sobą na łopatę i leci na Łysą Górę. Epizodycznie przychodzi tu choroba króla Mruczysława, leki i uzdrowienie.

Król, który zdrowia szczerze sobie życzył,
Wszystkich (doktorów) wypędził, i tak się uleczył.

W szóstéj pieśni wracamy na łopatę, na któréj siedząc Gryzomir z głodu zawędrowuje do latarni, podgryza świécę, a czarownica razem z latarką niepotrzebną zrzuca go na ziemię. Gryzander, brat króla Gryzomira, zbiéra niedobitki armii i prowadzi je dla rekonfortacyi do gumna lichwiarza. Przemowa do wojsk pełna patetyczności i erudycyi. Lichwiarz, który w Boga nie wierzył a w niedzielę pościł, jest odmalowany *con amore*. Tymczasem córka Popiela boleje zawsze po stracie Filusia, a król zwołuje radę, obmyślając środki jakby się pomścić na myszach.

W siódméj pieśni opiéwa poeta dalsze przygody Gryzomira, który z latarką spada na grób Filusia i pochwycony już ma paść

zemsty ofiarą, gdy czarownica protegowanego ratuje, zmuszając wszystkich, za pomocą ziółek zaprawnych, do straszliwego kichania.

Więcéj zdrowego humoru jest w pieśni następnéj, w któréj znajduje się dużo tych szczęśliwych wierszy, co się w przysłowia i frazy pospolite zmieniły.

— Jest to na tuzie czerwiennym pisano.

Niech tylko czterech, pięciu razem radzą,
I nic nie zrobią i pewnie się zwadzą.

Powtarzano przemowę Radcy króla Popiela:

Za nie rozjadłych Garamantów ciosy, jakby ze Swady przepisaną.

Rada długa, mądra, kończy się uchwałą:

„Niech pan to robi, co mu się podoba.“

Wizerunek Senatora może być z natury:

Zamilknął jeden z Senatorów dawnych,
Od czasów kilku dyzgracionowany
Za to że zbytnio szperał w księgach prawnych.
Nie tak się stroił jak inne dworzany,
Nie śmiał się z kocich igraszek zabawnych,
Nie chwalił w radzie ministry i pany.
Od innych przeto zupełnie odrodny,
Mądry, poczciwy, cóż kiedy nie modny.

Takie zaostrzania strof ostatnim wierszem na sposób francuski często się spotykają.

Powtarzano i ów wierszyk dwuznaczny z téj pieśni:

A wreszcie, gdy to nikomu nie szkodzi
Wierzmy z pospólstwem a śmiejmy się w ciszy.

Początek dziewiątéj pieśni z własnego doświadczenia wyczerpnął poeta:

Kiedym był młodszy i jam też wędrował,
Co i z drugiemi też się ze mną działo.
Nierazem próżnéj włóczęgi żałował,
Nieraz sposobów i wątku nie stało.
Rzadki z ustawnych podróż profitował;
Kto zyskał temu szczęściem się udało.
W pielgrzymowaniu kto czas drogi trawi,
I innych trudzi i sam się nie bawi.

W pieśni téj znajduje się ta sławna strofa (Święta miłości kochanéj ojczyzny), którą wszyscy na pamięć umieli, ona też perłę

i klejnot stanowi w poemacie. Lecz, wróćmy do treści. Gryzomir prowadzi zastępy do boju, w morderczéj walce szeroko opisanéj, ginie Mruczysław. Popiel (P. IX), dowiedziawszy się o przegranéj swych faworytów, upija się z rozpaczy, ucieka na wyspę i myszy go zjadają. Ostatnia pieśń znowu do najstaranniéj opracowanych należy, i jak zwykle na zakończenie strof zachowuje Krasicki wiersz najdelikatniéj, najkunsztowniéj zaostrzony, tak na ten epilog, wszystek humor i dowcip swój wysypał. Któż sobie nie przypomni w młodości słyszanego początku pieśni:

Gdybym był królem lub jaśnie wielmożnym.

Zakończenie drugiéj strofy najwidoczniéj jest aluzyą do losu króla Stanisława Augusta.

Dla czego winien? bo najwyżéj siedzi.
Takie nieszczęście dobrych królów czeka.

Podobały się naówczas i dwie strofy, w których więcéj jest dowcipu niż historycznéj prawdy.

Trunkiem się wielkie dusze upadlały,
Leszków i Mieszków on na złe przemienił.
Bolesław z męztwa okrzykniony, śmiały,
Miodem kijowskim cnoty wykorzenił.
Poległ na uczcie Przemysław wspaniały,
Gdy się w Rogoźnie do kufla nie lenił.
Kazimierz Wielki a przecięż kwaterką
Łykał miód smaczny w Łobzowie z Esterką.
Olbracht w Krakowie berdyszem raniony,
Gdy się pijany uwijał po Rynku.
Stefan, ów Stefan dziełami wsławiony,
Połknął śmierć w Grodnie z ustawnego szynku.
I nasz Władysław słusznie uwielbiony,
Przecie pedogry dostał w upominku.
Zawżdy w pijaństwie dziwne rzeczy broił,
August Sas Polskę do resztę rozpoił.

Żartobliwe rysy się mnożą:

Podskarbi skrzętność okazując czułą,
Zostawił klucze, sam uciekł z szkatułą.

Wezwaniem Kadłubka i strofą dosyć słabą kończy się wreszcie poemat:

Szczęśliwy, kto wdzięk wraz z pożytkiem złączył,
Bądźcie łaskawi, jam pracy dokończył.

Mogła owa Myszeis uchodzić swojego czasu za arcydzieło, miała tę największą zaletę pono: że się mile czytać dawała, że bawiła, że wiersz jéj łatwo tkwił w pamięci, że była czémś, co się bez

trudu przełykało i smak po sobie zostawiało przyjemny; podobała się jéj forma udatna, wiersz potoczysty, aluzye mnogie—ale!

Ale tylko w końcu XVIII w., wydziedziczonym z dzieł ducha i natchnienia, poemat w rodzaju Myszeis mógł mieć wielkie powodzenie.

Satyra, fantazyjka, ramy w które pięknie ogładzone dały się pomieścić wiersze różne, jako pomysł i budowa Myszeis nie wytrzymuje krytyki. Samo rusztowanie jest nader niezręczne. Mięszanina w niéj powagi i prawdy z ironią i szyderstwem nie zawsze jest szczęśliwa. Pierwszéj jest może za wiele, drugiéj za mało na takie zadanie.

Zdaje się, jak gdyby srogi ból owych czasów smutnych szyderstwu nie dawał przejść przez usta i zmieniał je w jęk męczeński. Cały koloryt humorystyczny, a łzy nań padają gorzkie. Z pod ironii przebija się oburzenie, dobywa smutek, kole satyra.

Ustępy są piękne, całość nieforemna.

Gdyby koniecznie chciano szukać jednego klucza do całego poematu, chyba by się znalazł w czasach Augusta II-go. Chociaż sejmy za Poniatowskiego lepsze nie były. Popiel ów pijak zarywa na Sasa, dwór jego, faworyty przypominają fantazye pańskie. W myszach ze szczurami i kotach, naciągając chyba możnaby znaleść Polaków i Sasów. Autor z pewnością myśli jednéj w planie swym nie miał, ale zużytkował każdą zręczność, aby bryznąć prawdą w oczy. Śmiesznie jest w greckiéj Batrachomiomachii szukać do Myszejdy wzoru, prędzéj tego rodzaju poemata francuskie dostarczyły go, chociaż Krasicki ma formę sobie właściwą, ton tylko i ogólny koloryt przypomina może Gresset'a.

Pomimo kruchéj i wątłéj swéj budowy, Myszeis dla pięknego wiersza, dla ustępów niektórych, dla języka, dla wdzięku tego jaki Krasicki umiał nadać wszystkiemu co pisał, powszechnie się podobała, wzbudziła zapał, postawiła wysoko poetę. Wchodzi w rachunek, że była pierwszą i w swym rodzaju jedyną, że nic podobnego nikt naówczas nie słyszał po polsku. Ironia tak przypadała do smaku, satyryczne aluzye tak trafiały w myśli i usposobienia! Słowem, Myszeis umiała urodzić się w porę, a język jéj i styl był czémś tak niesłychaném a wdzięczném, że musiał zachwycić.

Razem z Myszejdą ukazała się Monachomachia. Mówią, że się ona miała narodzić w Sans-Souçi, w pokojach po Voltairze danych Krasickiemu przez Fryderyka II. Nie zdaje się nam to prawdopodobném, ale na wezwanie króla filozofa, aby coś Voltairowskiego stworzył w tém miejscu pamięcią jego napiętnowaném, nie mógł

Krasicki lepiéj odpowiedzieć jak tym poematem biskupim przeciw Mnichom. Co do formy, ta w nim z wszystkich może większych kompozycyj autora jest najudatniejszą. Treść i ona idą w parze, autor obraca się swobodnie, wesoły jego dowcip błyska co chwila, karykaturalny świat mnichów zgnuśniałych, opasłych, żarłocznych, zdziecinniałych w próżnowaniu, jaskrawo i wybitnie wychodzi.

O ile biskupowi katolickiemu żart taki stroić sobie z zakonów, było w téj właśnie dobie przyzwoitém i właściwém?—każdy łatwo osądzi. Byłoto dobijać tych, których już i tak ścigało prześladowanie, szyderstwo, potwarze i sądy najnamiętniejsze.

Krasicki nie miał zapewne zamiaru powstać w Monachomachii ani na instytucyą, ani na myśl co ją stworzyła, nie tknął Jezuitów ani Pijarów, ominął prawie zakony żebracze Ś. Franciszka, padł całą siłą na strupieszałe klasztory, których cel pierwotny został zapomniany i spaczony, na Karmelitów, Dominikanów, Augustyanów, na zgromadzenia, które się ani wychowaniem, ani szpitalami nie zajmowały i miały niby wieść żywot ascetyczny, a wiodły próżniaczy.

Odrodzenia ich i reformy a choćby zniesienia mógł słusznie żądać, poemat niby nie tykał zasady, wyśmiewał nadużycia, karcił zepsucie; poeta wszakże nie obrachował siły swojego szyderstwa i poszedł za daleko. Przy usposobieniach XVIII w. poemat przeciw Mnichom w ogóle, napisany przez biskupa, był ciosem dla nich bardzo ciężkim. Okrył on śmiesznością suknię zgromadzenia ludzi niewinnych, odjął stanowi poszanowanie, postawił nieszczęśliwych pod pręgierzem.

Każdemu innemu uczynić to było wolno, dziwném musi się wydać w biskupie, którego położenie stawiało w możności wpływania na reformę innemi środkami, dla którego suknia powinna była choć strupieszałe instytucye osłaniać. Lecz możeż być co charakterystyczniejszego, nad ten poemat przez biskupa napisany, wystawujący mnichów jako bezmyślną trzodę głupców, wylanych tylko na dogadzanie ciału, a przestarzałą nauką osowiałych?

Widać, że zakony, przeciw którym naówczas, sam niedawno wywleczony pisał i Naruszewicz, uczuły to oplwanie i szyderstwo, jakie na nich spadło z wysoka, gdyż w sześć lat potém wydał Krasicki Antimonachomachją, niby się tłumacząc i uniewinniając i chcąc pierwszego pematu znaczenie osłabić.

Ta poprawa, od samego poematu daleko słabsza, rozwlekła, chociaż w parze chodzi z Monachomachją, mniéj ma daleko dowcipu i świeżości.

Treść poematu jest—tak jak żadna. Krasickiemu zawsze brak

kunsztu w zarysowaniu głównych linij i pomyśle, celuje w drobnych rzeźbach, ozdobach i szczegółach.

Znudzeni bezczynnością, podrażnieni współzawodnictwem mnisi zbierają się na dysputę, kończącą się walką i bojem. Wniesione *Vitrum gloriosum*, rozognione umysły, serca zajątrzone uspokaja cudownie i pokój sprowadza. Na tém tle dosyć zamglonem występują karykaturalne postacie ogromnych, roztyłych, zaspanych i podpiłych mnichów, z których naówczas drwiono sobie powszechnie. Oprócz innych przywar występuje tu i nieuctwo przybrane w formy dziwaczne przestarzałéj scholastyki bezmyślnéj a bombastycznéj.

Nie ma w tém głębszego nic, ale dowcip świetny, wesołość rubaszna, ucinki ostre, zręczne sypią się gradem. Mnóstwo imion, zwrotów, opisów z Monachomachii pozostałych w ustach i pamięci współczesnych, świadczą jak pocisk rzucony utkwił u celu.

Ojciec Gaudenty, bodaj od Naruszewicza pożyczony, stał się typem.

Mnóstwo wyrażeń w rozmowach powtarzano; między innemi wyśmienity ów wiersz:

Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty.

Czciciele trzeźwego Stanisława Augusta, umieli na pamięć wiersze do niego wystosowane:

Z góry zły przykład idzie w każdéj stronie,
Z góry naszego nieszczęścia przyczyna.
O ty! na polskim co osiadłszy tronie,
Wzgardziłeś miodem i nie lubisz wina,
Cierpisz pijaństwo że w ostatnim zgonie,
Z ciebie gust książek a piwnic ruina.
Tyś naród z kuflów, szklenic, beczek złupił,
Bodajeś w życiu nigdy się nie upił.

Równą popularnością cieszyła się strofa, będąca parodyą.. Świętéj miłości kochanéj ojczyzny.

Wdzięczna miłości kochanéj szklanice.

Reakcya już dokonana w świecie, przeciwko filozofii scholastycznéj, pseudo-aristotelesowéj, poparta została lekką a ostrą bronią dowcipu w téj sławnéj zwrotce.

O ty, którego żaden nie zrozumiał
Gdy w twoich pismach błąkał się jak w lesie,
O ty, nad którym nieraz się świat zdumiał,
. . . .
Bądź pozdrowiony Aristotelesie.

Arcydziełem w swoim rodzaju jest napuszona mowa defendenta, powtarzana często dawniéj:

Na płytkim gruncie rozbujałych fluktów, zakończona wspaniałém:

Przeniosłeś w sławie Sfinxy i Fenixy,
W dziełach Euryppy, Bucentauri, Dixi—

w tejże pieśni znany jest obrazek dewotki:

Muszki z różańcem, wachlarz przy gromnicy,
Przy Hyppolicie głos sinogarlicy
Dewotka ta, znana nam i z bajki,
Z cicha kaleczy, zabija pobożnie.

Na wszyskich ustach był początek pieśni piątéj.

Śmiejmy się z głupich choć i przewielebnych.

Śmiano się téż nawet z tych przewielebnych, którzy wcale nie byli głupimi, tylko przewielebnymi; bo śmiech zaraźliwym jest.

Pełno takich powiedzeń co się utrzymały w spuściźnie, zostając po Monachomachii.

W szyszaku, czapce, w turbanie, w kapturze,
Wszyscyśmy jednéj podlegli naturze.

Próżność nauka, najszczęśliwsi głupi.

Groźba na końcu umieszczona:

Nim pochwalisz—spalę,

nie ziściła się. Chwalono znać poemat, a jakże go miano nie chwalić? W udatnéj formie wtórował głosom wieku, jego programatowi. Nie byłato walka już, ale dobijanie.

Z tego co w pamięci pozostało wnosić łatwo jak ogromny rozgłos miała wojna mnichów. Stała się ona jedném z najbardziéj rozpowszechnionych, najulubieńszych pism Krasickiego.

Witano po dworach wyjątkami z niéj biednych kwestarzy, imiona bohatérów nadawano Mnichom, rzucano im w oczy ten wyrok biskupi. Śmiało powiedzieć można, że do odebrania wpływu i znaczenia zakonom poemat ten najwięcéj się przyczynił, więcéj pewnie, niż bezecna współczesna Historya Naturalna Mnichów, po polsku wydana. Poeta z pewnością ani obrachował, ani się spodziéwał tego skutku; mógł pożałować go nawet, gdy późniéj młodzieńcza krewkość przeszła.

Antimonachomachia, którą tu łączymy, choć w sześć lat późniéj była wydaną, mniéj więcéj na ten sam sposób jest napisana, ale w niéj daleko mniéj dowcipu, i nie przypadła téż tak do smaku czytelników. Z małemi bardzo wyjątkami, nie ma tu już tych wierszy

szczęśliwych, które utkwiły w pamięci pokoleń. Zaledwie gdzie niegdzie trafiamy na powtarzane:

Prawdziwa cnota krytyk się nie boi.

Najlepiéj bajkę i bajacza spalić.

Jeźli plebejusz, zbić go bez litości,
Jeżeli szlachcic, pozwać Jegomości.

Prawda ukryta na dnie puharu, zaręcza za poetę, że:

Przychylność jego, która nie jest płocha,
Tem się obwieszcza, że was szczerze kocha.

Poemat kończy się dwuwierszem:

Jeżeli potwarz, sama pełznąć zwykła,
Jeżeli prawda, poprawcie się. Znikła.

Tak więc nie zguby grzeszników, ale poprawy tylko żądał Biskup, nie kassaty, ale reformy.

Bądź co bądź—dwa te poemata, z całym dowcipem pierwszego nietrafnie, zalekko pomyślane były.

Z całą ciżbą XVIII w. bić na zepsucie już jawne, dowiedzione, smutne, osłony miłosiernéj i naprawy potrzebujące, było to, wedle francuskiego przysłowia, szturmować do drzwi otwartych, dobijać leżących na pobojowisku. Duchownemu rola ta nie przystawała, ale dowcip, ten napastliwy demon, oprzéć się nie mógł pokusie korzystania z tak wyśmienitego przedmiotu.

Zakony te jednak miały swe cywilizacyjne zasługi, posłannictwo swoje, ideę, którą żyły, a któréj zbutwiałe szczątki należało poszanować jak zwłoki umarłych.

Dwa te poemata, o których wpływie mówiliśmy, nie mały też wywarły na późniejsze sądy o poecie. Można powiedzieć, że się na nim pomściły za dobitych mnichów.

Nadały one niesłusznie charakterowi Krasickiego piętno jakiegoś niedowiarstwa, sceptycyzmu, obojętności religijnéj.

Bliżéj badając i charakter ten i pisma, przekonywamy się, że zarzuty są niesłuszne. Krasicki nie był fanatykiem, ani chciał się z pobożnością swą sławić przed światem; miał jednak w duszy głębokie uczucie religijne, o czém przekonywają nietylko mnogie ustępy w panu Podstolim, ale niezliczone myśli, nauki powtarzane w pismach innych. Pobożność jego nie miała może tych form wyszukanych, bijących w oczy, które częstokroć sceptycyzm okrywają,—o niewiarę go jednak posądzać nie można.

Wszyscy późniejsi biografowie zadają mu indyferentyzm, opiérając się na Monachomachii, któréj sam poeta doniosłości i znaczenia nie przewidział.

Pomiędzy sceptycyzmem a uczuciem religijném, cichém i nieobjawiającém się dla okazu, przestrzeń jest wielka. Krasicki zmuszonym był ciągle prawie obracać się wśród ludzi absolutnie w nic niewierzących, walkę staczać nie było w jego charakterze, pojąć więc łatwo, że to, czego nadaremnie bronić nie mógł, musiał od napaści ukrywać. Epoka rzuciła nań to fałszywe światło, w którém wydaje się, jak inni, sceptykiem, choć nim nie jest.

Są to lata największéj płodności naszego pisarza: w roku 1776 wychodzi Doświadczyński.

Powieść ta ukazała się w chwili, gdy polskiéj oryginalnéj książki, którąby wszyscy czytać, rozumiéć, rozerwać się nią, nauczyć z niéj czegoś mogli, nie było wcale. Nowością wielką było takie opowiadanie, zarówno prostaczków i uczonych zajmujące, w którém rzeczywistość splatała się z fantazyą bujną, ówczesna filozofia z nieuniknioną satyrą, dowcip z nauką moralną.

Początek przypadków Doświadczyńskiego, jako obraz obyczajów epoki Augusta III, wzięty z natury, jest w swym rodzaju arcydziełem. Trybunał lubelski z takim kunsztem narysowany wziął autor, *mutatis mutandis*, z tego, w którym marszałkował. Zmieniło się już było cokolwiek na lepsze za panowania Stanisława Augusta, lecz wiele rysów jeszcze się nie zatarło. Przygody młodzieńca na wyjezdném z kraju, pobyt jego w Paryżu z równą prawdą i werwą są odmalowane. Cały ten wstęp, do którego może autor mniejszą przywiązywał wagę, jest dziś dla nas najcenniejszy.

Po tych realistycznych obrazach życia następuje awanturnicza podróż, przygody i owa wyspa wszelkich szczęśliwości (Nipu), na któréj ludzie bez żelaza, bez złota, bez nauk, bez cywilizacyi, w błogim stanie idealnym natury—wiekuistym, niezamąconym żyją spokojem! Obraz ten sielankowy, w którym doktryny XVIII w. tak wybitnie występują, przypominający i Rousseau i Voltaire'a w jego tendencyjnych powiastkach i mnogie podobne elukubracye pseudo-filozofów XVIII w.—jest zupełnie chybiony, mdły, a, co najgorzéj, mógłby w autorze dowieść zupełnéj nieznajomości natury człowieka, gdyby—atmosfera wieku, którą oddychał, nie stanowiła pewnego rodzaju „okoliczności łagodzącéj.“

Wiek XVIII widział dobrze wszystkie staréj cywilizacyi wyboczenia, wady, szkopuły, ale na nie szukał ratunku nie na rzeczywistéj

opierając się podstawie, ale na jakiéjś wymarzonéj, idealnéj, z fałszywych pojęć ciągnionéj. Gotów więc był zrzec się cywilizacyi, jéj przypisując wszystko złe, a z pomocą logiki dziwacznéj przypuszczając stan natury, stan doskonały jakiś, do którego należało powrócić, zupełnie się obłąkał.

Krasicki także zapragnął odmalować ten stan natury i dosyć dziecinnie, za przyczynę wszelkiego zła poczytując użycie kruszców, żelaza i złota, idealną swą społeczność najprzód pozbawia toporów, nożów i pługów—aby ją zabezpieczyć od zbrodni!

Maluje potém jakąś komunistyczną społeczność, obawiającą się scyzoryka, jak gdyby kamieniem w łeb, a nawet pięścią, mając ochotę po temu, nie można palnąć równie skutecznie.

Cały ten ustęp, który niewątpliwie autorowi wydawał się najszczęśliwszym pomysłem—dziś najbardziéj nawet pobłażliwego rozbioru nie wytrzymuje. Takich wysp szczęśliwych i społeczeństw wzorowych a nie ludzkich, począwszy od XVI w., namalowano obfitość wielką, jedne nad drugie dziwaczniejsze. Ściśléj wnikając w zasady autora, widzimy że szczęśliwość społeczną budował na niemożliwéj równości charakterów, umysłów, mienia, przekonań, w zupełném ujednostajnieniu człowieka, które nie jest w naturze. Marzył jak dzisiejsi komuniści, którzy najprzód z pomocą wychowania chcą wszystkie głowy przykroić pod jednę miarę a ze społeczności uczynić trzodę, bez pasterza, ograniczoną w potrzebach, żyjącą wedle jakiegoś schematu niedopuszczającego ani genjuszów, ani wyboczeń, ani żadnego stopniowania hierarchicznego. Ten rodzaj szczęśliwości zaspokoiłby może niedaleko myślą i żądzami sięgających ludzi, ale by musiał skończyć się na jakiéjś chińszczyznie rdzawiejącéj i wymarzającéj powoli ród ludzki. Krytyka zresztą ideałów wyspy Nipu tak jest niemożliwą jak branie jéj na seryo. Utopja ta wszakże, dziś dla nas, przy rozwinięciu się nauk przyrodniczych i społecznych, absolutnie niedorzeczna; w XVIII wieku musiała właśnie największe obudzać uwielbienie i zapały!

Jakże się nad nią zastanawiać, rozprawiać, spierać o nią i zabawiać nią musiano! Wyobraźmy sobie szlachecki dwór, do którego od dawna książka mogąca być łatwo czytaną nie zawitała, i wrażenie jakie pan Mikołaj Doświadczyński wieczorami deklamowany czynił na gromadce naiwnych słuchaczów! Chwytano książkę na probostwo, bo ją pisał ks. Biskup, a o farmazoństwo posądzać go się nie godziło. Tymczasem jakąś trąciła nowinką osobliwą, zapach miała heretycki. Z probostwa wykradano na folwark, syllabizowano potém po przedpokojach i tu wyspa Nipu niewątpliwie największe mieć musiała sukcesy.

Za głęboką filozofią uchodziły te utopje, których pięknych frazesów nie rozbierano ściśle.

Ludzi bardziéj religijnych musiało to uderzać, że choć bezbożnego w tém nic nie było, choć o najwyższéj Istności piękne rzeczy się znajdowały—religia chrześcijańska była wyminiętą, przemilczaną. Jakoś się bez niéj na wyspie Nipu obchodziło.

A więc mógł istnieć stan natury, z jakąś religią i moralnością naturalną, a chrześciaństwo nie przedstawiało się już jako jedyna prawda i jedyna droga do światła i cnoty? Biskup nie wdając się w żadną polemikę, nie stając nawet w sprzeczności z dogmatami moralnemi religii, całą pozytywną część jéj milczeniem zbywając, wywierał na umysły tém większe wrażenie, że głosił jakąś prawdę nową, o staréj nic wspomniawszy nawet, jakby o przeżytéj, skończonéj i na bok usuniętéj.

Ta właśnie część Doświadczyńskiego, która nam dziś najuboższą się wydaje, najmniéj szczęśliwie pomyślaną, swojego czasu czyniła najsilniejsze wrażenie. Suknia i stan autora nadawała doktrynie, równie jak umiarkowanie jego—powagę wielką.

Jak to pogodzić z tém, cośmy mówili wyżéj o religijném uczuciu autora? Tak jak mnóstwo innych utopij XVIII w., którym się zdawało, iż w chrześciaństwie odnowioném i przefiltrowaném filozoficznie potrafią się pomieścić.

Ten ideał autor oprawił z jednéj strony w przedziwne opowiadanie o młodości Doświadczyńskiego, z drugiéj—w nęcące ciekawość przygody dalekich jego peregrynacyj, niewoli, obrazek społeczności kwakrów (drugą utopią już nieco prawdy bliższą), pobyt w domu waryatów i powrót do kraju.

Tu znowu wstąpiszy na twardy grunt własny, autor odzyskuje całą żywość kolorytu i prawdę wizerunków. Maluje nam rzecz pospolitą jaką była. Para tych obrazów wiejskich, sejmiki, instrukcye poselskie, na których czele figurują sumy neapolitańskie, i odkrycie kopalni olkuskich przypominają żywością wyborny początek Doświadczyńskiego.

Zakończenie wreszcie jest na sposób romansów ułożone i sprowadza kochanków znowu, którzy się w pierwszéj księdze rozstali. Odżywa miłość dawna, pan Mikołaj poznaje Juljannę, do któréj młodzieńcem będąc wzdychał i złamane koło staje się szczęścia fundamentem.

Dla nas, cośmy już stokroć kunsztowniéj zbudowanych i przystrojonych powieści przerzucili seciny, Doświadczyński ze swą przestarzałą formą Voltairowską, z dowcipem, ironią, filozofią, i osnową

naiwną, wydać się może dosyć nudnym, ale w XVIII w. obok Podolanki i Rzepichy, był arcydziełem.

Tendencya jego odpowiadała wszystkim aspiracyom czasu; była w nim surowa krytyka przeszłości, ideał niedościgniony, ku któremu dążyć należało, wiele ironii i satyry, mnóstwo z życia pochwyconych rysów, a wszystko to opowiedziane z wdziękiem, smakiem, delikatnością arystokratyczną, z umiarkowaniem, stylem płynnym, harmonijnym, językiem czystym i, choć staréj pozbawionym powagi, ale w nową przybranym elegancyą, z którą mu było do twarzy.

Powodzenie Doświadczyńskiego musiało być nadzwyczajne, społeczności na pół francuskiéj przypominał się prototyp Voltaire'a, bez jego cynizmu i jaskrawości, dla innych byłato nowość przedziwnego smaku, jakiéj jeszcze nie kosztowano.

Po Banaluce i Argenidzie, po Leonildzie i Koloandrze, dosyć postawić Doświadczyńskiego, aby zmierzyć postęp nim uczyniony.

Zamiast oklepanych przygód dwojga kochanków, znaléźć w powieści tyle głębokich pomysłów, tyle filozofii w kwiaty poubieranéj wykwintnie, było rzeczą nową i wielką. Dodajmy wszakże, iż wrażenie, jakie Doświadczyński wywiérał, było całkiem ujemnéj natury. Potwierdzał on że to, czém się żyło, życiu nadal nie mogło starczyć, a na wyspę Nipu się dostać było niepodobieństwem. Zbliżanie się do jakiegoś stanu natury stawało się niepoścignioném zadaniem. Należało najprzód, jeśli nie pozakopywać noże, to wiele prawd uznanych za takie pochować i usunąć. Wszelką sztukę miała zastąpić ta nieokréślona natura i stan dzikich lasu mieszkańców!

Wiek XVIII chorował już na marzenia pastusze, ale pasterki ubiérały się w jedwabie, a pasterze karmili się ostrygami.

Gdzie się kończyła owa sztuka niebezpieczna, a poczynał obyczaj naturalny? Czy koniecznie należało, jak w Nipu, strzedz się wełny farbować, a biesiady odbywać na stołach z murawy w drzew cieniu? Czy Najwyższa istność miała zastąpić Boga w Trójcy przenajświętszéj? Na to Doświadczyński nie dawał odpowiedzi, każdy jéj musiał szukać w sobie, a trudno ją było znaleźć. Każdy czuł się zachwianym, i wiedział stanowczo jedno, że ludzkość ze starego barłogu, w którym leżała długo, ruszyć się musiała, ale dokąd??

Mówiąc o Doświadczyńskim, powiedzmy razem o drobniejszych powieściach Krasickiego, różnemi czasy wydanych.

Znaczniejsza ich część jest na tle wschodniém osnuta, jak chciał zwyczaj XVIII w. Te przenosiny do innego świata dawały pewną swobodę w pomysłach. Wschód naówczas był gruntem ne-

utralnym, na którym się poruszać było można raźniéj nie potrącając o kwestye religijne, polityczne i społeczne. Taka powieść wschodnia na swój sposób spełniała to posłannictwo co dawniéj bajka, z tą różnicą, że w niéj derwisze zastępowali wilków, sułtanowie lwów, a drążkarze osłów.

O Wschodzie dawało się mówić wszystko, czegoby nie wypadało w oczy powiedziéć Europie.

I jak w bajce występuje świat zwierzęcy konwencyonalny, który do rzeczywistego nie ma najmniejszego podobieństwa, tak tu występował wschód i ludzie z tysiąca nocy, ogólnemi rysy namalowany, podobien do tych malatur na pudełkach, na których widujemy Sułtanów w najparadniejszych strojach i postrojone jak na bal odaliski, zadumanych u stóp milczącéj fontanny w stylu odrodzenia, na tle świątyni greckiéj i t. p.

Nie licząc naśladowanych i tłómaczonych, z wymienieniem ich pochodzenia (z Goldsmitha, z Montesqieu), wielka część powieści osnową przypomina mnogie współczesne, francuskie i niemieckie tego rodzaju opowiadania. Istotnego wschodu jest tu mało, ale fantazya bujać może swobodniéj. Morał tych powieści skromny, prawdy życia powszedniego: zdrada ukarana, ambicya zawiedziona, ludzkich rzeczy i rachub znikomość, nieszczęście pozorne, które na dobro wychodzi i t. p.

Jedna z najdowcipniejszych powieści „Dziekan w Badajoz“, swojego czasu bardzo ceniona, w istocie śliczna formą i oryginalném rozwiązaniem, czy jest Krasickiego własną, czy przerobioną z A. G. Meissnera, drukowanéj w r. 1798? nie wiemy. U Meissnera, który był téż utalentowanym pisarzem, Badajoz zastępuje Compostella, zresztą treść i forma taż sama, acz mniéj starannie stylizowana. Być bardzo może, iż Meissner ją przerobił, zwłaszcza że żyjąc w Pradze, gdzie był profesorem, polski język mógł rozumiéć. Ale gdyby nawet pomysł pierwotny nie należał do naszego autora, obrobienie kunsztowne jużby go własnością jego uczyniło.(1)

We wszystkich tych powieściach w ogóle, bardzo drobnych rozmiarów, styl, język, ton są wyborne, dziś one jeszcze z przyjemnością się czytać dają, gdy rodzaj ten wyszedł zupełnie z użycia i wymaganiom naszym nie odpowiada.

---

(1) Krasicki w przejeździe do Carlsbadu bawił parę dni w Pradze, oglądając miasto. Żył tam podówczas Meissner, ale powieść jego nosi datę 1798 r. a bytność Krasickiego ją poprzedza.

Powieści takie moralne rozwijały przykładowo jakąś prawdę, czyniły ją dotykalną, uosabiały wady i przymioty a — z pomocą opatrzności, która w nich jako główny działacz występuje zawsze, dowodziły zmysłowo, plastycznie, jak źle jest czynić nieprawość, jak każdy dobry uczynek się płaci a mści każdy występek. Byłyto opowiadania głównie dla młodego przeznaczone wieku, chociaż wdzięk stylu i dla starszych je czynił ponętnemi. W tych wszystkich krótkich historyjkach wschodnich, arabskich, perskich, tureckich, jest miła prostota, wdzięk naiwności dziecięcéj, ale wszystkie są do siebie podobne i derwisze, sułtanowie, kupcy są, jakby wedle jednego wzorku, poprzykrawani.

W jednéj z powieści, Juzup, nie wiemy zkąd wziętéj, tkwi jakby oddźwięk historyi, która Shakespearowi do Leara służyła za motyw główny. Z synów kilku zapytanych jak ojca swojego miłują, jeden tylko nie umié wypowiedzieć przywiązania swojego. Juzup ojciec przecięż rozumniejszy od Leara, téj miłości oniemiałéj, daje nad wymownemi pierwszeństwo.

Do powieści krótszych dołączym tu historyą prawdziwą o kamienicy narożnéj w mieście Kukurowcach przez Błażeja Bakałarza tamże, wydaną osobno po raz pierwszy w r. 1794. Jestto zupełnie oryginalna i bardzo zręcznie przebrana historya Polski, aż do elekcyi Stanisława Augusta, z dowcipem i werwą Krasickiemu właściwą opowiedziana. Wiele w niéj ustępów humorystyką się odznaczających. Mówiąc o koronacyi Bolesława Wielkiego przez Ottona, pisze: „Powiadają i to, że Burmistrz blizkiego miasta, przyjechawszy jednego razu na kiermasz do Kukurowiec, zrobił go (dziedzica kamienicy) wójtem“. Ale co miał za prawo burmistrz zkąd inąd, robić wójta u sąsiadów?, którzy, gdyby im się podobało, mogliby sobie sami zrobić takiego wójta jak i on. Bajki to więc, które sąsiedzi wymyślili i podali innym do wiadomości, bo pierwéj od Kukurowczanów umieli pisać i czytać. Godzien jeszcze przypomnienia ustęp opowiadający figurycznie czasy Augusta Sasa, Leszczyńskiego i Augusta III.

„Poboczny wsi gospodarz był z innéj parafii (August II.), ale ją porzucił, gdy szło o kamienicę. Miał dom swój z ciosowego kamienia, ale że wązki (Saksonia) kamienica z cegły choć nadpsuta (Polska), że obszerna, wysoka i kształtna, skusiła go. Skoro wszedł do niéj, jął się krzątać i tak dobrze mu się udało, że i szpichrza i drzwi owych żelaznych dostał, ale z drugim sąsiadem nie powiodło mu się. Zaczepiony (Szwed) zaczepnikowi tak się oparł, iż go z kamienicy wypędził i osadził w niéj jednego z tamtejszéj czeladzi (Leszczyńskiego). Ale ten musiał ustąpić, gdy dawny pan wzmógłszy się do

domu wrócił. Siedział w nim więc spokojnie i odtąd *szynkiem tylko zatrudniony*, mniéj dbał o to co się daléj i z budynkami i z samymże domem stać mogło.

Syn po nim nastał (August III.) miał sprzeczkę zrazu o dom z tymże czeladnikiem (Leszczyński) który go już raz miał, ale się przecież utrzymał, co tamtemu na dobre wyszło. Dość długo w kamienicy siedział, aż téż umarł. Szczęściem za jego czasów nie było gwałtownych ani wiatrów ani deszczów, powiększały się więc niezmiernie rysy w murach, ale przecież stał jako tako.“

Tym samym duchem krytyki, która natchnęła historyą na dwie księgi podzieloną (o której niżéj), odznacza się historya kamienicy w Kukurowcach, ale krytyka to czysto fantazyjna. Weźmy naprzykład to ukoronowanie Bolesława przez Ottona, które tak dowcipnie określił Krasicki, — że burmistrz z sąsiedniego miasteczka uczynił wójtem dziedzica domu. Zdaje się to trafném, ale z historyą prawdziwą zgodném nie jest, co by Naruszewicz mógł był wytknąć Krasickiemu. Papieże i Cesarze mieli prawo rozdawnictwa koron, i ów burmistrz rzeczywiście wójta mianował.

Dowcipu wszędzie siła, gdziekolwiek jednak, jak na wyspie Nipu, poważnym być chce Krasicki, surowym moralistą, staje się zimnym i rozwlekłym. Posłannictwém jego było chodzić zawsze z uśmieszkiem na ustach, z tą słodką, dobroduszną ironią bez żółci, spokojną, która szczypie ale nie rani, łaskocze ale nie kaleczy, grozi ale nie smaga, wyszydza bez gniewu, litując się i miłując.

W r. 1778 wychodzą Satyry — prawdopodobnie już dawniéj pojedynczo pisane i po jednéj nawet, częściami (Żona modna) ogłaszane. Z listów, jakie mamy przed sobą, widzimy, że w r. 1779 Krasicki Satyrami był jeszcze zajęty, bo pisze do brata Antoniego: „Moja widzę Satyra com WPanu posłał zginęła, ale się urodziło po niéj trzy, i przyjdą do liczby może równéj płodności pewnéj damy“ (bratowéj Antoniowéj).

Mówmy o wszystkich razem.

Wskazaliśmy wyżéj jak w końcu nieszczęśliwego panowania Sasów Czartoryscy, Konarski, wielu innych czuło potrzebę reformy całego organizmu rzeczypospolitéj. Wszystko było strupieszałém, przegniłém, zwątloném, popsutém, budowa groziła ruiną. Wedle idei ówczesnych, którym i dziś jeszcze większość hołduje, zdawało się reformatorom, że dosyć zmienić instytucye, aby z niemi wszystko inną przybrało postać.

Nie śmiano poczynać od najważniejszéj reformy obyczajów, którąby na same instytucye oddziałać i nadać im znaczenie nowe musiała.

Wstępując na tron Poniatowski z Czartoryskich ideą, rozumiał to jednak, że nim do zmiany instytucyj przyjść będzie mogło, trzeba na opinią, społeczność i obyczaje działać czynem i słowem, przykładem i inicyatywą z góry płynącą. Właśnie jednym z ludzi co królowi w tém pomagać mieli, był, jakeśmy mówili, Krasicki. Jego dowcip i przedziwny takt, humor i ironia mogły tam skutecznie wpływać, gdzie gwałtowność i brutalne środki opór by tylko budziły.

Pierwszy to był pomocnik króla w wielkiém dziele reformy obyczajów. Czuł tę misyą swoję: wszystko co pisał dążyło do tego celu, bajka równie jak Satyra, list równie jak komedya, poemat i powieść. Satyra jednak była główném narzędziem, owém burzącém działem, którém wyłom się w twierdzy wybija.

W naszéj literaturze początki jéj są bardzo dawne, sięgają niemal kolebki naszego piśmiennictwa. Europejska literatura łacińska, która dla nas była wzorem, już w XV wieku nabrała charakteru satyrycznego. W klasztorach rodzi się pierwsza opozycya przeciwko porządkowi społecznemu, instytucyom kościoła i powadze stojącéj u góry.

Twórca pierwszy języka naszego, ojciec piśmiennictwa, który do dziś dnia nie był i nie jest tak ocenionym jakby być powinien, mistrz — co postawił mowę naszę na tym stopniu rozwinięcia, iż nam jego język do dziś dnia starczy, ten co mógł językiem i natchnieniem Adama, na lat trzysta przed nim, wyśpiewać ten wiersz Adama godny:

Kto mi dał skrzydła? kto mnie odział pióry?
I tak wysoko postawił, że z góry?
Wszystek świat widzę. . .

Kochanowski był już Satyrykiem. Jego Satyr stoi na czele tego zastępu straży nieustannéj, która przez trzy wieki woła: Strzeżcie ognia i złodzieja! — pilnujcie się od ognia namiętności i złodzieja samolubstwa. — Zawczasu zło się wkradało, ale był zawsze ktoś u nas co je wskazywał.

Bielski w swéj rozwlekłéj rozmowie dwu baranów o jednéj głowie, i w innych poematach jest satyrykiem; w znacznéj części pism swych jest nim Rej, dziś tak zapomniany. Po nim idzie Klonowicz, a obok kroczą Opaliński, Twardowski (Satyr na twarz Rzeczypospolitéj przypisywany Rysińskiemu), bezimiennych wielu, w różnych formach, aż do Wacława Potockiego, który w swym

poczcie herbów szlachty często z ironią i siłą wielką przeciwko społeczeństwu się odzywa.

Satyra ta, to sumienie narodu, wołające o poprawę.

W chwili gdy Stanisław August zabiéra się do dzieła odrodzenia z chęciami najlepszemi, ale ze środkami niewystarczającémi, Satyra w pomoc mu przychodzi.

Wszyscy niemal czynniejsi pisarze Stanisławowskiéj epoki są po troszę satyrykami; Naruszewicz ze swym biczem z sznurów plecionym. Trembecki z siekącą do krwi rózgą, Węgierski z pejczem jeźdzca, Krasicki z biczykiem jedwabnym, oprawnym w heban i złoto.

Nawet gdy się do satyry nie chcą przyznać pisarze piszą ją mimowoli. Z satyry rodzą się zjadłe paskwile i szczególniéj czasu Sejmu czteroletniego dochodzą do najwyższego cynizmu i zuchwalstwa. — Trembecki zmuszony jest pisać przeciw paskwilusom, których pełne są fiakry warszawskie, a zrana wszystkie ławki Saskiego ogrodu. Satyra się maskuje za powieść, za bajkę, za komedyą (powrót Posła), za poemat, piosenkę, zagadkę. Takich satyrycznych zagadek znamy kilkaset z czasów wielkiego sejmu. Naostatek uliczny żebrak pod Krakowską bramą śpiewał paskwile i satyryczne lamenty.

Satyra Krasickiego różni się wielce od dawnych i współczesnych. W bajce tylko i satyrze poeta jest z pełna kunstmistrzem; tu forma z treścią się zrosła, każdy szczegół wypieszczony, słowo każde pomyślane, uczute szczęśliwie, całość wyborna. Gdzieindziéj Krasicki nie zadaje sobie pracy, by osnowę obmyślić surowiéj, tu ona wszędzie doskonała, naprzemiany opowiadanie, dramat, obraz — satyra (zwłaszcza pierwsze) nie przechodzi nigdy w kazanie i deklamacyą. Ton jéj nie zabarwia się namiętnością, poeta panem jest siebie, dowcip jego zawsze dobrego tonu, może się zaprezentować w salonie, a nie traci przez to na dobitności, na sile. Dotyka a nie rani, nie gniewa, wywołuje uśmiech i nim zwycięża, zmusza wstydzić się i rumienić.

Trembecki w satyrycznych swych porywach nieskończenie jest potężniejszym ową *indignatio*, która wiersz jego natchnęła, język jego, którym mistrzowsko włada dosadny jest, ale on, jak z murów oblężonego grodu, ukropem i zapaloną smołą leje na głowy przeciwników, satyra u niego przechodzi w paskwil, w osobistość, jak gdy Turskiego z głową ogoloną wiedzie do czubków, jak gdy się mści na Węgierskim za to, że mu dawniéj palił kadzidła.

Cóż mówić o satyryzującym Węgierskim w Reducie i innych urywkach, wyglądającym na trzpiota, który po dobréj wieczerzy pu-

ścił się na drwiny, sam lubując dowcipowi swemu. Egoizm niedojrzałości razi w nim wszędzie. Kłaniając się Zamoyskiemu, nie zapomina we wstępie podnieść tego, że to on— Węgierski mu hołd składa. Wszędzie siebie stawi na pierwszym planie. Czuć w nim ten rodzaj młodości co nigdy nie starzeje i nigdy nie nabędzie powagi.

Krasicki nad nimi wszystkimi, niewyjmując zamaszystego Naruszewicza, górą stoi kunsztem i miarą. Książę poeta, senator, potomek znakomitego rodu pisze, czuć to, w jedwabnéj sukni, w koronkowych mankietach widzimy białą jego rękę, w pierścień strojną na karcie Satyry do króla. Jestto jedna z najśliczniejszych, wyrzuca ona Stanisławowi Augustowi wszystkie jego przymioty, a na ostatku, pod pozorem pochwały, trafia w istotną jego słabość i winę.

Ten, którego cała rodzina, pani Mniszkowa, Zamoyska, pani Krakowska zwykły były zwać „dobrym Henrykiem IV", któremu Krasicki w końcu satyry wyrzuca jego dobroć, w istocie grzeszył dobrocią bez wyboru, która się słabością zowie. Ta chęć okazania się dobrym dla całego świata, brak charakteru i przekonań, były główną wadą Stanisława Augusta. Krasicki może nie bez ukrytéj ironii wyrzuca mu tę dobroć jego.

Nie trzeba, Mości Królu, mieć łagodne serce,
Zwycięż się, zgaś ten ogień, zatłum go w iskierce,
Żeś dobry gorszysz wszystkich — —

W istocie król był dobrym nawet dla złych, był słabym. Rozgniewać się za ten wyrzut niepodobna było, a z jaką trafnością jest on tu na ostatku położony.

Satyra, „Świat zepsuty", równie wybornym jest obrazem wieku jak tamta człowieka. Jak piękne, jak dobitne znowu to jéj zakończenie, przypominające kazanie owo Skargi o okręcie i majtkach:

Był czas kiedy błąd ślepy nierządem się chlubił,
Ten nas nierząd, o bracia, pokonał i zgubił.
Ten nas cudzym w łup oddał, *z nas* się złe zaczęło,
Dzień jeden nieszczęśliwy zniszczył wieków dzieło.
Padnie słaby i lęże, wzmoże się wspaniały;
Rozpacz podział nikczemnych. Wzmagają się wały,
Grozi burza, grzmi niebo, okręt nie zatonie,
Majtki zgodne z żeglarzem gdy staną w obronie.
A choć bezpieczniéj okręt opuścić i płynąć,
Poczciwiéj być w okręcie, ocalić lub zginąć.

W satyrze „Złość ukryta" wizerunki są jakby z żywych wzorów pobrane, choć poeta nie miał ich może na myśli. Alchemistę pokazywano palcami.

Szczęśliwość Filutów (III), marnotrawstwo (IV), oszczędność (V), wszystko to najtrafniejsze obrazy czasu, a sam wybór przedmiotów bystrego oka postrzegacza dowodzi.

Znane jest dobrze pijaństwo, którego zakończenie stało się niemal przysłowiem, jak wiele innych wierszy Krasickiego:

Te są wstrzemięźliwości zaszczyty, pobudki,
Te są—Bądź zdrów—Gdzie idziesz?—Napiję się wódki.

Zwrót podobny po kilkakroć zużytkował Krasicki, w bajce Kartownik i w Podstolim. Dowodzi to, że znał ogromną siłę nałogu nad człowiekiem, który widzi że błądzi, a powstrzymać się nie może.

Wyborne są przestrogi młodemu, ale Żona Modna, odmalowana tak żywo i plastycznie, tyle w niéj rysów ówczesnych, iż nie dziw, że była jedna z najpowszechniéj ocenionych i rozrywano ją gdy się ukazała.

Życie dworskie, Pan nie wart sługi, Gracz, dopełniają pierwszego Satyr zbioru (XI).

Druga ich część, zdaniem naszém, nie dorównywa pierwszéj natchnieniem i żywością obrazów. Wpada w niéj poeta w ton dydaktyczny, więcéj nawraca niż maluje, mówi o życiu, ale go nam nie okazuje. Jednakże i z pomiędzy tych podnieść należy „Wziętość“ i misternie zakończone „Odwołanie.“

Bajki i Satyry są arcydziełami poety, gdy inne pisma zostaną szacowną pamiątką, materyałem do historyi ducha czasu, to dwoje przeżyje w literaturze i ostoi się mimo zmian smaku. Satyry pisał Krasicki już w wieku dojrzalszym (ostatnie przynajmniéj), czuł się do nich natchnionym, i być bardzo może, iż nie wszystkie zostały wydane.

Jak wiele listów wierszem i prozą z wierszami, tak i *organy* przedziwny obraz sejmu czteroletniego w pierwszém jego stadium, do Satyr by się zaliczyć powinny, choć formy tyle skończonéj i wytwornéj nie mają i prozą są przeplatane. Nikt trafniéj nie odmalował tego momentu pasowania się garstki ludzi dobréj woli a nie zbyt bystrych polityków, z tłumem namiętnym i nieopatrznym, gdy z obojga korzystali organiści jak Lucchesini. Historya tego sejmu poczynającego się opozycyą przeciw królowi, który powoli nawrócić się daje, pragnącego więcéj niż mógł dokonać, jest całym dramatem pełnym scen poruszających i tragicznych. Lecz o tém niżéj jeszcze mówić będziemy. List Krasickiego, który chwilę był naocznym świadkiem scen odegrywających się na zamku, i jako satyra i jako dokument historyczny, ma wielką cenę.

Jedne po drugich następowały w tych latach właśnie, najgłówniejsze pisma Biskupa Warmińskiego. Ogół zajmował się niemi niezmiernie, czas sprzyjał ich rozpowszechnieniu, byłyto lata spokojniejsze pracy wewnętrznéj, reform oświaty i obyczaju. Nadzieja lepszych dni wstępowała w serca, krzątali się wszyscy.

Stało przed reformatorami nierozwiązane zadanie główne, zasadnicze, co z dawnych obyczajów ocalić należało, co odrzucić, co z nowéj europejskiéj cywilizacyi przyswoić, co, jako z tradycyami naszemi niezgodne a szkodliwe, usunąć.

Rozwiązaniu téj kwestyi żywotnéj poświęcił Krasicki, w samę porę z nim przychodząc, swojego pana Podstolego.

Pan Podstoli z dzieł prozą Biskupa Warmińskiego jest największego znaczenia. Jest w nim powiedzieć można cały Krasicki, charakter jego przekonania, sąd o przeszłości, pojęcia postępu, wszystko czego pragnął i jak myślał nową organizować społeczność na starych podstawach. Forma jest nieco dziwna, największéj wagi zadania mieszczą się tu obok najpodrzędniejszych; żadnego systemu i planu. Autor nie chciał się wiązać niczém, swobodnie się obraca zakreśliwszy ramy, w których może mieścić co mu się żywnie podoba. W pierwszéj części pana Podstolego daje się jeszcze dośledzić pewna symetrya budowy, w następnych giną jéj ślady. Przedmioty powtarzają się kilkakroć, autor powraca do nich, przeplata je obrazkami, urozmaica epizodami, kwestya włościańska stoi obok kuchni, obok religii odzież, przy zasadniczych prawach wiążących rodzinę i społeczność, drobnostki.

Mogło to być obrachowaném dla płochych czytelników, ale wypłynęło téż może i z usposobienia autora, który w swych dziełach nigdzie z góry obmyślanego planu się nie trzymał, spuszczał na fantazyą i lubił niczém się nie krępować. Umysł encyklopedyczny, unikający zbytniego zagłębiania się w przedmioty, chętniéj ślizgający po ich powierzchni, Krasicki miał ten dar zarazem, że z małych częstokroć oznak zewnętrznych, treść rzeczy odgadywał. Lecz nawet w takich razach, nigdy nie chciał zapuszczać się zbyt głęboko, wstręt miał do świdrowania przedmiotu, które na wierzch dobyć mogło, wstrętliwe dlań brudy i plugawstwa.

Niesprawiedliwém byłoby zarzucać mu co płynęło z jego natury i usposobienia. Umysłu badawczego nie miał, ale trafnym był w postrzeganiu fenomenów zewnętrznych i w ich osądzaniu. Łatwiéj mu było ogarnąć wielkie przestrzenie niż sięgnąć do tajemniczych wnętrzów ciasno ograniczonego przedmiotu.

Więcéj w nim instynktu, czucia, odgadywania prawdy, niż rozumowanego jéj i mozolnego dochodzenia. Artysta, miłośnik pięk-

na, głównie chwyta prawdy w objawach ich plastycznych, we wcieleniach, w faktach, nie chce i nie umié dochodzić ich w analizie powolnéj i stopniowéj. Uderzają go one swym blaskiem, a blask jest niezawsze fałszywą wartości miarą. Skutkiem tego usposobienia Krasicki jest w przedstawianiu prawd raczéj malarzem niż filozofem, unika abstrakcyi, przyodziewa myśl ciałem, stawi ją w zastowaniu do życia. Wszystko w nim z rzeczywistości wzięte, do niéj się odnosi i wiek swój maluje.

Podstoli z godłem: *Moribus antiquis*, to cała encyklopedya obyczaju polskiego, jakim on był i jak go chciał mieć, z własnych jego pierwiastków rozwiniętym Biskup Warmiński.

Pierwsza jego część, jak wiadomo, pisaną była około r. 1778, a między innemi, znajdujemy już w niéj te zasady co do reformy stosunków włościańskich, które głośniéj i jawniéj wyszły dopiéro na sejmie czteroletnim. Jeden ten fakt już wielkiego jest znaczenia i mówi na korzyść autora p. Podstolego.

Miał on już odwagę żądać tego w r. 1778, co zaledwie tknięte na księgę praw Zamoyskiego ściągnęło tak gorszące potępienie. W tych, jak w innych kwestyach podnoszonych przez Podstolego podziwiać potrzeba (treść pomijając) takt, miarę, trafność z jaką najdrażliwsze rzeczy są ujęte. Stając przeciwko większości zacofanéj, Krasicki umié wypowiedzieć prawdę niemiłą w sposób tak łagodny i przyzwoity, że się nań oburzyć niepodobna. Argumenta swe czerpie z takich źródeł, że ich odrzucić nie sposób, mówi do uczuć, których się zaprzéć nie godzi. W téj kwestyi włościan, jak w wielu innych, wyprzedza nietylko prawodawstwo, ale opinią kraju, którą zwraca na prawą drogę.

Lecz przypatrzmy się bliżéj téj ciekawéj mozaice różnobarwnéj, w któréj cały mikrokosmos się mieści. A najprzód rozróżnijmy dwie jej części składowe, odrębne—kamienie i oprawę.

To obramowanie, składające się z obrazków, wizerunków społeczeństwa, figurek z natury pochwyconych, niemniéj jest kosztowne, jak to co otacza. Krasicki może malarzem jest wyższéj ceny niż moralistą. W jego obrazkach nie ma najmniejszéj pęzla niepewności, rysu zamglonego, wszystko jasne, dobitne, prawdziwe, gdy w naukach moralnych często zbywa na śmielszych liniach, gubią się one w zamierzchłéj dali.

Obrazki w pierwszéj zwłaszcza części nie zbyt są mnogie, i autor nie zdawał się do nich przywiązywać wagi; mieścił je dla ożywienia trochę oschłéj gawędy i kéj urozmaicenia, ale dla nas, dziś, są tu nieocenione klejnoty.

Pozostała znaczniejsza część Podstolego dydaktyczna, w obec

społecznych zmian i jaśniejszego wyrobienia idei o nich, ustarzała, a artystyczne kreacye są żywe i pełne barwy.

Fabuła Podstolego jest patryarchalnéj prostoty. Autor nie wysilił się na osnucie jéj, zaledwie pomyślał o tém, jak całość się złoży, szło mu widocznie o to, co w szerokich ramach pomieści. Tłumnie cisnęły się myśli, wywoływane stanem tego fermentującego i przekształcającego się społeczeństwa; był niemi przepełniony, złożył je w Podstolim, ulegając konieczności objawienia co mu cię żyło. Godna uwagi, o czém już napomknęliśmy, że wiele kwestyj w Podstolim raz dotkniętych wracają kilkakroć, a oprócz tego są traktowane w tak zwanych „Uwagach.“ Zdaje się, że autor gotował materyał do Podstolego, jak mu na myśl przychodził, i wkładał go jak do szufladki.

Dom i rodzina polska, jakiemi były, i jak do wymagań czasu stosując się, wyrobić były powinny to zadanie jak wyżéj.

Ogólną cechą w rozwiązaniu go jest umiarkowanie. Żadnego radykalizmu, żadnych reform gwałtownych i obalających do gruntu, łagodne tylko i stopniowe modyfikacye. Autor staje zawsze pośrodku, chętnieby rad pogodzić sprzeczności, nic prawie nie potępia oprócz przesady, naprawia nie tworzy, zastosowuje. Nie dopuszcza zupełnéj transfiguracyi, ale stopniową.

Chociaż wydać się to może z pewnych względów słabością, jest jednak raczéj zdrowém poczuciem warunków rzeczywistości. Pojmował Krasicki, że rewolucye w stanie społecznym i jego organizmie są zawsze wielce niebezpieczne; że zamierzając chorobę usunąć często z sobą zabiérają samo życie. Dlatego powolna przemiana zdała mu się właściwą formą postępu.

Oprzéć się na tém co było, a postępować ku nowemu i lepszemu. Kierunek jednak zawsze zmierza naprzód i cofania się, zastałości nie dopuszcza.

Niepodobieństwem jest rozbiérać szczegółowo Pana Podstolego, bo by mu należało osobną księgę poświęcić, zdaje się wszakże, iż ten charakter ogólny, na który ukazujemy, wszędzie się sprawdzi i dowiedzie.

Na początku pierwszéj części, jesteśmy w domu Podstolego, wzorowego, zamożnego, idealnego właściciela dóbr i starego z antenatów szlachcica. Rozmowy z nim, wywoływane przez wszystko co pod oczy podpada, toczą się około bardzo zwyczajnych przedmiotów życia powszedniego dotyczących, o gospodarstwie rolném, o zajęciach pani domu i obfitéj jéj apteczce, o jadle, stole, napojach, staroświeckim miodzie i winie. Idziemy z Podstolim do ogrodu (najulubieńszego, jak wiadomo, Krasickiemu, który tysiące na

swe ogrody i cieplarnie łożył), tu znajdujemy drzewa morwowe i ideę zaprowadzenia jedwabnictwa w kraju. Krasicki ile razy dotknie ogrodów, niechętnie się z niemi rozstaje, więc o różnych ogrodach mowa. Następnie rzecz o modach i dawnym ubiorze krajowym, który właśnie zrzucano (dopiéro sejm czteroletni wywołał prąd przeciwny).

„Porzucenie własnego a obranie cudzego stroju (pisze) oznacza jakowąś preferencyą. Z niéj pomału rośnie obojętność, a nakoniec i wzgarda własnego kraju.“ Argument ten co do słowa powtarzano w r. 1789.

Króciutko się potém napomyka o nauczycielach domowych i wychowaniu szkolném a domowém dzieci. Krasicki jest za oddawaniem chłopiąt możniejszych rodzin do szkół, szczególniéj z pobudek towarzyskich. Tu natrafiamy na ustęp o języku, o którym pisze nader trafnie „Weź WPan teraźniejsze nasze pisma, znajdziesz po większéj części, że ten który pisał, przyzwyczajony do zagranicznéj mowy i czytelnictwa, myśl swoję francuską po polsku przetłómaczył. Ztąd sposób wyrażenia nieprzyzwoity; słowa dzikie, konstrukcya fałszywa, styl cudzy.“

Trafniéj pism z lat 1772—1778 niepodobna było scharakteryzować.

Mówiąc o wychowaniu, wspomina o religii, a mówi o niéj jako o podstawie ukształcenia moralnego i społecznego. Wprawdzie jest tu maleńki *lapsus calami*, bo naprzód stoi: „człowiek, obywatel, nakoniec, chrześcianin,“ ale tuż obok poprawia się autor i na czele kładzie: „obowiązki chrześciaństwa, *z których inne człowieka i obywatela wypływają i pochodzą*.“ Niepodobna było autorowi ominąć wstrętnéj polemiki „z mniemanemi teraźniejszego wieku mędrcami,“ ale tę zbył krótko. Religijna kwestya w ogóle nader jest oględnie traktowaną. Wraca ona jeszcze nieraz w P. Podstolim i potwierdza cośmy mówili o religijném uczuciu Biskupa. Tu kilka słów jeszcze o praktykach religijnych, nabożeństwie, kościele, którym orthodoxya najsurowsza nic zarzucić nie może.

Autor widocznie nużyć nie chcąc czytelnika wywodami zbyt rozciągłemi, mienia co chwila przedmioty. Dziwnie się dziś wydaje napomknięty przesąd i wiara w ukazywanie się po domach nieboszczyków, w „przeszkadzanie“ w nich.

„W sąsiedzkich dworach zawsze coś *przeszkadza*, w tym z łaski Bożéj, raz tylko nieboszczka matka, i to w dobry sposób, widziała duszę nieboszczyka Wawrzyńca, który zginął pod Wiedniem. Dano zaraz na trycezymę, pobenedykowali OO. Reformaci, i odtąd się już więcéj nic nie pokazywało.

„O starym folwarku ja nic nie mówię, sam pamiętasz, że go nieboszczyk brat musiał kazać zrzucić dla ustawicznych przeszkód. W lamusie chwała Bogu, że nikt nie mieszka, zawsze się tam cóś odzywało, nieraz stróże widzieli niemca na dachu.“

Mówi się daléj o pałacach i dworach, rzecz praktycznością Krasickiemu właściwą nacechowana, potém o bibliotece domowéj. Tu wypisał cały katalog dawnych polskich pisarzy, z krótkiemi o nich zdaniami, dowodzącemi że był z nimi dobrze obeznanym. Szereg dosyć długi, w rzędzie poetów nie zapomniany nawet Wacław Potocki.

O odradzającéj się właśnie literaturze współczesnéj te słowa.

„Téj nowéj szafy, którą WPan na boku widzisz, nabawił mnie nasz król Stanisław August i przywiódł do expensy znacznéj, bo com przedtém corocznie półtora talara tylko na kalendarz Duńczewskiego expensował, teraz po kilkaset złotych na nowe księgi wydawać muszę. Składam je w téj nowéj szafie, a że dyaryusze sejmów i konstytucye wiele bardzo zabrały miejsca, przeniosłem niektóre z niéj księgi do dawniejszéj. Naruszewicz znalazł miejsce gotowe między Sarbiewskim a Kochanowskim (!), Lachowskiego położyłem przy Skardze (!!); a jeżeli, jak się spodziewać należy, tak będą iść rzeczy, jak zaczęły, trzeba będzie albo tę izbę rozprzestrzenić, albo i o drugiéj pomyśléć.“

Sąd o Lachowskim zwłaszcza, kaznodziei króla, do zbytku pochlebny.

Biblioteka nastręcza myśl o czytaniu w ogóle (i w tém miarę radzi), potém o tłómaczeniach. Na ostatek, z powodu porządnych budowli Podstolego, mówi się o budowaniu dworów, radzi Podstoli mury, potém o chatach dla włościan, aby zdrowe były i porządne, o dozorze pańskim, ochędóstwie, sługach; i o „poczciwych sługach starych.“ Taka jest treść księgi pierwszéj, w któréj obrazków mało. W miarę jak daléj idziemy, liczba ich się powiększa i dzieło na tém zyskuje.

Księga druga jest dalszém rozwinięciem programu, który z pierwszéj już jest widoczny. Zwraca szczególną uwagę na początku umieszczona obszerna rozmowa o włościanach, na swój czas wielkiego znaczenia.

Krasicki utrzymanie dawnego stosunku to jest poddaństwa, eufonicznie zwanego stanem patriarchalnym, uważał wprost za „ruinę kraju.“ Nie śmiał wprawdzie wyrzec, że pragnie ich oswobodzenia, i w téj sprawie trzymając się miary i środka. Nalega tylko na podźwignięcie ich bytu, nawet we własnym interesie panów i w ekonomicznym interesie państwa. Trzeba sobie przypomnieć

kiedy to było pisaném, aby ocenić odwagę z jaką się autor wyraża: „Dajmy na to, że rodzaj chłopski (sic) gruby, nieczuły, krnąbrny pana nie lubi i któż tym wszystkim przywarom winien? Źli panowie. Natura nie przywiązuje talentów do kondycyi. Znałem wiele dusz chłopskich w panach, wielu chłopów, którymby Jaśnie Wielmożnemi, Jaśnie Oświeconemi, być przystało.“

Nalega Biskup na parafialne szkółki, chociaż, zgodnie z ówczesnemi pojęciami, plebanowi je powierza; życzy, aby dzieci włościan poufaléj i częściéj obcowały z dworem; pragnie oświaty.

Za jednę z przyczyn złego stanu włościan poczytuje pijaństwo i wykorzenienie go zaleca: „Trzyma pan u siebie szynk karczemny, albo go w arendę puszcza, żeby zaś jak najwięcéj mógł zyskać, ledwo do tego nie przychodzi, iż *chłopom za pańszczyznę upijać się każe.*“

Przypomnijmy sobie co w kilka lat późniéj pisał Staszic w przestrogach o stanie włościan w Polsce, porównajmy z nim Krasickiego, który mniéj szorstko a jaskrawo toż samo maluje, tego się samego domaga; przekonamy się jak pilna reforma była. Karczmarzy żydów radzi wypędzić, wódkę usunąć, piwo zaprowadzać.

Po téj dosyć długiéj pogadance, do któréj, dla urozmaicenia, wprowadza autor gościa, pana Sędziego, daje nam jeden z tych wybornych obrazków swojego czasu, których w Podstolim napotykamy późniéj wiele.

Sędzia ów przybywa z rodziną, z synami dorosłymi, z których jeden jest rejentem ziemskim, drugi porucznikiem w regimencie, najmłodszy towarzyszem pancernym. „Pan Sędzia,“ powiada, „był to człowiek podeszły, wysoki, suchy, łysy. Czapka rogata, suknie długie, pikowany żupan i kłapcie u rękawów oznaczały człowieka, który się dawnych zwyczajów trzymał. Jejmość w długich kornetach, w czółku i mantoleciku felpą podszytym, prezentowała postać naszych prababek. Pan Skarbnik (zięć Sędziego), człowiek średniego wieku, ubrany był przystojnie, strój Skarbnikowéj w pół modny, pół ziemiański; jeszcze muszki z jéj czoła nie zeszły były, na skroni prawéj reprezentowały podobno Plejady, a jedna z lewego boku ust pilnowała. Pan Rejent (syn) bojąc się podobno ślinogorza, bocianowatą nieco szyję swoją muślinowym halstuchem obwinął. Wysmukłość jego wydawała się dokładnie, w opiętym kontuszu papużym, różową kitajką podszytym i żupanie tegoż koloru. Zastępowały miejsce mankietów, szeroko podwijane na żupan, od koszuli batystowe zarękawki. Pan porucznik był w kamizelce mundurowéj i fraku angielskim, włosy z przodu miał nieco ostrzyżone, z tyłu zebrane na grzebień. Najmłodszy towarzysz pancerny, w czerwonych safia-

nowych skrzypiących butach, opasany pod brzuch, podgolony z wysoka, kuso, buchasto, dźwigał miecz u kolan i ustawicznie ręce zacierał, pluł w bok i po czuprynie się głaskał.“

Mistrzowski to rysunkiem i kolorytem obrazek, znać w nim niepospolitego artystę. Ta rodzina poniekąd reprezentuje stan kraju na przełomie, w którym stare i nowe, zapomniane i pożyczone mięszało się w jednym domu. Opis wizyty, w czasie któréj porucznik zbiegł do panien, towarzysz do stajni, awantura z koniem, z przedziwną humorystyką wykonany. Sędzia w czasie odwiedzin opowiada kronikę „całéj ziemi.“

„Właśnie mówił o pewnym domu, pewnéj szlachcianki, do któréj pewny Jegomość w pewnym interesie bardzo skwapliwie i wielokrotnie uczęszczał, a nawet ostatnią razą był tam w Wigilją N. Panny Zielnéj. Broniła jak mogła rodzaju ludzkiego nasza Podstolina, szczęściem zaczął pan Rejent dyskurs o bluzgierach, które już z mody zaczynały wychodzić. Weszła więc w obszerny dyskurs pani Skarbnikowa, i dowiedzieliśmy się, kiedy ażusta nastały, palatynki zeszły, jakie były rewolucye salop z kapturkami i bez kapturków, jakie były odmiany rogówek, sposoby układania fontaziów. Nie dała dokończyć P. Sędzina stara i zaczęła się historya o bawetach; żużmantach, kabatach, pondelarach, szarpach, czubach itd.“

Wszystko to dziś przynosi nam żywy obraz tamtego świata. Obyczaje téj rodziny, któréj starszyzna, choć pocieszna, mniéj ma wad niż młode pokolenie, pochwycone z natury z talentem wielkim. Sędzia czytał tylko Ładowskiego (Inwentarz) syn Koloandra, porucznik trawi czas w gotowalni, towarzysz pijak i burda. Próżniactwo, obmowa, opilstwo wskazane są jako wady główne staréj i przechodowéj społeczności.

Więc mowa o pijatykach potém. A tymczasem przynoszą wino, nalewają kieliszki i narzekając na ten nałóg fatalny, ani się opatrzyli jak flaszkę wysuszyli do dna. (Jak w Satyrze).

Po tym epizodzie powraca autor do chłopów, delikatnie upominając, że się im w społeczeństwie inne wyższe należy miejsce. „Naprzód ten co żywi, potém ten co radzi, naostatek ten co broni.“

„W Szwecyi, dodaje Krasicki stan chłopski *nawet* równo z innemi sejmuje, radzi i prawa stanowi.“

Więc cośkolwiek potém o stanie szlacheckim, jego prawach i znaczeniu, coś téż o miastach i handlu, w ogóle o harmonijnym ustroju społeczeństw—ale króciuchno.

Przeskakujemy zaraz do wychowania panien, do znaczenia kobiét. Chce autor poważniejszego ich wychowania, wpojenia w nie

poczucia obowiązków. „Wszystkie zewnętrzne talenta“ (kobiét), pisze, „zdatne są, piękne są, miłe są, ale nie strojeniem się żona męża uszczęśliwia, nie śpiewaniem matka dzieci hoduje, nie tańcem się dom rządzi. Trzeba do tych pracowitych obowiązków umysłu statecznego, myśli fraszkami nie zaprzątnionych, mężnego serca.“

Resztę księgi drugiéj pomniejsze kwestye zajmują: ryby i stawy z powodu postu piątkowego; słuszne ocenienie innych narodów i cudzoziemców, w których obronie staje Krasicki, choć przejmowania cudzych obyczajów nie zaleca; dalej o grze w karty, jako rozrywce dozwolonéj, pod pewnemi warunkami (w Heilsbergu na dydki grywano wieczorami).

Z powodu nowego przybyłego gościa wpadamy na rzecz o stanie wojskowym. Historya jego jest zarazem losem wielu innych jemu podobnych. Człek ten zestarzał się w służbie rycerskiéj, w partyi Ukraińskiéj, jako namiestnik chorągwi przez lat dwadzieścia wojując z hajdamakami. Czasem go podtrzymywały largicye, które do niego jednak rzadko dochodziły. Zawakowało Chorąztwo pod znakiem, w którym był towarzyszem, dano je synowcowi Rotmistrza. Poskarżył się, zatkano mu usta Łowiectwem Wendeńskiém, chciał się strzelać wyśmiano go. „Straciwszy znaczną część fortuny na usługach publicznych, nadweręzywszy zdrowie, okryty chwalebnemi bliznami, poczciwość tylko nie nadweręzoną z obozu wywiózł.“

Narzeka Krasicki, że w stanie żołnierskim, którego obowiązki przykre są i surowe, najczęściéj zasługa istotna, słusznéj nie odbiéra nagrody. I to tylko zlekka napomknięte.

Od służby wojskowéj przejście było łatwe do koni, hodowli stad i myśliwstwa, którego Krasicki (sam trochę myśliwy) broni. Po czém o psiarni mowa, lasach, gospodarstwie koło nich (Kochanowski już na niszczenie ich narzekał) i o sadach owocowych u chłopów.

Księga ostatnia téj pierwszéj części Podstolego otwiéra się rozmową o jednéj z najpospolitszych wad ówczesnych, o zajadłém pieniactwie, które Krasicki wystawił żywo w jednéj z komedyj swoich. Jak dwie poprzedzające i ta księga przeplatana jest kwestyami nader podrzędnego znaczenia, stojącemi obok najważniejszych. Krasicki, niegdy sam prezes trybunału, żywy świadek wymiaru sprawiedliwości, pokilkakrotnie w swych pismach nastaje na zepsucie sądów i sędziów, podnosi wysokie znaczenie sędziego.

Przedmiot ten przerywa obchód obżynek i zwrót do stosunku z włościanami. Zamyka uwagi piękny ów wiersz Kochanowskiego.

Tak ci bywało panie, pijaliśmy z sobą,
Ani gardził pan kmiotka swojego osobą.

Wtrącono tu śmieszną manią tytułów, których było do zbytku w Polsce. Charakterystyczne to. Szlachcic czémś być chciał i musiał, więc gdy rzeczą nie mógł, tytułem się nadstawiał, choćby *in partibus infidelium.* Dalej o zasługach przodków i ich pamięci. Podstoli ukazuje wizerunki antenatów i dzieje ich opowiada, a w bibliotece szacowne ich notaty, które dawniéj niemal w każdym domu szlacheckim się znajdowały.

Podniesione poszanowanie przeszłości bardzo dobitnie, jako obowiązek—autor chce postępu, chce polepszenia, ale punktem wyjścia dla niego są pewne dane przeszłości, z których należało rozwijać się, i rosnąć. Żałuje Podstoli i powyrzucanych na strych portretów przodków i rozwalanych domostw starych i zabytych tradycyj.

Wracają później do pieniactwa jeszcze, a w plebanii schodzimy się z duchowieństwem wiejskiém i zadaniem jego. Wielkiéj wagi, na dzisiejsze zwłaszcza czasy, są wyrazy Krasickiego, do ówczesnych stosunków się odnoszące, a zawsze prawdziwe. „Nie oddzielajmy", pisze, „kościoła od ojczyzny, obywatelstwa od duchowności."

Tymczasem godzą się pieniacze, już jeden zaledwie ukończywszy, myśląc zaraz o drugim procesie. Reszta księgi ma różnych rzeczy po troszę, coś o nałogowych przysłowiach a raczéj wstawkach w rozmowie, które w XVIII w. wielce były używane (Panie Kochanku—Rybeńko, tandem tedy—to tego itp.).

Te wstawki bezmyślne są rysem wieku, w którym myśl obracała się leniwo. Jak zająkliwość przez niektórych medyków uważaną jest za wadę raczéj umysłu niż organów mowy, tak te przysłowia, niczém innėm nie były i nie są, tylko zapychaniem miejsc próżnych, gdy myśli nie stawało wątku.

Wychodząca za mąż córka Podstolego daje powód do zastanowienia się nad „dobrém gniazdem" spadkowemi przymiotami rodów, rozporządzaniem dziećmi.

Dotknięto tu przedmiotu, który dziś do historyi obyczaju należy tylko. „Ledwo pojąć można," pisze autor, „jak mogą się znajdować w naturze takowe monstra, które, dla dogodzenia chciwości swéj lub zbytecznemu do jednego dziecięcia przywiązaniu, resztę wpychają do klasztorów."

Wspomniano i o tém, że „ułomne dzieci, odrzutki panu Bogu dawano na ofiarę."

Z okazyi małżeństw—o zapisach, dożywociach, o prawach i ubezpieczeniach majątkowych, które oceniono słusznie. Tu znowu,

wcale nie *ad vocem*, ani *ad rem*, wpadamy na drogi, gościńce i opłaty mostowe, potém wiarę w gusła i przesądy. Dowiadujemy się, że przy weselach prognostyki fatalne były, upuszczenie ślubnéj obrączki, zgaśnięcie świécy, przy stole rozsypanie soli, nóż z widelcem na krzyż leżący, w podróży zając przebiegający drogę, spotkanie umarłego; zawsze niedobry dzień poniedziałkowy (Młodzianków) itd.

O tańcu polskim powiada: ,,Ganią niektórzy nasz taniec polski, i powiadają że to nie taniec ale przechadzka w takt. Niechże i tak będzie, ale kiedy ta przechadzka i tańcującym miła i patrzącym, na cóż nią gardzić?“

Cudzoziemskie pląsy więcéj gani—kończy się ta część pochwałą starych obyczajów: ,,Stare obyczaje, nie dla tego szacowne, że stare. Była w dawnych nieprawość, ale ten który z występku korzystał, z występku się nie chlubił. Jeżeli więc dla tego wiek nasz oświeconym zowiem, że się w nim śmieléj być niepoczciwym godzi, wolę ja dawną dzikość, nad dzisiejszy polor.“

Taka jest treść wydanéj naprzód pierwszéj części Podstolego; przedstawiliśmy ją dość szczegółowo, idąc za autorem, aby dać wyobrażenie o książce zapomnianéj, która była i jest wielkiéj wartości. Jestto zarazem dokument historyczny i artystyczne ustępy w nim z talentem wykonane. Podstoli pobudzał do myślenia, do rozprawiania, zastanawiania się nad kwestyami, na które wprzód nie chciano lub nie umiano zwrócić baczności. Po dworach każdy ustęp wywoływał żwawe dyskusye, a zdrowy sąd autora trafiał do przekonań i reformom torował drogę, księga to była nieoszacowana i przyjęto téż ją, jak niemal wszystkie pisma Krasickiego z nadzwyczajném zajęciem.

Wpływ tego dzieła na wyrobienie się w kraju opinii i przekonań, które objawił Sejm czteroletni, daleko jest większy niż dotąd uznawano.

Związek idei dałby się łatwo wykazać.

Przedmiot nie wyczerpany wcale, i przyjęcie jakiego doznał pan Podstoli, skłoniły autora do wydania drugiéj części, w sześć lat po pierwszéj, w r. 1784. Nie możemy jéj pominąć, zbywając kilku słowami.

Mimowolnie czy rozmyślnie, część wtóra trzyma się jakoś w zakresie rodziny i domu głównie. Mniéj tu kwestyj donioślejszych, zadania na pozór drobne, ale w życiu powszedniém mają one wielkie znaczenie. Wiele przedmiotów powtarza się z małemi warjantami. Coraz téż więcéj obrazów z życia wziętych, postaci z natury przewybornie odwzorowanych, więcéj ruchu, jak gdyby Krasicki uczuł, że w pierwszéj części zbyt było kazań i deklamacyi. Obrazy współ-

czesnego życia są tu liczne, a tak szczęśliwie nakreślone, że radzibyśmy wszystkie je wypisać niemal i z zapomnienia dźwignąć.

Mało dziś w kunszcie powieściopisarskim, wykształconych na nowych wzorach pisarzów, którzyby żywością barw, prawdą fiziognomii tym obrazkom Krasickiego zrównali. Materyał to nieoszacowany do wizerunku wieku. Chcemy się o prawdzie tych epizodów przekonać, porównajmy obrazek częstującego natrętnie, na klęczkach zmuszającego do picia szlachcica, z podobnemi opisami własnych przygód Matusewicza.

Jakże doskonale odmalowana nędza wsi opuszczonych, majętności sierocych, zaniedbania i nieładu! Sierocińskie to mienie, sierocińskiego kraju jest obrazem. Autor mówi z tego powodu o tak szkodliwym, w końcu XVIII w. zagęszczonym, po dzisiejsze czasy w obyczaju będącym, absenteizmie i próżniaczéj po za granicami włóczędze, o niepilnowaniu obowiązków gospodarza.

Całe dwa pierwsze rozdziały, poświęcone obrazowaniu, bardzo są piękne, równie jak przyjmowanie przez panów Ekonomów Cześnika, Wendeńskiego. Patrzymy na to jak się majętności marnowały i ruina przysposabiała.

Przyczyn absenteizmu, wstrętu do kraju, lekceważenia obowiązków szuka autor w wychowaniu cudzoziemskiém, które młodzież obcą czyniły w domu. Wesele córki Podstolego, ukazuje nam jaką gościnność bywała i być powinna. Występują tu nieoszacowane, dobitnie kilku prostemi słowy wywołane postacie, Podstolego drugiego, Podczaszego, Skarbnika, Miecznika i Cześnika.

Krasicki, który sam dobry stół lubił i dbał oń, daje i w tym przedmiocie naukę, jak jeść potrzeba i żywić. Przy obrzędzie weselnym wzmiankowana, dziś zapomniana tradycya:

„Gdy przyszło do tańców, zachowany był *staroświecki zwyczaj* w ceremonialnym, przy asystencyi należących i sąsiadów: ostatni był w kolei ojciec, który w rękę panu młodemu córkę oddał."

Jest tu i nauka przez rodziców na piśmie dana córce, także wedle dawnego obyczaju.

Następująca księga obfituje też w obrazki. Krasicki z rozmaitych stron i na wszelki sposób stara się o rozwiązanie swojego głównego zadania, jak stare pogodzić z nowém, co przyswoić, co odrzucić. Jakeśmy to już wskazywali, wszędzie z wielką oględnością i umiarkowaniem radzi jak najwięcéj zachować, jak najostrożniéj zmieniać, przyswajać powoli. Bardziéj plastycznie drobne kwestye rozwiązują się w téj części Dotknięto mnóstwo nałogów, nawyknień narodowych—lenistwa, żartów w rozmowach, pisania listów, czytania gazet, itp. Po długim pobycie wyjeżdżamy nakoniec, po

zwykłém przed podróżą nabożeństwie, z domu Podstolego. Nawiasem zapisuje Krasicki, iż płeć niewieścia nadto była pochopną do chwytania byle coś nowego.

„Młodzież nasza z cudzych krajów, zamiast poloru, przynosi bezbożność, zuchwale swój towar sprzedaje, a i płeć już niewieścia, *co to przedtém uprzedzała nas w cnocie*, przenosić zaczyna w zapamiętaniu i bezwstydzie. Trzeba będzie podobno, mości księże plebanie, wyrzucić z brewiarza owę antyfonę, gdzie kościół święty płeć niewieścią pobożną nazywa.“

Po drodze łapie podróżnych i ugaszcza gwałtem pan Łowczy. Tu śliczny opis starego dworu. Daléj przyjęcie w zimnym folwarku, dom i gospodarstwo Łowczego; spór w tańcu, historyą Tarły przypominający—wszystko z niezmierną prawdą oddane.

Zaczepia autor w téj księdze zakony, ale bez ironii i żartu; mówi o jarmarkach, o dworach magnatów, o wojskach nadwornych, które historyczną koniecznością ich pierwotną tłómaczy. W księdze trzeciéj powtarza się wiele z tego cośmy już słyszeli, dopełniając coraz nowemi uwagami. Więc znowu dwór i stosunek jego do wsi i wieśniaka, opieka nad chatą, nad choremi, oficjaliści. Do włościan i ich stanu zwroty, jak widzimy, częste, zawsze pełne dla nich serdecznego współczucia. Autor zdaje się szukać ciągle zręczności, aby mówić o nich i zajmować się nimi.

Mniéj właściwie pomieszczone tu są całe instrukcye dla komisarzy, marszałków dworu, plenipotentów i pokojowéj młodzieży. Wracamy jeszcze do chłopów potém i ich oświaty. „Trzeba oświecać poddaństwo, pisze, *ale w mierze.* Uczą się dzieci w szkole pisać, czytać, rachować. Żona bakałarza dziewczątka uczy nie tylko pisać, czytać ale i robót, żeby w czasie mogły téż pracą rąk swoich zarabiać. Gdy który z chłopców miejskich nadzwyczajną ma bystrość, oddawać go każe do szkół wyższych, sposobni do roboty uczą się rzemiosła.“ Na ten czas byłyto zasady bardzo postępowe, ale już téż książę Stanisław Poniatowski, Brzostowski, Chreptowicz wprowadzali je w życie.

Mnóstwo tutaj potrąca drobnych przedmiotów, oszczędność, kapitały, wychowanie córek, młodzież, wybór stanu, sługi i t. p. Mowa jest przy wychowaniu niewieściém o romansach, które Krasicki klasyfikuje w sposób następujący: Naprzód stawi romanse rycerskie, lub miłosne, umiarkowane i przyzwoite; po nich najszkodliwsze, sentymentalne, których czytania młodym pannom nie dopuszcza, dla maxym skażonych i dziwactw. Ostatni rodzaj określony jest niejasno: „Rodzaj trzeci jest ten, który wdziękiem historyi słodzi przepisy obyczajności.“ Dodaje, iż tego rodzaju panny nie czytują.

Z krótkiego tego zarysu widzimy, że część druga różni się od pierwszéj, więcéj sposobem pisania niż przedmiotem.

Znacznie od obu pierwszych późniejszą jest trzecia i ostatnia część Podstolego, napisana w lat czternaście po drugiéj, w roku 1798, gdy Krasicki postarzał i okoliczności zmieniły się wielce. Dmóchowski znajduje, że materye w niéj mniéj ważne, niewiele się ona niemi różni od drugiéj części. Za to obrazy, charaktery, wizerunki się mnożą, a w nich nie ustarzał autor i jako malarz, współcześnie równego nie ma. Tu znowu miłośnik ogrodów, powraca do tego przedmiotu, rozszerzając się o dawnych, nowych, owocowych, angielskich i t. p. Utrudzające przerzucanie się z przedmiotu jednego do drugiego, bez żadnego między sobą związku, w téj części mocniéj się jeszcze czytelnikowi czuć daje. Ale gdzie tylko maluje i opowiada, wiernym jest historykiem obyczajów swojego czasu.

Nadzwyczaj trafnie wytknięty zwyczaj dawny nieustannego jeżdżenia po domach szlacheckich, gdzie się „ustawicznie kurzyło w kuchni.“— Poczynał się dzień, jeżli nie od kawy i czekolady, bo tych mało jeszcze znano, to od rosołu, w poście dawano polewkę lub piwo z serem. Przed obiadem wódkę zastawiano i kiełbasy. Śniadanie kończyło się o jedenastéj, a o dwunastéj podawano obiad; we trzy godziny potém podwieczorek, za nim wieczerzę tak jak obiad obfitą i do snu jeszcze — podkurek.

Z obrazów przywiedziemy wizerunek pana kasztelanica, w trzewikach modnych nakształt łyżw, kończastych i wyniosłych, z pałką w ręku krótką tak, aby się na niéj oprzéć nie można, z strzępkami u kolan; — dom ze starego odnowiony, dwór pani podkomorzynéj, opis staroświeckiego ogrodu, majętności opuszczonéj i t. p.

Dotknięto tu kwestyi mięszania się kobiét do polityki, niepotrzebnego wcale, czego Krasicki świadkiem był czasu Sejmu czteroletniego; — podziału majątków, wreście królewszczyzn i starostw, o których wzmianka zdaje się dowodzić, że trzecia część wcześniéj niż Dmochowski podaje, napisaną była.

Czwartą część Podstolego jeszcze, gotował Krasicki, według Dmochowskiego, i miał w niéj przedstawić pułkownika, którego nam ukazał w części trzeciéj, dziwaka i mizantropa, śmierć mu już dopełnić nie dała pomysłu.

Rozwiedliśmy się nieco obszerniéj o Podstolim, jedeńm z dzieł Krasickiego, które wpływ największy wywarły. Jako artystyczny utwór, całość nie wytrzymuje krytyki, chociaż szczegóły są bardzo piękne; treść nieoszacowaną jest jako materyał do dziejów ducha

i obyczaju. Pracującym nad tą epoką częściéjby zajrzéć do Podstolego należało, niż się dotąd zaglądało.

W roku 1779 wyszła też raz pierwszy, Historya na dwie księgi podzielona.

W pewnéj bibliotece, gdzie była nie pomnę,
Powadziły się księgi; a że niezbyt skromne,
Łajały się do woli różnemi języki.
Wchodzi bibliotekarz, pyta się kroniki:
Dla czego takie wrzaski? dla tego się swarzem,
Iżeś mnie śmiał położyć obok z kalendarzem
Wszystko się tu porządnie, rzekł jéj, posadziło,
On zmyśla to, co będzie, ty zmyślasz, co było.

W bajce téj Krasickiego mieści się myśl główna Historyi na dwie księgi podzielonéj. Powieść tę, można zaliczyć do trzeciego rodzaju romansów, wymienionych w Podstolim, który „dodaniem historyi słodzi przepisy obyczajności“ — ale, którego kobiéty niechętnie czytają. Współczesny Dmochowski świadczy też, iż Historya nie była tak sympatycznie przyjęta przez czytelników, jak inne pisma Biskupa, a usprawiedliwia to małém jeszcze nawyknieniem ogółu do pism podobnych.

W istocie historya nie mogła bardzo zająć czytelników, ani płci męzkiéj ni niewieściéj. Dla kobiét była za poważną, dla mężczyzn za fantastyczną, a od szkół nawykli byli historyą szanować wielce i aż zanadto się tą mistrzynią powodować w sądzeniu teraźniejszości. Żarty z historyi wydawały się trochę za śmiałe. Krasicki chciał krytyki zdrowego rozsądku sprobować na starych dziejach bajkami zarosłych, poezyą ukwieconych, wypowiadających często raczéj to o czém naród marzył, niż co przeżył. Voltairowskie:

Et c'est ainsi qu'on écrit l'histoire, krytyki Bayle'a, zachęcały do téj próby, do któréj Krasicki za mało miał zasobu erudycyi, a może i zbyt wstrzemięźliwą fantazyą.

Jak zawsze trzymał się i tu środka, nadto był ostrożnym, uczynił więc z historyi téj coś połowicznego, co nikogo zaspokoić nie mogło.

Początek wyśmienity z obrazkiem kozaka, w karczmie między Biłgorajem a Tarnogrodem zapalającego fajkę kawałkiem papiéru, lecz gdy kozak znikł zaczyna się opowiadanie, które nas prowadzi w światy jakieś szare i zimne okrutnie. Autorem historyi jest nowy rodzaj Ahaswerusa, człowieka wiecznie się odmładzającego,

którego Krasicki po części zapożyczył z Gulliwera. Jest on żywym świadkiem dziejów, które nam opowiada, inaczéj wyglądających niż urzędowa historya. Krasicki czytał wiele, wykształconym był encyklopedycznie, widać to z rzeczy o rymotwórstwie i ze zbioru wiadomości, wszakże na taką krytykę dziejów zapasu mu nie starczyło.

Zbyt oględny, dzielniejszą fantazyą, któraby wiele wypełnić mogła, posiłkować się wahał. Odmładzający się autor, począwszy od Aleksandra W., Diogenesa, Kartaginy, przez Amilkara, Annibala, Efezus i Ateny wędruje do Rzymu i Lukullusa, do czasów Attyka i Augusta. Maluje nam po swojemu Tyberjusza, Nerona i następców jego do Tytusa, dostaje się przez Marsylją do Galii, wraca do Indyi i Chin, i znużony tą długą drogą przeskakuje do Polski, na czasy Lecha, Piasta, Rzepichy. Epizodycznie ukazuje się jeszcze Byzancium, upadłe Ateny, Rzym papieski, Ottonowie, potém Mieszko i Ryksa.

Wszystko to pracy musiało kosztować wiele, a przedstawia się jak rodzaj pensum zadanego sobie i rozwiązanego nie bardzo zręcznie i śmiało.

Pomysł był oryginalny, nie odpowiedziało mu wykonanie. Czuć w tém niewielką liczbę źródeł użytych, niezupełne ogarnięcie przedmiotu, wahanie się, ciągle polot fantazyi hamujące. Krytyka nie równie zuchwalszą być mogła, gdyby miała się na czém oprzéć, co postawić w miejsce zmyśleń. Nie tyka ona bajecznych postaci, nie obala wypadków kłamanych, oczyszcza tylko stare posągi i rektyfikuje pojęcie czynów.

Wszystko po staremu zostaje aż do Lecha, tylko czcigodny pradziadek prozaiczniéj wygląda. Legendy Krakusowe, Wanda, dwunastu wojewodów, utrzymali się na swych miejscach, z poetycznego wdzięku odarci i przetłómaczeni prozą, mniéj jeszcze od zmyśleń wartą. Krytyka kronikarzy nadzwyczaj słaba.

Całość powieści, mimo zalet stylu i niektórych piękniejszych epizodów z życia odmładzającego się autora, czyni wrażenie rzeczy zlepionéj mozolnie i chybionéj.

Krasicki, posłuszny zadaniu wieku, chciał obalać i oczyszczać, zdrowym rozsądkiem prostując zboczenia bajarzy. Zdrowy ten rozsądek, chłodny, mający przewodniczyć krytyce, okazał się bezsilnym, logika jego często fałszywą, ogólna znajomość natury ludzkiéj, jakoby zawsze i wszędzie jednéj i niezmiennéj—niedostateczną. Ludzie z wieku XVIII, postawiani w wiekach odległych, rażą swoim anachronizmem. Aleksander wygląda trochę na króla pruskiego, Dioge.

nes na jednego z niedoszłych filozofów, sprowadzonych z Francyi, Lukullus na dorobkowicza.

Dziwić się nie można, że historya powodzenia nie miała, nie była ona w żadnym związku z życiem i jego aspiracyami, nie odpowiadała żadnéj potrzebie. Bartoszewicz utrzymuje, że upatrywano w niéj krytykę na łatwowiernych badaczów przeszłości, a mianowicie Biskupa Załuskiego. Trudno się tu tego dopatrzéć, a stosunki jakie łączyły Krasickiego z Biskupem rzecz tę mało prawdopodobną czynią.

W dawnéj polskiéj literaturze, nie mamy prawie Bajek. Jest to bardzo naturalném, nikt nie potrzebował mówić pod figurą co mógł głosić i wypowiadał bez żadnéj obawy, a swoboda przekonań i słowa była tak nieograniczoną, iż się ukrywać z myślą było tchórzostwem śmieszném. Bajka rodzi się dopiéro w tym czasie, gdy walka opinii czyni ją potrzebną i przewaga wielka stronnictw każe się taić z przekonaniami.

Za Zygmunta III, dawniéj jeszcze obiegają paskwilusy, gorsze od bajek, i to ma swe znaczenie. Za Stanisława Augusta swoboda położeniem kraju i jego stosunkami znacznie jest ograniczoną. Jeden z pierwszych Krasicki chwyta tę formę i zużytkowuje ją, robi z niéj rodzaj satyry, epigrammatu. Przypada ona tak doskonale do jego talentu, iż jest w niéj mistrzem nie do naśladowania.

Z całéj po nim spuścizny, bajki i satyry są częścią najkunsztowniejszą, najlepiéj nam ducha pisarza i wiek malującą.

Bajki téż te, wprzód jeszcze nim drukowane były, rozbiegają się po kraju, rozchodzą z ust do ust, a cząstki ich wrastają w język, stają się przysłowiami. Połowę ich przynajmniéj wszyscy na pamięć umieli. Są to poemaciki tak skończone, tak wydłutowane, wygładzone jak pieścidełka, iż się równają częstokroć wzorom swym z anthologii greckiéj.

W pierwszych zwłaszcza, autor widocznie się starał zamknąć je w jak najmniejszéj liczbie wierszy; nie ma tam próżnego słowa, ani wtrąconego bez myśli. Treść bajek przeważnie satyryczna; znaczniejszą ich część widocznie natchnęły wypadki współczesne, ludzie działający na scenie. Pomimo, że dziś pamięć tych osób, stosunek do wypadków znacznie się zatarł, w wielu jednak czuć natchnienie bezpośrednie epoki, można niemal wskazać genezę i prototypy.

Są li to w ścisłém znaczeniu wyrazu bajki, epigramata, ucinki czy powieści?? nie widzimy potrzeby określać. Znaczniejsza liczba

ich bajkami się nazwać może, ale to są bajki Krasickiego, a bajka jego ma swój własny charakter. Nie jestto ani Ezop, ani Fedr, ani Pilpaj, ani nawet Lafontaine, jestto — nasz Krasicki — Bajce swéj nadał piętno zupełnie odrębne.

Najpiękniejszą ona jest gdy we czterech, sześciu lub ośmiu wierszach, z nadzwyczajną zwięzłością, mieści założenie, dramat, rozwiązanie dowcipne, a czasem słówko morału.

U Krasickiego, gdy on jest najbardziéj sobą i pisze pod wpływem natchnienia, bajka woli mieć do czynienia z człowiekiem wprost, niż z ludźmi poprzebieranymi za zwierzęta. Ogólna ludzka natura przybiéra w nich cechę wieku, koloryt sfer, w których się myśl poety obracała.

Zupełnie w sposobie tych epigramatów, bajek, mnóstwo ucinków krążyło w czasie panowania Stanisława Augusta. Czasu sejmu czteroletniego obiegające mnogie zagadki, charakteryzujące osoby działające, są ich naśladowaniem. Chciano pochwycić formę Krasickiego, ale, chociaż wielu z nich Niemcewicz był autorem, nie mają zagadki téj doskonałości, wykończenia, téj delikatnéj rzeźby jaką swoim nadał Krasicki. Bajek Węgierskiego, Trembeckiego i innych współczesnych ani można porównywać z niemi.

Cudnéj jego zwięzłości, blasku, swobody ruchu, życia, nikt nie ma.

Mniéj już wykończone i cale różne są bajki dłuższe, a raczéj powieści. Możnaby powiedziéć o nich co któryś pisarz francuski, spiesząc się z napisaniem memoryału: że autor nie miał dosyć czasu aby je krótszemi uczynić. Ale i w tych poeta niekiedy dowcipem, rzeźwością swą najcelniejszym bajkopisarzom równa. Bajki téż Krasickiego, gdy sąd sprawiedliwszy przyjdzie na poezyą w ogóle, pozostaną w literaturze jako jeden z jéj klejnotów.

Dla nas zbiór bajek ma, oprócz swéj artystycznéj wartości, niepospolitą jeszcze jako świadectwo ducha wieku, zrodziły się one ze krwi i łez swojego czasu. Może to być wadą dla zapatrujących się inaczéj na kwestyą tworzenia poetycznego, dla nas stanowi zaletę, nie byłyby one tak żywe, gdyby z życiem nie miały związku, nie byłyby tak ciepłe, gdyby się u łona jego nie zagrzały.

Król, dwór, obyczaj wieku, wybitne jego postacie, znajdujemy w nich odwzorowane, a choć czasem skóra zwierzęcia okrywa maskę, z pod niéj ludzka twarz widnieje.

Zastanówmy się nad takiemi bajkami jak: Słońce, obłoki i ziemia; Trzcina i Chmiel, Chleb i Szabla, Konie i Furman, Wilk i Owce, Lew, Jagnię i Wilk—Nocni stróże, kulawy i ślepy, a dostrzeżemy w nich łatwo jawny związek z wypadkami współczesne-

mi. W niektórych odbija się wyraziście walka króla z oporną szlachtą, która z nim iść nie chciała.

Nie możnażby zaręczyć, że myszy natchnął sejm czteroletni i kwestya aliansów a zachowania się względem potężnego sąsiada?

Każdy się swoim zatrudnia kłopotem,
Myślały myszy, co tu robić z kotem:
Mówiły jedne; darami go skusić,
Mówiły drugie, lepiéj go zadusić.
W tém się odezwał szczur szczwany, bo stary:
Próżne tu groźby, próżne i ofiary;
I dary weźmie i przysięgi złamie,
Najlepiéj cicho siedzieć sobie w jamie.
A opatrzywszy zewsząd bez łoskotu,
Ani być z kotem, ani przeciw kotu.

Nie przypominaż to memoryału ks. de Ligne (1788), który pisze: *Si Vous rémuez, Vous êtes morts.*

Bajek takich, któreby się politycznemi komentarzami opatrzéć dały, jest mnóstwo. Tak samo też zawiérających współczesne wizerunki i portrety. Puhacze, w których małżonka puhaczowa i młode puhaczątka są jawnie portretami, a ostatnie słowo podobno historyczném, oryginały wskazywano niedawno.

(Nie każdemu dał pan Bóg rodzić się puhaczem!).

Synogarlicy treść jest wziętą z wypadku pewnéj pani; tak samo Jastrząb i Sokół. Wilczek jest portretem i Wół minister (1) także. Brak tylko podpisów.

Krasicki znał i czuł czém było życie dworskie, bo dwóch monarchów był poufałym powiernikiem, maluje też je w bajkach często i dobitnie. Na dowód przywiedziem bajkę: Rumak i żrebiec. z czasów czteroletniego sejmu (posłaną Niemcewiczowi). Żrebiec i Koń stary, Słonecznik i Fiołek, Wyżeł i Brytan, Pan i Pies, Kogut. Możnaż lepiéj jak w nich odmalować losy dworaków i życie na dworze?

Cóż lepiéj obyczaj wieku odwzorowuje nad taką bajkę jak: *Bryła lodu i kryształ.*

Bryła lodu spłodzona z kałuży bagnistéj,
Gniewała się na kryształ że był przezroczysty.
Modli się więc do słońca. Słońce zajaśniało,
Ślni się bryła, ale jéj coraz ubywało.

(1) Zobacz w Myszeis ministra, który nie był modny.

I tak, chcąc los polepszyć, niewczesnym kłopotem
Stajała, wsiąkła w błoto i stała się błotem.

Od królewskiego blasku ileż to takich dorobkowiczowskich brył lodu stajało?

Szczep winny jest wyborną przeciw pijaństwu Satyrą.

Z pawia, lwa, małpy, staje się świnia.

Dąb i Dynia stanąć może przy Bryle lodu. I tu znowu owi dorobkiewicze co po indigenaty sięgali, a puściwszy się z panami na wyprzódki, stajali na błoto.

Do natchnionych okolicznościami instynkt ogółu zaliczył dawno, ptaszków w klatce. Tak było i z wielą innemi.

W kwestyi włościan tak serdecznie dotkniętéj w Podstolim, są: Wino i woda, owieczka i pasterz i wiele innych.

A tenże następca cesarza chińskiego, który płynąć musi i zabawia się, tak że o mało łódki nie wywrócił, nie jest li to Stanisław August?

Łódka tron, lud jest morze i unosi snadno,
Kiedy *sternik niebaczny*, łódka idzie na dno.

Czasem bajka przestraja się w jakąś miluchną fantazyą i obrazek.

Takim jest Skowronek, posłany przez Krasickiego Niemcewiczowi. Rzekłbyś pejzażyk ręką Boucher'a rzucony na płótno.

W czasy gorące, na łące
Pasły się społem, osieł z wołem,
Tam ten chróstem, ten trawą,
A pomiędzy murawą,
Tam gdzie kwiaty i ziółka
Pszczółka.
Chwytając motylki, zbiérając robaczki
Bujał skowronek nad krzaczki.
Na jednéj łące wszystko się to działo:
Pszczółka brzęcząc, w ul niosła zdobycz okazałą,
Chwast z trawą, to użyczał;
Osioł beczał, wół ryczał;
Skowronek wzbijając się, czule i radośnie
Dawał wdzięk wiośnie.

Wiosną był sejm czteroletni, bodaj Niemcewicz Skowronkiem, osłem lękam się żeby nie kasztelan Łukowski, wołem Aristides polski, a nie wiem już kto pszczołą.

Niekiedy ulubiony zwrot Krasickiego, użyty w Satyrze o pijaństwie, z warjantem się powtarza.

(Zgrał się szuler w chapankę.... i t. d.)

Do wielu niemożliwych radykalnych reform sejmu czteroletniego, wybornie się stosują: Pszczoły. Bywały w istocie chwile — gdy bez miodu, wosku i bez człeka chciano się obejść.

W późniejszych Krasickiego bajkach, przez Dmochowskiego nazwanych nowemi, a które miły komentator ich p. G. Ehrenberg zowie niewykończonemi zarysami, bajka przeistacza się w powieść. Pierwsze są krótkie, ucinkowe, trzymane umyślnie w zwięzłéj formie starożytnego kroju i późniejsze coraz się wyciągają, rozwlekają, przybiérają charakter opowiadań.

Zmienia się i ton ich znacznie, wieje z nich smutek, dowcip mniéj świetny, wesołość stłumiona, słowo nie tak dosadne, forma nie tak wyrzeźbiona starannie. Tak naprzykład, kuglarze, już się do bajek liczyć nie mogą, choć są w nich nader zręczne zwroty; tak, czapla, ryby i rak, puhacze i t. p.

Morał często jak w kuglarzach, nie jasny, akcya jak w czapli, rybach i raku zdwojona, przeciągnięta i dramat na jedności i sile traci.

Bajki do nieskończonych uwag dostarczyćby mogły treści Wykład ich znaczenia moralnego, napisał p. G. Ehrenberg (Kraków 1771) unikając zdaje się umyślnie bliższego ich zastosowania do czasów, z których powstały i do których należą.

Oprócz Bajek, które Dmochowski wydał z rękopismów, dawszy im tytuł nowych, dosyć jeszcze pono niedrukowanych pozostało, ale one nie dorównywają pierwszym księgom.

Wiele epigrammatów formą bajki przypominających, z powodu swéj treści drażliwéj, drukowanemi nie były. Wspomnimy tu tylko, jawnie zastosowany do upadku księcia Adama Ponińskiego:

Póki trwała chapanka między kartowniki,
Bił kinal z pancerolą, tuzy i wyżniki.
Skończyła się chapanka, zaczęto grę inną,
Aż owa pancerola, szóstką tylko winną.

Przypisywano Krasickiemu i ów wiersz: *Snycerz*, zastosowany do Hetmana Branickiego, który pomieszczono późniéj w dziełach Trembeckiego. Trembecki dla Hetmana w r. 1773 pisał Epithalam na niedoszłe małżeństwo z księżniczką Teodorą Jabłonowską, a skarcił go potém w r. 1789 wierszem: „Ma Pan rozum." Snycerz, choć go mieszczą w zbiorze Trembeckiego, bodaj czy nie należy Krasickiemu.

Snycerz za to, że sobie na klocu odpoczął,
Statuę Herkulesa z niego robić począł.
Jeszcze rąk nie dokończył, aż rycerz zuchwały,
Nie kontent że był w sieni, chciał osiąść dom cały.

Zląkł się Snycerz nad takim wdzięczności owocem,
Uciął ręce i nogi, a kloc został klocem.
Ktoś z przyjaciół Hetmana miał na to odpowiedzieć.
Niechaj się tego kloca lęka snycerz przecie,
Bo gdy się drugi majster wynajdzie na świecie,
Który jak tę zepsutą robotę naprawi,
Pewnie tego snycerza i dłuta pozbawi.

Chociaż asumpt do bajek daje epoka i ludzie jéj, wyciągnięty z nich morał, wyżéj nad czas stoi i znikome jego postacie. Prawdy z nich płyną wiekuiście prawdziwe i stosujące się wszędzie a zawsze. Jak we wszystkich swych dziełach Krasicki naucza umiarkowania, wstrzemięźliwości, przypomina ludzkich rzeczy zmienność, słabość rachub naszych i ślepotę, boleje nad namiętnościami, z których się poprawić nie możemy. Wzorów dostarczył wiek ośmnasty, ale i w dwudziestym znajdą one zastosowanie.

(c. d. n.)

POWÓDŹ.

POWIEŚĆ

FRYDERYKA SPIELHAGENA

W SKRÓCENIU OPOWIEDZIANA

przez

WINCENTĘ LIMANOWSKĄ.

(Ciąg dalszy).

KSIĘGA TRZECIA.

Mieting nie zapomniała przyjaciółki swéj, do której od pierwszego widzenia się tak wielki uczuła była pociąg. Zasypywała ją listami swemi—czasami nawet po dwa na dzień pisywała.

Nazajutrz po opowiedzianych wyżéj wypadkach Elsa, załatwiwszy się ze swoim gospodarstwem, zbiegła rano do ogrodu dla przeczytania listów przyjaciółki, których dwa na raz oddano jéj przed chwilą. Niemała to była trudność sylabizować listy, gdzie pismo i pisownia wiele pozostawiały do życzenia—trudniéj może jeszcze było zrozumiéć, o co właściwie chodziło autorce tych hieroglificznych zadań. Elsa wszakże z nawyknienia już może i tą razą dokazała téj sztuki.

Treść piewszego z tych listów była mniéj więcéj taka:

„Okrutna! Teraz już pojmuję siebie samę, mogę powiedzieć po raz pierwszy w życiu; i ty, ty sama, twój ostatni list—o, ten twój ostatni list! Kiedy ludzie milczą, kamienie mówić będą! kiedy dla dumnéj Elsy, po pięciu długich, tęsknych dniach, spotkanie się z człowiekiem, który zdaje się jéj być miłym, służy tylko za przedmiot do humorystycznego opisu, biedna Mieting może wówczas miéć nadzieję, biedna Mieting ma nadzieję i kocha! Tak, kocha, kocha

tego, którym ty pogardzasz, od którego z zimną krwią się odwracasz, dlatego, że szata księżniczki jakiéjś dotknęła twojéj sukni! Powiesz: to litość, nie miłość! Ale czyż litość a miłość nie są bliźniętami? Tak, cierpiałam, cierpię z nim razem, widzę jego wierne niebieskie oczy we łzach tonące; widzę jak te łzy spływają po ciemnych policzkach! Ale za nim ostatnia z nich rozpłynie się w mgle rozczulenia, ja sama ją osuszę—ja! Zdecydowałam się! Jutro papa musi kazać konie założyć—jutro wieczór ujrzysz oblicze téj, która cię oskarża, ale która postanowiła nie oszczędzać cię—rozgniewane oblicze jego mścicielki najszczęśliwszéj Mieting.“

Drugi list brzmiał jak następuje:

Nie ujrzysz tego! Najdroższa, ubóstwiana Elso! przebacz mi! Teraz, wśród głębokiéj nocy, kiedy wszędzie cisza, taka cisza, że słyszę jak krew płynie mi w skroniach, przerażam się kiedy nasz Kastor szczeka na dworze, kiedy jabłko, które zapomniałam zerwać, albo którego nie mogłam dosięgnąć na drzewie, rosnącém pod mojém oknem, potrącając o suche gałęzie na ziemię upada—zawsze jabłka takie wyglądają cudownie, ale wiecznie są robaczliwe—teraz, kiedy twój list czytam po raz drugi, teraz dopiéro rozumiem go, słyszę szczery, rzewny ton, który się przebija przez wyrazy wesela. Jedno słowo wyjaśniło mi wszystko: jedno głębokie, pełne uczucia słowo, jakie tylko z serca i z pod pióra mojéj Elsy wyjść mogło. Piszesz mi on się oddalił, księżna przemówiła do mnie bardzo łaskawie, wnosząc z uśmiechniętéj twarzy i dobrotliwego tonu jéj miłego głosu; ale wyznaję ze wstydem, że pierwsze jéj słowa były dla mnie niezrozumiałe, jak gdyby mówiła „po hebrajsku.“ Ze wstydem twoim Elso! Elso!—z moim głębokim wstydem! O mój Boże, jak wielkie znaczenie ma ten jeden wyraz „po hebrajsku!“ Ileż rzeczy w nim się zawiera! Serce twoje, twoja troska, twoja skrucha, twoja miłość! A więc kochaj go,—ja zrzekam się—muszę—tak jak się zrzekam podróży do ciebie! Papa nie może jutro rano dać koni, a mama chce robić powidła śliwkowe. Smutek mój utopię w samotności i w powidłach. Kochaj trochę twoję najnieszczęśliwszą Mieting.

Co za głupstwo! co za śmieszność! rzekła do siebie Elsa. Nie śmiała się jednak wcale, przeciwnie,—raz jeszcze odczytała listy i zamyśliła się.

Dzisiaj wieczór miała go widzieć u siebie w domu; ojciec kazał mu posłać zaproszenie na wieczór tak, jak i innym znajomym. Ciotka jednak uznała za potrzebne wstrzymać się z tém wezwaniem aż do przyszłego tygodnia. Gdyż, jak powiadała, kilka osób mieszczańskiego pochodzenia będzie wówczas, i osoba kapitana Schmidt'a łatwiéj się między niemi prześliźnie.

Jak gdyby on potrzebował prześlizgać się! on, który w zamku Golm sam jeden prawie kierował u stołu rozmową! Dał przytém hrabiemu nauczkę, któréj ten dotychczas nie zapomniał pewnie.

I znowu się zadumała, patrząc w stronę domu—i zakładu Schmidta.

Jakże tam dziwnie cicho dzisiaj, pomyślała. Nic widać nawet dymu z kominów—cóż to się stało? Mój Boże, może nieszczęście jakie?! Czy nie wiesz, Auguście? spytała służącego, który przyszedł ją prosić na śniadanie.

I teraz dopiéro dowiedziała się o wypadkach, zaszłych w fabryce, i o groźném tychże następstwie.

Ujrzawszy ojca przy śniadaniu, spytała go wręcz, czy słyszał co już o tych zajściach i o tém, że pan Schmidt i synowiec jego byli nawet chwilowo w niebezpieczeństwie życia. Objawiła téż zdanie, że może należałoby się Ottomarowi odwiedzić kapitana, témbardziéj że ciotka odłożyła zaproszenie na przyszły tydzień.

— Naturalnie, odpowiedział jenerał. Ottomar powinien osobiście zaprosić go; mam do pomówienia z kapitanem i na dziś wieczór rachowałem na jego obecność. Powiedźcie téż Ottomarowi, że na moim stoliku jest list do niego;—sam muszę śpieszyć na posiedzenie.

Elsa zauważała, że ojciec był roztargniony jakiś i posępny. Ottomar także, który nadszedł w parę minut po wyjściu ojca, widocznie miał zmartwienie jakieś. Od pewnego już czasu wreszcie widziała w bracie wielką zmianę; wesołość jego i dobry humor znikły zupełnie—ostatniemi czasy szczególnie był ponurego usposobienia. Domyślała się przyczyny tego i postanowiła otwarcie rozmówić się z bratem. Kiedy więc Ottomar udał się do gabinetu ojca, dla przeczytania listu, o którym mu powiedziano, Elsa zeszła do ogrodu, zamierzywszy wezwać go nawet, gdyby sam nie przyszedł do niéj.

Długo czekała na niego, nareszcie ujrzała jak zapinając mundur, wyszedł z domu powoli, z głową opuszczoną. Twarz jego dziwnie zmienioną była, oczy miały jakieś szklane spojrzenie, a usta nerwowo drgały.

Elsa przerażona podbiegła ku niemu i, kładąc rękę na ramieniu jego, zawołała:

— Na miłość boską, Ottomarze, co ci jest? Co to za list? Ottomar się wstrząsnął—nie spostrzegł jéj nadchodzącéj.

— Jakżeś mię przestraszyła! Elso.

— Ty mnie więcéj jeszcze. Cóż to jest Ottomarze? Czy wyzwanie jakie?

— Czemuż lepiéj nie od razu wyrok śmierci? Jestto list zupełnie obojętnéj treści.

— A więc, jeżeli nie list, to coś innego cię zmartwiło. Oddawna już widzę, że dręczy cię coś. Jak jesteście z Karlą Ottomarze?

— Z Karlą?—dziwne zapytanie. Jakże można być z osobą, która ma być wkrótce moją narzeczoną?

— Ottomarze, popatrz mi w oczy! Ty nie kochasz Karli?!

— Zabawna jesteś, odrzekł z przymuszonym uśmiechem,—są to marzenia panien.

— A czémże jest Karla? Czyż sądzisz, że i ona także nie marzy? Że nie utworzyła sobie obrazu szczęścia, jakiego się spodziéwa z tobą? I ona tak jak każda inna młoda dziewczyna w miłości tylko widziéć musi to szczęście. Oboje przeto będziecie nieszczęśliwymi, jeżeli miłości téj brakować będzie z jednéj lub z drugiéj strony, albo wreszcie z obydwóch. Czy nie wierzysz temu?

— Ani słowa, odrzekł Ottomar.

Spojrzał na siostrę i zaśmiał się; ale spojrzenie było ponure, a uśmiech ironiczny i smutny zarazem.

— Widzisz, kochane dziecię, rzecz prosta. Dla siebie i dla spłacenia długów, które porobić musiałem, zanim téj wiosny zacząłem używać dochodu mego, potrzebuję 10.000 rocznie. Dochód mój w skutek tanio oszacowanych dzierżaw wynosi, jak wiesz 5.000 tylko. Carla ma 5.000, co razem z mojemi czyni 10.000. A więc zaślubię ją, i to jak można najrychléj.

— Dla zapłacenia długów?

— Po prostu dlatego, by żyć; bo wieczna ta zależność, wieczna ta gra w chowanego; ta, ta,—tu słów mu zabrakło—drżał cały. Elsa nigdy go takim nie widziała. I ona drżała także ze wzruszenia, postanowiła jednak mówić daléj.

— Nie będę wchodziła w to, czy rzeczywiście potrzeba ci tyle pieniędzy—papa tak często nam opowiada.

— Że on, jako porucznik, żył z ośmnastu talarów miesięcznie! na miłość boską, daj mi już z tém raz pokój! To były inne czasy; ojciec służył w liniowém wojsku, ja jestem w gwardyi. W dodatku, jego i moja natura to jak dwa przeciwne sobie bieguny.

— Dobrze.—Potrzebujesz zatém tyle jak mówisz; za trzy lata ja również będę pełnoletnią i mam także pięć tysięcy. Oddam ci je chętnie, jeżeli...

— Jeżeli do tego czasu nie wyjdę za mąż. Czy to chciałaś powiedziéć?

— Nie wyjdę za mąż wówczas; ja—ja nie chcę wyjść za mąż. Nie mogła daléj powstrzymać łez, które strumieniem popłynęły z oczu. Ottomar objął siostrę.

— Droga, serdeczna Elso! Sądzę, że naprawdę byłabyś w stanie to zrobić; ale czyż nie rozumiész, że chcieć się ratować kosztem siostry, którą się kocha całém sercem, byłoby bez porównania haniebniéj, aniżeli chcieć to zrobić kosztem kobiéty, któréj się wprawdzie nie kocha, ale która téż bardzo prawdopodobnie nie pragnie wcale być kochaną.

— Ale, Ottomarze, otóż przecię i chodzi, zawołała Elsa, łzy ociérając, że chcesz się żenić z Karlą, o któréj nie chcę mówić, że w ogóle niezdolna jest do miłości, a nawet przekonana jestem, że kocha ciebie na swój sposób. Ale jéj sposób nie jest twoim sposobem dałoby się to natychmiast uczuć, nawet w razie gdybyś ją kochał; a témbardziéj teraz, kiedy sam wyznajesz, że tak nie jest. Nie jesteście stworzeni dla siebie. Nie widzę między wami nic wspólnego, nic coby was wiązać mogło, wyjąwszy chyba konnéj jazdy, bo trzeba przyznać, że pięknie i doskonale jeździ. Jéj muzyka, to jest jéj Wagnerowska muzyka jest dla ciebie wstrętna; do książek jéj, których z pewnością sama po większéj części nie rozumie, nigdy nie zaglądniesz. I tak we wszystkiém; a co najgorsza, miłość, jak ona ją rozumie, nie jest wcale miłością dla ciebie. Bądź co bądź masz tkliwe serce i potrzebujesz prawdziwéj miłości. U Karli uczucie to nadto się łączy z próżnością i igra po świetnéj, błyszczącéj powierzchni życia. Jeśli kiedy zatęsknisz do głębszéj nuty i sam w tę nutę uderzysz, w jéj sercu nie znajdziesz żadnego echa.

— Aleź Elso, widzę żeś strasznie mądra w sprawach sercowych! Kto cię nauczył tego wszystkiego? Hrabia Golm?

Elsa gwałtownie się zarumieniła. Nie zasłużyłam na to, rzekła.

Ottomar ucałował jéj rękę. Przebacz mi ten żart niestosowny, sam Golm winien temu. Myśli tylko o tobie i dziś jeszcze, spotkawszy się ze mną, wciąż miał imię twoje na ustach. Zdaje się, że ma zamiar dłużéj tu pozostać. Zresztą, mogę cię uspokoić, że i mnie on nic tak nadzwyczajnie się podobał, i wątpię, byśmy kiedy mogli być przyjaciołmi.

Ottomar chciał wyraźnie zwrócić rozmowę na inny przedmiot. Elsa widziała dobrze, że usiłowania jéj próżne były, że nie zdoła wywołać w bracie chęci do zwierzeń, do wyspowiadania się z tego, co mu na sercu leżało, z owych ponurych myśli, którym się znowu oddał pomimo jéj obecności. Serce jéj mówiło, że jakieś niebezpieczeństwo grozi mu, i że poradzić na to zdołałaby chyba ręka silniejsza od jéj ręki. Ale ten, któremu ona tak ufała, o którym

wciąż myślała, jakże go zbliżyć do brata? jakże doprowadzić do tego, by stosunek dwóch młodych ludzi stał się bliskim, ścisłym?

— Zapomniałam ci powiedzieć, Ottomarze, że ojciec chce, byś poszedł do kapitana Schmidt'a i zaprosił go na dzisiejszy wieczór.

— August może to samo zrobić.

— Nie, kapitan był tu osobiście; nie zastał wprawdzie nikogo w domu, trzeba jednak, byś wzajemnie był u niego, a przy téj sposobności.

— Zdaje się, że masz słabostkę do kapitana, Elso? I Ottomar spojrzał siostrze w oczy.

— Niech i tak będzie, odrzekła odważnie, wytrzymując spojrzenie. Jestto dobry, szlachetny człowiek, jakich niewielu znałam dotąd, i chciałabym byś się bliżéj z nim zapoznał. Mało jest takich jak on ludzi, na których możnaby rachować w każdém niebezpieczeństwie.

— Jak ja rachuję na ciebie, rzekł Ottomar.

I zamyślony wzrok jego spoczął na otwartéj, wyrazistéj twarzy siostry; poczém, jak gdyby przypadkiem pomknął wyżéj i zatrzymał się na dwóch oknach domu Schmidt'a. W jedném z nich niebieskie firanki były spuszczone. Tak było już od trzech dni; znaczyło to: dziś wieczór nie oczekuję cię.

Czy miał tajemnicę swą powierzyć odważnéj, kochającéj siostrze? Czy w szczeréj spowiedzi miał szukać ulgi dla serca swego tam, gdzie wiedział, że znajdzie współczucie—litość.

Litość? A jeżeli wszystko się już skończyło między nimi? Jeżeli stosunek ich został bezpowrotnie zerwany? Na cóż się zda spowiedź? Nie, nie! trzeba najprzód z jéj własnych ust dowiedzieć się.

— Zaraz pójdę do kapitana, rzekł po chwilowém milczeniu.

— Dobry, kochany Ottomarze, zawołała Elsa, obejmując go i całując, wiedziałam, że tak będzie.

— Elso! proszę do mnie na chwileczkę, zawołała w téj chwili ciotka Sydonia, stojąc we drzwiach sali jadalnéj.

Elsa pośpieszyła do ciotki. Ottomar posępnie patrzał za nią. Potém zwrócił się w stronę ogrodu najbardziéj zarosłą i tu jeszcze oglądnął się, czy go kto nie widzi. Następnie wydobył list, który zastał był na stole w pokoju ojca.

W kopercie między kilku luźnemi kartkami, na których były rachunki jakieś, znajdowała się kartka ręką ojca kreślona:

„Dzisiaj rano zapłaciłem za ciebie dwa weksle: 1.200 talarów. Robię to po raz ostatni; możesz się przekonać z załączonego tu rachunku, że całe moje własne mienie zostało już użyte na tenże cel. Z tego powodu ani grosza więcéj nie mogę dać, bo pozbawił-

bym nas wszystkich środków stosownego utrzymania, albo sam zacząłbym zaciągać długi. Proszę się więc zastosować do tego.“

W.

Usunięcie z fabryki pewnéj ilości robotników pociągnęło za sobą groźne dla jéj właściciela następstwa. Ci bowiem co pozostali, widząc się w zmniejszonéj liczbie, zażądali podwyższenia płacy. Nadaremnie Reinhold usiłował skłonić stryja do pewnych ustępstw, przynajmniéj na ten raz jeden, chodziło tu już bowiem o jego własną stratę, gdyż w razie zmowy, jaką grozili robotnicy, nie mógłby dopełnić zobowiązań, które był przyjął na siebie kontraktem. Ale stryj Ernest, właśnie pod naciskiem groźby téj, najuporczywiéj trwał przy swojém. Robotnicy zaś, doskonale rozumiejąc korzystne swe położenie, nie chcieli téż słyszéć o żadnéj zgodzie, zanim się nie uczyni zadość ich żądaniu. Spór się przeciągał, obie strony zapalały się; wreszcie do takiéj doszło ostateczności, że pijanych i rozwścieczonych Reinhold musiał z pistoletem w ręku odeprzéć od progu stryja. Przywołana policya pochwytała zaraz przywódzców i stłumiła rozruch, ale wieść o nim rozeszła się z szybkością błyskawicy i wywołała podobneż sceny w innych fabrykach. Wszędzie nastała zmowa. Właściciele dla wspólnéj na ady zwołali walne zgromadzenie, i właśnie stryj Ernest wybiérał się na nie, kiedy Reinhold raz jeszcze starał się go skłonić do łagodności i spokojniejszego zapatrywania się na sprawę.

— Nie, nie mogę zrobić tego, odpowiedział mu stryj na to. Nie mogę przestać być sobą. I po co wreszcie? na co? Ani ten świat dla mnie, ani ja dla niego. Ktoś inny, ten co po mnie przyjdzie, lepiéj będzie wiedział, jak ma się do niego zastosować. Ty bądź tym innym, Reinholdzie!

— Ja? zawołał Reinhold zdziwiony.

— Ty! Ty co masz sił tyle, że trzebaby nielada ciosu, coby się potrafił obalić. Wieleś się nauczył, wieleś widział i może lepiéj patrzysz na rzeczy aniżeli ja, com przykuty do jednego kąta, możem już utracił wzrok dobry. Ciebie nie wiąże żadna przeszłość, żaden program. Możesz zatém w zupełnie nowym iść kierunku. I dlatego ciebie, ciebie szczególnie pragnąłbym mieć za następcę swego.

Stryj Ernest zatrzymał się i odetchnął głęboko, jak gdyby to, co miał właśnie powiedzieć, najtrudniejszém było dla niego.

— Kocham cię Reinholdzie, zdaje mi się, że i ty mię kochasz cokolwiek, i o tobie jedynym na świecie mogę to powiedzieć.

Reinhold przystąpił do stryja i położył rękę na ramieniu jego.

— Drogi stryju! Dziękuję ci z całego serca za uczucie, którém mię obdarzasz, bo czémże na nie zasłużyć mogłem? Ale miłość wywołuje miłość. Kocham cię bowiem i poważam jak syn ojca. Mylisz się jednak sądząc, że ja jeden tylko mam to uczucie dla ciebie dzieci twoje.

— Tak sądzisz? Albo ty wiész cokolwiek w tym względzie. Albo ty rozumiész, czém jest stosunek rodziców do dzieci, czém dla ojca pierwszy krzyk dziecięcia. Czyś ty kołysał twe dziecię i w jego śmiejących się oczach szukał szczęścia twego? Czyś ty widział jak te oczy przestawały uśmiechać się do ciebie, jak się powoli odwracały od twoich—oczy i serce?... Czyś ty to widział kiedy? czyś przeżył?

— W najgorszym razie mógłbyś stryju powiedzieć to o Filipie tylko i to gorzéj może widzisz, niż jest. Co do Ferdynandy zaś, jeżeli nie wszystko tak jest, jakby być powinno, to może i twoja w tém cokolwiek jest wina. Serce dziewczęce potrzebuje światła, ciepła, dużo ciepła, a ja dotąd nie słyszałem nawet, byś kiedy do niéj tak przyjaźnie się odezwał, jak do mnie zawsze mówisz.

— Bo ty mię rozumiész, a Ferdynanda nie. Wreszcie nie żądam nawet tego. Kobiéty nie po to są na świecie. Im tylko pończochy robić i kuchnią się bawić, a w najlepszym razie muzyką i t. p. Zresztą wyznaję, że Ferdynanda warta coś więcéj jak inne gąski. A jeżeli ty tak wiele o niéj trzymasz, to żeń się z nią, a tém samém nabędziesz prawa zdjęcia ze mnie całego ciężaru.

Reinhold nie wiedział, czy słowa te powiedziane były na żart, czy na seryo. Na szczęście wejście Kreiselsa uwolniło go do odpowiedzi.

— Co się stało? zawołał stryj Ernest, ujrzawszy swego buchaltera. Człowieku, jakżeś się dziwnie ustroił, czy idziesz na pogrzeb jaki?

W istocie, toaleta staruszka była co najmniéj, dziwaczna. Nad wysokim kołnierzem staroświeckiego fraka z długiemi, spiczastemi połami wznosiła się łysa główka; z pod krótkich spodni wystawały ogromne nogi. W rękach trzymał wysoki cylinder z wąziutkiém rondem przestarzałéj już mody, i stare wytarte rękawiczki. Wyraz twarzy zawiędłéj i niespokojnie patrzących oczu zupełnie odpowiadał ubiorowi.

— W istocie idę na pogrzeb, odpowiedział cichym, drżącym głosem.

— Czyjże to ma być pogrzeb?

— Mój własny.

Stryj Ernest otworzył ogromne oczy. Czyś zwaryował, stary przyjacielu, zapytał. Nie jestem dzisiaj usposobiony do żartów. O cóż chodzi? stary, niech zrozumiém o co chodzi i czego chcesz.

— Uwolnienia od służby! wyjąkał Kreisels, ocierając z czoła grube krople potu. A to będzie dla mnie równało się śmierci.

— A więc, niech cię pogrzebią! zagrzmiał stryj Ernest.

Staruszek zadrżał, jak gdyby w istocie śmiertelnie został ugodzony. Stryj wielkiemi krokami mierzył pokój, stanął wreszcie przed nim i zawołał:

— To tak! Ślicznie to z waszéj strony! Lat czternaście pracowaliśmy i cierpieliśmy razem; nigdyś złego słowa nie słyszał z ust moich, wiedziałem, że nerwy twoje nie zniosłyby tego, nie potrafiłbym nawet najmniejszéj zrobić ci krzywdy, tak jak nie umiałbym jéj wyrządzić twojéj biednéj Cilli. A jeżelim nie dość dla was zrobił, nie moja w tém wina. Z własnéj woli podwoiłem utrzymanie wasze a byłbym je potroił, gdybyś mi powiedział tylko, że potrzebujesz tego. Aleś nigdy ust nie otworzył. A teraz, kiedy, niech szatan to zrozumié, ja nie pojmuję.

— I nie zrozumiész pan, jeżeli nie pozwolisz mi wytłómaczyć się, odrzekł buchalter, rozpaczliwie gniotąc kapelusz w rękach.

— To mówże nareszcie.

— Muszę pana opuścić, zanim mię sam odprawisz, tak jakeś odprawił tamtych trzydziestu we wtorek. Bo i ja....

Tu podniósł mrugające oczki i śmiało spojrzał niemi na stryja. Bo i ja jestem socyalistą!

Byłto bohatérski wysiłek ze strony staruszka, i położenie jego było w istocie dramatyczne. Reinhold jednak o mało się nie rozśmiał, widząc, że stryj zamiast wybuchnąć po swojemu szerzéj tylko jeszcze otworzył oczy i niezwykle spokojnym a nawet łagodnym głosem zapytał: Czy nie jesteś także komunistą?

— W pewnych okolicznościach usprawiedliwiam i komunizm także, odpowiedział buchalter.

— A więc, idź teraz do siebie, prześpij się godzinę i niech ci się zdaje, że wszystko to przyśniło ci się. I ani słowa więcéj o tém bo się naprawdę gniewać będę.

Staruszek nie ośmielił się sprzeciwić temu tak stanowczo wypowiedzianemu rozkazowi. Wyszedł, kłaniając się i spoglądając na Reinholda, jak gdyby chciał powiedzieć: jesteś świadkiem, żem spełnił mój obowiązek.

Reinhold chwycił stryja za rękę: dziękuję ci! rzekł.

— *Za co?* żem nie wziął na seryo tego, co plótł ten biédny stary? Ba! Tyle on się na tém rozumie co nowo narodzone dziécię. Wszystko to wyczytał w swoich książkach, nad któremi spędza połowę nocy, nie mogąc sypiać, a jego dobra, biédna Cilli dotrzymuje mu towarzystwa. Na ten rodzaj socyalistów mogę się i ja zgodzić nawet. Cóż tam znowu?

Grollman, stary sługa, wszedł w téj chwili, trzymając kartkę wizytową w ręku. Stryj Ernest, spojrzawszy na nią, gwałtownie rzucił ją na stół. Czyś oszalał? zawołał.

— Młody pan koniecznie tego żądał, odpowiedział.

— Raz na zawsze nie ma mnie w domu dla niego.

— Na parę minut tylko, mówił stary sługa; p. kapitan miał podobno zawiadomić pana o tém.

— Co to znaczy Reinholdzie?

Reinhold przeczytał kartkę. W istocie, odpowiedział, Filip prosił mię o to, kiedym był u niego pozawczoraj.

— Byłeś u niego?

— Uważałem to za mój obowiązek; obiecałem wówczas także postarać się dla niego o pozwolenie widzenia się z tobą, stryju.

— Muszę iść na zebranie, odrzekł tenże.

— Masz jeszcze kwadrans czasu, rzekł Reinhold.

— Na parę minut tylko, powtórzył Grollman.

Stryj Ernest popatrzał na nich obydwóch z kolei, jak gdyby chciał ich uczynić odpowiedzialnymi za następstwa tego, do czego go skłaniali: niech wejdzie, rzekł.

— Czy chcesz, bym tu pozostał, zapytał Reinhold.

— Nie, lepiéj będzie, gdy pozostaniemy sami.

Reinhold innego był zdania. Znał już dobrze stryja i widział przygotowującą się burzę. Nie mógł się wszakże sprzeciwić i usunął się.

Filip wszedł. Ojciec i syn stanęli naprzeciw siebie.

— Czego chcesz odemnie? zapytał stryj Ernest, nie patrząc na Filipa.

— Przychodzę w interesie, odpowiedział tenże, patrząc również w stronę.

— Nie mam żadnych interesów z tobą.

— To może zechcesz je mieć z berlińsko-sundińską koleją żelazną.

— Nie robię interesów z tą dyrekcyą.

— Interes byłby bardzo korzystny dla ciebie. Mamy już koncesyą na dalszy ciąg kolei naszéj. Dotychczasowy dworzec musi być

zatém rozszerzony. Kiedyśmy jeszcze razem pracowali, kupiliśmy wówczas wspólnie grunt, na którym dworzec stoi.

— Na twojéj części.

— Na mojéj części, bo nie chciałeś sprzedać swojéj.

— Na kupno twojéj dałem ci pieniądze; o ile wiém nie miałeś ich wówczas wcale.

— Dotąd jeszcze wdzięczny ci za to jestem. Położyłeś przez to kamień węgielny do teraźniejszego dobrobytu mego; korzystając bowiem z interesu, sprzedałem część moję towarzystwu.

— Czegoś nie powinien był zrobić.

— Przedtém jeszcze oddałem ci pieniądze te do ostatniego grosza, wraz ze zwykłym procentem.

— Zapominasz tylko o tém, że dałem ci pieniądze w tym jedynie celu, byś razem ze mną założył na tym gruncie tanie mieszkania dla robotników. Wprawdzie, umowa nie była piśmiennie zrobiona.

— Na moje szczęście, a sądziłem, że i na twoje. Po tém, co wczoraj u ciebie zaszło, sądzę, że znikły już twoje filantropijne zachcianki. Możesz wszakże wynagrodzić sobie te straty. Twojéj kolonii robotniczéj nie wiodło się dotąd wcale. Skończ z nią już nareszcie i nam ją odprzedaj. Potrzebujemy gruntu tego dopiéro na nowy rok; część mieszkań teraz już jest opróżniona, my zaś zapłacimy ci za te domki tak, jak za czteropiętrowe budynki.

— Skądże weźmiecie pieniądze, jeżeli wolno zapytać?

— Skąd? Skąd zawsze braliśmy.

— Skąd zawsze braliście! powiedział stryj Ernest.

Po raz pierwszy spojrzenie jego surowe i silne padło na syna.

— To znaczy z kieszeni publiczności, którą najbezwstydniéj oszukujecie kłamliwemi prospektami; którą zwodzicie nadzieją jakiéjś dywidendy; któréj skargi zagłuszacie na tak zwanych walnych zgromadzeniach waszych, aż nareszcie prokuratorya przypomni sobie, że niezawsze siła idzie przed prawem. Nie chcę mieć do czynienia z prokuratoryą i pojazd mój czeka na mnie.

— Mój także, odrzekł Filip, okręcając się na pięcie, i wyszedł z pokoju.

Stryj Ernest zbliżył się do stołu i duszkiem wychylił szklankę wina. Z chmurą gniewu na czole oparł się ręką na stole i dumał.

— Nie chciałem tego, pragnąłem pozostać spokojnym. Jakże mi przypomniał matkę swoję! Ta także nigdy mię nie rozumiała. Ale on, to karykatura! Do nicości przyłączyło się jeszcze brutalstwo. Zuchwały, nędzny łotr!

Wypił drugą szklankę.

Wyraz gniewu jeszcze groźniéj zasępił twarz całą.

Oczekując na koniec rozmowy Filipa z ojcem, Reinhold udał się do buchaltera, chcąc go uspokoić po zaszłéj ze stryjem scenie. Starzec blady, złamany, siedział na ławce w altanie między ogrodem a zabudowaniami. Cilli, stojąc przed nim, ocierała mu pot z czoła.

Tak Reinhold, jak córka namawiali go, by poszedł za radą stryja Ernesta i spoczął trochę. Usłuchał ich wreszcie i udał się do domu.

Kiedy Reinhold, odprowadziwszy go, wrócił do altany, znalazł Cilli siedzącą smutnie z głową opuszczoną i złożonemi rękami.

— Kochana, biedna Cilli, rzekł biorąc ją za ręce,—uspokój się, daję ci słowo, że stryj nie myśli wcale zerwać z ojcem twoim, wszystko między nimi pozostało tak jak dawniéj było.

— Nie tak, o nie, odrzekło dziewczę, potrząsając głową. Od wtorku ojciec zmienił się do niepoznania. Mało je, prawie nie śpi. Dzisiaj rano przyszedł mi powiedziéć, że nie może taić przekonań swoich. W istocie, nie było innéj drogi. Stryj pański stanowczo wypowiedział zdanie swoje w tym przedmiocie. A jeżeli przez wzgląd na słabego starego człowieka zechce wyjątek zrobić i wszystko puścić w niepamięć, to znowu duma ojca cierpieć nad tém będzie, témbardziéj, że ma za sobą zupełną słuszność.

— Jakto, spytał Reinhold zdziwiony.

— Nie będę roztrząsała zasadniczych pojęć i przekonań tak ojca mojego, jak stryja pańskiego; pojmujesz pan łatwo jednak, że stoję po stronie mego ojca. Mówię zaś, że ojciec ma słuszność, otwarcie wyznając swe przekonania, bo każdy człowiek powinien kierować się niemi w życiu i następstwa ich spokojnie znosić. Nam obu łatwiéj to niż komu innemu wykonać, bo w najgorszym razie niedługo to już znosić będziemy.

— Nie rozumiém cię.

— Wiém, że ojciec niedługo żyć będzie. Doktór przygotował mię już do tego, że ataki nerwowe zabiją go w końcu. I gdyby ojciec wiedział, że ja nie przeżyję go długo, byłby wówczas spokojniejszy. Pan, któremu on tak wierzy, możebyś mógł mu to powiedziéć?

— Ale jakże mogę zrobić coś podobnego, Cilli?

— Dla czegóż nie, kiedy to jest zupełna prawda; jestem chora, śmiertelnie chora na nerwy. Cierpienie to odziedziczyłam po ojcu

i w skutek tego oślepłam w trzecim roku życia, kiedy mając lat ośm, zasłabłam znowu, rodzice wezwali dwóch lekarzy i wówczas słyszałam, jak mówili między sobą, bo mam słuch nadzwyczajnie ostry, o czém oni nie wiedzieli—że trzebaby cudu na to, bym dożyła lat szesnastu. Na przyszłą wiosnę będę miała lat szesnaście i nie wierzę w cuda.

— Lekarze często się mylą; mam nadzieję, że i tą razą tak się stało.

— Ja nie mam téj nadziei, a nawet nie chcę jéj mieć.

— A jednak kochasz życie.

— Dlatego zapewne, że wiém, iż wkrótce będę musiała umrzéć, tak jak mówią mi, że wyobrażam sobie świat tak pięknym dla tego, że jestem ślepa. I dla kogóż mam żyć, kiedy ojciec umrze!?

— Dla przyjaciół swoich; dla mnie np., dla Justusa, dla którego masz tyle przyjaźni i który cię tak kocha.

— On mię kocha?

Usteczka jej zadrżały; parę razy odetchnęła głęboko, nie mogła jednak powstrzymać łez—polały się one strumieniem z biednych ślepych oczu, przeciskając się przez białe, cienkie palce, któremi je zakryć chciała.

— Na Boga, Cilli, co to jest, zawołał Reinhold bolesném dotknięty przeczuciem.

— Nic, nic, wyszeptała; sam widzisz, że jestem chora, bardzo chora.

Zamilkła, pokonana wzruszeniem, i jak kwiat podcięty opuściła główkę na piersi; rączki boleśnie zaciśnięte bezwładnie upadły na kolana; twarzyczka blada miała wyraz bolu tak rozdzierający serce że, patrząc na nią, Reinholdowi stanęły łzy w oczach.

Zanim wszakże zdołał przemówić coś do biednego dziewczęcia, usłyszał, że ktoś nadchodzi, i spostrzegł Filipa.

Nie chcąc narazić Cilli na przykre w téj chwili spotkanie, śpiesznie opuścił altanę i poszedł naprzeciw kuzyna.

Filip, nie posiadając się z gniewu, opowiedział mu o rezultacie rozmowy swéj z ojcem i klął się, że po raz ostatni zniósł to, czego niepodobna ścierpiéć nawet od ojca.

— Ty także winien temu jesteś, mówił rozdrażniony. Z ust starego słyszałem słowa, które wczoraj w twoich były ustach. Dlaczego chcesz go podburzyć przeciw temu, czego obaj nie rozumiecie? I co cię to obchodzi, czy port będzie na północy czy na zachodzie, czy go piasek zasypie, czy diabeł porwie! Czy swój majątek chcesz w to włożyć? A jeżeli inni mają do tego ochotę, to cóż to do ciebie należy? Wolno każdemu patrzéć dokąd idzie, a jak nie widzi, to

niech pada. A chcecie czy nie, kolej stanie, musi stanąć, nie podlega to już żadnéj wątpliwości, ponieważ hrabia Golm wszedł już do komitetu założycieli.

Potok gwałtownych tych słów przerwało niespodziane ukazanie się Ottomara, który, nie zastawszy Reinholda w mieszkaniu jego, za wskazówką służącego tu go szukał. Dotrzymując obietnicy Elsie, przyszedł prosić kapitana na wieczór i oświadczył mu zarazem, że ojciec jego ma mu coś ważnego do powiedzenia.

Zachowanie się Ottomara względem Reinholda było nietylko uprzejme ale niemal przyjazne, względem Filipa zaś zupełnie obojętne, a nawet lekceważące prawie. Naturalnie, mocno to ubodło tego ostatniego. Kiedy więc Werben niby obojętnie zapytał, czy nie na tymże dziedzińcu znajduje się pracownia Andersa, i prosił Reinholda, by mu ułatwił zwiedzenie jéj, wówczas Filip, chcąc zaimponować młodemu oficerowi, oświadczył od niechcenia, że, korzystając z okoliczności, pójdzie także z nimi do atelier, by zobaczyć marmurowe posągi, które zamówił był u Andersa do swego nowego pałacu.

I tak wszyscy trzéj udali się do pracowni rzeźbiarza.

Reinhold z doświadczenia już wiedział, że nadaremnie jest pukać do pracowni, gdzie zwykle panował wielki hałas i stuk. Po prostu więc otworzył drzwi i wszedł, poprzedzając Ottomara i Filipa. Tu, w jednym kącie wielkiéj sali, Anders i Ferdynanda stali przed modelem, nad którym Justus pracował. Oboje tak byli zajęci żywą rozmową, i taki hałas panował koło nich, że nie spostrzegli wcale przybyłych. Obejrzeli się dopiéro wtedy, kiedy mały piesek Justusa, zajadle szczekając, rzucił się do nóg Filipa, którego lakierowane buty widocznie nie przypadły mu do gustu. Nawoływanie psa, sprzątanie rozmaitych narzędzi i przedmiotów, czém się natychmiast zajęło kilku robotników, między którymi był także Antonio; wreszcie wzajemne powitanie; wszystko to sprawiło chwilowy zamęt, pod zasłoną którego gwałtowny rumieniec Ferdynandy i zakłopotany ukłon Ottomara uszły baczności Reinholda. Oboje wszakże natychmiast przyszli do siebie; spojrzenia ich skrzyżowały się z sobą i o wzajemném zapewniły przebaczeniu. Po długich, nieskończonych trzech dniach on przyszedł do niéj, a więc wszystko było przebaczone, zapomniane. Ona, po pierwszém powitaniu, nie usunęła się zaraz do swojéj pracowni, któréj drzwi stały otworem; to z pewnością dowodziło, że go zawsze kochała.

Dla obojgu spotkanie się to jawne niewypowiedzianą było rozkoszą. Ottomar po raz pierwszy słyszał jéj pełny, dźwięczny głos— dotąd rozmawiali z sobą tylko szeptem. Jéj śmiech zachwycał go—

nie sądził, by się tak śmiać mogła. Jakże wspaniałą była jéj postać, którą tak wdzięcznie uwydatniał skromny, obcisły strój! Jak śliczne bujne kasztanowate włosy, skromnie podniesione nad czołem i upięte w długie warkocze! Nigdy nie wydawała mu się tak piękną! Upajał się też jéj obecnością. Chodził, stawał przed marmurami, rozmawiał, żartował, ale nie bardzo wiedział, co sam mówił i co inni mówili. Poruszał się jak gdyby we śnie—a był to cudny sen. Obudził się wszakże z niego prędko i z żołnierską odwagą postanowił korzystać z położenia swego.

Dla Ferdynandy także obecna chwila była niespodziewaném szczęściem, ale ona ani na chwilę nie zapomniała o niebezpieczeństwie swego położenia. Niczego się nie obawiała od Justusa, Reinholda, Filipa; wiedziała, że z odrobiną ostrożności nie wzbudzi najmniejszego ich podejrzenia. Ale jakaż ostrożność, jaka przebiegłość mogła ją zasłonić przed palącemi, czarnemi oczami Antonia! W téj chwili wprawdzie zdawał się on być zajęty pracą—na pozór nic nie widział i nie słyszał. Ale to właśnie przestraszało ją; znała ostry słuch jego, wiedziała, że dobrze słyszy to, czego nie widzi, i że właśnie w danéj chwili spojrzy. A czuła dobrze, że chwila ta nadejdzie, że nadejść musi. W istocie, Ottomar, sądząc się bezpiecznym, zbliżył się do niéj i szepnął—co?—nie słyszała, ale z oczu jego wyczytała wyraźnie; muszę mówić z tobą samą—w twojéj pracowni!

Ale w jaki sposób dokonać tego! Czas uchodził, a tyle jeszcze było do widzenia w pracowni Andersa!

Grupa czterech alegorycznych postaci, przez Filipa obstalowana, była właśnie przedmiotem długich rozpraw. Każdą z figur krytykowano z osobna.

— Jeżeli, jako profan, mogę wyrazić zdanie moje, to wyznam, że figura założycielki miast wydaje mi się szczególnie piękną, rzekł Ottomar, rzucając spojrzenie na Ferdynandę, któréj podobieństwo do owéj figury było uderzające.

— Widzę, że z pana nie tak wielki profan. Zdajesz się pan doskonale wiedzieć, skąd my mądrość naszę czerpiemy. Ale niech pan nie sądzi, że jesteśmy w stanie tylko służyć za wzór do posągów—umiemy je też sami tworzyć, i to bardzo piękne. Czy możemy, panno Ferdynando? I Justus wskazał na drzwi do jéj pracowni.

— I owszem, bardzo proszę, odrzekła Ferdynanda, któréj serce gwałtownie zabiło. Oczekiwana chwila nadeszła. Filip i Reinhold dysputowali nad jakimś symbolem handlu, który jedna z figur przedstawiała; Filip, zirytowany oporem, jaki go zewsząd dnia tego spotykał, mówił podniesionym i ostrym głosem. Justus i Ottomar udali się za Ferdynandą do jéj pracowni. Ferdynanda, stojąc już na pro-

gu do niéj, odwróciła się do Justusa i szepnęła mu: uspokój pan tamtych dwóch niezgodnych, Filip taki nieznośny dzisiaj. Anders wrócił,—Ferdynanda szybko weszła do siebie, a za nią Ottomar. Zaledwie znaleźli się sami, on ją objął ramieniem, ona zarzuciła mu ręce na szyję, i po raz pierwszy usta ich w długim spotkały się pocałunku. Dziś wieczór? Jak chcesz. Ósma godzina w Bellevuegarten!—Jak chcesz!—Najdroższa!—Ukochany!

Na szczęście, ramiona ich rozplotły się natychmiast. Justus bowiem ukazał się na progu, dla większego zabezpieczenia pokoju, prowadząc za sobą wojujące strony.

W pracowni Ferdynandy główną uwagę zwracał posąg żniwiarki. Przedstawiał on młodą dziewczynę, stojącą samotnie na polu kampanii i przysłuchującą się dzwonom pobliskiego klasztoru, wzywającym na Ave Maria. Statua, rozpoczęta na wiosnę, miała stanąć obok rzymskiego pastuszka na wystawie. Ale artystka nie dokończyła jéj, co ogromnie oburzało Andersa.

— Praca ta, mówił z zapałem, mogłaby była przynieść zaszczyt największemu artyście; berlińscy rzeźbiarze podziwiali ją, a Medyolańczyk, Emico Braga, który tu był latem, zachwycał się nią. I patrzcie, moi panowie, czém jest kobiéta, chociażby najwięcéj utalentowana,—czy potrafi dążyć do raz obranego celu? Posąg gotów już prawie, trzeba go tylko wykończyć, ale brak usposobienia. Oczekujemy na nie parę miesięcy, dzień za dniem upływa—robota wysycha, psuje się. Wreszcie, przed czterema tygodniami wchodzę tu—i cóż zastaję? Słodka, marząca twarz żniwiarki zamieniła się w oblicze Meduzy; ręka się podniosła i oparła na czole, a z pod niéj wyjrzały okrutne jakieś oczy, patrząc w dal i wyczekując kogoś, ale ja nie chciałbym być tym oczekiwanym. A pan, panie kapitanie?

— Ja także nie, odpowiedział tenże śmiejąc się. Na nim samym posąg zrobił podobneż wrażenie, i on także wypowiedział je w podobnych wyrazach.

— Głosujmy! zawołał Justus. Co pan mówisz o tém, panie Werben?

Ottomar nic nie odpowiedział, słuchał tylko i myślał: statua rozpoczęta została na wiosnę, wiosną téż zamienili z Ferdynandą pierwsze słowa miłości. Potém nastąpiła długa pauza, podczas któréj unikała go, a kiedy przed czterema tygodniami znowu dała się ubłagać, miłość ich inny zupełnie przybrała charakter, charakter ponury, namiętny, który go samego przestraszał niekiedy. Czy to był obraz jéj miłości? Czy to na niego czekała?

Myśli te jak błyskawica przemknęły mu przez głowę; spojrzeniem

musiał je zdradzić, bo Ferdynanda, jak gdyby w odpowiedzi na nie zawołała:

— Dzieło, nad którém głosować trzeba, nie zasługuje na to, by istniało. To mówiąc, pochwyciła za ciężki młot, który między innemi narzędziami leżał koło niéj na stole, i zamierzyła się nim na figurę. Anders chwycił ją za ramię.

— Panno Ferdynando! czyż nie rozumiész żartu? Przysięgam ci, że to był żart, że dzieło twe podziwiam teraz więcéj niż wprzódy, żeś przeszła w niém i siebie samę i mnie.

Justus drżał cały ze wzruszenia, wszyscy obecni zapewnili, że podzielają zdanie jego; piękne oczy Ottomara błagały o przebaczenie.

— Nadaremnie panowie, odpowiedziała im na to wszystko Ferdynanda. Wyrok został wydany, za dumna jestem, bym mogła się zgodzić na złagodzenie jego. Uspokój się Andersie, nie zniszczę posągu, ale przysięgam ci, że go kończyć nie będę.

— I mam się tém zadowolnić! zawołał Justus.

— Czego chcesz? Antonio.

Antonio wszedł i szepnął mu słów kilka. Przepraszam panów, wzywają mię rzekł Justus i pospieszył do pracowni swojéj.

— Spodziéwam się, Ferdynando, odezwał się Reinhold, że nie zechcesz zrobić krzywdy nam wszystkim, nie spełnisz groźby twojéj i dokończysz dzieła.

— Gdybyś mię znał dłużéj, odpowiedziała, przekonałbyś się, że zawsze dotrzymuję tego, com raz obiecała sobie lub innym.

Przy tych ostatnich słowach wzrok jéj spotkał się ze spojrzeniem Ottomara; zrozumiał ją. Ze żniwiarką niech będzie co chce, pomyślał; ale ona sama przyjdzie dziś wieczór.

Chwilkę jeszcze trwała rozmowa, wreszcie panowie opuścili pracownią.

Drzwi się zamknęły za odchodzącymi. Ferdynanda zasunęła rygiel i powoli obejrzała się dokoła. Sztywny wzrok jéj zatrzymał się na żniwiarce. Teraz dopiéro zrozumiała myśl i uczucie, które kierowało jéj ręką w téj pracy, oni to odkryli, oni jéj saméj wskazali.

— Dotrzymuję, com obiecała, ale wolałabym była nie obiecywać, pomyślała.

Ferdynanda oddawna już uwolniła się z pod wszelkiego nadzoru; przywykła więc chodzić, dokąd chciała i kiedy się jéj podobało, musiała tylko zawsze być obecną na wieczerzy. Ojciec obstawał za

tém koniecznie, bo nie lubił być sam na sam z siostrą, i jeżeli córka dla jakiegokolwiek powodu nie przepędzała wieczoru w domu, wówczas i on sam wieczerzał u siebie w pokoju. Z czasem więc wypadki te stawały się coraz rzadsze, a wreszcie nie przytrafiały nawet wcale.

Teraz zatém, kiedy Ferdynanda obiecała Ottomarowi być o ósméj wieczór w Bellevuegarten, trzeba było znaléźć jakiś pozór potrzeby opuszczenia domu. Duma jéj cierpiała na tém, że musiała się uciec do kłamstwa, ale nie było innego środka; oznajmiła przeto ciotce, że obiecała odwiedzić jednę ze znajomych sobie panien i że prawdopodobnie nie będzie mogła wrócić na wieczerzę.

Ciotka przyjęła tę wiadomość jako najnieszczęśliwszy dla siebie wypadek, témbarodziéj, że Reinhold także oznajmił jéj, że się wybiéra na wieczór do Werbenów. Posypały się zatém skargi, wyrzekania, były nawet i łzy; rozmaite domowe kwestye zostały przytém poruszone i jak polip przyrastały jedna do drugiéj. Nareszcie Ferdynanda zniecierpliwiona pożegnała ciotkę, ale zaledwie zbliżyła się do drzwi, kiedy portyery podniosły się zwolna i Antonio ukazał się na progu.

Ferdynanda zatrzymała się przerażona. Czegoż on chciał teraz właśnie?

— Sądziłem, że panie nie słyszały pukania mego i ośmieliłem się wejść, przemówił młody człowiek.

Tu wskazał na parę książek, które trzymał w ręku.

— Dzisiaj nie mamy lekcyi, rzekła Ferdynanda.

— Jutro nie mógłbym przyjść i dlatego.

— Nie mam dziś czasu, widzisz pan, że wychodzę.

Wyrzekła to głosem ostrym, który dziwną stanowił sprzeczność z głębokim i grzecznym ukłonem, jakim Włoch pożegnał ją.

Po wyjściu jego, Ferdynanda stała w milczeniu, przysłuchując się, któremi drzwiami oddali się: temi co prowadziły do ogrodu, czy też temi co wychodziły na dziedziniec. Drzwi do ogrodu zamknęły się z trzaskiem, a więc pozostał w domu. Chwilkę jeszcze wahała się, nie śmiała wyjść, nie mogła pozostać, wreszcie wybiegła z pokoju i znalazła się na ulicy, nie wiedząc jeszcze, co daléj pocznie.

Miała zamiar wziąć dorożkę, nie znalazła jéj na placu, musiała zatém iść daléj pieszo. Ukradkiem parę razy obejrzała się po za siebie, bała się Antonia, jego jednego, nikogo więcéj.

Ale właśnie on już był przed nią, nie za nią. Rano jeszcze przeczuł, że zaszło coś między młodym oficerem a Ferdynandą, i bądź co bądź musiał wiedzieć o tém. Dlatego pod pozorem lekcyi włoskiego języka, które raz na tydzień dawał Ferdynandzie, wcisnął

się do jéj domu. Jéj zachowanie się wzmocniło jeszcze podejrzenie jego; przyjęła go bardzo ostro, więc się go bała; wychodziła z domu, co się tak rzadko trafiało, i nie brała powozu, czego nie było nigdy; a więc chodziło o schadzkę. Musiał zatém śledzić ją, musiał się dowiedzieć o wszystkiém.

Umyślnie zatrzasnął drzwi od ogrodu, chciał bowiem ubezpieczyć Ferdynandę; przez ogród wyszedł na dziedziniec i za chwilę był już na ulicy.

Zaczaiwszy się w szynku, widział Ferdynandę przechodzącą mimo, zdaleka udał się za nią. Kiedy na drugim placu spotkała dorożkę i wsiadła do niéj, chciał wskoczyć do drugiéj. Ale widząc, że tamta dąży ulicą prostą, szeroką, w któréj gonitwa taka musiałaby wreszcie zwrócić uwagę i obudzić podejrzenie, poskoczył w boczną uliczkę, postanowiwszy pieszo przeciąć dorożce drogę. Działał prawie bez namysłu, instynktownie, jak zwierz drapieżny, ścigający zdobycz. W przyśpieszonym biegu nie słyszał gwałtownych uderzeń serca, nie czuł duszności w piersiach, którym brakło powietrza, musiał stanąć w porę, musiał widzieć.

Gdy stanął na placu, gdzie się krzyżowały drogi, ujrzał dążącą z miasta dorożkę; ta zatrzymała się. Wyskoczył z niéj wysoki mężczyzna, odprawił dorożkę i zaczął się rozglądać dokoła. Rysów jego Antonio nie mógł rozpoznać zdaleka, ale wiedział, wiedział z pewnością, że to był on, a nie kto inny. Ręką sięgnął do sztyletu i zgrzytnął białemi zębami. W téj chwili dorożka, wioząca Ferdynandę, nadjechała także; oczekujący mężczyzna zbliżył się do niéj, przemówił słów parę przez okno i sam wsiadł tamże. Poczém powóz ruszył daléj przez plac ku zamkowi Bellevuegarten.

Antonio zaklął straszliwie. Nie mógł gonić, nie wiedział gdzie się obrócą, a więc polowanie skończone na dzisiaj, na dzisiaj tylko!

Tymczasem dorożka pomknęła chyżo i wkrótce stanęła przed wejściem do ogrodu.

Ottomar podał Ferdynandzie rękę i przestraszoną, drżącą i na wpół zdrętwiałą uprowadził w głąb ogrodu.

— Przysięgam ci, że jesteśmy tutaj zupełnie bezpieczni, szepnął, przyciskając ją do piersi.

— Przysięgnij tylko, że mię kochasz, nie chcę nic więcéj.

Przysięga łatwą była do wykonania, kochał ją, kochał silnie, namiętnie, a jednak, wśród gorących pocałunków i słów miłości, czuł niewytłómaczony jakiś lęk serca, jak gdyby niemoc jakąś wobec téj namiętności, która miotała nim z siłą burzy. Dotąd igrał z uczuciem tkliwe spojrzenia, słowa miłości brał od kobiét jako należną

sobie daninę; jak motyl unosił się po nad kwiatami — zatrzymywał się chwilkę, tyle tylko o ile mu to przyjemność robiło i znowu odlatywał swobodnie i bez żalu. Tu po raz pierwszy czuł się słabszym, czuł że musi uledz, jeżeli go jakiś nieprzewidziany wypadek nie poratuje. I bezwiednie prawie pragnął tego wypadku, coby go uwolnił od tych słodkich a potężnych kajdan, co go bezsilnym czyniły. Chwilami wprawdzie wyrzucał sobie niewdzięczność względem pięknéj istoty, co z taką ufnością, z takiém zaparciem się saméj siebie rzuciła mu się w ramiona. Czuł, że sobie i jéj winien szczerość uczucia—że teraz, kiedy przystała nareszcie na schadzkę, o którą błagał ją tyle razy, musi przedstawić jéj swoje nadzieje, swoje widoki na przyszłość, których sam jednak nie pojmował jasno.

Ferdynanda nie chciała o niczém słyszéć. Co ją to wszystko obchodziło — pragnęła tylko kochać i być kochaną — a reszta — stosunki, które trzeba było pozrywać; trudności, które należało usunąć; wszystko to było mało znaczącą rzeczą — szkoda było na nią tak drogocennego czasu.

Ottomar nie wierzył tym zapewnieniom, pochodzącym z chwilowego wrażenia; ale czuł, że go to zwalniało z odpowiedzialności, i mimowolnie doznawał pewnéj ulgi na myśl, że żadne zobowiązanie nie krępuje go względem téj tak pięknéj, ale tak namiętnéj, tak silnéj istoty.

Czas szybko upływał. Ferdynanda sama przypomniała Ottomarowi, że powinien wrócić do domu, gdzie miało być zebranie wieczorne.

— A może chcesz mię wziąć z sobą? — zapytała; — może chcesz ręka w rękę wejść ze mną na salę i przedstawić mię jako narzeczonę swoję? Nie powstydzisz się mnie. Między waszemi damami mało być musi takich, na które nie mogłabym patrzéć z góry, a zawsze mi się zdawało, że kto może tylko patrzéć z góry, to tak jak gdyby miał niejaki patent na znakomitość. Na ciebie zawsze będę musiała wzrok podnosić; wysoka jestem, a jednak do ciebie i twoich ust ukochanych będę musiała zawsze się podnosić.

Dziwny, dumny jakiś wdzięk był w tych słowach i gorąca miłość w pocałunku, który uśmiechnięte usta jéj złożyły na jego wargach. Ta miłość, ten wdzięk zachwycał go, unosił; powiedział jéj na to, że ma słuszność, że może stanąć obok każdéj królowéj — a jednak, jednak gdyby to nie był żart! gdyby w istocie zażądała tego, czego jednak zażąda kiedyś!

Noc już była prawie, kiedy opuścili ogród; niebo pokryło się chmurami i deszcz wielkiemi kroplami zaczął padać. Na szczęście przed bramą parku znalazła się próżna dorożka; Ferdynanda odjechała nią, Ottomar zaś skręcił w wielką aleję, która najkrótszą

drogą prowadziła do domu. Ciemność już tak była wielka, że zaledwie mógł rozpoznać ubitą drogę spacerową; po drugiéj stronie jéj była wązka ścieżka dla pieszych, ocieniona także wielkiemi drzewami.

Ileż razy przejeżdżał tędy konno z kolegami w towarzystwie pań i panów; ileż razy był tu z Karlą! Elsa miała słuszność; Karla doskonale jeździła i z wielkim wdziękiem — wyróżniała się pomiędzy wszystkiemi damami. Tak często widziano ich razem—nie, niepodobna było jeszcze zerwać z nią, — straszny by ztąd powstał hałas!

Myśli te krążyły po głowie młodego człowieka, który szedł szybko aleją. Szedł za prędko; pot lał mu się z czoła, a w piersiach taką czuł duszność, że musiał rozpiąć suknią. Nie zaznał dotąd uczucia fizycznéj bojaźni — teraz wyraźnie przestrach go ogarniał. Niespokojnie natężał słuch, zatapiał spojrzenie w ciemności — dokoła było spokojnie, — krople deszczu, spadające z liścia na liść, i szelest gałęzi przerywały tylko głuchą ciszę. W tém lekki szmer dał się słyszéć i jak gdyby chrzęst gałęzi suchéj. — Tak się czuję, jak gdybym miał na myśli zabójstwo, albo sam miał być zaraz zamordowany, rzekł do siebie Ottomar — i biegiem prawie puścił się daléj.

Nie omylił się — myśl morderstwa goniła za nim. Nie przeczuwał, że gałązce zawdzięczał życie.

Antonio jak gdyby czarem przykuty pozostał był u wyjścia do alei, gdzie znikli ci, których ścigał. Nie mógł się zdecydować do powrotu. W czarnych zatopiony myślach chodził tam i napowrót, stawał znowu, opiérał się o pnie drzew, podskakiwał gryząc paznogcie lub szarpiąc piersi — jak gdyby go gadzina ukąsiła — i snuł plany zemsty, zemsty okrutnéj, którą chciał wywrzéć na nim, na nich obojgu. Mógłby był tak całą noc przepędzić, jak zwierz drapieżny, rozwścieklony ucieczką zdobyczy i pomimo dokuczliwego głodu czyhający jeszcze na nią w ukryciu.

I oto jak gdyby siłą pragnienia duszy jego wywołany, rzekł: on — on — i wprost ku niemu dążył. Oczy Antonia oswojone z ciemnością natychmiast go poznały. Przeszedł na drugą stronę alei — tém lepiéj, tém bezpieczniéj będzie mógł iść za nim z téj strony; potém przebiegnie kołową drogę, gdzie głęboki piasek przygłuszy pierwsze kroki i w paru skokach dopadnie go — a potém sztyletem w kark, — albo, jeżeli się obróci, w piersi!

I ręka Włocha ścisnęła rękojeść sztyletu; palcami drugiéj kilkakrotnie sprobował ostrza i cicho, cichutko, wielkiemi krokami przeskakiwał od drzewa do drzewa; miękkie łapy tygrysa nie mogłyby ciszéj stąpać.

W połowie alei zgęszczone drzewa taką ciemność tworzyły, że tu, a nie gdzie indziéj działać trzeba było. Antonio obejrzał się raz jeszcze — dwóch ich tylko w ciemnym lesie było; — pochylił się więc wpół, po miękkim piasku przebiegł kołową drogę i ukrył za grubym pniem drzewa, na ścieżce którą szedł Ottomar.

Tamten tymczasem wyprzedził go o dwadzieścia kroków, trzeba było zmniejszyć tę odległość. Antonio puścił się biegiem Maledetto di Dio! — Sucha gałąź trzasła pod nogą! Trzeba się ukryć. Stanął za drzewem — nie mógł być widziany; stał cicho — nadsłuchując, może oczekując napastnika, a w każdym razie przeciwnika już przygotowanego. Kto wié? — odważny człowiek, oficer — jeżeli słyszał pogoń, mógł zwróciwszy się stawić czoło napaści. Tem lepiéj! A tak jest, zwraca się wyraźnie! Już się zbliżył, tém lepiéj! Otóż i on!

Serce gwałtownie biło Włochowi, kiedy lewą wysunąwszy nogę gotował się do skoku — napróżno jednak, nieprzyjaciel nie nadchodził; odgłos kroków jego nie zbliżał się, ale oddalał. Antonio wyjrzał z za drzewa — odległość między nim a tym, którego ścigał, podwoiła się. Żądza morderstwa stępiła zwykle tak ostre zmysły; kiedy wyczekiwał nieprzyjaciela — ten się oddalał od niego. Zanim się zdecydował, co ma czynić, już nie mógł go ścigać.

Musiał zaniechać gonitwy, — nie pozostawało nic innego. Spóźniony jakiś powóz zaturkotał na drodze, przerzynającéj aleję, daléj znowu z prawéj i lewéj strony biegły poprzeczne drogi — znikło zatém bezpieczeństwo wykonania i pewność ujścia po spełnionym czynie. Chwila przeszła — na ten raz! ale na przyszły!

Antonio zaklął po swojemu, chowając puginał. Poczém powoli pociągnął aż przed dom Werbenów.

Zacisnąwszy pięści, patrzał w oświecone okna. Ten, którego śmiertelnie nienawidził, szeptał może pięknym paniom, to samo, co przed chwilą mówił Ferdynandzie. — O gdybym mógł przelać w serce jego ten jad zazdrości co mię pożéra! gdybym pomiędzy nim a nią mógł wznieść nieprzebytą zaporę jaką! — Gdyby o ich stosunku zawiadomić jéj ojca, albo dumnego kapitana, albo jego ojca.

Kiedy tak dumał, stojąc oparty o kratę ogródka, usłyszał imię swoje wymówione grubym głosem jakimś. Obejrzał się.

— Ach! Signor Roller, pan inspektor!

— A tak, — odrzekł ten śmiejąc się; — ex-inspektor — przynajmniéj na teraz, dopóki nie utopimy starego i jego synowca i całe plemię jego! Gdybym mógł tylko pochwycić go! — gdybym mógł za jaką bądź cenę wypłatać mu jakiego porządnego figla! Ale ani feniga — ani grosza nie mam!

Zaśmiał się znowu, wyraźnie był na wpół pijany.

— Ja mam pieniądze, rzekł szybko Antonio i....

— A więc chodźmy się napić, przerwał mu Roller. Ot tam do téj piwnicy, gdzie czerwona latarnia.

I pociągnął Antonia.

Trzy niewielkie pokoje, na górném piętrze domu, który zajmował jenerał, zostały urządzone na przyjęcie gości; w największym, znajdującym się na dole, a zwanym salą, miano podać wieczerzę a potém tańcować. W tych przygotowaniach Elsa spuszczała się zwykle na Augusta, któremu zupełnie pod tym względem zaufać mogła. Tym razem jednak zdawało się jéj, że wszystko nie tak dobrze jak zawsze było urządzone; wprawdzie, nie umiałaby określić, na czém zależało właściwie to niedobrze, bo sama przesuwała meble i drobiazgi i po chwili na dawne miejsce stawiała je znowu— i tak było źle i tak niedobrze. Stanęła przed zwierciadłem i przyglądała się świeżemu strojowi, który po raz pierwszy włożyła,—ale i z tego była znowu niezadowolnioną; niebieski kolor był jéj jakoś nie do twarzy—kwiaty za ciemne—uczesanie głowy nie odpowiadało wyrazowi twarzy — i tak jakoś wszystko było inaczéj niż chciała.

— Wszystkiemu temu winien Ottomar, rzekła wreszcie do siebie, siadając w fotelu i zamyślając się. Jak można żenić się nie kochając—dla tych szkaradnych pieniędzy! Nie rozumiem prawdziwie na co oni ich tyle wydają—każdy z nich robi długi—to nie do uwierzenia! I cóżby znaczyły dla niego moje pięć tysięcy, na które wreszcie musiałby nawet czekać jeszcze z pięć lat. A gdybym pokochała kogoś, coby nie należał do szlachty, to i tego nie miałabym i nie zważałabym na to wcale — o nie — z pewnością!

Albo ciotka! jakże można zrobić coś podobnego! Mówić o mnie w taki sposób z tajnym radcą, on z pewnością umyślnie wczoraj rozpowiadał jéj o ogromnéj fortunie, którą Golm zrobi na owéj kolei. Co mię obchodzą jego bogactwa—jego osoba—nie mogę go znieść i nie wyjdę za niego, chociażby mi nawet koronę kładł u stóp—nie wyjdę—nie—nigdy!

Łzy gniewu i oburzenia zabłysły jéj w oczach, musiała je wszakże skryć natychmiast, w téj bowiem chwili wszedł jenerał w towarzystwie tajnego radcy Schielera, a jednocześnie August oznajmił jéj o przybyciu dwóch pań, na powitanie krórych wybiedz musiała, przystroiwszy twarz swą w uprzejmy uśmiech.

— Przynoszę dużo nowin, kochany jenerale, mówił radca; najprzód, że baronowa ma tu przybyć prędzéj niż zamierzała, bo za dni trzy.

— Dzisiaj rano miałem list od niéj i nic mi o tém nie wspominała.

— Ja zaś otrzymałem list nie od niéj saméj wprawdzie, ale— tu się radca zatrzymał.

— Mówmy i nazwisko, kochany przyjacielu,—niepodobna będzie uniknąć tego przy nadchodzących konferencyach.

— Masz słuszność, jenerale, cieszę się, że widzę cię w tak spokojném usposobieniu, bo to, co mam jeszcze do powiedzenia, będzie ci nawet może bardziéj niemiłém jeszcze. Otóż koncesy udzielono.

— Nie może być, zawołał jenerał.

— To jest tak, jak gdyby udzielono.

— Dziś jeszcze po południu—mieliśmy posiedzenie; była wprawdzie mowa o innych sprawach, ale w każdym razie jego Ekscelencya....

— Znany mu jest pański wstręt do tego projektu. Ale zaklinam cię, przyjacielu, wysłuchaj mię spokojnie—jestto dla ciebie sprawa największéj wagi. Koncesya ma być udzieloną na koléj północną—przeciw temu nie masz nic, jenerale. Ale wiém, że bez pańskiéj wiedzy, długo się wahano między północnym a zachodnim jéj kierunkiem. Wiadomo też panu, komu szczególnie zależy na tém, by koléj ta przyszła do skutku. Otóż hrabia Golm wszedł do rady administracyjnéj, ma on bardzo rozległe stosunki, które wiele pod tym względem znaczą. Mało już zatém brakowało do przeważenia szali. I oto wyobraź sobie, jenerale, otrzymuję dziś list od Giraldi'ego który powiada, że dla łatwiejszego zarządu uważa, iż lepiéj byłoby sprzedać część dóbr, i że baronowa—to znaczy on, który tak tu, jak wszędzie będzie jéj mandataryuszem, zaproponuje tę sprzedaż na konferencyi. Giraldi nadto dobrze zna tutejsze stosunki, by nie wiedział, że znajdzie tu gotowego kupca w osobie Golma. Ze swojéj strony Golm, ujrzawszy możność tego kupna, poruszy ziemię i niebo, by port stanął na zachodzie. Otóż mój nieoszacowany, najlepszy przyjacielu, możesz mię usłuchać, bo znasz moję dla siebie przyjaźń; pozwól mi więc otwarcie pomówić z sobą. Nie jesteś bogaty; Ottomar bardzo wiele potrzebuje—i dla niego niemało znaczyć będzie, gdy wartość części jego w tych dobrach powiększy się o dwa razy—co mówię,—o cztery może. W tymże stosunku panna Elsa także stanie się bogatszą; a kiedy po śmierci baronowéj oboje odziedziczą drugą część tych dóbr, i panna Elsa stosowny zawrze związek—przy-

puśćmy np. z hrabią Golmem,—to pan,—co daj Boże aby jak najpóźniéj nastąpiło, będziesz mógł zamknąć oczy spokojnie, albowiem przyszłość dzieci twoich zabezpieczona i blask domowi twemu zapewniony będzie. Bądź więc po ludzku roztropnym, szanowny przyjacielu! Nie potrzebujesz nic robić, nie sprzeciwiaj się tylko temu, czemu nie możesz przeszkodzić. Powinieneś wreszcie „konieczność witając, czoła nie zachmurzać“, jak mówi stara przypowieść, którą z dziecinnych lat jeszcze musisz pamiętać.

Jenerał słuchał wszystkiego tego, nie dając żadnego znaku zniecierpliwienia, co się jednak zwykle zdarzało, gdy słyszał zdanie przeciwne swojemu. Nie zachmurzył się nawet; przeciwnie w głosie jego był pewien miękki, melancholiczny oddźwięk, kiedy nie podnosząc oczu i jak gdyby do siebie mówiąc, odezwał się:

— Dobrze pamiętam tę przypowieść. Pochodzi ona z czasów wojny o wolność;—nie jedno serce uciśnione czerpało w niém pociechę, nie jedno czerpało zeń odwagę. Pamiętam dobrze matkę moję, czytającą słowa, które tak dobrze umiała już na pamięć:

Kogo szczęście nie olśni, nie zachwieje burza,
Kto konieczność witając, czoła nie zachmurza,
Kto wielbi wszędzie piękno, sam zaś dobro tworzy,
Choć życie kocha, przecież śmiercią się nie trwoży,
I wierząc mocno w Boga, lepszéj doli czeka—
Ten ma życie pogodne i śmierć jego lekka.

— Co za nieznośną pamięć ma ten człowiek, pomyślał radca.

— Widzisz zatém, kochany przyjacielu, mówił daléj jenerał—podnosząc wzrok na radcę, który spuścił oczy, przypowieść tak mówi, i ja sam jestem tego zdania, że niedobrzebym zrobił, gdybym poszedł za radą twoją. Ani życie moje pogodném, ani śmierć lekką byłaby, gdybym dla własnéj korzyści, chociażby tysiąc razy większéj niż ta, o któréj mowa, nie spełnił mego obowiązku i nie opiérał się wszelkiemi sposobami temu, co w mojém przekonaniu musi przynieść szkodę krajowi i będzie tylko niesumiennėm zmarnowaniem sił jego, które powinniśmy oszczędzać.

Dlatego téż po tém wszystkiém com usłyszał od pana, muszę sam wnieść tę sprawę na sesyą i przełożyć ministrowi opinią moję.

A teraz może zechcesz, kochany radco, przejść do salonu; muszę dopomódz paniom moim w przyjmowaniu gości.

Na tém się zakończyła rozmowa.

Tymczasem salon napełnił się prawie, i hrabia Golm, przybywszy dosyć późno, z trudnością się przeciskał do gospodyń domu. Powitawszy Sydonią, skierował swe kroki ku Elsie, ona spostrzegłszy go zdaleka z zapałem oddała się rozmowie, którą przed chwilą rozpoczęła była z kapitanem Schönau. Nie spostrzegła hrabiego nawet wtenczas, kiedy ten stanął przed nią; dopiéro Schönau zwrócił jéj uwagę, wskazując ręką na nowego gościa.

— Mam sobie za szczęście, rzekł hrabia.

— Ah, pan Golm! zawołała Elsa z dobrze udaném zdziwieniem, przepraszam pana, żem go nie spostrzegła zaraz. Pozwolą panowie przedstawić siebie wzajemnie: pan Schönau, dobry przyjaciel naszego domu, pan hrabia Golm. Widział pan już ojca? zdaje mi się, że jest teraz w drugim pokoju. A zatém, kapitanie?!

Golm ukłonił się i odszedł.

— To trochę za wiele, panno Elso, rzekł Schönau.

— Co takiego?

Schönau zaśmiał się.

— Wié, pani, co? gdybym nie był najskromniejszym z ludzi mógłbym Bóg wié co sobie uroić.

— Jakto?

— A naturalnie, czyś pani nie widziała, że hrabia chciał pani rękę podać i odszedł z twarzą czerwoną jak mój kołnierz? Oczy tak bystre, jak je ma panna Elsa, nie widzą tego w takim tylko razie, gdy nie chcą widziéć.

Spostrzeżenie to mocno zmieszało Elsę; wielce niezadowolniona była, że znalezieniem się swojém względem hrabiego zdradziła się w obec przenikliwego Schönau. Postanowiła sobie w myśli, że się to więcéj nie powtórzy, ale w téjże chwili przestraszyła się niemal, kiedy zaraz potém Schönau patrząc w stronę, gdzie oddawna już spostrzegła była stojącego Reinholda, zapytał:

— A to kto taki?

— Kto, gdzie?

— Ten oficer tam, na lewo—rozmawia z ojcem pani. Piękny mężczyzna—ma także krzyż.

Elsa musiała się wreszcie zdecydować i poznać Reinholda, chociaż serce jéj biło, co także gniewało ją mocno.

— Pan Schmidt, odpowiedziała po chwili, poprawiając włosy, kapitan okrętu. Poznaliśmy go w drodze, bardzo się podobał ojcu.

— Przystojny mężczyzna, powtórzył Schönau. Twarz piękna, męzka i niezły układ nawet;—a jednak z pierwszego wejrzenia poznać można, że jest oficerem z rezerwy.

— Po czémże to pan poznajesz? spytała Elsa, któréj serce znowu bić zaczęło.

— Pani powinnabyś to lepiéj niż ja wiedziéć—więcéj bowiem masz do czynienia z gwardyą. Porównaj pani np. tego młodego człowieka z Ottomarem, który znowu się spóźnił i grzechy swe pragnie okupić zdwojoną dozą uprzejmości. Porównaj ich pani, a przyznasz sama, że mam słuszność.

W istocie, trudno było zaprzeczyć temu. Tam, na statku, grube odzienie więcéj mu było do twarzy; ruchy jego były swobodne i pewne, nie tak jak tutaj. Tam, na łodzi, przedstawiał się jako uosobienie siły i odwagi, kiedy tak spokojnie, jak dobry jeździec rozhukanym koniem kierował małą łódeczkę wśród burzliwéj nocy. Cały ten ustęp z podróży żywo stanął w pamięci Elsy. To porównanie z bratem, tak niekorzystne dla Reinholda, niemiłém jéj było. Bała się téż, żeby ten ostatni nie zbliżył się do niéj teraz. Ale właśnie w téj chwili Reinhold, uprzejmie pożegnany przez jenerała, zwrócił się w stronę Elsy, która widząc to zadrżała tak, że musiała lewą ręką ująć poręcz krzesła. Chciała odegrać małą komedyą przed Schönau i okazać się chłodną, obojętną zupełnie w obec młodego marynarza. Ale kiedy piękne jego oczy, w których był pewien wyraz niepokoju, spotkały się z jéj wzrokiem, zapomniała natychmiast o swém postanowieniu i wyciągnęła do niego rękę, mówiąc z uprzejmym uśmiechem,—witam pana w naszym domu, kochany panie Schmidt,—jak gdyby nie było na świecie piękniejszego nad to nazwiska.

On ujął jéj rękę i przemówił słów parę, które na wpół tylko zrozumiała. Zwróciła się znowu ku Schönau, ale tego już nie było—śmieléj już zatém mówić daléj mogła.

— Jak się panu mój brat podoba?

— Bardzo.

— Tak pragnęłabym, żebyście się panowie z sobą zaprzyjaźnili,—postarasz się pan o to?

— Z całego serca.

Skłoniła się mu przyjaźnie główką i zbliżyła się do dam; Reinhold wmięszał się do towarzystwa; teraz czuł się już zupełnie swobodnym w tém obcém dla siebie kółku. Przyjęto go tu jak przyjaciela domu. Jenerał silnie uścisnął rękę jego i po pierwszych słowach powitania, z pewnym rodzajem poufałości odprowadzając go na stronę, rzekł: muszę pana najprzód zaznajomić z pułkownikiem Sattelstädt i kapitanem Schönau. Obydwaj służą w sztabie jeneralnym. Panowie ci chcą wiedzieć zdanie pańskie w sprawie portu. Proszę pana byś mówił z nimi zupełnie otwarcie—wiele mi na tém zależy.

W tymże samym interesie mam do pana osobistą prośbę—ale o tém potém.

Jak dla prostego porucznika tak poufne wyrazy bardzo już są pochlebne, pomyślał sobie Reinhold, idąc ku Elsie. A ta jakże uprzejmie, jak przyjaźnie go przyjęła. Cóż go po tém wszystkiém obchodzić mogła złota lornetka baronowéj Kniebreche, najstarszéj i najpoważniejszéj w towarzystwie osoby, która przez chwilę uporczywie mu się przypatrywała, a potém upuściła lornetkę, jak gdyby mówiąc: warto téż zachodu!

Cóż go to obchodziło, że hrabia Golm tak długo ile tylko mógł udawał, że go nie widzi, a wreszcie wybełkotał:—ah, ah, pan kapitan—bardzo mi przyjemnie!

W ogóle wszakże całe towarzystwo było dość uprzejme dla niego; panowie, prawie wszyscy wojskowi, traktowali go po koleżeńsku.

Panowie Sattelstädt i Schönau prawie jednocześnie zbliżyli się do niego i prosili, by zechciał wypowiedzieć przekonania swoje co do praktyczności, wartości i możności założenia portu na północ od Wissower Haken.

— Obydwaj znamy tę miejscowość, mówili, i obydwaj przeciwni jesteśmy projektowi temu. Pomimo to wszakże, a raczéj właśnie dla tego, chcemy wiedzieć zdanie światłego marynarza, doskonale obznajomionego z miejscowemi stosunkami, a zarazem wolnego od przesądów. Usiądziemy może w tym gabinecie, i pozwolisz pan zadać sobie kilka pytań. Nie będziemy długo męczyli pana.

Rozmowa ta jednakże nadspodzianie długo się przeciągnęła. Bystrość poglądów Reinholda, ścisłość i rozległość wiadomości jego wzbudzały podziwienie obu oficerów. Uwaga, z jaką go słuchali, pochlebiała mu naturalnie; od czasu do czasu jednakże niespokojne rzucał wejrzenie na gabinet, znajdujący się za salą. W gronie dam i mężczyzn spostrzegł tam pannę Walbach, Ottomara a wreszcie Elsę. Żywą tam, jak się zdawało, prowadzono rozmowę, któréj urywki nawet dochodziły ich uszu. Zwróciło to nareszcie uwagę kapitana Schönau, tak że się odezwał: zdaje się, że spór idzie o Wagnera; pod przewodnictwem panny Wallbach musi być mowa o Wagnerze; dałbym coś za to, by słyszéć, co ona tam dowodzi dzisiaj.

— To znaczy, jeżeli się nie mylę, odrzekł pułkownik: dałbyś coś za to, by Sattelstädt skończył nareszcie. Trzeba panu wiedzieć, że kochanką Schönau jest muzyka, dla niej gotów iść w wodę i w ogień. Ale w istocie nadużywamy uprzejmości pańskiej, panie kapitanie.

Tu powstał i podał rękę Reinholdowi, poczém wszyscy trzéj weszli na salę, a Schönau i Reinhold zbliżyli się do przeciwległego gabinetu.

Nie skończyło się wszakże na téj rozmowie. W ciągu wieczoru jenerał ze swéj strony, porozumiawszy się z pp. Schönau i Sattelstädt, zaproponował Reinholdowi, by się przyłączył do nich i swojemi wiadomościami dopomógł im do stawienia skutecznej opozycyi przeciw projektowi tak zgubnemu w ich oczach. Wezwał więc Reinholda, by piśmiennie opracował tę kwestyą i umiejętnie a dowodnie wykazał nietylko nieużyteczność, ale nawet szkodliwość kolei i portu w tych okolicach. Uważał wszakże za obowiązek sumienia przestrzedz go zarazem, że sprawozdanie to ma służyć za broń, i że może się nadarzyć konieczność wyjawienia nazwiska autora, co znowu może za sobą pociągnąć niemiłe dla niego skutki; nie tylko bowiem w ministeryum wojny, ale i w innych ministeryach, kolej ma bardzo wielu zwolenników i relacya taka z pewnością wywoła w nich powszechne oburzenie.

Reinhold wszakże nie przestraszył się tego wcale i bardzo chętnie podjął się danego sobie polecenia. Zaufanie, jakiém go obdarzył jenerał, czyniło go dumnym, a myśl, że wspólny interes łączyć go będzie z ojcem Elsy, napełniała go rozkoszą prawie. Obiecał wygotować sprawozdanie w przeciągu dni kilku. Schönau miał mu dostarczyć potrzebnych map, książek i dokumentów.

Ottomar, wróciwszy późno ze schadzki, starał się zdwojoną uprzejmością wynagrodzić nieobecność swoję. Towarzyski z natury, wesoły i dowcipny, w wielkich był łaskach tak u starszych, jak u młodszych pań—niejedna z zachwyceniem patrzała na niego, niejedna słała ciche westchnienie w jego stronę. Dzisiaj więcéj niż kiedy ożywiony, mówny i nadskakujący, zasługiwał na miano króla salonów, jakiém go obdarzyła baronowa Kniebreche.

Baronowa, wielka przyjaciółka Karli, zaraz po jéj przybyciu posadziła ją przy sobie i z chciwością dopytywała o nowiny ze świata, z którego wykluczała ją niejako głuchota; jednocześnie nie spuszczając oka z towarzystwa czyniła nad niém mniéj lub więcéj złośliwe lub dobroduszne uwagi. Ze szczególną wszakże pilnością śledziła ruchy Ottomara i podbudzała zazdrośną miłość własną Karli, zwracając uwagę jéj na uprzejmość jego względem pięknych pań. Dowiedziawszy się zaś od niéj, że jeszcze nie są narzeczeni sobie, zawołała z oburzeniem:

— Nie bierz mi tego za złe, kochana Karlo, ale powiédz mi, co sobie myślisz? Czy sądzisz, że taki Ottomar wiecznie będzie do wzięcia?

— Co pani rozkaże? spytał tenże, usłyszawszy nazwisko swoje.

— Rozkazuję, byś tu usiadł koło mnie, niewierny motylu.

— Czy są i wierne motyle?

— Dowcipkujesz pan—a mnie nie o to chodzi wcale. Jestem sobie stara pozytywna kobiéta i chcę was obojga. Gdzież się znowu podziała Karla?

Karla, korzystając ze zręczności i chcąc ukarać obojętne względem niéj zachowanie się Ottomara, wstała za jego zbliżeniem się i pośpieszyła naprzeciw hrabiego Golma, który właśnie w jéj stronę dążył.

Ottomar posępnie patrzał za nią i w milczeniu słuchał staréj baronowéj, która, uderzając go wachlarzem po ręku, prowadziła rzecz swą daléj.

— Tak, tak, kochany Ottomarze, widziałam już, jak niejedne stosunki, ściślejsze nawet niż wasze, zerwały się zupełnie. Pamiętaj więc o tém, że wszystko ma swoje granice, nawet cierpliwość towarzystwa. Jeżeli świat, znudzony oczekiwaniem, raz powie że nic z tego nie będzie, to i z pewnością nie będzie. Wszystko się tak dzieje, jak świat mówi, ludzie się kochają, żenią, nienawidzą, rozłączają, pojedynkują, itd.;—świat zawsze ma słuszność.

— A jeżeliby i co się nas tyczy miał słuszność także?

Stara jejmość spojrzała na niego z przerażeniem i zawołała:

— Mais vous êtes fou, monsieur, positivement fou!

To mówiąc, pochwyciła swój czarny wachlarz i gwałtownie zaczęła go składać i rozkładać,—wreszcie pochyliła się ku Ottomarowi tak, że ustami dotykała prawie uszu jego i rzekła:

— A ja wam powiadam, że oboje dziećmi jesteście; pan siedzisz tu jak osowiały, jak gdyby cię nieszczęście spotkało—Karla, chcąc cię rozzłościć, kokietuje hrabiego Golm. Ale nie bawcie się z ogniem! przestrzegam was. Wielki będzie skandal, jeżeli się nie pobierzecie. Najlepiéj więc zrobisz, jak się zbliżysz do Karli i w mojém imieniu powiesz jéj, że od trzech pokoleń znam hrabiego Golma, a co do tego ostatniego ich potomka, to już wolę sama jéj o nim powiedzieć.

Ottomar powstał i w istocie zrobił parę kroków ku Karli. Ona patrzała na niego w téj chwili, ale kiedy już się zbliżył, odwróciła się do niego plecami, Ottomar zatrzymał się, wykręcił na pięcie i mruknął przez zęby:

— Sama mię wyzywa. Chwała Bogu!

I wmięszawszy się do towarzystwa, był jeszcze weselszy niż wprzódy; a jednak w uszach tętniały mu wciąż słowa staréj baronowéj. Tak, miała słuszność, wiedział o tém—myślał nawet dziś jeszcze, kiedy się z Ferdynandą rozstał.

Zerwanie z Karlą wywoła zgorszenie, świat potępi go, bo cóż on wié o téj pięknéj, szlachetnéj, któréj serce tak wielką miłością biło przed chwilą jeszcze obok piersi jego, któréj namiętne pocałunki dotąd jeszcze paliły jego usta. I kogóż można z nią porównać? Karlę? co mu się nigdy tak piękną jak innym nie wydawała, a teraz w oczach jego prawdziwie brzydką była, ze swą kokieteryą, wiecznym śmiechem i ustawiczném lornetowaniem. Niech sobie idzie za hrabiego, cóż go to obchodzi, co obchodzi świat cały? Niech się dzieje co chce!—A cóż się dziać może? Wallbach wyzwie na pojedynek! Niewielka historya! Czwarty pojedynek w przeciągu czterech lat. A jeżeli go nareszcie śmierć spotka, tém lepiéj—wszystko się kończy—nie będzie długów, nie będzie i kobiét—tém lepiéj.

I co za ironia! Te cztery dziewczątka, do których się zbliżył, spełniając rolę uprzejmego gospodarza, a których wszystkie wdzięki razem wzięte nie dorównają jeszcze tamtéj jednéj wysokiéj postaci—jak gdyby szydziły z jéj nazwiska—proszą by im zaprezentował kapitana Schmidt'a. Ma to być bardzo miły, bardzo przyjemny człowiek ten kapitan Schmidt. Prosimy,—wołały—prosimy o kapitana Schmidt'a.

Ottomar obejrzał się, oczyma szukając Reinholda, i ujrzał obok siebie pułkownika swego, pana Bohl.

— Kochany Werbenie, czy możesz mi chwilkę czasu poświęcić, zapytał go tenże.

— Na rozkazy pana.

— Tylko co rozmawiałem z panem Wallbach. Nalegał bardzo na mnie, bym panu teraz dał urlop, ale pomimo najlepszéj woli nie będę mógł tego zrobić.

— Ależ nic pilnego w tém nie ma, panie pułkowniku.

— Pan się chcesz żenić, a ja nie kocham się wcale w młodych żonatych oficerach. Z całego zatém serca życzę panu powodzenia w dyplomatycznéj karyerze w Petersburgu. A przytém, kochany Werbenie....

Tu pułkownik zniżył głos.

— Chciałbym też, byś pan w dobry sposób—tu zrobił ręką znaczący ruch—łatwiéj i lepiéj załatwi się to z Petersburga aniżeli tutaj—wierzaj mi pan.

— Ale wszystko już załatwione, od dzisiaj rano.

— Wszystko?

— Prawie.

— Niechże nie będzie i tego prawie. Jego Cesarska Mość słusznie bardzo drażliwym jest właśnie w téj kwestyi. No, no, kochany Werbenie, byliśmy téż kiedyś młodzi i znamy te rzeczy. Wiesz pan także, jak bardzo się cenimy. Dlatego téż powiém panu w tajemnicy, że Wallbach, zwykle nie bardzo skory do ofiar, tą razą jednak wyjątkowo uprzejmym się pokazuje i w interesie tym z przyjemnością służyć Panu będzie. A zatém—rzecz skończona!

Pułkownik podał rękę Ottomarowi i szybko się odwrócił, jak gdyby chcąc przerwać rozmowę. Ottomar dobrze zrozumiał, co to miało znaczyć. W przyjaznéj, koleżeńskiéj formie postawiono mu ultimatum. Robiło mu się na przemian zimno i gorąco. Wypił parę szklanek wina i posunął się do gabinetu, gdzie zwykle zgromadzali się bliżsi znajomi i przyjaciele domu. I teraz było tu kilka przyjaciółek Elsy i kilku dobrych jego kolegów. Jedyną osobą zupełnie obcą w tém kółku był Golm, oparty o poręcz kanapki, na któréj siedziała Karla.

Ta, jak zwykle, rozprawiała o Wagnerze, unosząc się na zimno, sypiąc napuszonemi frazesami i wzniosłemi niby poglądami, w których wyrazy: mistrz nad mistrzami, geniusz, sztuka, estetyka przeplatały się a raczéj plątały wzajemnie, i dla ucha prawdziwego znawcy byłyby istną gmatwaniną, niemającą ani sensu, ani znaczenia. Ale towarzystwo, otaczające Karlę, niewielu liczyło znawców. Baronowa raz po raz wykrzykiwała: Zadziwiająco! pysznie! wzniośle! Młodzi oficerowie przyklaskiwali słówkom, z pięknych ust wychodzącym; panny zaś, słuchając tego wszystkiego, może podziwiały śmiałość Karli a z pewnością zazdrościły jéj trochę powodzenia jakie miała.

Baronowa postrzegła wreszcie we drzwiach Ottomara i chciała również usłyszéć pochlebne słowo jakieś z ust jego dla ulubienicy swojéj; od niego więcéj niż od kogo innego miała prawo spodziéwać się uznania dla niéj. Ale Ottomar, rozdrażniony wypadkami tego wieczora, niecierpliwie i niechętnie słuchał mowy, która nietylko nie zajmowała go, ale nawet wydawała mu się śmieszną i nudną. Zaczepiony przeto odpowiedział ostro i stanowczo, że cały wagneryanizm uważa po prostu za blagę.

Słowa te niby pękająca bomba poruszyły całe towarzystwo. Ci, co przed chwilą przyklaskiwali Karli i jéj uwielbieniu dla Wagnera, już przez samę miłość własną obruszyli się żywo na zuchwalca, który śmiał potępić to, nad czém się oni unosili. Baronowa szczególnie na dobre się rozgniewała. Karla nie raczyła wprawdzie odpowiedziéć na to bluźnierstwo i w żywą wdała się rozmowę z Gol-

mem, ale uśmiech jéj wymuszony zdradzał wewnętrzne wzburzenie. Bo też w istocie słowa Ottomara były niby rękawicą wprost jéj rzuconą. Elsa też uczuła to dobrze i w prawdziwie niemiłém znalazła się położeniu. Z miny brata widziała, że nie myśli wcale zakończyć przykréj sceny, co mu tak łatwém byłoby przy jego dowcipie owszem z ponurego wejrzenia jego i sarkastycznego uśmiechu wnioskować mogła, że postanowił doprowadzić rzecz do ostateczności, to jest do zerwania stosunku z Karlą. I to w obec tylu świadków! Ona sama przeciwna była wprawdzie temu związkowi i pragnęła, by nie doszedł do skutku, pomimo to jednak czuła niestosowność tego gwałtownego kroku brata względem Karli, która tego wieczora była taką jak zwykle i nie zasłużyła na takie obejście się.

Na szczęście, Schönau niespodzianie zjawił się obok Ottomara i skłopotanéj Elsie przyszedł z pomocą. Z właściwą sobie towarzyską giętkością i humorem nie dopuścił Ottomara do słowa i sam zaczął mówić o Wagnerze, a to z takim zapałem, taką egzaltacyą, a wreszcie z taką przesadą, że obecni zwiedzeni najprzód jego udaném uwielbieniem dla mistrza, spostrzegli wreszcie, że żartuje sobie i z niego samego i z jego wielbicieli. Takim sposobem zażegnał burzę i uwagę towarzystwa zwrócił na siebie, odwróciwszy ją od Ottomara.

Elsa odetchnęła—chcąc jednak ostatecznie załagodzić sprawę starała się późniéj namówić brata, by prowadził Karlę do stołu i grzecznością wynagrodził zrobioną przykrość. Ottomar jednak trwał wciąż w złém usposobieniu i opiérał się naleganiom siostry. Ta przeto ostatniéj użyła sprężyny i szepnęła bratu do ucha: czy pozwolisz na to, by powiedziano, że Werben ustąpił z pola przed Golmem?

Zaledwie wyrzekła te słowa, już ich pożałowała, bo czyż godziło się wprowadzać w grę próżność tam, gdzie chodziło o tak ważną sprawę. Bodziec był za silny dla miłości własnéj młodego człowieka; jak koń pod naciskiem ostrogi zerwał się, posunął naprzód i w jednéj chwili prześcignął współzawodnika.

Zająwszy w czasie wieczerzy miejsce naprzeciw Golma i Karli, z niezrównaną żywością pochwycił ster rozmowy i uczynił ją zajmującą, ciekawą, świetną; dowcipy i żarty płynęły z ust jego swobodnie i lekko, jak gdyby na sercu i umyśle nie leżał ciężar żaden. Upoił się obecną chwilą—światłem—winem, widokiem pięknych oczów i uśmiechów—i własną sztuczną wesołością. Zapomniał o ciemnym parku i pięknéj istocie, którą kochał, i groźnéj przyszłości, któréj nie umiał wytknąć przed sobą; zapomniał o wszystkiém—utonął w chwili obecnéj i znowu stosunek jego względem Karli stał się

tém, czém był dotąd—chwiejnym i nieokreślonym. Ona dobrze zrozumiała, że był to krok pojednawczy z jego strony; a przypisując sobie tryumfy jego, zaliczyła go znowu w poczet wielbicieli swoich.

Lekkomyślny charakter, światowe nawyknienia i stosunki towarzyskie a po części nawet rodzinne, popychały go do tego związku, w którym nietylko nie upatrywał wcale szczęścia dla siebie, ale nawet chwilowéj przyjemności nie widział. Osoba Karli była mu najzupełniéj obojętną; piękność jéj nie czyniła na nim żadnego wrażenia; a w charakterze i umyśle nie było nic, coby odpowiadało jego moralnym potrzebom, przeciwnie drażniła go nawet jéj lekkomyślność, próżność i chłód serca, który odczuwał bezwiednie prawie.

Natura jego była w istocie przeważnie wrażeniowa. Serce żywo biło dla wszystkiego co piękne, wszystko co szlachetne obudzało w nim zapał. Zapał ten wszakże oddziaływał przeważnie na wyobraźnią, którą rozogniał i podbudzał do uniesień i zachwytów chwilowych, nie zaś do czynów trwałych; wola wymykała się—była niby biernym widzem téj gry—nie wcielała w życie idei wymagającéj wysiłku pracy lub poświęcenia gustów i upodobań. Zdolny do czynów bohatérskich, szedł on jednak za popędem chwilowych wrażeń i jak łódź bez sternika bujał po powierzchni, dając się unosić fali życia w tę i owę stronę. Ferdynandę kochał wprawdzie, ale jéj potężna miłość przerażała go prawie; w miękkiém swém sercu nie czuł odpowiedniéj siły i namiętności. Droga, prowadząca do téj ukochanéj, trudną była do przebycia; nie miał więc odwagi myśléć o niéj, a tém mniéj wejść na nią; żył więc chwilą obecną, wszystko pozostawiając losowi. Los rozwiązał kwestyą—a rozwiązał w okropny sposób.

(c. d. n.)

LUDY PIERWOTNE

POŁUDNIOWEJ AFRYKI.

II.

Hottentoci.

Równorzędne miejsce obok Buszmanów zajmują w téj części Afryki Hottentoci. Nazwa Hottentotów została im nadaną przez holenderskich kolonistów z powodu dziwacznéj i urywanéj ich mowy; sami pomiędzy sobą nazywają się Koiu-koiu. Przewyższali oni niegdyś Buszmanów liczbą i znajdowali się na daleko wyższym stopniu rozwoju towarzyskiego; nie byli ludem myśliwskim, lecz pasterskim, co było prawdopodobnie powodem, że nie wyginęli jak Buszmani, lecz w zetknięciu z cywilizacyą europejską zmienili swoje zwyczaje, utracili charakter ludu pierwotnego i pomięszali się częściowo z białymi.

Byli oni od pierwszéj chwili narażeni na prześladowanie ze strony osadników, którzy przywłaszczali sobie ich bydło, a właścicieli chwytali i zamieniali na niewolników. Ponieważ mężczyzni stawiali opór, padali ofiarą przemocy, a do niewoli dostawały się przeważnie kobiéty i dzieci, co było powodem wytworzenia się rasy mieszańców. Męszali się Hottentoci i z czarnymi murzyńskiego pochodzenia, którzy w XVII i XVIII wieku w wielkiéj liczbie do kolonii sprowadzani, tytułem kupna, na własność osadników przechodzili. Następstwo tych stosunków towarzyskich było takie, że w miejsce wytępionych Hottentotów wytworzyła się w kolonii ludność kolorowych, powstała z pomięszania się Europejczyków

z Hottentotami, ze znaczną przymieszką krwi murzyńskiéj. Wszyscy ci kolorowi bywają obecnie w kolonii nazywani Hottentotami; można rzeczywiście napotkać między nimi niekiedy czyste typy hottentockie, ale przybrali oni bez wyjątku europejski sposób życia i mówią po holendersku.

Gdy w roku 1838 rząd angielski zniósł niewolnictwo w kolonii, wszyscy niewolnicy opuścili swoich panów i rozbiegłszy się po kraju osiedli przeważnie po małych miasteczkach, gdzie się trudnią rzemiosłami, albo wyrobnictwem. Znaczniejsza ich liczba zgromadziła się na północy od rzeki Gariepu, w kraju Grikwa, gdzie wytworzyli społeczeństwo niezawisłe, zostające obecnie pod naczelnictwem Waterboera; nazywają się oni sami pomiędzy sobą Grikwa, są posiadaczami bydła, mówią po holendersku i twierdzą sami, że są mięszańcami. Nieliczne gromady Hottentotów w pierwotnym stanie przechowały się w kolonii tylko w zachodnio-północnéj stronie, po jałowych i skalistych równinach kraju Namakwa i okolic sąsiednich; daleko więcéj Hottentotów można napotkać na północ od rzeki Gariepu, dokąd emigracya białych dopiéro z początkiem bieżącego stulecia się rozpoczęła, a w kraju Grikwa mieszka obok wzmiankowanych powyżéj mięszańców plemię hottentockie z rodu Koranna. Musiało ono być niegdyś bardzo liczném i zajmować znaczniejsze obszary, jak tego dowodzą nazwiska miejscowości oddalonych od ich dzisiejszych siedzib, np. Korannaberg, Korannaspruit i t. d. W ogóle jednakowoż liczba czystych Hottentotów jest obecnie dosyć mała i zwiększa się jedynie ku zachodowi, gdzie w kraju Damara Hottentoci mieszkają wspólnie z czarnymi, należącymi do rodziny Kafrów.

Znamiona fizyczne, wymienione powyżéj, — jako charakteryzujące plemię Buszmanów, są wspólne i Hottentotom; istnieje oprócz tego i powinowactwo w ich językach i przemawia zatém, że oba ludy są z sobą blizko zpokrewnione i że w odległéj starożytności jednę może stanowiły całość. Ale w obecnym stanie rzeczy Hottentoci odznaczają się niektóremi im właściwemi znamionami, a pokrewieństwo językowe ogranicza się jedynie do wspólności głosów mlaskających, w skutek czego Buszmanów i Hottentotów za samodzielne ludy uważać wypada.

Przypatrzmy się zblizka tym różnicom. Hottentoci różnią się przedewszystkiém od Buszmanów lepszym wzrostem, Fritsch podaje ich średnią miarę, obliczoną według dziesięciu indywiduów, na 1.604 millimetrów, a zatem o 270 millimetrów więcéj od średniego wzrostu Buszmanów. Różnica ta jest tém ważniejszą, że zboczenia od średniéj miary poruszają się w dość szczupłych granicach, a przypadki

bardzo nizkiego wzrostu należą u Hottentotów do rzadkości. Odznaczają się oni w ogóle lepszą budową ciała a w porównaniu z chudotą Buszmanów możnaby ich nawet posądzić o skłonność do otyłości, co jednakowoż może być prostém następstwem lepszego życia. Ich budowa jest dość proporcyonalną a ręce i nogi równie drobne i kształtne, jak u Buszmanów. Anatomiczna budowa czaszki odpowiada w zupełności czaszce u Buszmanów, należą oni do ludów długo i niskogłowych; Dawis znalazł u nich rozmiary wysokości i szerokości cokolwiek korzystniejsze, jak u Buszmanów, ale liczb jakie podaje, nie można żadną miarą przyjmować za zasadę, bo ilość czaszek, na których robił spostrzeżenia, jest bardzo małą.

W budowie twarzy nie różnią się prawie niczém od Buszmanów, czoło ich jest również słabo rozwinięte; nos mały i przy podstawie zaklęknięty, ginie pomiędzy szerokiemi i wystającemi kośćmi policzkowemi; wargi zlekka wyrzucone, broda śpiczasta, oczy małe i czarne, zdaléka od siebie osadzone, włosy również w kosmykach kutnerowatych zrzadka rozrzuconych, pomiędzy któremi prześwieca naga skóra. U mężczyzn można częstokroć napotkać na brodzie lekki zarost, którego nie ma na reszcie ciała. Włosy Hottentotów są tak silnie spłaszczone, że na poprzeczném przekroju, oś krótsza ma się do dłuższéj jak 50 do 100. Podobny stosunek napotykamy tylko u Papuanów na Nowéj Gwinei, u których zresztą i kosmykowaty porost się powtarza. Barwą ciała nie różnią się Hottentoci zupełnie od Buszmanów; jest ona brudno żółta, a w ogóle dość jasna.

Znamiona drugorzędne u kobiet hottentockich występują nieco w odmiennéj postaci. Nie znaleźli co prawda u nich anatomowie, tak samo jak i u Buszmanów, żadnéj różnicy pomiędzy szkieletem mężczyzny i kobiety, ale piersi młodéj Hottentotki rozwijają się w ten sam sposób, jak u ludów europejskich i tylko w stanie macierzyńskim ulegają tak potwornemu wydłużeniu, że kobieta, trzymająca dziecko na plecach, pierś przez ramię albo pod pachą do ssania mu podaje. Skłonność do steatopygii jest jeszcze silniéj rozwiniętą, jak u Buszmanów, a części ciała nią dotknięte przybierają niekiedy zastraszające rozmiary.

Widzimy tedy, że Hottentoci zgadzają się z Buszmanami zupełnie pod względem budowy czaszki, postaci włosów, barwy ciała i steatopygii, ale różnią się lepszym wzrostem i silniejszym rozwojem znamion drugorzędnych u kobiét. Peschel przypuszcza, że nizki wzrost Buszmanów jest może prostém następstwem wczesnego zawierania małżeństw i niedostatecznego pożywienia, co gdyby rzeczywiście prawdą było, różnice fizyczne pomiędzy obydwoma ludami zostałyby sprowadzone do bardzo małych rozmiarów, a wówczas za

ich odrębnością przemawiałby, oprócz sposobu życia, głównie język, o którym wspomnimy za chwilę.

Wrażenie jakie widok Hottentota sprawia na Europejczyku jest w ogóle dość niekorzystném. Twarz Buszmana ma nieraz wyraz zwierzęcy, ale w oczach jego widać bystrość umysłu, która w charakterze dzikiego człowieka występuje przedewszystkiém pod postacią chytrości i podstępu. W twarzach Hottentotów widać daleko częściéj głupowatą bezmyślność i zobojętnienie, a objawy inteligencyi są u nich rzeczywiście bardzo rzadkie. Ażeby jednakowoż nie być posądzonym o jednostronność muszę nadmienić, że te szczegóły odnoszą się do Hottentotów z rodu Koranna w kraju Grykwa, znajdujących się w stanie upadku, a w okolicach zachodnich, gdzie ich jest znacznie więcéj, objawy niedołęztwa mogą być mniéj rażące.

Daleko więcéj różnią się Hottentoci od Buszmanów pod względem sposobu życia. Użytek ubrania jest u nich rozpowszechnionym od najdawniejszych czasów; już pierwsi Europejczycy, którzy zawitali na tutejsze brzegi, znaleźli Hottentotów odzianych w skóry zwierząt dzikich, albo swojskich, co każe się domyślać, że uczucie wstydu nie było im obcém. Ci, którzy żyją w blizkości osad białych, używają obecnie przeważnie stroju europejskiego; mieszkający w pustyni ubierają się i teraz w skóry owcze, ale starają się o nadanie im pewnéj odpowiedniéj formy. Zwyczajny ubiór składa się z fartucha przepasanego przez biodra i płaszcza zarzuconego przez plecy; ważną jest zapewne i ta okoliczność, że nie używają skór zupełnie surowych, lecz czyszczą je na wewnętrznéj stronie i wyprawiają prawdopodobnie za pomocą glinki pomięszanéj z tłuszczem. Nie chodzą boso, lecz używają skórzanych sandałów własnego wyrobu. O téj części ubrania wspomina już Sir Thomas Herbert, który w roku 1626 na czele angielskiéj floty zawinął do Przylądka Dobréj Nadziei; mówi on, że wszyscy Hottentoci mieli sandały, ale trzymali je w ręku, ażeby mogli łatwiéj kraść nogami, bo kradli wszystko, co w palce od nóg ująć zdołali. Obecnie należy do niezbędnych części ich ubioru, chustka kolorowa, którą obwiązują głowę. Zdaje się, że brak téj chustki bywa uważanym przez kobiéty hottentockie za wielką nieprzyzwoitość, bo nie dadzą się niczém nakłonić do zdjęcia jéj z głowy.

Zamiłowanie do ozdób jest obecnie u tego ludu bardzo wielkie, i zdaje się, że używają ich oddawna. Herbert wspomina, że Hottentoci, których widział, nosili na szyi dla ozdoby wysuszone jelita zwierzęce a w uszach guziki, gwoździe, kółka od ostróg i tym podobne przedmioty. Nabywali je od kolonistów i płacili za nie bar-

dzo drogo. Mereński twierdzi, że w początkach XVII wieku Holendrzy kupowali od Hottentotów wołu za cztery kawałki blachy miedzianéj i trzy kawałki takiegoż drutu, po trzy stopy długości. Nabywają oni i teraz ozdoby od podróżujących handlarzy, rozumie się po zmienionych cenach, a użytek mosiężnych kolczyków, pierścionków, bransoletek i paciorek jest u nich ogólnym.

Mieszkania ich odznaczają się nadzwyczajną prostotą, zastosowaną do sposobu życia: mają one postać półkulistą i składają się z drewnianych obręczy wbitych w ziemię, do pokrycia których używają obecnie starego płótna żaglowego, porzuconych mat, tektury albo blachy. Mieszkania te są wysokie na pięć stóp a obszerne na dziewięć do dziesięciu i dostarczają dość dobrego schronienia przed upałem słonecznym ale nie chronią przed deszczem. Zdaje się, że w pierwotnym stanie do nakrycia obręczy drewnianych używali skór zwierzęcych. W porównaniu z czystemi i wymuskanemi chatami kafrów budy hottentockie robią wrażenie nędzy, do czego przyczynia się okropne niechlujstwo, jakie wewnątrz panuje, nie można jednakże właścicieli ich potępiać z powodu niedbałéj budowy, bo Hottentoci są ludem koczowniczym; zmuszani do częstéj zmiany miejsca pobytu stawiają chaty tak, ażeby się dały z łatwością rozebrać i umieścić na grzbiecie ich zwierząt.

Hottentoci są ludem pasterskim, a już pierwsi marynarze, którzy zawinęli na tutejsze brzegi, zastali ich w posiadaniu wielkich trzód bydła i owiec, a koloniści nabywali od nich ten towar za bezcen: kupowali naprzykład wołu za kilka łutów tytuniu, a Hottentoci byli przy tém tak uczciwymi, że gdy sprzedane bydlę przypadkiem uciekło, zwracali przedmiot nabyty, dopóki szkoda nie została powetowaną. Gdy w kilkadziesiąt lat potém stosunki się zmieniły, koloniści uważali za dowód bezczelności, gdy krajowcy ośmielali się żądać za wołu zwitek tytuniu, długi od rogów do końca ogona.

Mléko zwierząt domowych służy im do dziś dnia za pożywienie, ale jedzą i mięso zabitych zwierząt. Kafrowie nazywają ich „Amalau“, a Fleming twierdzi, że nazwa ta oznacza ludzi, co wolą zabijać bydło, zamiast je chować, i wyraża oburzenie gospodarnych, oszczędnych Kafrów na takie marnotrawstwo. Używają i pożywienia roślinnego; kobiéty ich kopią korzenie i zbierają owoce, a na zachodnich brzegach u ludu Namakwa, napotykano nawet ślady uprawy ziemi. Nie gardzą oni i polowaniem, gdy się im do tego nadarzy sposobność. Dawniéj używali oprócz łuków i strzał zatrutych, assagai; obecnie znajdują się w posiadaniu broni palnéj. Do przesadnych podań, głoszonych o tym ludzie przez różnych podróżników, wypada zaliczyć niedorzeczne podanie Herberta, jakoby rozkopywali

groby kolonistów i zjadali nadpsute ciała; możemy twierdzić z wszelką pewnością, że ani Buszmani, ani Hottentoci nie byli nigdy ludożercami i zdaje się, że groby rozkopane przez hyeny, stały się powodem powyższego podania.

Zawód pasterski nie o wiele lepiéj sprzyja rozwojowi życia rodzinnego i towarzyskiego, jak myśliwski, a szczegóły podawane przez dawniejszych podróżników o pierwotnych stosunkach Hottentotów brzmią bardzo niekorzystnie. Okolice zajmowane przez nich pokrywają się tylko w jednéj porze roku, i to nie na długi przeciąg czasu, nieco bujniejszą roślinnością i zaopatrują trzody dostatecznie w pożywienie; przez trzy części roku brak paszy zmusza ich do ciągłéj zmiany miejsca pobytu. W okolicach zachodnich brak wody tworzy inną wielką przeszkodę i przymusza ich również do odbywania dalekich podróży. Nadto sam rodzaj zatrudnienia stawał zawsze na przeszkodzie umoralnieniu tego ludu, bo jednostki strzegące bydła z rodzinami swemi mało się stykały, a pobyt pod gołém niebem, połączony z wielu przykrościami, mógł tylko przyczynić się do podniesienia wrodzonéj dzikości charakteru. Prawie wszystkie zbrodnie Buszmanów napotykamy i między Hottentotami. Herbert wspomina z oburzeniem, że starców i chorych porzucają po miejscach niedostępnych, gdzie zostają pożarte przez dzikie zwierzęta. Sparmann i Levaillant—że zabijają niemowlęta odumarłe przez matkę, albo, gdy kobiéta powije bliźnięta, jedno z nich zostaje zawsze zgładzoném. Inni twierdzą, że mężczyzni obchodzą się źle z kobiétami a rodzice z dziećmi. Misyonarze pracujący obecnie pomiędzy tym ludem wydają mu daleko lepsze świadectwo i szczegóły powyższe uważają za wyjątkowe.

Poligamya istnieje u nich w zasadzie, ale w rzeczywistości zdarza się bardzo rzadko i zdaje się, że przy zawieraniu małżeństw obchodzą się bez kupna. Unikają również starannie związków w bliższém pokrewieństwie.

Umiérających wstrząsają silnie i robią im głośne wyrzuty, że opuszczają swoich. Umarłym układają ręce na piersiach na krzyż, głowę wsuwają między ramiona, nogi zginają w kolanach i przysuwają do tułowu i chowają w grobach z otworem z boku, zawinąwszy ciało w rogoże, albo obwiązawszy sitowiem, poczém opuszczają natychmiast miejsce, gdzie pochowali jednego ze swoich. Kobiéty ob cinały dawniéj na znak żalu po mężach wierzchołek małego palca.

Są lubownikami tańca połączonego ze śpiewem, w którym bierze udział kilka osób, zarówno mężczyzni jak i kobiéty. Kolbe twierdzi, że w śpiewie tym można było zawsze rozróżnić wyrazy

hotten-totum-brokwa, zkąd miała powstać nazwa nadana tym ludom przez kolonistów.

Różnie brzmią podania badaczów o charakterze Hottentotów. Herbert przypisuje im charakter dziecinny i skłonność do złodziejstwa. Jezuita Tachart uważa ich za poważnych i rozumnych a Kolbe stara się oczyścić ich od wielu zarzutów i twierdzi, że są uczciwi, wierni, skromni, litościwi i dobrzy służący, chociaż przyznaje, że są skłonni do lenistwa i do mściwości. Trudno orzec, co w tych opisach zasługuje na wiarę, a co jest przesadą, gdyż nie podlega najmniejszéj wątpliwości, że charakter tego ludu uległ niemałym zmianom w zetknięciu z cywilizacyą. Podam kilka szczegółów, na które sam patrzyłem. W kraju Grykwa, około miejscowości Kimberley, gdzie w ciągu ostatnich sześciu lat zbiegło się z powodu otwarcia kopalni dyamentów na małym obszarze ziemi blizko 50.000 ludzi, widywałem często Hottentotów z rodu Koranna. Odznaczają się oni przedewszystkiém lenistwem, bo podczas kiedy łatwość zarobku przyciąga tutaj ze wszystkich stron południowéj Afryki niezliczone gromady Kafrów, którzy ciężko pracują w kopalni, nie zdarzyło mi się nigdy napotkać Hottentota zajętego tą pracą. Znajdują się oni obecnie w posiadaniu bydła, trzymają mianowicie kozy i krowy, a kobiéty ich przynoszą od czasu do czasu na targ mléko w flaszkach, za które sowitą otrzymują nadgrodę. Skłonność do pijaństwa jest im wrodzoną, i zdaje się, że większą część zyskanych piéniędzy pozostawiają w szynkowniach, bo napotykałem ich nieraz w stanie pijanym, a widok kobiét tańczących w szalonych podskokach po drodze, z niemowlęciem przywiązaném przez plecy, był odrażającym. Zupełny brak zmysłu zachowawczego uważam za ogólną ich cechę. Nie zdarzyło mi się nigdy widziéć w Kimberley pijanego Kafra, chociaż było ich tutaj 15.000, bo Kafer, gdy otrzyma zapłatę, wydaje tylko tyle, ile potrzeba na zakupno pożywienia, a resztę chowa przed własném i cudzém okiem, składając tak długo, dopóki nie znajdzie się w możności kupienia strzelby, albo żony. Przeciwnie Hottentot żyje z dnia na dzień, nie myśli o tém, co będzie jutro, goni za chwilową rozrywką i przepija ostatnią koszulę, gdy się zdarzy sposobność. Odznaczają się oni nadzwyczajném niechlujstwem, pochodzącém nie tyle może z lenistwa, ile z upośledzenia umysłowego, bo widziałem Hottentotki, które, myjąc ręce, w miejsce mydła nawozu krowiego używały.

Nałóg pijaństwa rozpowszechniony pomiędzy Hottentotami przyczynił się niemało do ich upadku moralnego i materyalnego. Gdy rząd angielski po zajęciu kolonii rozciągnął opiekę nad pierwotnymi krajowcami, a systematyczne rozbójnictwo prowadzone przez dwa

wieki przez białych osadników siłą zostało powstrzymane, ci ostatni zdobyli się na inny sposób wyzyskiwania Hottentotów. Udawali się oni w głąb' kraju pod pozorem handlu zamiennego, ale jedynym przedmiotem zamiennym, jakiego używali, była wódka, za którą niedołężni Hottentoci oddawali swoje bydło, w skutek czego w wielu miejscowościach do najwyższéj zostali doprowadzeni nędzy, a w ślad za nią poszedł i upadek moralny. Hottentoci wyrabiali od najdawniejszych czasów z miodu dzikich pszczół pewien napój odurzający, który wysoko cenili, a przejęli z chciwością od białych zwyczaj palenia tytuniu, a od Kafrów dachę. Nic dziwnego, że opilstwo, znalazłszy już grunt przygotowany, z szybkością się rozpowszechniło. Wódka odgrywała najważniejszą rolę przy wszystkich układach prowadzonych z kolonistami, a środek ten był nawet protegowany przez rząd. Van Riebeek, pierwszy holenderski gubernator w kolonii (r. 1652—1662), opowiada, że w święto wniebowzięcia Matki Boskiéj w r. 1660, wystawiono w Cape Town, przed samém kazaniem, dla użytku krajowców baryłkę wódki z arakiem, którą okropnie się popili i najdziwniejsze potém miny stroili.

Kolbe a za nim i inni podróżnicy wspominają, że Hottentoci znali sposób topienia rudy żelaznéj i kuli z niéj wszystkie potrzebne przybory. Sprzeciwia się temu twierdzeniu ta okoliczność, że zakupywali z chciwością od białych przybyszów metalową blachę i drut, w skutek czego przypuszczam, że znajomość téj sztuki przejęli od Kafrów, którzy ją do dziś dnia w wysokim stopniu posiadają, ale zastosowanie jéj musiało być bardzo ograniczone. Z drugiéj strony pewną jest rzeczą, że Hottentoci w kraju Namakwa, obfitującym w kruszce, zajmowali się od niepamiętnych czasów topieniem rudy miedzianéj i jéj przerabianiem, co nadaje im stanowczą wyższość nad Buszmanami. Zresztą pierwotni podróżnicy znaleźli ich w posiadaniu naczyń glinianych i robót koszykarskich; wyroby z drzewa były bardzo pospolite, a wspominają także podróżnicy i o użytku kamienia na ostrza strzał i noże.

Zdaje się, że oni wynaleźli sposób przyuczania wołów do jazdy. W tym celu dziurawią młodemu zwierzęciu nozdrza i zakładają w otwór pierścień miedziany, albo kawał rzemienia. W czasie podróży przenoszą cały swój dobytek na grzbietach tych zwierząt, a użytek ich do jazdy wierzchem jest obecnie rozpowszechniony w kraju Damara i Basuto.

Język Hottentotów jest spokrewniony z językiem Buszmanów za pomocą głosów mlaskających, ale podczas gdy w ostatnim jest takich głosów sześć, pierwszy ma ich tylko cztery, w skutek czego nie przedstawia tak wielkich trudności mechanicznych, a Hottentoci mó-

wią w ogóle z łatwością, płynnie i wyraźnie. Brakuje im przedewszystkiém mlaśnięcia wargowego i gardłowego. Pomimo to nauczenie się tego języka przedstawiało niezwalczone trudności białym przybyszom, a pierwszym, który je pokonał, był Georg Friderych Wreede, Holender czy Niemiec, który w roku 1659 przybył na Przylądek Dobréj Nadziei jako żołnierz i wkrótce zawładnął tak dokładnie językiem krajowców, że przez długie lata potém pełnił obowiązki tłómacza przy kompanii holenderskiéj. Miał on ułożyć słownik i gramatykę tego języka, które jednak w Europie zaginęły.

Późniejsze badania wykazały jednakowoż, że język hottentocki oprócz głosów mlaskających i kilku wyrażeń przejętych w skutek wzajemnego stykania się obu ludów nie ma nic wspólnego z Buszmańskim. Ustrój języka hottentockiego stawia go daleko wyżéj od buszmańskiego; rozróżnia on przedewszystkiém rodzaje, co filologowie uważają za ogromny postęp w rozwoju każdego języka. Należy on do języków fleksyjnych i wytwarza formy gramatykalne przez zmianę końcówki; tak np. mężczyzna znaczy Koib, mężczyzni koi-gu; kobiéta ko-is; mają nawet wyraz na oznaczenie ludzkości, a istnienie pojęcia oderwanego w tym języku jest wymownem świadectwem wysokiego rozwoju umysłowego ludu, którego jest własnością.

Co do jego budowy misyonarz Moffat zrobił pierwszy spostrzeżenie, że przedstawia pewne podobieństwo ze staroegipskim, a teoryą tę popiérali w ostatnich czasach Lepsius, Pruner-Bej i Max Müller. Dr. Bleeck nie zaprzecza językowi temu podobieństwa ze staroegipskim i koptyjskim, w budowie form widzi nadto pokrewieństwo z językami semickiemi. Ale o pokrewieństwie języka hottentockiego z północno afrykańskiemi powątpiewają inni uczeni, jak Gabeleуz, Pott i Fryderyk Müller. Znakomity filolog Martin Haug, uderzony jego zaletami, przypuszcza, że mógł je osięgnąć jedynie w zetknięciu z jakimś wysoko ucywilizowanym narodem. Peschel powątpiewa w możebność takiego zetknięcia się u Hottentotów, bo sprzeciwia się temu ich rozsiedlenie i obecne stosunki centralnéj Afryki, i twierdzi że dzikie ludy są w stanie nadać wysokie wykształcenie swojemu językowi, bo np. towarzyskie stosunki środkowéj Europy za czasów Tacyta nie stały z pewnością wyżéj od hottentockich a pomimo tego język ówczesny znajdował się już na wysokości aryjskich języków. Na poparcie twierdzenia Peschla mógłbym dodać tylko tyle, że pod względem bogactwa form gramatykalnych najwyżéj niezaprzeczenie stoi język pierwotnych krajowców Australii, którzy są ludem myśliwskim i pod wieloma względami stoją niżéj od Buszmanów.

Wiadomości nasze o religii Hottentotów przedstawiają tyle sprzeczności, że niepodobieństwem jest dojść do ładu wśród tego chaosu. Podczas gdy jedni odmawiają im zupełnie religii, inni przypisują im znajomość jedynego Boga, wiarę w nieśmiertelność duszy, świadomość złego i dobrego pierwiastku itd. Ograniczę się do przedstawienia kilku faktów, według podań zasiągniętych na miejscu. Dzicy Hottentoci, którzy nie mieli dotąd sposobności stykania się z misyonarzami, oddają cześć księżycowi i odbywają podczas pełni pewien rodzaj uroczystości religijnéj, złożonéj ze śpiewu i tańców. Oprócz tego wyprowadzają dobre lub złe wróżby ze spotkania się z mantisem, a koloniści nazywają to zwierzątko bogiem hottentockim (Hottentotsgod). Używają amuletów a jeden z ich czarodziejów znajdował się przed kilku laty w posiadaniu amuletu, który nie był niczém innéin, jak olbrzymim dyamentem, ważącym 83 karaty, a kupiony przez podróżującego handlarza za wóz z pełnym zaprzęgiem wołów, został sprzedany w Anglii za 11.000 funt. szter. i dał powód do otwarcia niewyczerpanéj kopalni dyamentów w Kimberley; użytek amuletów wypada uważać za zabytki fetyszyzmu, który w pierwotnych czasach był wspólną religią Buszmanów i Hottentotów.

Oprócz tego napotykamy u Hottentotów wyraźne ślady czci umarłych, a sposób grzebania, mianowicie tę okoliczność, że nadają ciału to samo położenie jakie miało w łonie matki, uważa Peschel za niezbity dowód ich wiary w życie po śmierci, a może nawet w zmartwychwstanie ciał.

Niektórzy misyonarze twierdzą, że Hottentoci wierzą w jednego Boga, którego nazywają U-Tiko, a nazwa ta została przeniesioną przez misyonarzy do języków kaferskich, które nie posiadają wyrazu na oznaczenie najwyższéj istności. Przyjrzyjmy się zblizka, jaka jest geneza tego pojęcia, Hottentoci z rodu Koranna czczą pamięć jakiegoś naczelnika, którego nazywają Czui-Ckoab. Podania o nim są sprzeczne i niejasne. Samo wyrażenie oznacza w ich języku dosłownie „zranione kolano.“ Miał to być wielki naczelnik, czy czarodziéj, który raniony niebezpiecznie w kolano sam się cudownie wyleczył; późniéj zasłynął ze swoich przymiotów po całym kraju a po śmierci stał się przedmiotem czci religijnéj. Misyonarz Appleyard, który pełnił obowiązki swoje długo pomiędzy tymi Hottentotami i znał doskonale ich język, bo tłómaczył nań różne części pisma świętego, utrzymuje, że nazwa U-Tiko powstała u sąsiednich plemion z nazwy Czui-Ckoab; jakoż w tłómaczeniach swoich używa on wszędzie tego ostatniego wyrazu na oznaczenie Boga, między innemi zaraz w piérwszym wierszu Credo.

Oprócz tego czczą Hottentoci innego bohatéra, którego nazywają Heici-Eibib. Ustawiają dla pamięci jego w pustyni stosy kamienne i urządzają na cześć jego śpiewy i tańce, a Hottentoci Namakwa mówią o swoich współbraciach z pustyni „już nie tańczą," albo „tańczą jeszcze," co znaczy, że są już chrześcianami, albo trwają jeszcze w pogaństwie. Ponieważ opowiadają o tym Heici-Eibibie, że kilka razy umarł i znowu powrócił do życia, przeto zdaje się, że jest on postacią mityczną, po prostu personifikacyą księżyca.

Kolbe, a za nim i inni pisarze twierdzą nareszcie, że Hottentoci czczą bóstwo złe i dobre; Mereński wspomina, że złe bóstwo nazywają Cui-kwaw, co nie różni się w zasadzie niczém od Czui-Ckeab, a w skutek tego istnienie dualizmu religijnego u pierwotnych Hottentotów jest więcéj aniżeli wątpliwém, a odpowiednie pojęcia powstały prawdopodobnie dopiéro pod wpływem misyj chrześciańskich.

W tén sposób religia Hottentotów przedstawia obok wyraźnych śladów fetyszyzmu dość silnie rozwiniętą cześć umarłych i zajmuje pośrednie miejsce pomiędzy religijnemi pojęciami Buszmanów i Kafrów. Mają Hottentoci tak samo jak Buszmani swoich czarodziejów, których zakres czynności odnosi się głównie do leczenia chorób, robienia wróżb i sprowadzenia deszczu. Zdaje się, że używają oni u tego ludu większego poważania, niżeli u Buszmanów, a wiara w ich potęgę jest więcéj utrwaloną. Chorób i śmierci nie uważają Hottentoci za zjawiska naturalne, lecz za wywołane nadzwyczajnemi przyczynami, i wierzą w to silnie, że za pomocą nadzwyczajnych środków zapobiedz im można. Z tego powodu niezawsze oglądają się na swych czarodziejów, lecz probują szczęścia na własną rękę, a obawa przed oczarowaniem była u nich nieraz powodem prześladowania jednostek przez własne towarzystwo.

Literatura ich zdaje się być dosyć bogatą, ale mało znaną. Dr. Bleeck, który zajmował się także badaniem tego ludu, ogłosił w niemieckim przekładzie zbiór podań i opowieści hottentockich, które charakterem swoim zbliżają się do buszmańskich. Zamiłowanie do malarstwa nie rozbudziło się w nich wcale, ale podróżnicy przypisują im dość wiele uzdolnienia muzykalnego, które objawia się poczuciem taktu i trzymaniem głosu w śpiewie. Ich narodowy instrument muzykalny tak zwana „gora" jest po prostu łukiem, jaki widzieliśmy u Buszmanów, ale udoskonalonym przez dodanie dudki z pióra, albo z kawałka trzciny, w którą grający dmie ustami.

W tym stanie rzeczy stoją Hottentoci niezaprzeczenie wyżéj pod wieloma względami od Buszmanów. W chwili odkrycia tej części Afryki przez Europejczyków byli oni przedewszystkiém lu-

dem pasterskim; co pozwalało im, a nawet przymuszało ich poniekąd do łączenia się w większe gromady, w skutek czego i stosunki towarzyskie stały w nich daleko wyżej, a przechowujące się pomiędzy nimi podania pozwalają się domyślać istnienia słabych zawiązków państwowych.

Polegały one na wzajemném łączeniu się pojedyńczych gromad pod wspólnym naczelnikiem, celem obrony albo napaści na narody sąsiednie. Znali wyrób i użytek miedzi, a zatém pod względem rozwoju historycznego należeli do epoki brązowéj. Język ich przewyższa również rozwojem swoim język Buszmanów. Pod jednym względem stoją Hottentoci niezaprzeczenie niżej od Buszmanów, brakuje im zmysłu estetycznego, który u tych ostatnich tak silnie się rozwinął, ale ten objaw wypada uważać u Buszmanów za wyjątkowy, nadający im pewną wyższość nad wszystkiemi innemi ludami południowej Afryki.

Jeżeli upadek narodu buszmańskiego i jego szybkie niknięcie było przeważnie następstwem ich sposobu życia i niekorzystnego ustroju społecznego, to o Hottentotach można śmiało twierdzić, że upadek swój zawdzięczają wyłącznie europejskim osadnikom. Prawie wszyscy podróżnicy przedstawiają charakter tych ludzi w bardzo niekorzystném świetle i zgadzają się, twierdząc, że oni okrucieństwem swojém przyczynili się najwięcej do upadku czarnych. Przypatrzmy się historycznemu rozwojowi południowo afrykańskich kolonij i stosunkowi osadników do krajowców.

W chwili odkrycia tej części ziemi przez Europejczyków rzeczywistymi jego panami byli Hottentoci. Przewyższali oni Buszmanów liczbą i znajdowali się w posiadaniu bogatych trzód bydła, które byt im zapewniało. W tym stanie znalazł ich już Bartholomeo Diaz, gdy przybył do tutejszych brzegów w r. 1486 i z tego powodu nazwał jedno z miejsc, na którém wylądował, przystanią pasterzy (Angra dos Vaqueiros). Ale wrażenie, jakie ta część ziemi zrobiła na pierwszych podróżnikach, było tak niekorzystném, że przez półtora wieku nikt się o nich nie troszczył, a to tém więcej, że w czasach, kiedy nienasycona chciwość była jedyną pobudką do urządzenia wypraw zamorskich, oczy całego świata były zwrócone na bogactwa Ameryki i Indyi. Dopiéro kiedy Holendrzy stali się wyłącznymi panami tego ostatniego kraju, holenderska kompania wschodnio-indyjska uznała za stosowne zająć Przylądek Dobrej Nadziei, gdzie dwie obszerne zatoki dostarczały doskonałego punktu oparcia dla ich okrętów podróżujących do Indyi. Wysłany przez kompanią Jan Van Riebeek zajął w r. 1652 Przylądek Dobréj Nadziei w posia-

danie kompanii, wybudował na brzegu fortecę i rozpoczął uprawę ziemi.

Osadnicy, których przywiózł, znajdowali się w służbie kompanii, mieszkali tuż przy zatoce i uprawiali ziemię wyłącznie dla wygody okrętów. Zdaje się, że stosunek ten nie był im na rękę, bo w pięć lat potém, to jest w r. 1657 dziewięciu z nich wyprosiło sobie od gubernatora pozwolenie udania się w głąb' kraju i uprawiania ziemi na własną rękę. Taki był pierwszy zawiązek kolonii a tych dziewięciu osadników wypada uważać za praojców holenderskiéj ludności w południowéj Afryce. Liczba ich wzmogła się jednak wkrótce przez uciekających z okrętów marynarzy, jak świadczą akta urzędowe Holendrów, Duńczyków, Niemców i Portugalczyków.

Ażeby ocenić moralny stan takiego społeczeństwa, potrzeba przedewszystkiém znać charakter ludzi, którzy mu dali początek. Byli to bez wyjątku zbiegli ze służby marynarze. Kto miał sposobność dłuższego przebywania w miastach portowych i odbywania podróży na okrętach należących do różnych narodowości, przyszedł mimo woli do tego przekonania, że marynarze zajmują najniższe stanowisko w społeczeństwie ucywilizowaném; zmudne życie i ciężka praca na okrętach, nie sprzyjają rozwojowi zalet towarzyskich i przyczyniają się tylko do zwiększenia dzikości charakteru i złych nałogów, a dzisiejsi marynarze odznaczają się w ogóle samolubstwem gburowatym i porywczym charakterem, lekceważeniem przełożonych i niechęcią ku obcym, a wady występują najsilniéj pomiędzy marynarzami angielskiego i holenderskiego pochodzenia. Jasną jest rzeczą, że przed dwoma wiekami stosunki te musiały być daleko gorsze, bo ogólna moralność ówczesna stała daleko niżéj, a w czasach, kiedy wyprawy zamorskie były daleko niebezpieczniejsze a służba okrętowa cięższą, tylko wyrzutki społeczeństwa lub umysły awanturnicze puszczały się w charakterze marynarzy na morze.

Jakoż pierwsi koloniści przedstawiali pod względem moralnym stan bardzo smutny, a cały ciężar ich złych przymiotów obrócił się na niekorzyść krajowców. Ażeby zaspokoić chwilowe potrzeby, wyłudzali od nich, albo zabierali im przemocą bydło, przymuszali do pracy, a wrazie oporu mordowali bez litości. Nietrudno zrozumieć następstwa takich stosunków. Niedołężni krajowcy, pozbawieni środków obrony, ulegli przemocy i, wyparci z pierwotnych swoich siedzib, musieli chronić się w głębi kraju, ale nie pozbyli się żądzy odwetu. W kronikach miasta Cape Town znajduję wzmiankę, że już w r. 1659 przyszło z tych powodów do pierwszéj wojny z krajowcami. Misyonarz Fleming, chcąc uzasadnić prawa Anglii do posia-

dania kolonii, twierdzi, że pierwotni osadnicy objęli tę ziemię w posiadanie tytułem dobrowolnéj ugody z krajowcami; tymczasem akta urzędowe przekonywają, że w rzeczywistości jeden tylko akt kupna zawartym został. Nabyto w r. 1672 brzegi morza od miasta aż po góry Hotentots-Holland Moutains, a zatém obszar ziemi około 300 mil kwadratowych angielskich obejmujący, za cenę 114 złotych holenderskich, które wypłacono w towarach. Ażeby dać wyobrażenie o znaczeniu téj zapłaty, nadmienię, że miesięczna pensya, jaką pobiérał Gubernator Van Riebeek wynosiła 150 złotych.

Rząd kolonialny, szczególniéj rada główna przebywająca w Europie stawała pozornie w obronie krajowców, ale nie była w stanie zapobiedz złemu. Ażeby ułatwić uprawę ziemi, sprowadzono niewolników, których pierwszy transport zawinął do przystani w r. 1658; ale następstwo tego systemu było to, że ci osadnicy, którzy nie posiadali niewolników, starali się o nabycie ich przemocą z pośród krajowców. Stan tego społeczeństwa musiał być bardzo smutnym, jeżeli sam rząd widział się zmuszonym wydalić z kolonii najgorszych z pomiędzy tych „leniwych i bezpożytecznych łajdaków,“ jak ich dokument urzędowy nazywa. Z drugiéj strony potrzeba przyznać, że los tych pierwotnych kolonistów był bardzo opłakany. Uprawa ziemi była połączoną z nadzwyczajnemi trudnościami a stosunek rolników do władzy miejscowej mógł zniechęcić najpoczciwszych. Nie było egoistyczniéjszéj instytucyi na świecie, jak holenderska kompania wschodnio-indyjska; a koloniści osiedli na gruncie należącym do kompanii, albo pozostający w jéj służbie, byli traktowani na równi z niewolnikami; niewolno im było handlować z krajowcami; rząd przywłaszczył sobie prawo zakupowania za bezcen bydła od krajowców, a osadnicy mogli nabywać takowe tylko z drugiéj ręki od rządu. Wszystkie ziemiopłody obowiązani byli sprzedawać po cenach przez rząd oznaczonych, wyłącznie tylko okrętom holenderskim; przedmioty potrzebne w codziennem życiu, jak odzienie, broń itp. wolno było nabywać tylko w magazynach kompanii. Okrutnemi były i prawa miejscowe. W rocznikach miasta Cape Town znajdujemy np. następujące szczegóły:

Dnia 25 Października r. 1653 Herman Van Vogelaar ochotnik, skazany na sto uderzeń muskietem, za to że kazał purserowi (1) iść do diabła, gdy ten zamiast wołowiny albo wieprzowiny pingwina podał na obiad.

---

(1) Urząd podskarbiego na okrętach angielskich.

W roku 1666 Antoni Jans i Antoni Arents skazani za kradzenie kapusty na plagi; trzech letnią pracę w kajdanach na wyspie Robbin Island i odtrącenie pensyi za 4 miesiące.

Zrozumie każdy bezstronny, że prześladowany i gnębiony w ten sposób osadnik marzył tylko o tém, ażeby wyrwać się z pod oka władzy, miejscowéj i gdy mu się udało przenieść się w głąb' kraju, szukał odwetu a ofiarą téj żądzy padali krajowcy.

Pod koniec XVII-o stulecia siły młodéj kolonii zostały wzbogacone nabytkami, które bardzo piękne rokowały nadzieje. W r. 1684 sprowadziła kompanja 50 wieśniaków holenderskich i oddała im ziemię do uprawy w okolicach miasta i zdaje się, że od nich poszła nazwa boerów (chłopów), nadawana tutejszym kolonistom. Pomiędzy rokiem 1685 i 1688 przybyło na Przylądek Dobréj Nadziei 300 rodzin francuskich Hugonotów, którzy opuścili ojczyznę w skutek odwołania edyktu z Nantez. Nabytek ten nie pozostał bez korzystnego wpływu na ekonomiczne stosunki kolonii, bo Hugonoci przyczynili się wiele do poprawy rolnictwa a przedewszystkiém zaprowadzili uprawę wina, które w téj chwili jest bardzo ważnym produktem kolonialnym, ale ludzie ci zlali się zupełnie z ludnością holenderską, zapomnieli swojego języka; a z mową holenderską przybrali wszystkie szkaradne wady pierwotnych kolonistów. Obecnie przechowało się tylko wiele nazwisk francuskich, ale właściciele ich są duszą i ciałem boerami.

Gdy liczba kolonistów z czasem się zwiększyła, pojedyncze rodziny zaczęły się wynosić w głąb' kraju i dotarły aż po rzekę Gariep, a pochody takie były wszędzie znaczone krwią i krzywdą krajowców. W ciągu XVIII-o wieku, jak słusznie twierdzi Mereński, wyrobił się indywidualny charakter boerów. Znalazłszy się zdala od siedziby rządu, poczęli używać nieograniczonéj swobody; pierwsza połowa stulecia upłynęła na rabowaniu Hottentotów, a druga na tępieniu Buszmanów, z którymi zetknęli się 1750 r. Krajowcy usuwali się przed przybyszami, ale ci potrzebowali bydła i niewolników. Do tego potęga kompanii wschodnio-indyjskiéj zaczęła się coraz więcéj chylić do upadku i nie może nas dziwić, że ludzie ci, zrzuciwszy z siebie ciężar wiekowéj niewoli, rozpoczęli w okropny sposób prześladować krajowców. Zwyczaj urządzania zbrojnych wypraw (tak zwane Commando) rozpowszechnił się na całym obszarze kolonii. Miały one służyć do odpierania napaści ze strony krajowców i obrony własności, ale w rzeczywistości były tylko systematycznym rozbojem. Gdy monopol handlowy został zniesionym, koloniści osiedli po miastach poczęli wyruszać w głąb' kraju pod pozorem handlu i po

wracali z bogatemi trzodami bydła, zdobytego przemocą na krajowcach.

W r. 1702 wyruszyła gromada 45-u takich handlarzy ku wschodnim granicom kolonii i powróciła niezadługo, pędząc 2.000 sztuk bydła a sądowe dochodzenie wykazało, że bydło to zabrano z sąsiednich kraalów, których ludność wymordowaną została. Sprawozdanie handlarzy wysłanych przez kompanią w r. 1705 brzmi jak następuje:

Dnia 26-o przyszliśmy do Kraalów Hannibala; zapytałem, zkąd to pochodzi, że tutejsi Hottentoci nie mają bydła, skoro kompania nigdy z nimi nie handlowała; wówczas opowiedzieli mi, jak przed kilku laty jeden z wolnych osadników, nazwany „Gerriet pijanica“ z niektórymi innymi ludźmi do nich przybył i, nie rzekłszy ani słowa, zaczęli ze wszystkich stron do nich strzelać i bydło zabiérać, bez najmniejszéj przyczyny, bo nikomu z Holendrów nigdy żadnéj przykrości nie wyrządzili.“ A daléj na końcu sprawozdania, stoi znowu co następuje: „W ten sposób dowiedziałem się niestety, jak przez zniesienie od niejakiego czasu monopolu handlowego i przez tych włóczęgów (handlarzy) cały kraj podlega ruinie, bo gdy jeden kraal zostanie zrabowanym, to musi napadać drugi, a drugi trzeci itd.“

Rząd kolonialny był już z początkiem przeszłego stulecia za słabym do zapobieżenia takim nadużyciom i nietylko, że nie był w stanie pilnować boerów osiadłych na granicach kolonii, albo handlarzy w głąb' kraju ciągnących, ale nawet brakło mu siły, ażeby przeszkodzić nadużyciom, które się działy pod jego okiem.

W r. 1739 została założoną przez braci Morawskich pierwsza misya pod przewodnictwem Schmidta, we wsi Genadendal. Gdy około misyonarzy zaczęli się kupić Hottentoci, okoliczni boerzy starali się wszelkiemi siłami przeszkodzić ich czynności, używali gwałtów i intryg i sprawili, że władze krajowe zakazały Schmidtowi chrzcić nawróconych Hottentotów, a ciągłe nieprzyjemności, na jakie był ze wszech stron narażonym, zmusiły go do porzucenia kolonii po 4-o letniéj próbie. Rząd złożył w téj sprawie dowody złéj woli do tego stopnia, że jednego z holenderskich proboszczów, który działał w porozumieniu ze Schmidtem, pozbawił posady i wysłał przemocą do Batawii. Praca nawracania krajowców została przerwana na lat 50, a misya w Genadendal, odnowiona powtórnie pod koniec przeszłego stulecia, przetrwała później złe i dobre dole i istnieje do dziś dnia.

Prawie wszyscy podróżnicy, którzy zwiedzali kolonią z początkiem tego stulecia, przedstawiają w najniekorzystniejszém świetle

charakter ówczesnych kolonistów, wyliczając pomiędzy główneini ich wadami, niczém nieprzełamany wstręt do pracy, a pociąg do pijaństwa, skłonność do włóczęgostwa, wygórowaną zarozumiałość obok największego ograniczenia umysłowego, niechęć ku obcym, nienawiść ku czarnym, charakter popędliwy i wyzywający, rubaszność w obejściu i mściwość posuwającą się nieraz do okrucieństwa, a do tego wszystkiego wypada jeszcze dodać lekceważenie władz miejscowych i własnego rządu.

Francuski podróżnik Le Vaillant, wspomniawszy o okrucieństwach popełnianych przez boerów na Hottentotach i o bezwładności rządu, opowiada co następuje: Gdy gubernator dowiedział się o czynach srogości, spełnionych przez jednego boera na Hottentotach, wezwał go do odpowiedzialności i kazał mu przybyć do Cape Town na sprawę. Obwiniony nie myślał nawet dać odpowiedzi na to wezwanie, lecz rabował dalej w zwykły sposób, a nieposłuszeństwo jego nie zostało ukaraném i zapomniano o niém. Gdym raz rozmawiał z kolonistami o takich nadużyciach, kilku z nich powiedziało mi, że i oni bywali również pozywani w podobnych sprawach przez gubernatora i również się nie stawili. Gdym im powiedział, że dziwię się, dla czego gubernator z rozkazem swoim nie pośle oddziału wojska i w razie oporu, winnego pod dobrą eskortą do miasta nie sprowadzi, jeden z nich odrzekł: A wiesz pan cobyśmy w tym przypadku zrobili? Zgromadzilibyśmy się natychmiast, wystrzelali połowę żołnierzy, ciała ich zasolili i odesłali do miasta przez pozostałych z tém poselstwem, że tak się stanie wszystkim, którzy w podobnym zamiarze do nas przybędą. Fakt ten, powiada Mereński, charakteryzuje doskonale ówczesnych kolonistów i nie można się dziwić, że ci ludzie, którzy rabowali niewinnych i spokojnych Hottentotów, zszedłszy się później ze złodziejskimi i szkodliwymi Buszmanami, nieszczęśliwy ten naród wojną wytępić postanowili.

Nieuszanowanie władzy było pod koniec zeszłego stulecia tak ogólném, a bezsilność rządu tak wielka, że w wielu miejscach przyszło do otwartej opozycyi ze strony boerów. Koloniści w okręgach Graf Reynett i Swellendam wypowiedzieli rządowi otwarcie posłuszeństwo i ogłosili w roku 1795 rzeczpospolitą pod przewodnictwem Steina, a miejscowy gubernator w Tulbagh został zagrożony napadem chłopów, gdy się nie chciał poddać ich wymaganiom. Pomiędzy żądaniami, jakie mu przedłożyli, znajduje się ustęp następujący: „Każdy Buszman i Hottentot, mężczyzna czy kobiéta, złapany czy przez komando, czy przez pojedyncze indywiduum i wszyscy ci, którzy w przyszłości złapani zostaną, mają pozostać przez całe życie własnością tych kolonistów, którzy ich posiadają i pozostać w tym sto-

sunku u ich następców; gdy taki Hottentot ucieknie, właściciel ma mieć prawo ścigać go i złapawszy karać według upodobania.“

Ale ten rozstrój społeczny nie trwał długo, a egoistyczne dążności boerów natrafiły na nieprzewidzianą przeszkodę. Rząd angielski, którego potęga zaczęła się ustalać w Indyach i który z tego powodu na Przylądek Dobréj Nadziei, jako na stacyą morską ogromnéj doniosłości oddawna chciwém patrzał okiem, skorzystał z wewnętrznego zamięszania i postanowił zabrać przemocą kolonią. W r. 1795 zawinęła do zatoki w Cape Town angielska flota pod admirałem Elphiustone, lecz nie zajęła kraju w posiadanie, starała się tylko o przywrócenie porządku i podtrzymanie powagi księcia Oranii, a opuściła zatokę w r. 1800, gdy zwrot kolonii republice Batawskiéj w skutek pokoju w Amiens przyznanym został. W skutek wypadków politycznych zajęli Anglicy ten kraj powtórnie w r. 1806 i utrzymali się w jego posiadaniu do dziś dnia. Holenderscy koloniści przeszli pod panowanie angielskie, a utrata wolności była z pewnością zasłużoną karą za ich nadużycia i srogim odwetem za krzywdy Buszmanów i Hottentotów.

Ze zmianą stosunków politycznych zabłysła gwiazda nadziei dla uciemiężonych. Rząd angielski zajął się losem krajowców i postanowił ulżyć ich doli, a chociaż pobudki tego czynu leżały w wyrachowaniu, a nie w prawdziwéj filantropii, to nie pozostał on bez błogich następstw. Dnia 1 Listopada 1809 r. ogłosił gubernator kolonii Lord Caledon proklamacyą, regulującą stosunki Hottentotów do kolonistów a przyznającą pierwszym osobistą swobodę. Hottentoci wolni zostali oddani pod opiekę urzędników krajowych, którzy czujny nad nimi mieli rozciągać dozór, ale zarazem i przestrzegać praw. Nie wolno było przymuszać Hottentota do pracy; mogli oni przyjmować obowiązki u kolonistów, ale jedynie za dobrowolną umową, zatwierdzoną przez urzędnika. Ponieważ sądy krajowe z siedzibą w głównych miastach miały zakres czynności bardzo ograniczony i utrudniony, przeto za staraniem misyonarzy van der Kempa i Reada została w roku 1811 zaprowadzoną w kolonii instytucya sądów ruchomych, t. z. Circuit-Courts. Sąd taki miał zwiedzić w ciągu jednego roku wszystkie części kolonii i zajmować się wyłącznie rozpoznawaniem spraw krajowców. W pierwszym zaraz roku podano 80 skarg o morderstwo i rozbój, a jak wiarogodni autorowie twierdzą, nie było ani jednéj rodziny w kraju, któraby nie była w takie sprawy wmięszana.

Postępowanie rządu wywołało najwyższe oburzenie, które objawiło się czynem w r. 1815 przy następującéj sposobności. Niejaki Fryderyk Besuidenhout pozwany przed sąd z powodu krzywdzenia

Hottentota nie stawił się, w skutek czego wysłano urzędnika z pomocą siły zbrojnéj dla odstawienia go przemocą. Besuidenhout stawił opór; zamknąwszy się w domu groził, że strzeli w łeb każdemu, kto się przybliży, a gdy żołnierze się ukazali dał rzeczywiście ognia, lecz bezskutecznie i uciekł ze służącym w zarośla. W godzinę potém znaleźli go żołnierze ukrytego w jaskini. Gdy wezwany do poddania się odmówił i strzelił do żołnierzy, ci dali również ognia i ranili go śmiertelnie.

Wypadek ten poruszył całą okoliczną ludność. Koloniści postanowili wypędzić Anglików, rozpoczęli nawet w tym celu układy z wojowniczym naczelnikiem Kafrów, Ngiką, i wyruszyli zbrojno w góry, gdzie otoczeni przez oddział wojska, zostali pobici a 60 dostało się do niewoli. Pięciu z nich zostało skazanych na śmierć, a reszta na różne kary. Wyrok został spełnionym w obecności licznie zgromadzonych kolonistów, a cierpienia skazanych zostały zwiększone tą okolicznością, że rusztowanie zawaliło się z nimi w chwili, gdy miano przystąpić do egzekucyi i słyszeli rozdzierający serce jęk swych rodzin i ich głosy wzywające łaski, które tym razem nie zostały wysłuchane.

Pod opieką rządu angielskiego rozwinęli misyonarze żywszą działalność, liczba stacyj została zwiększoną, prześladowane rodziny Hottentotów zaczęły się kupić około misyonarzy i pracować pod ich okiem dla zaspokojenia potrzeb codziennego życia, w skutek czego w wielu miejscach dał się czuć brak sił roboczych, a dobrobyt kolonistów zaczął upadać.

Równocześnie sprawa niewolnictwa zaczęła żywo zajmować umysły w Europie, a rządowi angielskiemu wypada oddać tę sprawiedliwość, że przyłożył pierwszy rękę do obalenia tego haniebnego zabytku barbarzyńskiéj przeszłości. W skutek zabiegów ze strony szlachetnego misyonarza Philipa ogłoszono w r. 1828 w kolonii równouprawnienie kolorowych, bez względu na to, jakiegoby byli pochodzenia, i nic dziwnego, że ludzie ci, uwolnieni zbiegiem okoliczności z pod gniotącéj ich przez tyle lat przewagi holenderskich kolonistów, uczuli się szczęśliwymi, gdy nadarzyła się sposobność zerwania z nimi wszelkich stosunków. W skutek tego koloniści znaleźli się w bardzo przykrém położeniu. Używali oni dotychczas nieograniczonéj swobody i cieszyli się dobrobytem, bo państwo nie nakładało na nich żadnych ciężarów a praca niewolników zaspakajała wszelkie ich potrzeby. W obecnym stanie rzeczy starsi niewolnicy zaczęli wymiérać, przywóz nowych został odciętym, a wyswobodzeni kolorowi nawet za pieniądze u nich pracować nie chcieli. W skutek tego już z początkiem bieżącego stulecia pojedyńcze rodziny holender-

skie zaczęły się wynosić z kolonii i osiadać w niezaludnionych i niedostępnych okolicach na północy, gdzie mogli żyć spokojnie i prowadzić bezkarnie dawne rzemiosło. Ale ostateczny cios został im zadanym przez zupełne zniesienie niewolnictwa, które nastąpiło w r. 1838. Jeszcze w téj porze znajdowały się w kolonii zamożne rodziny holenderskie, które posiadały od 40—50 niewolników i nietrudno zrozumiéć, że nietylko warunki ich dobrobytu w skutek utraty wszystkich sił roboczych zostały podkopane, ale i byt zagrożony. Liczba uwolnionych wynosiła 35.000. Rząd angielski płacił co prawda wykup, ale zdaniem bezstronnych krajowców, z którymi miałem sposobność rozmawiać o tym przedmiocie, suma płacona za każdego niewolnika była zbyt niską i nie odpowiadała ani połowie rzeczywistéj jego wartości. Na domiar nieszczęścia, żeby odebrać zapłatę, potrzeba było wykazać swoje prawa do niéj, a potém przeczekawszy lat kilka, odbyć daleką podróż do Cape Town, spotkać się oko w oko ze znienawidzonymi Anglikami i kłaniać im się w dodatku.

Dla wyuzdanych i rozhukanych kolonistów, żyjących w głębi kraju, było to za wiele; chwycili oni się wręcz przeciwnego środka, postanowili opuścić kolonią. Kilka tysięcy rodzin wsiadło na wozy i ruszyło ku północy. Odetchnęli oni swobodniéj, kiedy minęli rzekę Gariep a z nią i granicę kolonii. Zastali oni tutaj ogromne obszary ziemi, nienależące według ich przekonania do nikogo, bo czarnych nie uważali nigdy za ludzi i zająwszy je w posiadanie założyli trzy republiki: Oranią, Transwalską i Natalską. W jaki sposób przyszli do posiadania tych ziem i jakie były ich dalsze losy, pokaże się w następującym ustępie.

(c. d. n)

DZIŚ I JUTRO.

Hej dobrzy ludzie, wy nie wiecie
Jako się dzieją rzeczy w świecie
Co z zakreślonéj schodzą miedzy
Bez waszéj woli i bez wiedzy.
Życie łańcuchem skute długim
Idzie pod losów ciężką wodzą,
Ogniwa jedne w drugie wchodzą
Luz lub cieśń czyniąc jedne drugim,
A czy więź silna czy też krucha,
Czy obróz ciśnie, czy się luźni
Wszystko to w Bożéj skute kuźni
I Boga woli tylko słucha.
. . . .

...Dźwięki szły w przestrzeń, wir rwał, życie wrzało,
Myśl się gubiła w rozbawionym gwarze,
Światła jasnością olśniewały białą,
Płomiennym blaskiem odbłyskały twarze,
Szeleścił jedwab, połyskało złoto
I przestrzeń cała tonęła w zachwycie,
Jak gdyby człowiek był stworzony po to
By pił czar do dna i przetańczył życie.

W téj atmosferze róż, świateł i woni
Ku *niéj* się garnął orszak rozszalały,
Wszystkie marzenia ubiegały do niéj
I wszystkie żądze do stóp jéj się słały.

Przez ten czar ziemski który serca czyni
Niewolnikami i u nóg swych kładnie,
Urok dokoła słała samowładnie
Królowa blasków i wdzięków bogini.

O piękną była! tą pięknością wiotką
Co w woni wiosny tchnie i w kwiatów pyle;
Modre jéj oczy patrzyły tak słodko,
Promienne usta wabiły tak mile,
Jakby Bóg oblókł to czarowne ciało
W lubość przy któréj wszystkie szczęścia bledną...
I życie męczarń byłoby za mało
Za jeden uśmiech lub spojrzenie jedno.

I w tym uroku co dusze weseli
I w téj jasności co twarz rozpromienia
Zdawałoby się że rajscy anieli
Nadziemskich świateł złożyli marzenia;
A ona, serc tych władczyni i pani,
A ona cudna i upajająca,
Wszystkie te hołdy z pogardą odtrąca
Bo wierzy w piękność swą i żyje dla niéj...

. . . .

....Słońce w obłoków złotéj aureoli
Zwolna w zachodnią chyliło się stronę,
Już zmierzch przez szyby padał zapylone
I dnia się blaski ścierały powoli,
W jedną powłokę zlewając się ciemną.
Ona w milczeniu siedziała przedemną,
Dumała, a pod zmarszczoną powieką
Wzrok jéj gasnący sięgał gdzieś daleko
Za wspomnienia mi co goją lub ranią.

A ja uważnie spoglądałem na nią,
I myśl co przedsię niewstrzymana płynie
Dziwną zagadkę słała mi do głowy,
Kędy w zniszczeniu tém i téj ruinie
Szukać piękności i wdzięków królowéj?

Bo ani śladu na twarzy wybladłéj
Krwi, która znikła pod cerą bezbarwną,

Usta, od których odleciał już dawno
Uśmiech, wklęsnęły i w głąb się zapadły,
Oczy obwódką objęte czerwoną
Straciły blask ów co w źrenicy pała,
A cała postać, tak mi się zdawała
Jakoś zmalałą dziwnie i skurczoną,
Jakby w starości każdy rok przechodni
Coś niepowrotnie odejmował od niéj.

Lecz najstraszniejszy był wyraz jéj twarzy
Co mówił czoła niezatartém piętnem
Że dla niéj wszystko jest już obojętnem
Nic już nie kocha i nic już nie marzy,
I że z latami co szybko ubiegły
Duszę jéj czarną pokrywszy żałobą
Runęły razem gmachu życia cegły
I zagrzebały kobiétę pod sobą,
Że znikły marzeń złotodajne ziarna
A pozostała czczość i pustka marna.

Myślałem sobie... Bożeż ty mój Boże!
Czy to podobna i czy to być może
By w odłączonych od życia biesiady
Tak już stopniowo wszystko kamieniało,
By grób tak zwolna wstępował na ciało
Z zakątków życia wypierając ślady.
Bo jasném było, że pod zgasłém zgliszczem
Nawet już wspomnień nie odżywi siła
Téj, co światowém czując się bożyszczem
Niegdyś błyszczała, śmiała się i żyła ....

. . . .

Hej dobrzy ludzie! wy nie wiecie
Jako się dzieją rzeczy w świecie
Co żadną ludzkich pojęć władzą
Jasno tłómaczyć się nie dadzą.
Bo marną ziemska jest otucha
Choć ją udziela Bóg na czasie
A wszelka ludzka piękność, zasię
Idzie nie z ciała ale z ducha.

Wacław Szymanowski.

GOETHE.

ZARYS BIOGRAFICZNO-LITERACKI.

Hermann Grimm: Goethe. Vorlesungen gehalten an der Kgl. Universität zu Berlin 1877. 2 tomy.
Hermann Hettner: Goethe und Schiller. 1876 2 tomy.

CZĘŚĆ DRUGA.

1775—1788.

W części téj opowiadano dzieje tak zwanego „dziesięciolecia“ (Zehn Jahre) weimarskiego i podróży włoskiéj wraz z genezą utworów, na te lata przypadających. Historyi „dziesięciolecia“ Goethe sam nie opracował; podróż natomiast włoską przedstawił w dziele „Italiänische Reise“, wydaném 1817 roku. Dzieło to pod względem wiarogodności stoi na równi z „Dichtung und Wahrheit,“ t. j. przedstawia artystyczne przetworzenie materyału rzeczywistego. O Weimarze opowiada zajmująco Adolf Stahr w dziełku dwutomowém p. n.: „Weimar und Jena“ (2-gie wydanie w Berlinie, 1871).

I.

Fizyognomia Weimaru. — Towarzystwo tameczne. Amalia. — Karol August, Wieland — Pani von Stein. — Jéj stosunki z Goethem. — Uszlachcenie poety. — Goethe tęskni do Włoch.

Weimar w ostatniéj ćwierci zeszłego stulecia było małém miasteczkiem o jakich pięciuset domach i sześciu tysiącach mieszkańców, z ulicami ciasnemi i błotnistemi, bez żadnego oświetlenia, z bru-

kiem okropnym, z murami napół opadłemi i z nadgniłemi bramami. Spółcześni nazywali go wioską, albo też pustą mieściną, stanowiącą coś pośredniego między wsią a rezydencyą książęcą. Najlepiéj może scharakteryzowała go pani Stael, mówiąc: „Weimar n'est pas une petite ville, mais un grand château.“ Istotnie to, co się w dziejach literatury Weimarem nazywa, nie jest to bynajmniéj miasteczko Weimar, ale tylko pałac książęcy, w którym skupiła się garstka ludzi, zajmujących się uprawą sztuk i nauk. Gdyby nie ten pałac i nie ci ludzie, o Wejmarze mówiłoby się tylko w szczegółowéj geografii środkowych Niemiec. Weimar był po prostu tém w Niemczech, czém spółcześnie Puławy w Polsce; może nawet Puławy tj. mówiąc ściśle rezydencya książąt Czartoryskich przewyższały pod względem przepychu i wspaniałości stolicę książąt sasko-weimarskich, pod względem natomiast życia umysłowego musiały jéj ustąpić, gdyż tu najwyższą poetycką potęgą był Goethe, a tam tylko Kniaźnin.

Goethe miał lat 26, kiedy przybył do Weimaru. Przeniósłszy się z południowo-zachodnich, do środkowych Niemiec, odczuł ogromną różnicę, jaka między niemi istniała. Nad Renem, rzeką jego ojczystą, życie płynęło szybko na ulicy, a przynajmniéj po za domem; lata, które nie przynosiły pewnego nadmiaru w dochodzie, do złych się liczyły; szlachta niezależna, bogaci kupcy, zamożni ziemianie ton nadawali. W Turyngii przeciwnie przepędzano życie w domu, a nie mając własnego wina, pito piwo; oszczędność, mierność stanowiły regułę postępowania; lata nazywały się dobremi, kiedy po prostu złemi nie były; a spokojni i pokorni urzędnicy rej tu wiedli. Podczas kiedy bogaty Frankfurt stanowił centrum ruchu przemysłowego i handlowego, Weimar był biedną mieściną, zdala od drogi położoną, obok któréj nawet taki Erfurt mógł sobie rościć pretensyą do nazwy wielkiego miasta. W obec domów i pałaców frankfurtskich budowle weimarskie były niczém więcéj tylko chałupami.

A do tych cech zewnętrznych, które na Goethem przykre nieraz robiły wrażenie, przydać jeszcze należy różnice daleko ważniejsze, bo towarzyskie. W Frankfurcie Goethe, jako zamożny potomek patrycyuszowskiéj rodziny, był czémś na kształt księcia młodzieży; to też używał darów losu zupełnie swobodnie wśród dobrze sobie znanych stosunków. W Weimarze uczuł się na gruncie niepewnym, bo wśród dumnéj szlachty, która tylko w kole swojém ściśle utrzymywała relacye, od któréj mieszczanie bez nienawiści wprawdzie, ale z całą stanowczością odsuwali się, tak że do mieszczańskiéj resursy żadnego szlachcica nie przypuszczali. Goethe, co

w młodości swojéj żadnego szlachcica nie miał za przyjaciela, wszedł teraz do towarzystwa, które pomimo uznania dla niego jako dla młodego „geniusza“ i druha książęcego, nie mogło go przecięż do swojéj zaliczyć sfery. Odwaga, a nawet lekkomyślność młodzieńca, przyjaźń księcia, poparcie go ze strony księżnéj żony i księżnéj matki ułatwiały mu wprawdzie stosunki, ale nie mogły wszystkich usunąć trudności. Zapoznajmy się z temi stosunkami dokładniéj.

Twórczynią życia literackiego w Weimarze była Amalia, matka Karola Augusta. W siedmnastym roku życia wyszedłszy za słabowitego Ernesta Augusta, w rok po ślubie urodziła Karola Augusta (1756) a w rok potém straciła małżonka, zanim drugi syn przyszedł na świat. Wśród okropności wojny siedmioletniéj, zostawszy sama regentką weimarskiego państewka i mając do wyhodowania i wychowania dwu synów, nie straciła odwagi, lecz mężnie maleńką swą nawą kierowała. Męską stanowczość i trzeźwość w interesach łączyła z kobiécą łatwością i swobodą w pożyciu towarzyskiém. Serdeczna i wykształcona, lubiła uczonych i artystów; sama rysowała, komponowała, lubiła teatr, potrzebowała wesołego a niekrępowanego otoczenia, nie cierpiała ceremoniału dworskiego. Nowości literackie zajmowały ją; to téż nic dziwnego, że kiedy Wieland, mający już wówczas pewną sławę w Niemczech, wydał swoje „Złote zwierciadło czyli Królowę Scheschianu,“ gdzie idąc torem Roussa rozwinął zasady wychowania książąt, Amalia zaprosiła autora na redutę do Weimaru a następnie zapotrzebowała od niego wskazówek co do wychowania swego syna. Wieland w długim, sentymentalnym a pięknie napisanym liście wywiązał się z poruczonego zadania; dał obszerną charakterystykę starszego syna i zauważył, że braknie mu jednego tylko, to jest żeby się stał „oświeconym“ księciem. Zawiązała się tym sposobem długa korespondencya, w któréj szło głównie o wyjaśnienie, co przez „oświecenie“ rozumiéć należy. Tymczasem Erfurt, gdzie Wieland był wtedy profesorem filozofii, zaczął się mu przykrzyć; tameczni nauczyciele nie chcieli uznać obok siebie literata, który się wielu wprawdzie przedmiotami zajmował a żadnego specyalnie nie zgłębiał. Nie namyślając się tedy długo, pojechał w 1772 do Weimaru, założył tam „Merkuryusza Niemieckiego,“ który się stał ulubionym pisemkiem dla wszystkich miernych ludzi w Niemczech; a przez romanse, poezye i inne utwory literackie wszelkiego rodzaju sławę swoję coraz bardziéj powiększał. Ton słodkawy, którym przemawiał, pochlebstwa względem publiczności i złe maniery literackie zyskiwały mu zarówno zwolenników, jak przeciwników. Z jednéj strony został ulubieńcem księżnéj Amalii, która mu wykształcenie synów powierzyła; z drugiéj zaś naraził się na satyrę

Goethego, który romanse jego z góry traktował a niewłaściwe wystawianie bohatérów starożytności klasycznéj wyszykanował w pisemku „Bogowie, bohatérowie i Wieland.“ W skutek tego wywiązała się walka, która jednak trwała niedługo, zażegnana przez panią Laroche, Jacobiego i innych. Wieland, jako człowiek wesoły i dobry, nie mógł długo mieć w sercu urazy; a Goethe, zanim przybył do Weimaru, napisał do niego list pełen grzeczności, który najlepszy sprawił skutek. Osobiste wreszcie zetknięcie się dokonało reszty: Wieland stał się wielbicielem Goethego a Goethe wielbicielem Wielanda.

Goethe przybył do Weimaru 7 Listopada 1775 r. jako prosty gość w odwiedziny. Nadchodziła zima, w któréj młoda para książęca miała z zabawami wystąpić. Amalia, zdawszy rządy państewka na Karola Augusta, oddawała się całkiem uciechom i zajęciom literackim, ucząc się po grecku od Wielanda. Karol August miał w sobie coś nieposkromionego, coś dzikiego, z czém matka musiała długie staczać walki; ale obok siły fizycznéj i nieokrzesanych nawyknień, odznaczał się szlachetnemi serca porywami. Nie mając jeszcze lat dwudziestu, lubił się naturalnie bawić z całą niewybrednością i żywością wieku młodego, a znalazłszy w Goethem towarzysza pełnego werwy, dyszącego jeszcze życiem „burzy i prądu,“ pokochał go całém sercem, nie mógł się obejść bez niego. Wybór ten Amalia pochwaliła, widząc w poecie jedynego człowieka, który mógł dobroczynnie wpływać na młodego władcę, nie odstręczając go surowością zbyteczną. To téż gdy po burzliwym i hałaśliwym karnawale, Karol August postanowił zatrzymać Goethego przy sobie i dać mu urząd, matka całą siłą swojego wpływu poparła życzenie syna. A nie było zbyt łatwo uczynić mu zadość. Falanga starych urzędników z zacnym ministrem Fritsch na czele, z obawą patrzała na niezbyt różową przyszłość państewka na wypadek, gdyby rozrzutne uczty i hałaśliwe hulanki miały się stać codziennném młodego księcia zajęciem. Przyzwyczajeni do spokoju i oszczędności, widzieli już skarb w rozsypce a państwo zagrożone bankructwem; a za sprawcę tak smutnéj perspektywy poczytywali Goethego. Fritsch zagroził po prostu usunięciem się od urzędu, gdyby poeta miał wejść do składu rządu. Taktowne jednak i wielce dyplomatyczne zachowanie się Goethego, a zwłaszcza rozsądek księżnéj matki potrafiły przekonać starego Fritscha, że zatrzymanie poety na dworze nie sprowadzi ruiny kraju i że on może daléj na stanowisku swojém pozostać.

To przejednanie starego ministra było prawdziwym tryumfem Goethego, świadczyło bowiem wymownie o uznaniu dla poety i za-

słoniło go od postronnych napaści, które nie omieszkały się objawić. W tym samym miesiącu Maju 1776, kiedy pozostanie Goethego w Weimarze nie ulegało wątpliwości, nadszedł list Klopstocka, napominający tonem surowym i kaznodziejskim, choć serdecznym, żeby poeta nie popychał księcia po drodze pijaństwa i występku i żeby pamiętał o przyszłości, o sławie autorów niemieckich. Goethe ufny już teraz w swoje położenie, odpisał Klopstockowi sucho, a nawet... bardzo niegrzecznie. Klopstock odpłacił się wzajemnością i wypowiedział mu swoję przyjaźń (1). Równocześnie jednak Goethe uznał za rzecz potrzebną dać niektóre wyjaśnienia o życiu na dworze niemieckim i zaadresował je do dobréj znajoméj swojéj „Guci" Stolberg. Bracia bowiem Stolbergowie byli powodem całego zajścia z Klopstockiem. Chciano ich w Weimarze uczynić szambelanami; wszystko już było ułożoném, kiedy Klopstock na wieść o rozpuście w Wejmarze, gdzie koniak miano pić kuflami a książę wraz z Goethem mieli posiadać wspólną kochankę, położył swoje *veto* i ów list napisał. Goethe więc zwrócił się do siostry Stolbergów z długim listem, w którym opowiedział po szczególe wszystkie swoje uczucia, myśli i zajęcia. W skutek tego listu jeden ze Stolbergów, chociaż nie pojechał do Weimaru, oświadczył przecięż rozsierdzonemu Klopstockowi, że ubliżające wieści o Goethem i księciu uważa za plotkę...

Koniec końcem Goethe pozostał w Weimarze jako tajny radca legacyi z pensyą 1.200 talarów. Równocześnie niemal z osiągnięciem urzędu nastąpiła w przyzwyczajeniach jego i dążności literackiéj zadziwiająca zmiana. Podczas gdy do téj pory główném jego usiłowaniem było uwolnienie się od wszelkich obywatelskich obowiązków, aby się módz zupełnie literaturze poświęcić; teraz zrywa zupełnie z dotychczasową działalnością literacką, zaniedbuje to kółko frankfurckich, darmstadzkich i reńskich przyjaciół, które stanowiło do téj pory jego publiczność, ani jako poeta, ani jako krytyk nie zostając z nimi w żadnym związku. Sława młodego wieszcza, na którego liczono w Niemczech, już go nie pociąga; przestaje ogłaszać swoje utwory, chociaż je obmyśla i częściowo spisuje. Pierwsze „dziesięciolecie" pobytu w Weimarze upływa Goethemu wśród prac urzędowych, wśród wytrwałego spełniania przyjętych na siebie obowiązków; co témbardziéj zastanawiać nas winno, że poeta w niedługim czasie (mianowicie w r. 1780 i 1781) zaczął uczuwać cały cię-

(1) Trzy te listy znajdują się w tłómaczeniu polskiém dzieła Lewesa: „Dzieje żywota i utworów Goethego" (1860) str. 123—125.

żar i całą bezowocność swoich usiłowań w tym kierunku. To też życie poety w téj epoce nie przedstawia takiéj jednolitości ani takiego postępowego rozwoju, jak to było poprzednio, chociaż przyczyną tego zjawiska nie jest bynajmniéj brak materyałów. Wiemy owszem aż do najdrobniejszych szczegółów o wszystkich jego zatrudnieniach, możemy nawet dzień po dniu śledzić maleńkie wypadeczki życiowe; ale wszystkie te wiadomości nie dają nam zaokrąglonego obrazu, nie tworzą organizmu pełnego żywotności i prawdy. Wypadków tych bowiem nie łączy z sobą ani cel jakiś jasno wytknięty, ani walka o przeprowadzenie jakiéjś idei: wszystko tu idzie zwyczajnym biegiem codziennego życia, okraszone zabawami, przedstawieniami teatralnemi, polowaniem i wierszami okolicznościowemi. Dosyć więc będzie tych kilku zdań dla określenia położenia Goethego podczas pierwszego „dziesięciolecia"; zaniechawszy szczegółowéj kroniki, przypatrzmy się jego sercowym stosunkom i umysłowym zajęciom.

Przez całe „dziesięciolecie" serce Goethego zajęte było przez Karolinę Stein. Stosunek ten rozmaicie bywał oceniany; w ostatnich nawet czasach prowadzono o niego spory wielce zacięte. Chodziło o rozstrzygnięcie pytania, czy Karolina von Stein była kochanką, w niższém znaczeniu tego wyrazu czy też w szlachetniejszém; czy pamięć téj kobiéty należy postawić na równi ze wspomnieniami dam kameliowych, czy też zaszczytniejsze wyznaczyć jéj miejsce. . Hermann Grimm po zbadaniu wszystkich tyczących się sprawy téj materyałów, w imię prawdy dziejowéj, przedstawia ją w sposób następny :

Karolina von Stein była to istota nieco chłodna i od młodości przyzwyczajona do zdawania sobie dokładnego rachunku z własnego życia. Miała męża i kilkoro dzieci. Męża nie kochała wprawdzie namiętnie nigdy, ale traktowała go dobrze i umiała żyć z nim zawsze w najlepszém porozumieniu. Kiedy Goethe ją poznał, miała lat trzydzieści pięć i natchnęła poetę uczuciem czci, które się na całą rodzinę rozciągało, męża nie wyjmując. Interesa téj rodziny stają się odtąd własnemi interesami Goethego; wychowuje on jednego z synów, bierze go nawet na czas jakiś do swego domu i przez całe życie zostaje wysoce poważanym przyjacielem tego dziecka, które wyrosło potém na bystrego, energicznego i mającego pewne znaczenie męża, zostającego z Goethem w najlepszych stosunkach nawet wtedy, kiedy ten przestał się z jego matką widywać. Pomiędzy mężem pani von Stein a Goethem nigdy nie było niesnasek; owszem poeta nieraz w listach do niego posyłał listy do jego żony; a o uczciwości i honorze pana von Stein nigdy nie wątpiono. Wreszcie kiedy w późnym już wieku stosunek Goethego do Karoliny von

Stein przybrał na nowo charakter przyjaźni, miejsce dawnéj poufałości i poufności zajął wzajemny szacunek. Zważmy nadto, że Goethe lubił się w pismach swoich spowiadać, tak że nie ma ani jednego stosunku, któregoby w sposób symboliczny nie przedstawił w utworze jakim. Gdyby między nim a panią von Stein istniało choćby najbardziéj ukrywane obcowanie, poeta nie zawahałby się wyprowadzić go na jaw tém bardziéj, że przedmiot byłby wielce dramatyczny. Gdyby pani von Stein była kryjomą kochanką, a potém publicznie opuszczoną metresą Goethego; to zażyłość z jéj mężem i serdeczność z jéj synem dawałaby możność wystawienia ogromnych wewnętrznych konfliktów, które przecież w zupełnéj przemijały ciszy. Tymczasem nic podobnego w dziełach poety nie znajdujemy.

Toż samo powiedziéć należy o pani von Stein. Była to kobiéta literacko utalentowana. Kiedy się jéj przyjaźń z Goethem zerwała, serce jéj ogarnęło nieopisanie przykre uczucie: sama nie wiedziała, czego się ma chwycić, ażeby znaléść punkt oparcia. Nauczywszy się od Goethego przedstawiać wszystkie wypadki życiowe w symbolicznych poematach, napisała dramat, w którym odmalowała w brzydkich kolorach tę zmianę, jaka, według jéj mniemania, zaszła w charakterze poety i była przyczyną jego odsunięcia się od niéj. Sztuki téj nie chowała u siebie, owszem dawała ją nieraz do czytania, jak świadczy o tém wielce pochwalny list Schillera. A jakąż treść do niéj wybrała? Historyą Dydony. Siebie wystawia jako Dydonę, nie Dydonę wprawdzie opuszczoną przez Eneasza, ale w każdym razie jako tę kobiétę, któréj nazwiska niepodobna odłączyć od myśli o Eneaszu i sposobie, w jaki przezeń została porzuconą. Czy bezwstyd podobny można uważać za rzecz możliwą? Czy można sobie wystawić metresę, która zamiast milczéć, podaje się przed swoją rodziną, przyjaciołmi i przyjaciółkami za Dydonę? A co więcéj, czy można wyobrazić sobie, żeby przyjaciółki te jakoto: księżna Ludwika, żona Schillera i inne kobiéty tego stanowiska czytały sztukę, chwaliły ją i zachowały dla autorki dawną miłość, cześć i poważanie?

Stosunek tedy Goethego do pani von Stein był serdeczną przyjaźnią najszlachetniejszego rodzaju. Listy poety do niéj stanowią jeden z najpiękniejszych i najbardziéj wzruszających pomników literatury. Dniem i nocą widzimy w nich myśl Goethego, unoszącą się nad tą kobiétą, jakby nic więcéj ani czuł, ani robił nad to, co się w owych listach zamyka. Czegokolwiek doświadcza, przybiéra zaraz kształt sprawozdania dla ukochanéj. Z początku opanowuje poetę a może i przyjaciółkę niejasne jakieś uczucie możliwości przy-

szłego połączenia się; wówczas jest on niewymownie szczęśliwym. Powoli jednak niepodobieństwo takiéj nadziei zarysowuje się w jego umyśle, ale upływa jeszcze lat kilka, zanim uczucie potrzeby rezygnacyi zamienia się na niezawodną pewność. Od téj to chwili rozpoczyna się owa szlachetna zażyłość, któréj wielu nie rozumiejąc, tłómaczyło ją sobie w sposób ubliżający pamięci Karoliny. Tymczasem rzecz to całkiem naturalna, spotkały się dwie istoty pragnące szczęścia a niezadowolnione ze swojéj przeszłości, po pierwszych zamienionych słowach uczuły dla siebie sympatyą, wzbudziły w sobie wzajemne zaufanie, powierzało więc jedno drugiemu swoje troski i swoje radości. Powstawały oczywiście w ich sercach myśli o zmianie istniejących stosunków, ale myśli te po niejakiéj walce ze strony Goethego musiały się poddać sile rzeczywistości. Goethe uspokoił się, uważał panią von Stein za siostrę i przeżył w ten sposób kilka lat zachwycających. Że te lata musiały się skończyć, łatwo domyśléć się można, ale stało się to dopiéro po powrocie Goethego z Włoch.

W listach do ukochanéj przyjaciółki widzimy odźwierciedlone to spokojne i jednostajne życie, jakie Goethe na dworze weimarskim prowadził; w nich przejawia się głębokie uczucie poety dla piękności przyrody i zamiłowanie do życia rodzinnego. Ze znanym talentem opisowym daje nam w nich obrazki to kraiku całego, po którym nieraz odbywał podróże w charakterze urzędowym, to pojedyńczych jego części, jak np. przepyszny opis turyngskiego lasu. Na wiosnę, latem, w jesieni, w zimie, zawsze spotykamy szkice z nowéj ojczyzny Goethego. Z panią von Stein dzielił się wszystkiemi wiadomościami, czytał z nią razem, dyktował jéj, pisał u niéj, rysował, komunikował jéj wszystkie swoje ułamkowo powstające poezye, zaznajamiał się ze wszystkiemi nowościami literackiemi. Bo téż w inny sposób niepodobna było naówczas rozwijać życia duchowego: pisma codzienne nie istniały; rzeczy dziejące się w pobliżu dochodziły do wiadomości bardzo powoli i jakby kroplami tylko. Na niebie polityczném panowała pogoda; żadna burza nie psuła spokojnéj i swobodnéj kultury; nowość pojawiała się zrzadka i harmonijnie zlewała się z nabytkami staremi; jeden dzień następował po drugim zwolna podług stałego porządku.... 9 Kwietnia 1781 pisał Goethe do Lavatera: „Ostatnie tygodnie wiosny były dla mnie wielce błogie; co rano witał mię kwiat albo pączek nowy. Cicha, czysta, zawsze jednakowo beznamiętna roślinność pociesza mię częstokroć, gdy myślę o nędzy ludzi, o ich nieszczęściach moralnych i fizycznych.“ Słowa te tak brzmią, jakby wyszły z ust ogrodnika-filozofa, który przez całe życie swoje z kwiatami jedynie miał do czynienia...

A przecięż miał on do czynienia i z ludźmi, przedewszystkiém zaś z księciem Karolem Augustem, którego był mentorem. Pod tym względem miał Goethe tak postępować, że nigdy do poważniejszych jakichś zatargów między nimi nie przyszło. Poeta rozumiał doskonale przedział, jaki istniał pomiędzy nim, mieszczaninem, a księciem, szlachcicem; nigdy téż nie pomyślał o niemożliwym stosunku poufałości, któraby wszelkie różnice zaciérała, ale do szczerego przywiązania łączył zawsze uszanowanie, wyrażane za pośrednictwem wszystkich formuł konwenansu. Z samego początku mówili sobie wzajem: *ty*; wkrótce atoli Goethe nawet we cztery oczy zachowywał przepisy etykiety. Książę natomiast zrozumiał odrazu umysłową wyższość Goethego i nie próbował mu jéj zaprzeczać ani słowem, ani postępowaniem; gdyż wiedział, że nigdzie nie znajdzie zdolniejszego doradcy. To téż od r. 1776 do 1828 nic ważniejszego nie zaszło w Weimarze, o czémby Goethe nie wiedział, albo do czegoby ręki nie przyłożył: poeta nie traktował żadnego interesu jako rzecz podrzędną; owszem ze starannością niezmiernie drobnostkową wglądał w najmniejsze okoliczności, dbając o dobro kraju a rady jego nigdy złego skutku nie wywarły. Wprawdzie niezawsze książę mógł lub chciał powodować się temi radami, wiadomo np. jak długo pracować musiał Goethe nad tém, ażeby odwieść Karola Augusta od namiętnego polowania na dziki, które wielkie spustoszenie w mieniu biédnych poddanych sprowadzało (1); wiadomo także że w wielu kwestyach finansowych i administracyjnych minister nie mógł planów swoich przeprowadzić. Atoli jako prawdziwy uczeń Spinozy, Goethe nie wiele się troszczył niepowodzeniem, uważając je za prostą negacyą, nie zaś za byt rzeczywisty.... Karol August nie żył dobrze ze swoją żoną Ludwiką; stosunek ten był jednym z najprzykrzejszych dla Goethego, gdyż poeta musiał być powiernikiem obojga i stawać się nieraz pośrednikiem między nimi. Narowista natura księcia kazała mu częstokroć dawać jéj folgę, zmusiła raz nawet do usunięcia się wraz z nim od towarzystwa dworskiego i wybrania się na zimę (1779/80) w podróż do Szwajcaryi. Poeta chciał być czas jakiś sam na sam z Karolem Augustem, ażeby w rozpatrywaniu wspaniałych zjawisk przyrody zapomnieć na chwilę o różnicach społecznych. Jeżeli ktoś chce zapoznać się z ówczesném usposobieniem poety i porównać je z dawniejszém, niech odczyta dwie serye listów ze Szwajcaryi. W jednéj, spółczesnéj Wertherowi, napotka chęć do przygód, skłonność do naturalizmu, graniczącą z wy-

(1) Adolf Stahr: Weimar und Jena. 1871. tom I, str. 168—173.

myślną rozpustą, styl deklamacyjny i sentymentalny; w drugiéj—zamiłowanie wygódek, spokojną obserwacyą, miłość przyrody, styl naturalny, prozaiczny zazwyczaj, czasami jedynie uśmiechem poezyi okraszony. W téj drugiéj seryi Karol August przedstawia się poecie jako człowiek zbytkiem sił obdarzony, hazardowny, niezmordowany wśród najbardziéj trudzących i najniebezpieczniejszych wycieczek w góry; Goethe zaś tęskni zawsze do ochronnego dachu i do smacznego posiłku.... A przecięż poeta był to silny, pleczysty mężczyzna, dla którego gorąco i zimno niewielką robiły różnicę, który dzień cały przesiedziéć mógł na siodle a noc w lesie przeleżéć, albo przehulać. Na polowaniu, na ślizgawce, na balu był on jednym z najwytrzymalszych, nawet wśród hałaśliwéj kanonady, na polu bitwy nie tracił odwagi i ze spokojem doświadczonego obserwatora wszystkie symptomata gorączki bojowéj zapamiętywał, ażeby je późniéj dokładnie opisać.

Pomimo jednak całéj zręczności Goethego w prowadzeniu księcia, pomimo przywiązania Karola Augusta, nie mógłby przecięż poeta wytrwać na swém stanowisku, gdyby nie został uszlachcony. „W Niemczech, pisał Goethe w r. 1782, szlachcic jedynie może miéć ogólne, że tak powiem, *osobiste* wykształcenie. Mieszczanin może położyć zasługi, może nawet ducha swego wykształcić; ale *osobistość* jego znika zupełnie, choćby nie wiém czego dokonał.“ Goethe uważał siebie zawsze za należącego do szlachty; nie zrobiło to więc na nim wielkiego wrażenia, kiedy właśnie w roku 1782 nadszedł dla niego z Wiednia dyplom szlachectwa, który urzędowe jego położenie ugruntowywał. Już w r. 1779 został był tajnym radcą; teraz otrzymał prezesostwo w Izbie.

Jeżeli do naszkicowanych tu osobistości i wypadków, których poetyczne przedstawienie odnajdujemy w „Wilhelmie Kleistrze,“ dodamy jeszcze ścisłe i przyjacielskie stosunki z Herderem, który został kaznodzieją nadwornym w Weimarze i pisał wtedy swoje „Pomysły do filozofii dziejów ludzkości,“ z jego żoną, z artystką Koroną Schröter i Kneblem, owym oficerem pruskim, co to zapoznał Goethego z Karolem Augustem; to wyczerpniemy cały spis osób, stanowiących towarzystwo Goethego podczas pierwszego dziesięciolecia jego pobytu na dworze weimarskim. Towarzystwu temu nie brakowało ani wykształcenia, ani miłości dla sztuki; a jednak Goethe, rozmawiając w późnym wieku z kanclerzem Müllerem, powiedział te pamiętne słowa: „Wilhelm Meister świadczy, w jak strasznéj samotności go utworzyłem, dążąc ustawicznie do czegoś ogólnego.“ Ta dążność do urzeczywistniania idei ogólnych uwydatniała się coraz wyraźniéj w miarę, jak interesa państwa przechodziły zwolna z pod

kierunku poety w ręce dojrzéwającego księcia. Goethe spostrzegał, że rola mentora i rządcy państwa z każdym rokiem nieodpowiedniejszą dla niego się staje, Karol August bowiem rozwijając swoję samodzielność, ograniczał samodzielność poety w sprawach państwa. Być nawet może, iż zmiana ta pożądana była dla Goethego; gdyż on po kilku latach pracy urzędowéj i okolicznościowego wierszowania, *a propos* rozmaitych uroczystości i teatrów amatorskich, uczuł, że właściwie stworzony był na pisarza a nie na utalentowanego ministra. To téż mianowicie od roku 1780, w którym pisał jeszcze, że jego praca literacka podporządkowuje się wymaganiom życia, spostrzegać się daje zwrot ważny: bo równouprawnienie zajęć urzędowych z popędami twórczości poetyckiéj; a w r. 1785 popędy te wzięły stanowczo górę nad wszystkiemi innemi rzeczami. W Goethem obudził się znowu „artysta“ i artysta ten czuł się osamotnionym w otoczeniu weimarskiém tak dalece, że dopiéro we Włoszech, dokąd tajemnie, umówiwszy się tylko z księciem w jesieni r. 1786, wyjechał, znalazł się w swoim żywiole i mógł albo przerobić zupełnie, albo ostatecznie wykończyć utwory, które w ostatnich latach napisał lub porozpoczynał.

II.

Geneza Ifigenii w Taurydzie.—Opera Glucka.—Próba nowego stylu poetyckiego.—Pierwsze przedstawienie Ifigenii.—Wpływ Włoch.—Znaczenie dziejowe Rzymu.—Nowe pojęcie o stylu.

Kiedy Goethe miał w tajemnicy przed panią von Stein wyjechać do Włoch z Karlsbadu napisał do niéj liścik, zawierający następne zagadkowe słowa: „W każdym razie muszę jeszcze pozostać z jaki tydzień; wówczas atoli wszystko skończy się łagodnie a owoce spadną dojrzałe. I wtedy *żyć będę w wolnym świecie wraz z Tobą i w szczęśliwéj samotności bez imienia i stanu zbliżę się do ziemi*, z któréj wyszliśmy.“ Poeta napomykał jéj tajemniczo o sztuce, któréj bohatérką była ona, Karolina von Stein. Nad sztuką tą pracował Goethe całych lat dziesięć, przerabiał ją i poprawiał, raz prozą, to znów wierszem ją odtwarzając, a nie mogąc przecięż zadowolnić samego siebie. Mówię tu o „Ifigenii w Taurydzie.“ Pierwszy jéj pomysł powstał jeszcze w r. 1776 prawdopodobnie z téj okoliczności, że proszono Goethego o napisanie kantaty na cześć ukochanéj siostrzenicy sławnego kompozytora Glucka, gdy ten ją utracił. Gluck napisał był właśnie niedawno swoję Ifigenią w Aulidzie, do któréj tekst do-

robił Rollet; łatwo tedy przypuścić, że Goethe miał zamiar uczcić zgasłą dziewicę poematem o Ifigenii. Gdy jednak bliżéj się zastanowił nad tą zachwycającą postacią, poznał, że ona mu bliższą była, niż siostrzenica Glucka, gdyż przed wyobraźnią jego zjawiła się jego ukochana. W Ifigenii mógł wystawić ten błogosławiony spokój, którym go natchnęła siostrzana przyjaźń pani von Stein; ich wzajemny stosunek mógł wznieść się do takich wyżyn, skąd wszystko wypowiedzieć się dawało. Orestes, dręczony wewnętrznemi męczarniami, przez samę przytomność Ifigenii zostaje od nich uwolniony, chwila właśnie, w któréj Orestes znajduje się w obliczu siostry i przyjaciela (Piladesa), wedle wyraźnego wyznania Goethego, stanowi oś utworu.

Sam atoli stosunek Orestesa do Ifigenii nie dawał możności rozwinięcia akcyi; obok pierwiastku łączącego, brakowało elementu opornego, rozdzielającego osoby dramatu. Ciężar urzędowych zajęć, zwiększających się z każdym rokiem, dostarczył Goethemu tego pożądanego elementu. Wszystkie składowe pierwiastki charakteru Karola Augusta odbiły się w postaci króla Toasa, który chciałby Ifigenią zatrzymać, ale zwyciężony jéj szlachetnością pozwala jéj wraz z bratem do ojczyzny powrócić. Do Karola Augusta wiązała Goethego cześć i wdzięczność, chociaż z drugiéj strony nie mógł odepchnąć myśli, żeby się kiedyś rozstać nie mieli. W rzeczywistości rozstanie nie nastąpiło, dokonało się ono tylko w poezyi, a kiedy Goethe wyjeżdżając do Włoch odczytywał ostatnią scenę Ifigenii, widział wzruszenie na obliczu księcia....

W pierwotnéj redakcyi, téj sztuki nieraz przerabianéj, spostrzegamy usiłowania Goethego do stworzenia nowego stylu poetyckiego. Poprzednio w okrésie frankfurckim wyrobił sobie Goethe własny język, będący mięszaniną różnych południowo-niemieckich narzeczy, przekładaną reminiscencyami z pieśni ludowych i z niemczyzny XVI i XVII stulecia. Na uformowanie tego języka wpływały nadto wzory greckie i szekspirowskie, a całości ostateczne piętno nadała metoda Lavatera. Podczas pierwszych dwu lat pobytu w Weimarze, Goethe używał jeszcze tego języka w swoich korespondencyach i prześlicznych romansach i balladach, przesiąkniętych pierwiastkiem ludowym i jakby do śpiewu przeznaczonych. Wkrótce jednak wpływ nowéj ojczyzny, w któréj więcéj czytano niż mówiono, zaczął silnie działać na Goethego. Nowa jego publiczność, t. j otoczenie dworskie, nie rozumié go i zmusza do szukania form nowych. Wyzywający ton prozy z czasów frankfurckich był odpowiedni młodym latom Goethego, w których talent łączył się z radykalizmem w myśleniu, zmiana położenia wymagała godności i miary. Nie można

było tak sobie wprost wypowiadać, co się myślało, wiele rzeczy owszem ukrywać i otaczać tajemnicą wypadało. Język też Goethego zaczyna przybiérać tok północno-niemiecki, stosować się do składni pisanéj, a usiłowanie dawniejsze pisania tak, jak lud mówi, zamieniło się na chęć uczenia ludu, jak mówić powinien, ażeby uczucia i myśli swoje należycie mógł wypowiedziéć. Przemiana ta jednak szła oporem, Goethe czuł się pozbawionym ojczyzny w literaturze a w otoczeniu swojém nie znajdował nic żywotnego, coby artystycznie wyzyskać się dało; postanowił więc słuchać dźwięku własnego głosu, ażeby doświadczyć, czy też słowa potrafią odmalować jego uczucia i myśli. W tym celu zaczyna dyktować swoje utwory (jak np. Ifigenią), zaczyna się do pomocy muzyki uciekać, ażeby pochwycić w duszy rytm mowy najodpowiedniejszy do wyrażenia nowych pomysłów. W Goetzu kazał mówić kobiétom prostą domową niemczyzną; ale jakże tu tę niemczyznę włożyć w usta Ifigenii, córce królewskiéj, która przed lat tysiącami z bogami i boginiami rozmawiała? Stosunki mityczne wymagały czystego wyrażenia uczuć bez żadnéj przymieszki różnych narzeczy. Goethe nie mogąc znaléść wkoło siebie stosownéj mowy, zwrócił się do Włochów i Francuzów, studyował libretta oper, które pisali Metastasio, Quinault i inni, tudzież poddawał się przewodnictwu muzyki.

Wśród takich-to artystycznych rozmyślań stworzył Goethe pierwotną „niemiecką“ Ifigenią, którą 6 Kwietnia 1779 po raz pierwszy na dworze wejmarskim przedstawiono. Goethe grał Orestesa, Knebel Toasa, książę Konstantyn Piladesa, a Korona Schröter Ifigenią. Na drugiém przedstawieniu rolę Piladesa oddał sam książę Karol August. Przedstawienia te były dla Goethego próbą jedynie, jak też nowy jego język brzmiéć będzie na scenie; ażeby go wydoskonalić, radzi się pani von Stein, Wielanda, Herdera, Knebla, zastanawia się nad każdym wyrazem, przekreśla całe sceny, dorabia nowe, a o drukowaniu sztuki ani myśli. Ifigenia była prawdziwém dzieckiem boleści Goethego; stała się powiernicą najskrytszych jego myśli, o niéj mówi nieustannie we wszystkich listach i zapiskach; bierze ją wreszcie z sobą do Włoch, sądząc, że znajdzie w podróży dosyć czasu dla przygotowania jéj do druku.

W pierwszym zaraz liście z Włoch wspomina o niéj Goethe, opisując przejście przez Brenner. Opowiada tu jak siedząc w powozie, wydobył Ifigenią z wielkiéj paczki, zawierającéj jego rękopisma. „Dzień tak jest długi,“ powiada, „myślenia nic nie przerywa a wspaniałe obrazy otaczającego świata nietylko nie spędzają usposobienia poetycznego, lecz je owszem przywołują.“ Opis Alp, miesięcznéj nocy, wśród któréj jechał samotny i tęskny przez wąwóz;

a następnie obraz zstępowania w okolice zupełnie odmiennéj włoskiéj natury przedstawił poeta z całym zasobem swojéj sztuki opisowéj. A ponieważ praca nad Ifigenią towarzyszy mu ciągle, odblask więc myśli, utwór jego zapełniających, pada i na przebywaną przezeń drogę, tak że się zdaje, iż umysłu jego nic innego wówczas nie zajmowało. Ifigenia zastępowała mu nieobecną przyjaciółkę Karolinę Stein, do któréj większość swych listów z Włoch adresował. „Nad jeziorem Garda,“ mówi Goethe, „kiedy gwałtowny wiatr południowy fale ku brzegowi pędził, gdzie ja byłem tak przynajmniéj samotny jak moja bohatérka na wybrzeżu Taurydy; zarysowałem w głównych liniach nowe opracowanie sztuki, nad którém w Weronie, Vicenzy, Padwie a szczególniéj w Wenecyi pracowałem.“ I właśnie w Wenecyi wydała mu się ona tak niedoskonałą, jak i dawniéj. Siedząc raz w teatrze San Crisostomo, zaczyna rozmyślać nad tém, jakby on przedstawił swoję Ifigenią za pośrednictwem tameczném trupy i przed tameczną publicznością. Wróciwszy z widowiska, napisał w liście: „Dzisiaj ani jednego wiersza nie mogłem w Ifigenii utworzyć“ a dnia tego miał ją według poprzedniego planu zupełnie ukończyć... Tak więc opuścił Wenecyą, nie posławszy rękopismu do druku. Miasto to było dla Goethego za bliskiém jeszcze granic niemieckich, dopiéro kiedy do Bolonii dążył, uczuł się od Weimaru całkowicie odciętym. Przeszłość staje się dla niego coraz niewyraźniejszą; Ifigenia jednak dochowuje mu wierności, jakby była jedyną rzeczą z wielkiego rozbicia uratowaną, ukazuje mu się wszakże w zupełnie nowéj postaci: Tauryda zapada się we mgle a otwiéra się nowy krajobraz; powstaje myśl napisania Ifigenii w Delfach. Siedząc w powozie wiozącym go do Bolonii, spostrzegł, że wyobraźnią jego napełniają nowe myśli i nowe obrazy: Elektra miała wejść na scenę. „W piątym akcie,“ pisze Goethe, „ma miejsce poznanie się rodzeństwa; płakałem nad niém jak dziécię.“ W Bolonii nowy pomysł mu przychodzi. Opisując obraz przedstawiający świętą Agatę, dodaje: „Artysta nadał jéj zdrową, pewną siebie dziewiczość, bez dzikości jednak. Doskonale wpoiłem sobie w pamięć tę postać i przed nią będę odczytywał w duchu swoję Ifigenią, ażeby bohatérka moja nie wypowiedziała nic takiego, czegoby ta święta powtórzyć nie mogła.“ Myśl ta rozstrzygnęła o losie sztuki: okazało się raz jeszcze, że ostatnie opracowanie uważać wypadało tylko za studyum przygotowawcze do właściwego utworu. Przed owym obrazem ś. Agaty poznał Goethe, że pani von Stein nie panuje już samowładnie w jego dramacie, że owszem inne postaci chciały obok niéj dojść do wpływowego znaczenia. W Niemczech myśli Goethego zanadto jeszcze trzymały się domu; we Włoszech, im więcéj do

Rzymu się zbliżał, tém jaśniéj pojmował, dlaczego praca jego nie mogła dotychczas ostatecznego wykończenia otrzymać. W Wenecyi dostrzegł, że obok teatru amatorskiego w Weimarze i tych co w nim występowali, do jego sztuki rościć sobie może pretensyą scena szerszego znaczenia, o któréj myślał za czasów frankfurckich; a w Bolonii zauważył, że na postać bohatérki jego muszą się złożyć inne linie, aniżeli te, w których wyobraźnia przedstawiała mu obraz jego przyjaciółki. Ostateczna praca nad dramatem teraz dopiéro stawała się możliwą; poeta opuściwszy dotychczasowy grunt, wstąpił na ziemię klasyczną, aby na niéj rozwinąć się całkowicie. Mogło się to dokonać tylko w Rzymie.

Inne miasta włoskie stanowiły niejako przygotowanie do wrażeń w Rzymie odebranych, a przygotowanie to odnosiło się oczywiście do rozszerzenia i sprostowania pojęć o pięknie i sztuce. Goethe zaczyna teraz mówić z lekceważeniem o stylu gotyckim a unosi się natomiast nad architekturą renesansu i starożytności grecko-rzymskiéj: Palladio, którego utwory w Vicenzy podziwiał, zachęcił go do studyowania Witruwiusza. Toż w malarstwie z uznaniem rozszerzał się nad zaletami Franciszka Francia i Piotra Perugina, a z uniesieniem mówił o mistrzowstwie Rafaela. Wszystko, co nie posiadało cechy antyków albo włoskiego renesansu z wielkiéj epoki, pomijał z pewną obawą i wstrętem: Florencyą np., tę stolicę starego włoskiego malarstwa i plastyki, przebiega w przeciągu trzech godzin; w Assyżu przechodzi obojętnie koło katedry ś. Franciszka; budowle gotyckie wydają mu się smutne, malowidła Cimabuego i Giotta nie istnieją dla niego; on widzi tylko rzymski kościołek Minerwy, którego obejrzenie miało mu nieskończone przynieść pożytki. Przybywa wreszcie do Rzymu i pisze 1 listopada 1786 do pani von Stein: „I tak, przybyłem nakoniec do stolicy świata“.,. Co Goethe rozumiał tu przez *świat* i przez *stolicę*?

Jeżeli wspominamy o Rzymie za Goethego, to powinniśmy pamiętać, że był on zupełnie czémś inném aniżeli jest dzisiaj. Rzym dzisiejszy, jak wszystkie inne miasta, to zbiorowisko domów i pałaców, pomników i zbiorów mniéj lub więcéj pięknych, mniéj lub więcéj ważnych. Zapewne, dzieła Rafaela i Michała Anioła, galerya Watykanu, wspomnienia dziejowe, piękne niebo i ciepły klimat nigdy ani wartości, ani uroku swego nie stracą; ale tém czém dawniéj Rzym już nie jest i nie będzie podobno. A czémże on był?

Rzym od założenia swego nie był stolicą jakiéjś ściśle określonéj narodowości, ale dobrze obmurowanym punktem zbornym dla ludzi bez ojczyzny, zapominających na gruncie rzymskim o swojém dawném pochodzeniu. Przyciągał on do siebie zdala wszystkie ener-

giczne charaktery, które się na coś przydać mogły. W miarę jak wzrastał popyt na dzielnych mężów, cudzoziemcy otrzymywali większą łatwość zostania obywatelami rzymskimi; tak że nakoniec, kiedy panowanie Rzymian nad światem stało się faktem, nie widzimy w murach Rzymu narodu jednorodnego, ale tylko olbrzymią masę urzędników i żołnierzy, dbających jedynie o interesa państwa, a ponad nimi spostrzegamy społeczeństwo obywateli rzymskich, rządzących się spólnemi prawami. Tylko w służbie publicznéj obowiązuje mowa i religia Rzymska, w każdym innym wypadku Rzymianin może mówić i myśléć jak mu się podoba i wierzyć w to, co mu się podoba. Takim był Rzym w pierwszém tysiącoleciu swego istnienia.

Treścią drugiego tysiącolecia są dzieje rozkładu owéj staréj potęgi a zarazem wznoszenia się nowéj z gruzów dawnéj i na tych samych co dawna podstawach. W ludach niepokonanych przez Rzym, albo uważanych za materyał niezdatny do niczego, obudziło się uczucie sępa, czyhającego na ostatnie tchnienie trupa; a jakkolwiek żywotność Rzymian była tak wielka, że nawet sępy te dostarczały im rekrutów do rozszarpywania własnych spółbraci, to przecięż przyszła chwila, w któréj Germanie, stanowiący prawie całkowicie armią rzymską, wsparci przez Germanów wolnych doszli do właściwéj sobie organizacyi i na miejsce rzymskiego ustanowili niemieckie cesarstwo. Treść atoli niemiecka musiała przybrać formę rzymską; Rzym pozostaje i nadal stolicą świata. Dawna surowość i krwawa bezwzględność panują w nim jak dawniéj; stara zasada przyciągania do Rzymu mężów energicznych i przemieniania ich na Rzymian nie traci swéj siły. Zaszła ta jedynie zmiana, że miejsce dawnego społeczeństwa, którego dźwignią było prawo, rozwijające się w Rzymie, zajmuje teraz społeczeństwo, którego dźwignią jest wiara kościelna przez Rzym sformułowana. Z tą nową zasadą łączy się konsekwetnie dawna, tak iż Rzym w najopłakańszych nawet chwilach, kiedy leżał niemal w ruinie i wyludnił się prawie zupełnie, nie stracił przecięż swojéj aureoli i był centrum, stolicą, podziwem świata. Kto wszedł w jego mury, tracił wolność, ojczyznę; niezwyciężone poprzednio kraje germańskie, wraz z Anglią i Skandynawią stają się teraz prowincyami kościoła rzymskiego, przechodzą pod naczelnictwo biskupów rzymskich. A ponad to wszystko wznosi się nowa budowa: mieszkańcy starego cesarstwa, ulegający woli zawojowanych moralnie germańskich cesarzów, tworzą rzeczywisty naród romański, który panowanie nowych cesarzów unicestwia, papiestwo w ręce romańskie oddaje i dokonywa wreszcie tego, co było rozpoczęte przez starych rozbójników z nad bagien tybrowych.

To ostatnie przekształcenie wypełnia treść trzeciego tysiącolecia dziejów rzymskich. Tysiącolecie to było najświetniejsze. Nie łudźmy się wspaniałym obrazem dawnego Rzymu republikańskiego i cesarskiego; nowy, papieski Rzym większych rzeczy dokonał. W pierwszém i drugiém tysiącoleciu Rzym nie posiadał ani sztuki, ani poezyi własnéj: greccy artyści i literaci, chociaż się stali prostemi mieszkańcami prowincyi rzymskiéj, napełniali przecięż Rzym pracami swojemi; specyficznie zaś rzymskiego dzieła sztuki, prawdziwéj rzymskiéj książki, z wyjątkiem chyba *Corpus juris* i utworów ojców kościoła, stolica świata nie wydała; wszyscy bowiem pisarze rzymscy od Plauta aż do Pliniusza powtarzali jedynie mowę Greków za pośrednictwem słów i zwrotów łacińskich. W czasach natomiast, które, z punktu jednostronnie politycznego rozpatrywane, wydają nam się epoką najstraszniejszego upadku, w czasach tych, kiedy miasto z jednego tysiącolecia do drugiego przechodziło, dokonały się na gruncie włoskim, hiszpańskim i francuskim owe zaślubiny ludów i ojczyzn i utworzyły się narody romańskie, które wraz z mową własną zaczęły objawiać własną twórczość duchową, powstał pierwszy geniusz tego romańskiego świata, Dante, nowy Homer. Od niego rozwija się coraz wspaniałéj życie duchowe w Rzymie i około Rzymu; następuje czas kwitnienia sztuk i umiejętności, przewyższających wszystko, czego stary Rzym w tym kierunku dokonał. Włochy, Hiszpania, w końcu Francya spółzawodniczą z sobą w naukach i sztukach; odstrychnięcie się Niemiec, Anglii i Holandyi nie nadwątliło potęgi romańskiego świata, a żywotność téj nowéj wiosny rzymskiéj musiała przejść przez próby jesieni i zimy, ażeby uledz rozkładowi, którego świadkami jesteśmy. Dziś dopiéro w oczach naszych przemienia się Rzym na kolosalny zabytek pamiątek, który ciekawie rozpatrują narody. Pełne hotele a puste pałace—oto charakterystyka dawnéj stolicy świata, pozostawionéj saméj sobie, tj. plemieniu romańskiemu.

Goethe atoli widział jeszcze ostatnie chwile trzeciego tysiącolecia, nie przeczuwając nawet, że dni wspaniałości rzymskiéj niedługo przeminą. Bo téż wówczas najlżejsze nawet drgnienia nie przepowiadały jeszcze rewolucyi francuskiéj, a walka stanów amerykańskich przeciwko Anglii przedstawiała się jako daleka jakaś awantura. Europa leżała spokojnie, jakby tysiące lat wypoczynku miała przed sobą, miasto zaś, które się stało miastem ojczystém dla Rafaela, Michała Anioła i tylu innych znakomitości, ozłocone aureolą przeszłości i przepychem spółczesnym, rozciągało się przed oczami Goethego jako wymarzona kraina potęgi, która i jego w ramiona swe pochwycić miała. Rzym panował jeszcze natenczas światu, od-

bierając haracz od całego niemal duchowieństwa europejskiego, władającego nagromadzonemi przez wieki bogactwami, zmuszając nawet opornych Niemców północnych, Anglików i Skandynawów do składania hołdu jego ukształceniu. Wszakże w duszy Goethego, który był przecięż protestantem, tęsknota do Włoch od dzieciństwa niemal gościła, a ojciec jego, człowiek suchy i pedantyczny, raz jeden tylko w życiu doznał zachwytu a to wtedy, gdy we Włoszech bawił. Najpiękniejszemi wywodami dziejowemi Herdera są te, w których opisuje cywilizacyjną potęgę kościoła rzymskiego; Lessing opierał swoje poglądy na starożytności i renesansie, a zrodzony i wychowany na dalekiéj protestanckiéj północy Winckelmann przyjął nawet formuły kościoła rzymskiego, ażeby tylko mógł piękności Rzymu w całéj pełni oglądać. Rzym i Włochy pełne były Niemców, którzy szukali tam i znajdowali to, czego żadna inna miejscowość dostarczyć im nie mogła. Goethe miał zatém słuszność, kiedy napisał do pani von Stein: „I tak, przybyłém nakoniec do stolicy świata!“

Nie było natenczas piękniejszego i swobodniejszego miejsca do pracy artystycznéj i naukowéj. Pałace kardynałów—to przytułek dowcipnych i utalentowanych uczonych, skądkolwiek pochodzili; miasto napełniało się nieustannie przybywającą i odjeżdżającą arystokracyą wszystkich krajów; umiejętność życia i używania podnosiła się do wyżyn artyzmu; spokój niczém niezamącony kołysał do snów fantastycznych; wolno było myśléć i wypowiadać głośno co się myślało, z wyjątkiem chyba tego, że niepodobna było ogłaszać panowania antychrysta, wystawiwszy ambonę na placu hiszpańskim (jak mówił kardynał Albani). Słowém Rzym był uniwersytetem dla ludzi dojrzałych ze wszystkich narodów; Goethe miał wtedy lat 37 a czas pobytu swego w Rzymie nazwał „drugiém akademickiém życiém swobody.“ I rzeczywiście jeżeli przypomnimy sobie, że Goethe przemieniał dotychczas tylko jedno małomiasteczkowe gniazdo na drugie; że nie był ani w Paryżu, ani w Wiedniu, ani w Londynie; że będąc przelotnie w Berlinie nic więcéj nie zauważył tam nad to, iż „im świat większy, tem szpetniejsza farsa;“ to nietrudno mu będzie uwierzyć, że w Rzymie dopiéro oswobodził się z ciasnych pęt życia szkolnego i odetchnął swobodnie wśród szerokiego uniwersyteckiego widnokręgu. Goethe stykał się tu i owdzie z potentatami rozmaitego stopnia, ale zanim przybył do Rzymu nie znał prawdziwego wielkiego świata. W „stolicy świata“ przedstawił się oczom jego niezmierny przestwór dla duchowego rozwoju a równocześnie u nóg jego rozciągały się rzeczy godne poznania, w masach nagromadzone. Zamiast nędznych odlewów, po które zresztą dalekie podróże

odbywaćby musiał, miał przed sobą całe bogactwo antyków w willach i pałacach, niezrabowanych jeszcze natenczas, w Kapitolu i w Watykanie; Rafael i Michał Anioł mieszkali tuż obok niego... Dodajmy do tego swobodę w życiu towarzyskiém i myśl, że nie ma pana nad sobą, któryby godzinami jego miał prawo rozporządzać; a zrozumimy zachwyt, jaki dla Rzymu przejmował Goethego. Duszę jego napełniło nie to sztuczne, zwyczajem i „przewodnikami“ po Włoszech wywołane upojenie, jakim dziś chwali się obowiązkowo każdy niby ukształcony podróżny; lecz naturalne uczucie błogości, jakie powstaje w człowieku, kiedy po długotrwałém przygnębieniu czuje się po raz pierwszy w prawdziwym żywiole swoim. Teraz mógł Goethe oddać się najzupełniéj pociągowi swemu do „idei ogólnych.“

Kiedy pierwsza burza zadziwienia i tłumnie cisnących się wspomnień o przeszłości Rzymu minęła, Goethe, przyzwyczajony do pracy systematycznéj, uczuł potrzebę zrobienia sobie ogólnego planu wyprawy artystycznéj. Chiał wszystko objąć, niczego nie pomijając; ale zamiar ten nie mógł być wykonany odrazu zarówno z powodu mnogości przedmiotów i krótkości czasu, jak i z naturalnego popędu do tworzenia na własną rękę i do obcowania z ludźmi, poświęcającymi się sztuce i nauce. Za pierwszym pobytem w Rzymie najgłówniejszą dla niego rzeczą było wprawiać oko i ducha, pod przewodnictwem Winckelmanna. do rozpoznawania stylistycznych właściwości w rozmaitych epokach sztuki starożytnéj. Wielkie freski Rafaela i Michała Anioła mają w nim widza przejętego najgorętszą miłością i zachwytem; starożytności rzymskie a przedewszystkiem owe dzieła plastyczne, które przed odkryciem szczątków z czasu najświetniejszego rozwoju sztuki greckiéj uchodziły za rzeczy bezwarunkowo najpiękniejsze, jako to: Apollo belwederski, Jowisz z Otricoli, Juno Ludovici, Minerwa Giustiniani, przepełniały jego serce błogą radością. Goethe nawet był może pierwszym, co uznał i ocenił cudną piękność Meduzy Rondanini, o któréj Winckelmann nigdzie nie wspomniał. W Rzymie zapoznał się Goethe z wielkim światem romańskim i uległ jego czarowi. W Rzymie też dokonał całkowitéj przeróbki swojéj Ifigenii, napisanéj teraz jambami pod wpływem stosunku z Moritzem, który wtedy właśnie wydał swą rozprawę o prozodyi niemieckiéj. Ifigenią tę dla odróżnienia od dawnéj nazywają „rzymską.“

Kiedy dzieła tego dokonał, rozumiało się samo przez się, że musi je przed kimś odczytać; wszystkie bowiem utwory Goethego tak są pisane, jakby miały służyć do jednego celu: do odczytania ich przed przyjaciołmi. Goethe wkrótce po swojém do Rzymu przybyciu

utworzył sobie kółko znajomych. Z początku wprawdzie zataił swoje nazwisko, chcąc żyć samotnie, powoli jednak zbiérała się około niego pewna liczba ludzi, na których miał wpływ; nigdy bowiem otoczenie jego z innych żywiołów się nie składało. Potrzebował takiego życia towarzyskiego, w którémby on był siłą kierowniczą, kto się z pod jego wpływu usuwał, musiał się téż wyrzec obcowania z nim. Duszą kółka rzymskiego była naturalnie kobiéta. Goethe znalazł w Rzymie malarkę Angelikę Kauffmann, która po smutnych przygodach dobiła się tu poważanego stanowiska, malując obrazy historyczne i portrety, co jéj przynosiło znaczny dochód. Prowadziła ona dom otwarty, co w Rzymie niewiele kosztuje, gdyż potrzeba tylko stosownéj przestrzeni i uprzejmości; o jedzeniu i piciu troszczy się tu każdy za siebie. U niéj znalazł poeta dobre przyjęcie: portretowała go niejednokrotnie, namalowała nawet jednę scenę z Ifigenii, o któréj Goethe mówi z uznaniem. U Angeliki miało miejsce czytanie ukończonéj ostatecznie Ifigenii. Czekano na tę sztukę; to téż kwiat kolonii niemieckiéj zebrał się tam, ażeby usłyszéć sławnego poetę niemieckiego, czytającego własny swój utwór. Po autorze Goetza a mianowicie Werthera, którego wpływ na umysły trwał jeszcze ciągle, spodziéwano się czegoś namiętnego i burzliwego, coby posadami świata wstrząsało i coby przedewszystkiém „niemieckiém“ było. Zamiast tego przedstawił Goethe jakieś greckie podanie, gładko na wzór starożytnych odlane wiersze, uczucia umiarkowane, tęsknotę za spokojem i ciszą, jednostajny blask wzniosłości, rzecz zresztą taką, któréj najdosadniejsze miejsce musiało pozostać zagadką dla tych nowych rzymskich przyjaciół, niepojmujących, co poeta w postaci Toasa i w osadzeniu akcyi na Taurydzie wypowiedziéć pragnął. Zawód więc kółka rzymskiego był stanowczy; nic dziwnego, że się wyraził zimném przyjęciem sztuki, czego Goethe po raz pierwszy w życiu doświadczył. Nie bądźmy jednak dla kółka tego niesprawiedliwi. Dla żyjących w Rzymie Ifigenia nie dawała nic nowego, bo się ze sztuką starożytną co krok spotykali; nie potrzebując więc „ducha greckiego,“ pragnęli odetchnąć powietrzem niemieckiém, pragnęli choć myślą przenieść się do oddalonéj ojczyzny. Rozczarowanie zatém było rzeczą naturalną a stawało się tém smutniejsze, że i z Niemiec samych dochodziły głosy przyjaciół, którzy przenosząc dawniejszą formę sztuki, chłodno o „Ifigenii rzymskiéj“ się odzywali. Goethe posłał był Ifigenią do Weimaru na ręce niejakiego Filipa Seidel. Byłto jego sekretarz i służący zarazem, którego zabrał z sobą jeszcze z Frankfurtu i z którym w dosyć poufałych i poufnych zostawał stosunkach. Seidel w skutek swego zachwytu dla frankfurckich prac Goethego stał się doskonałą kopią

Werthera: na świetne towarzystwo weimarskie patrzał z góry, mniemając, że wszystko wié daleko lepiéj niż ono; uważał się za spółpracownika swego pana, ponieważ przepisywał jego rękopisma, w końcu i sam zaczął pisać. Śpiąc w jednym pokoju z Goethem, często w nocy prowadził z nim w łóżku rozmowy o stosunkach dworskich, a podczas gdy poeta łagodny sąd o nich wydawał, Seidel uparcie trzymał się radykalnych wertherowskich poglądów. Otóż ten Seidel, odczytawszy nadesłany rękopism Ifigenii, odpisał natychmiast, że jest z niego zupełnie niezadowolniony. Posłuchać warto, co pierwszy poeta niemiecki, człowiek blisko 40-letni, odpowiedział młodszemu o 6 lat, podrzędnemu pismakowi: „List twój,“ pisał Goethe do Seidla, „odebrałem wczoraj i serdecznie się ucieszyłem twemi przyjaznemi słowy. Co mi piszesz o mojéj Ifigenii, jest niestety! w pewnym sensie prawdą. Kiedym się na cześć sztuki i rzemiosła zdecydował utwór mój przerobić przewidywałem, że najlepsze miejsca stracić na tém musiały, chociaż złe i średnie zyskały. Wymieniłeś dwa ustępy, które oczywiście na przeróbce straciły. Atoli kiedy sztuka zostanie wydrukowaną, to odczytaj ją spokojnie raz jeszcze a zrozumiész, co ona zyskała jako całość“.... Zdaje się, że nawet po téj przestrodze Seidel pozostał wiernym swojéj predylekcyi do dawnieiszéj formy sztuki, bo w jednym z listów Goethe tak przemawia: „Będziesz miał także Ifigenią prozą, kiedy ci to sprawia przyjemność. Artysta może tylko pracować. Powodzenie, podobnie jak wzajemność w miłości, może być przedmiotem życzeń, ale nie przymusu“...

Ale nietylko Seidel, i inni przyjaciele Goethego, Herder nawet wyrazili swoje niezadowolenie z Ifigenii: poeta przyjmował ich wymówki, w dobréj wierze, czasami z boleścią, lecz nie dał się zbić z toru. Chociaż bowiem już potém nie pracował nad Ifigenią, chociaż w rok po jéj ukończeniu zapomniał o niéj, tak jak o miłości do pani von Stein, chociaż powiadał w r. 1792, że już odwykł od delikatnego tonu, panującego w téj sztuce i uważał ją za rzecz zupełnie obcą: sposobowi atoli tworzenia, który się po raz pierwszy w Ifigenii ujawnił, pozostał wiernym i nadal.

III.

Neapol.—Sycylia.—Znajomość z pejzażystą Filipem Hackert.—Powtórny pobyt w Rzymie.—Studya artystyczne.—Sztuka starożytna i renesans włoski.—Rezultat pobytu we Włoszech.

Wieści z Weimaru o przyjęciu jakiego tam doznała Ifigenia nie doszły już Goethego w Rzymie. Spędziwszy bowiem w „stolicy

świata“ cztery miesiące, poeta udał się w Marcu 1787 do Neapolu, skąd w Kwietniu do Sycyliii popłynął. Pompeją i Herkulanum, świątynie w Pästum i Girgenti, wspaniałe statuy greckie baranów w Palermo stanowiły przedmiot jego zachwytów, do Pästum jeździł sam dwa razy. Wszystkie te wybrzeża i przylądki, zatoki i odnogi, wysepki i cyple, winogrona i pomarańcze, i całe to otaczające morze z nieskończonemi swemi przemianami i kaprysami są dla niego jakby prelekcyami wykazującemi prawdziwość i żywotność opisów Homera a mianowicie Odysei. „Jakby łuska spadła mi z oczu,“ pisze do Herdera, „gdyż poznałem, że wszystko, co w opisach i porównaniach Homera poetycznêm nam się wydaje, jest rysunkiem z natury, dokonanym z taką czystością i takiém wniknięciem w istotę rzeczy, iż w rozpacz niemal wprawia wszystkich nowoczesnych, coby ze starożytnymi spółzawodniczyć chcieli.“ Goethe, przypatrując się tym dziwom, powziął nawet plan napisania tragedyi o téj Nauzykai, co była zachwycającą wybawczynią Odysseusza i pokochała go podobno; planu tego nie wykonał wprawdzie poeta, ale on wpłynął na formę późniejszych utworów, kiedy miejsce uroczéj córki Alkinoosa zajęły: Aleksys i Dora, Amintas, Hermann i Dorota... W Sycylii tak dalece pogrążył się Goethe w rozważanie i podziwianie świata greckiego a szczególniéj homerycznego, że zaledwie spojrzał podobno na przepyszne budowy normandzkie i maurytańskie w Palermo, że ani słowa zachwytu nie wypowiedział z powodu potężnéj katedry w Monreale, chociaż... miał czas zajmować się błazeństwami księcia Pallagonia i tajemnicami pochodzenia sławnego wtedy Cagliostra...

W Neapolu na zamku królewskim poznał cenionego wielce przez króla i królowę (Ferdynand i Karolina) pejzażystę Filipa Hackert, którego życiorys podobnie jak Winckelmanna napisał następnie. Opuszczone dzisiaj, lub na składy zbiorów albo na publiczne zakłady obrócone zamki w Capo di Monte Caserta, które dziś staremi się wydają, wtedy właśnie powstawać zaczęły; Hackert był jednym z tych dobrych duchów, co w nich panowały; a Goethe został wkrótce jego ścisłym przyjacielem.

Goethe chwali pejzaże Hackerta, nie przesadnie wprawdzie, ale tak, jakby w wysokim stopniu na uwagę zasługiwały. Dzisiaj sąd ten wspomina się zazwyczaj lekceważąco. Pochodzi to stąd—jak powiada Grimm—że niewielu widziało porządny zbiór pejzaży Hackerta, przypatrzywszy się im jednak dokładniéj, spostrzegamy taką delikatność traktowania, tak prawdziwe zrozumienie przyrody bez szukania fałszywych efektów, takie poczucie linij, że zamiłowanie Goethego w pracach tego malarza zrozumiałém się staje. Przywykli-

śmy obecnie do grubego nakładania farb i dlatego odtworzenie krajobrazu zapośrednictwem linij przeważnie nie robi na nas wrażenia, a właśnie na takiém odtworzeniu polega siła Hackerta, który najzupełniéj odpowiadał spółczesnemu sobie smakowi. Przedstawienie przyrody, pozbawionéj ludzi, takiéj, jaką można objąć z pewnego punktu promieniami pary oczu, jest zupełnie nowoczesnym utworem jako przedmiot dzieła sztuki. Starożytni traktowali krajobraz tylko jako tło czynów ludzkich, pojęcia bowiem samotności jako samotności nie posiadali. Nawet naturę martwą wystawiali sobie w uosobieniu jako dryady, oready, najady itp. Ciemność mogli w ten jedynie sposób wyrazić, że do innych figur kompozycyi dodawali postać nocy. Krajobraz w znaczeniu dzisiejszém nieznany był nawet czasom odrodzenia i jest on płodem wieku XVII. Wspaniałe obrazy lądu i morza, jakie dali Tycyan i Giorgione, nigdy się nie obywały bez ludzi, ażeby pokazać, kto jest panem całéj piękności i krajobrazu, który bez tego pana byłby rzeczą niepotrzebną. Dopiéro w stuleciu XVII obudziła się w ludziach, skrępowanych więzami politycznemi i religijnemi, tęsknota za takiém terytoryum, gdzieby owe straszne potęgi były bezwładne; a terytoryum takie wydawała się im po prostu pustynią, w któréj ludzie nigdy nie mieszkali. Zaczął się natenczas rozpowszechniać kult przyrody jako bóstwa bezosobowego a wszystko leczącego, serca zatęskniły za nieskończoną dalą i szukały wysp niedostępnych, gdzie człowiek powodowany jedynie czystemi serca popędami łączył się z niewielu sobie podobnymi, ażeby wieść życie podług praw natury urządzone. Krajobraz uważać zaczęto za portret téj natury. Wzrost drzew, kruszenie się skał, fale morza, podnoszenie się lądów, wyrażone w liniach miały uzmysłowić ducha matki ziemi. W tym czasie pojmować musimy krajobrazy zeszłego stulecia.

Goethe wziął z sobą do Sycylii młodego artystę, który twardym swoim ołówkiem miał dla niego zaznaczać zarysy gór i linie morza po brzegach. Do tegoż celu dążył Hackert w malowidłach i rysunkach swoich: jakby był tego kraju właścicielem, który, patrząc wprawném okiem na własność swoję, nic nie przecenia i niczego nie lekceważy, Hackert śledzi pilnie najdrobniejsze zagięcia linii dalekiego widnokręgu; z miłosną drobiazgowością rysuje drzewa i krzaki, cierpliwie dąży za wód biegiem; mało farb nakłada, ale fantazyi widza wiele daje do czynienia.

Z Neapolu powrócił Goethe znowu do Rzymu (w początkach Czerwca 1787) i tu przez cały prawie rok zabawił. Po raz pierwszy w życiu osiadł dobrowolnie na jedném miejscu z tą myślą, że tu zawsze żyć będzie. Nic przymuszała go do obrania go ani prakty

ka prawnicza jak we Frankfurcie, ani łaska księcia jak w Weimarze; osiadł w Rzymie dlatego, że mu tu było najlepiéj. Czuje się tu jakby we własnym domu. Najmuje sobie wygodne mieszkanie, pozbywa się zupełnie poprzedniéj gorączki, nie śpieszy się z niczém, żyje spokojnie, cicho, nie myśląc o dniu następnym; przypatruje się wszystkiemu i wszędzie mu dobrze. Ze światem eleganckim nie ma żadnych stosunków i żyje z artystami dla artyzmu; sam z największą usilnością stara się zapoznać z tajemnicami techniki artystycznéj, bierze sobie za nauczyciela Henryka Meyera. O zajęciach swoich w drugiéj połowie 1787 roku tak pisze do księcia Karola Augusta: „Kiedym po raz pierwszy przybył do Rzymu, spostrzegłem niebawem, że właściwie nie miałem żadnego pojęcia o sztuce i że do téj pory podziwiałem i kochałem jedynie ogólny odblask przyrody w dziełach sztuki. Tu objawiła mi się inna przyroda, szersze pole sztuki, co więcéj otchłań sztuki, w którą wpatrywałem się z tém większą radością, że wzrok mój przywykł był do otchłani natury. Oddałem się spokojnie wrażeniom zmysłowym: widziałem Rzym, Neapol, Sycylią i wróciłem do Rzymu napowrót. Wielkie widownie przyrody rozszerzyły mój umysł i wygładziły wszystkie zmarszczki. O wartości malarstwa krajobrazowego nabrałem niejakiego pojęcia, innemi oczyma oglądałem Claude'a i Poussin'a, z Hackertem, który przyjechał do Rzymu, byłem dwa tygodnie w Tivoli, potém dwa miesiące spiekoty zatrzymywały mię w domu, dokończyłem Egmonta, zacząłem uczyć się perspektywy i bawić się trochę farbami. Tak nadszedł Wrzesień; wtedy udałem się do Frascati, stamtąd do Castell Gandolfo; rysowałem z natury i zauważyłem z łatwością, czego mi brakowało. W końcu Października wróciłem do *miasta*, gdzie nastała nowa epoka. Odtąd postać ludzka zaczęła zwracać na siebie uwagę moję; jeżeli dawniéj, jakby blaskiem słońca rażony, odwracałem od niéj oczy, to teraz wpatrywałem się w nią z zachwytem i z długotrwałém zajęciem. Poszedłem do szkoły, uczyłem się rysować głowę z jéj częściami i zacząłem nareszcie rozumiéć antyki. To mi zabrało cały Listopad i Grudzień, przy czém napisałem jeszcze *Erwina i Elmirę* i połowę *Klaudyny* (1). Pierwszego Stycznia (1788) przeszedłem od twarzy do obojczyka, rozpostarłem się na pierś i tak daléj, a wszystko studyowałem zwewnątrz, zastanawiałem się nad budową kości i mięśni, potém rozważałem starożytne formy, porównywałem je z naturą, wdrażałem sobie w pamięć cechy charaktery-

(1) Byłato przeróbka prac dawniejszych wierszem jambicznym.

styczne. Moje dawniejsze staranne studya nad osteologią i nad ciałem w ogóle bardzo mi się przydały; wczoraj (tj. 24 Stycznia) ukończyłem rękę jako ostatnią część, która mi do nauczenia się pozostawała. W następnym tygodniu muszę obejrzéć dobrze wymytemi oczyma najprzedniejsze posągi i obrazy w Rzymie.“

Jakkolwiek te poważne usiłowania w dziedzinie sztuki skończyły się na bolesném przekonaniu, że Goethe nigdy nie będzie sztukmistrzem, były jednakże niesłychanie dla niego użyteczne jako szkoła sądu artystycznego. Goethe, ujrzawszy raz rysunki zdjęte natenczas przez pewnego podróżnika z fidyaszowych posągów na Partenonie: ocenił natychmiast całe ich doniosłe w dziejach sztuki znaczenie, a o artyzmie starożytnych wypowiedział następne głębokie zdanie: „Artyści starożytni dorównywają Homerowi pod względem wielkiéj znajomości przyrody i pod względem dokładnego pojęcia o tém, co można przedstawić zmysłowo i jak tego dokonać należy. Niestety liczba dzieł sztuki pierwszego rzędu jest zbyt mała. Atoli jeżeli i tym się przypatrzymy, to nie pozostaje nam nic do życzenia, jak tylko dokładnie je poznać, a potém oddalić się w pokoju. Te wielkie dzieła sztuki są zarazem największemi dziełami natury, wykonanemi przez ludzi według prawdziwych praw przyrody. Nie ma tam nic samowolnego i wymyślonego, tam jest konieczność, tam jest Bóg.“

Podobne wniknięcie w treść utworów okazał Goethe, oceniając renesans włoski, chociaż zwracał jedynie uwagę na malarstwo i to w najwyższych jego szczytach tylko. „Kto nie widział dzieł Michała Anioła w kaplicy Sykstyńskiéj,“ woła Goethe, „ten nie potrafi sobie wyrobić jasnego pojęcia o tém, czego może dokonać jeden *cały* człowiek.“ O Rafaelu powiada, że on zawsze ma słuszność tak samo jak natura; o dziełach zaś jego dał pełno zdań trafnych w wysokim stopniu.

Pomimo to wszystko należy jednak stwierdzić fakt godny uwagi, że Goethe podróżując po Włoszech zdobył wprawdzie ogromną masę poglądów, wiadomości i doświadczeń w rzeczach sztuki plastycznéj, ale ram pojęć swoich nietylko nie rozbił, ale nawet nie rozszerzył. Poeta wyjechał do Włoch jako uczeń i zwolennik teoryj Rafaela Mengs'a; a w jednym z ostatnich listów z Włoch do Herdera pisanych jako owoc podróży swojéj wysławia to, że teraz lepiéj niż przedtém rozumié pisma Mengs'a. Ale nietylko Rafaela Mengsa, lecz także Angelikę Kaufmann, Tischbeina, Meyera uważa tak jak przedtém za najwyborniejszych mistrzów. Goethe, który zresztą w innych sądach swoich był tak samodzielnym, a niekiedy

nawet zbyt zuchwałym, poddawał się tu bezwarunkowo opinii spółczesnéj i patrzył przez cudze okulary.

Widoczną jest rzeczą, że jako ideał sztuk plastycznych przedstawiał się w tych czasach Goethemu odrodzony helenizm, który późniéj uświetnili dziełami swemi Carstens, Thorwaldsen i Schinkel; Goethe przeczuwał ziemię obiecaną, ale jéj nie znalazł. Mimowolnie musimy przypomnieć sobie Winckelmanna, który również, stojąc na wyżynie swego genialnego poznania sztuki starożytnéj, podziwiał i czcił Rafaela Mengsa i Angelikę Kaufmann. Pogardzali oni wszystkiém, co się sprzeciwiało poczuciu formy na sposób starożytny, a byli wyrozumiali na wszystko, co przynajmniéj zewnętrzny pozór starożytniczéj formy nosiło, woleli idealistyczną manierę, niż gorąco odczutą, ale niezaradną i niedostatecznie wystylizowaną naturalność.

Jeżeli w dziedzinie sztuki Goethe nie wyrobił sobie poglądów samodzielnych, to w każdym razie w zakrésie właściwéj swojéj twórczości, w poezyi, poszedł odtąd nową zupełnie drogą. Sam poeta zauważył, że podróż włoska stanowi epokę w jego poetycznym rozwoju, a uwaga ta zupełnie usprawiedliwioną się ukazuje. Podziałała nań ona w sposób oczyszczający i uspakajający, z każdym krokiem naprzód umysł poety stawał się weselszym, otwartszym, bardziéj spółczującym i bardziéj udzielającym się. Natura i sztuka tego cudownego kraju, szerokość życiowych stosunków ńa wielkiéj arenie świata, potęga wrażeń codzień się pomnażających pobudzają duszę jego do coraz szybszego ruchu, do ogarniania coraz większych obszarów umysłowych. Goethe opisuje szczegółowo to ciągle wzrastające uczucie swobody i szczęścia. Od dnia, w którym przybył do Rzymu, liczy dzień drugich urodzin swoich, dzień prawdziwego odrodzenia, w usposobieniu swojém akcentuje jasność i spokój, o jakich dawniéj przeczucia nawet nie miał, nietylko wolnym się wyznaje od dawnéj chorobliwéj namiętności, ale zaznacza w sobie zmianę zupełną i rozpoczęcie życia nowego. W ostatnich dniach swego rzymskiego szczęścia pisał do przyjaciela: „W Rzymie dopiéro odnalazłem samego siebie, tu dopiéro przyszedłem do zgody ze samym sobą, stałem się szczęśliwym i rozumnym.“

Co do kierunku twórczości, to już 17 Listopada 1787 pisał Goethe do księcia Karola Augusta, że od téj chwili nie chce tworzyć nic takiego, czegoby ludzie, pędzący życie wielkie i ruchliwe, czytać nie mogli, że zrywa z boleścią wszechświatową i rewolucyjną tytanicznością. Goethe pragnął teraz zostać poetą czystego ideału ludzkości czy to w kształcie harmonijnego rozwinięcia wszystkich uzdolnień człowieka i płynącego stąd zadowolnienia z samego siebie, czy też w kształcie zwycięstwa nad nieprzyjaznemi sobie żywiołami

rzeczywistości odniesionego. A z tém oczyszczeniem i pogłębieniem treści duchowéj w nierozwiązanéj zostawała jedności wyidealizowana i pogłębiona forma utworu. Klasycyzm Greków stał się dla Goethego przedmiotem nie filologicznego naśladownictwa, ale żywotnego, swobodnego odtwarzania tak samo jak to było za złotych czasów renesansu włoskiego. Byłto helenizm przenikniony i rozgrzany wynikami głębszego życia duchowego w epoce nowożytnéj.

Kto za wzór poezyi nowożytnéj pragnie uważać wyłącznie i jedynie indywidualizujący, istnie artystyczny, ale w kierunku przeważnie realnym wykonywany rysunek charakterów, jaki u Szekspira znajdujemy, albo też naiwnie prostą serdeczność pieśni ludowéj, ten przewrotu, jakiego Goethe doznał we Włoszech, chwalić nie może. To téż nie brak jednostek, które kierunek Goethego, obrany w twórczości podczas podróży włoskiéj, uważają za godny pożałowania, chociaż wysoce genialny obłęd. Rzeczywiście trudno zaprzeczyć, że od owéj chwili namnożyło się dużo niedorzecznéj i fałszywéj idealistyki, dużo bezdusznego a zewnętrznego tylko naśladownictwa form i motywów starożytnych, takich nawet, które, mając jedynie czasowe i miejscowe znaczenie, stały się dla nas po prostu nieużytecznemi, sam nawet Goethe w późniejszych utworach swoich nie mógł się uwolnić od tego rodzaju błędów. Kto atoli przyzwyczaił się rozważać potężne zmiany w poczuciu stylu artystycznego w związku z wielkiemi ruchami i przewrotami cywilizacyi, ten skardze owéj nie przywtórzy. Wśród ciężkich walk o oświatę w ostatnich stuleciach przyszły narody w swoich genialnych przedstawicielach do poczucia ideału takiego, jaki stanowił istotę i siłę życia i sztuki greckiéj, to téż jak w epoce włoskiego odrodzenia, tak i wówczas chwycono się odpowiedniéj formy artystycznéj. Nie znaczyło to bynajmniéj, żeby styl realistyczny miał być wygnany z dziedziny sztuki, znaczyło tylko, że wysoki styl idealny ma również uprawnienie swoje. W sztuce używa się to jeden, to drugi, stosownie do rozmaitości treści i usposobień ludzkich.

Bezpośrednim wynikiem studyów włoskich był *Torquato Tasso* i dlatego téż zamieszczam dzieje jego powstania tutaj, chociaż wykończenie ostateczne téj sztuki przypada na pierwsze lata powrotu do Weimaru.

IV.

Lenz.—Torquato Tasso i Antonio jako dwie strony usposobienia Goethego.—Ferrara rzeczywista i Ferrara w tragedyi.—Wartość artystyczna Tassa.—Wyjazd z Rzymu.

Pierwszy pomysł do napisania sztuki o Torkwacie Tasso powstał zapewne bardzo wcześnie w wyobraźni Goethego. Już w roku 1774 czytał on w Düsseldorfie nowelistyczne opowiadanie o obłąkaniu Tassa, które ogłosił był Wilhelm Heinse w „Tęczy" (Iris). Wtedy może zakiełkowała pierwsza myśl utworu, tak jak prawdopodobnie kantata na cześć siostrzenicy Glucka zrodziła pierwszy zarys Ifigenii. Zwyczajem atoli swoim poeta potrzebował nowych doświadczyć wrażeń, ażeby owa pierwsza myśl mogła się na jakiś plan oznaczony zamienić. Hermann Grimm zestawia okoliczności następne.

Wśród strasburskich towarzyszy Goethego najbardziéj utalentowanym był Lenz. Kilka wierszy jego i listów odznacza się porywającą pięknością; zdaje się, że Goethe więcéj nań liczył aniżeli na innych. Otóż ten Lenz zawitał do Weimaru, kiedy Goethe zajmował tu już ustalone stanowisko, zjawił się jako „geniusz" i był za takiego przyjęty; jego ubranie, ton i pretensye odznaczały się ekscentrycznością. Goethe umiał dziwactwa jego osłaniać, a Lenz, przypisując to własnym zasługom, na karb ich dopuścił się jakiéjś stanowczéj awantury. Pewnego dnia czara się przepełniła, Lenz popełnił „niedorzeczność," o treści któréj nic nie wiemy, pospolicie to co zrobił, nazywają „oślim postępkiem." Znaczyło to, jak się zdaje, że Lenz zbyt natarczywie do jakiéjś damy się zalecał, jeżeli bowiem wyrażenie „postępek ośli" słyszymy użyte przez towarzystwo ubóstwiające Szekspira (jakiém było Weimarskie), to natychmiast przychodzi nam na myśl ta scena ze „Snu nocy letniéj," w któréj bilet przemieniony w osła do Tytanii się czuli. Lenz zakończył swe awanturnicze i rozpustne życie w Rosyi jako obłąkany.

Zdaje się, że ów „postępek ośli" stał się podstawą sceny, stanowiącéj katastrofę Torkwata Tassa, który oszołomoniony dobrotliwością damy z wyższego świata, Leonory, niedomyślającéj się, jak daleko zaprowadzić może „geniusza" ta jéj dobrotliwość, porywa ją w swoje objęcia i w skutek tego ginie. Taka geneza jest naturalnie domysłem tylko, nie posiadamy bowiem dawniejszéj formy Tassa nad tę, która we Włoszech ostatecznie obmyślona została. Wiemy jedynie na pewno, że nad Tassem pracował już Goethe na lat sześć przed podróżą włoską i że utworzył był dwa całe akty. Cała sztuka uległa następnie dwukrotnéj jak się zdaje przeróbce, zanim

poeta ostatecznie ją wykończył. W rozmowach z Eckermannem Goethe nazwał Tassa „Wertherem podniesionym do potęgi“, a w inném miejscu jednę z tych postaci fantastycznych, na które własne „głupstwa“ (Albernheiten) się zwala. Tasso tedy przedstawia stronę fantastyczną, mglistą i niezaradną zarówno Goethego z lat młodszych jak i poetów w ogóle. Ale Goethem jest również Antonio, stanowiący zupełne z Tassem przeciwieństwo. W walce dwu tych postaci, odpychających się wzajem nieprzebłaganie, przedstawił poeta nieprzejednany stosunek dwu rol, jakie zmuszony był odgrywać w Weimarze podczas pierwszego „dziesięciolecia.“ Tasso jest Goethem w jego najwewnętrzniejszém usposobieniu i skłonności. Poeta ujrzał swoję karykaturę w Lenzu i dlatego w decydującéj scenie, do któréj Lenz dał może pochop, odmalował to, coby się stać było mogło, gdyby się nie był trzymał na wodzy i nie pozostawił za sobą własnego niejako królestwa. Antonio natomiast jest obrazem tego jakim Goethe ostatecznie staćby się musiał, gdyby jako mąż stanu w jednostronnym poszedł kierunku i wyrobił się na takiego, w najlepszym razie człowieka, jakim był minister Fritsch, który wystąpił przeciwko niemu w imię dobra państwowego, gdy młody burzliwy poeta miał osiąść w Weimarze. Tu możemy doskonale zrozumiéć, co znaczy tak zwana przez poetę „poezya symboliczna.“ Wszystko, co Goethe przedstawia w Tassie, są to codzienne przez głowę jego przepływające myśli, które mu nie dawały spokoju, dopóki ich artystycznie nie wypowiedział; a jednak szczegóły w sztuce zawarte nie mają nawet cienia wypadków rzeczywistych z życia poety; z postaci Tassa niepodobna wytrząść ani jednéj figury rzeczywistéj. Postaci te są-to istoty nowe, stworzone wszystkie do życia spólnego w tym celu, ażeby uosabiały pojęcia i stosunki. I dlatego właśnie, że figury te są dowolnemi kreacyami Goethego, tyle prawdy w sobie zawiérają: poeta stworzył świat nowy, ażeby przenieść weń zajmujące go myśli. Gdyby chciał był napisać sztukę przedstawiającą osoby rzeczywiste: ;księcia, księżnę, Goethego, von Fritscha, panią von Stein, Lenza i t. d.; gdyby był powtórzył słowo w słowo, co istotnie stanowiło przedmiot ich rozmowy: to sztuka taka w porównaniu z Tassem stałaby się znikomą komedyą jasełkową, którąby może wprawiła na chwilę w zachwyt lubowników „rzeczywistego materyału,“ ale nie posiadałaby wspaniałych zalet prawdy artystycznéj.

Goethe, wysławiając w Tassie Ferrarę, pośrednio złożył Weimarowi hołd taki, że piękniejszego nadeń pomyśléć niepodobna, chociaż bezpośrednio nigdyby nie był możliwym. Takim jak Ferrara *mógł być* Weimar; poeta przedstawił możliwość jako rzecz istnie-

jącą. W skutek tego prawdziwa Ferrara osiągnęła sławę niezasłużoną: z pustéj rezydencyi książęcéj przemieniła się na siostrę Aten peryklesowych. Cudzoziemcy latają dzisiaj po nudnych ulicach Ferrary, które zapewne i w wieku XVI innemi nie były, w murach starają się dojrzéć śladów wielkiéj przeszłości.... i szukają napróżno. Postać nawet Tassa jest własném dziełem Goethego; z poety dosyć pustego pod względem myśli utworzył geniusza, któremu przypisują się utwory najświetniejsze. A jednak znawca Tassa, mianowicie drobniejszych jego poezyj, znajdzie w sztuce Goethego, który czytał w Rzymie życie twórcy Jerozolimy przez księdza Serassi opisane, najbardziéj indywidualne rysy życia, często nawet dosłowne przytoczenie jego wyrażeń. Tak to ściśle przeniknęły się w utworze Goethego dwa pierwiastki, rzeczywisty i fantazyjny, i złożyły całość, która niezgodna jest wprawdzie ze specyalnemi poszukiwaniami nad historyą Ferrary w XVI stuleciu i ówczesnego jéj towarzystwa, ale nieporównaną odznacza się prawdziwością w odtworzeniu dziejów renesansu włoskiego.

Co do wartości artystycznéj Tassa zdania znakomitych krytyków nie przedstawiają wielkiéj zgody. Grimm uważa go za utwór wyższy od Ifigenii, za tragedyą najdorzalszą, najbardziéj wykończoną, będącą dziełem chwili, w któréj Goethe, stojąc pomiędzy młodością a wiekiem podeszłym, talent swój w pełni rozwinął. „Usposobienie greckie, wykształcenie rzymskie, duch niemiecki,“ powiada, „jednoczą się w Tassie i tworzą nowy spółczesny żywioł, któryby można nazwać Goethowskim *par exellence.* W Tassie język Goethego doszedł szczytu doskonałości; jego jamby nauczyły Schillera, jak ma je tworzyć, a Schlegla jak ma tłómaczyć Szekspira, ażeby poeta angielski na niemieckiego niemal się przerobił. Bez Tassa dzisiejsza poetyczna dykcya niemiecka nie byłaby tém, czém jest. W budowie aktów, w scenowaniu, w wyrażeniu myśli dzieło to jest skończone i nieprześcignione. Każde słowo jest tu myślą.“

Hermann Hettner podzielając zdanie, że pod względem języka i rytmu a nawet pod względem rysunku charakterów Tasso wyżéj stoi nad Ifigenią; zarzuca mu przecież brak jedności i konsekwencyi, a co więcéj brak prawdy wewnętrznéj w myśli przewodniéj. Owa cudowna harmonia moralna, powiada, która we wzniosłéj postaci Ifigenii wyraz swój znalazła, miała również zajaśniéć i w Tassie jako ideał wszystkich najserdeczniejszych dążeń ludzkich, chociaż dopiéro w stanie walki, w stanie wydobywania się z pośród chorobliwéj jednostronności. Ponieważ jednak Goethe myśl tę w pierwotnym zarysie sztuki w całkiem odmiennym a może nawet

wprost przeciwnym zamierzał przeprowadzić kierunku, a następnie z zarysu tego powyrzucał wiele, ale nie wszystko: pozostały tedy tak głębokie zazębienia, że jedności wewnętrznéj szkodę przynoszą i jasność myśli zasadniczéj mącą, że nie powiem, zupełnie zasłaniają. Antonio w pierwszych aktach występuje jako doświadczony statysta, niewolny przecięż od niskiéj i niewłaściwéj na jego stanowisku zazdrości względem uwieńczonego wawrzynem Tassa, który tu przedstawia się jako potęga poetyczna, mająca duchową przewagę nad dumną i zarozumiałą ograniczonością Antonia. Od trzeciego natomiast aktu Antonio staje się uosobieniem spokojnego rozumu, który musi odnieść zwycięstwo nad chorobliwie fantastycznem marzycielstwem. Tylko o trzech ostatnich aktach da się powiedzieć to, co uważają zwykle za myśl zasadniczą całości, a mianowicie, że w niéj przedstawia poeta tragiczność jednostronnie w sobie zatopionego życia fantazyi, które w obec rzeczywistych a niepokonanych stosunków świata nie może pretensyj swoich urzeczywistnić. Goethe chciał bez wątpienia w utworze swoim zapewnić zwycięstwo doświadczeniu i rozumowi nad mglistą fantastyką; ale w skutek fałszywego rysunku Antonia w pierwszych dwu aktach zapewnił tylko zwycięstwo dworakowi nad geniuszem, dworskiéj etykiecie nad prawami człowieka.

Pozostawiając czytelnikowi wybór pomiędzy dwoma przedstawionemi tu sądami i zaznaczając, że osobiście więcéj się skłaniam ku drugiemu niż ku pierwszemu, pośpieszam dodać, iż Goethe zarówno Ifigenii „rzymskiéj“ jak i Tassa nie pisał dla sceny rzeczywistéj. Sztuka nie zawiéra nic takiego, coby mogło reżyserom dać sposobność do zaprodukowania zręczności swojéj, charaktery są zbyt subtelnie opracowane, ażeby dawały możność popisu zwykłym aktorom. Istotnie długie upłynęły lata, zanim się przekonano, że można ją przecięż przedstawić: pierwsza reprezentacya miała miejsce dopiéro 16 Lutego 1807 roku. Przed tą datą nie można było znaléść ani aktorów, ani publiczności. I tak: Leopold Stolberg pisał do Jacobiego: „Co pan mówisz o Tassie Goethego? Mnie ton jego ogromnie się nie podoba. Dlaczego poeta daje przewagę temu drobiazgowo dumnemu, udającemu wspaniałomyślność Antoniowi nad muz i gracyj wychowankiem... Niektóre rysy są wyborne“—dodaje w końcu.

Tasso był hołdem, złożonym przez Goethego „boskiéj Italii,“ był wyrazem jego uwielbienia dla cywilizacyi romańskiéj. Wiemy już co téj cywilizacyi zawdzięczał; posłuchajmy jak on sam rozstanie się swoje z Rzymem opisuje. W duszy jego walczyły z sobą dwa potężne uczucia: smutek z powodu utraty Rzymu i tęsknota do do-

mu, do przyjaciół, wśród których tyle lat przepędził. Było-to w ostatnich dniach Kwietnia, przez trzy noce z rzędu miesiąc w pełni świecił na jasném niebie; urok rzucony przez jego promienie na miasto odwieczne, chociaż już nieraz sercem poety owładał, dawał się obecnie czuć najdobitniéj. Wielkie masy światła i głębokie cienie jako ich przeciwieństwo przenosiły go jakby do innego prostszego i większego świata. „Przebiegłszy Corso po raz ostatni, wszedłem,“ mówi Goethe, „na Kapitol, który się wznosił jak pałac wróżek wśród pustyni. Posąg Marka Aureliusza przywołał na pamięć komandora z Don Juana (1) i dawał wędrowcowi do zrozumienia, że przedsiębierze coś niezwykłego. Mimo to zszedłem na dół tylnemi schodami. Naprzeciwko mnie stał posępny i cień posępny rzucający łuk tryumfalny Septymiusza Sewera, w samotności, panującéj na Via sacra, znane mi zresztą dobrze przedmioty wydawały się jakby obce i duchami napełnione. Ale kiedym się zbliżył do wzniosłych ruin kolizeum i zajrzał do jego wnętrza przez kratę, dreszcz mię jakiś ogarnął i przyśpieszył mój powrót do mieszkania. Przy odjeździe doznałem boleści szczególnego rodzaju. Opuszczając tę stolicę świata, któréj obywatelem byłem przez czas niejaki, i to bez nadziei powrotu, uczuwałem coś takiego, co się słowami wyrazić nie da. Kto takiego uczucia nie doświadczył, podzielać go nie potrafi. W chwili téj raz po raz powtarzałem sobie elegią Owidyusza, którą napisał wtedy, gdy go wspomnienie podobnego losu (wygnanie z Rzymu) prześladowało aż na krańcach zamieszkałego świata. Niedługo jednak mogłem sobie powtarzać owo obce wyrażenie moich własnych uczuć, gdyż musiałem je zastosować do swojéj osobistości, do swojego położenia. Cierpienia Owidyusza porównywałem z mojemi, a ta praca wewnętrzna zajmowała mi w podróży niejeden dzień i noc nie jednę. Wystrzegałem się jednak napisania choćby wiersza tylko z obawy, ażeby delikatna woń boleści serdecznych nie zniknęła przypadkiem. Nie chciałem prawie na nic spoglądać, aby nie sprawiać sobie roztargnienia wśród tych słodkich udręczeń. Wkrótce jednak napadła mię myśl, że świat wydaje się wspaniale, jeżeli nań patrzymy okiem wzruszoném. Zdobyłem się na odwagę swobodnéj twórczości poetyckiéj: przypomniałem sobie Tassa. Jak z Owidyuszem co do miejscowości, tak z Tassem co do losu poró-

---

(1) Przypomnienie nie było, jak dzisiaj, rzeczą bardzo powszednią, gdyż „Don Juan“ Mozarta nie liczył wówczas więcéj nad rok istnienia, jako napisany w roku 1787.

wnać się mogłem. Bolesne usposobienie duszy namiętnéj, która nieprzeparcie dąży ku nieodwołalnemu wygnaniu, odźwierciedla się w całéj téj sztuce. Usposobienie to nie opuściło mię w podróży pomimo wszystkie usiłowania i roztargnienia."

Z takiemi to uczuciami w duszy po dwuletniém prawie oddaleniu wracał Goethe do Weimaru, który niedługo miał porównać z *Tomi*, miejscem wygnania Owidyusza.

Piotr Chmielowski.

TOWARZYSTWO NAUK ŚCISŁYCH W PARYŻU

w roku 1877,

PRZEZ

MARYANA A. BARANIECKIEGO.

Towarzystwo nauk ścisłych w roku ubiegłym, który był ósmym rokiem jego działalności, kierowało się równie jak w latach poprzednich wyłącznie naukowemi pobudkami, o czém mówiliśmy już obszernie w sprawozdaniu za owe lata („Ateneum“. 1877. Styczeń). Trudności, jakie zarząd téj instytucyi pokonywać musi, ażeby i nadal w działaniach swych charakter naukowy utrzymać, zwłaszcza przy tak małém interesowaniu się ogółu naszego pracami poważnemi, są nie małe, jak o tém w roku zeszłym mieliśmy sposobność na miejscu się przekonać. Nie chcemy tu jednak bliżéj wchodzić w szczegóły pod tym względem.

Zarząd Towarzystwa w r. 1877 był ten sam co w poprzedzającym. Prezes, Jan hr. Działyński, właściciel biblioteki kórnickiej, nie ustawał w swéj ofiarności i troskliwości, podtrzymując w ten sposób żywotność instytucyi. Viceprezes a zarazem redaktor „Pamiętników,“ profesor Prażmowski Adam, wpływając stanowiskiem swojém w nauce i nowemi pracami na powagę Towarzystwa, utrzymuje je ponad wszelką koteryjność i stronność. Sekretarz, Kazimierz Brandt, inżynier cywilny, z prawdziwém zamiłowaniem dla instytucyi zajmował się sumiennie różnemi czynnościami, jakich administracya i wydawnictwa Towarzystwa wymagają, a które, mimo że są ważne i nader utrudzające, nie bywają jednak należycie ocenianemi przez osoby z niemi nieobeznane.

W skład Towarzystwa jako nowi członkowie weszli: pp. Stryjeński Tadeusz, inżynier szkoły zurichskiéj, były architekt rządowy

w Peru, oraz Chudziński Teofil, doktór medycyny, zajmujący posadę rządową przy katedrze antropologii w Ecole pratique des hautes études w Paryżu. Zmarł zaś członek Adolf Sągajło, niegdyś wykładający matematykę w szkołach rządowych w północnéj Francyi. O jego pracach, ogłoszonych w „Pamiętnikach,“ mówiliśmy w poprzedniém naszém sprawozdaniu. Wydał on prócz tego „Wykład zupełny algebry“ (dwa tomy z zapowiedzianych czterech) oraz „Geometryą analityczną“ (tom pierwszy, 1877). Że jednak prace te wychodziły niezależnie od Towarzystwa, to o pewnych ich zaletach, lecz i nader wielu wadach, mówić tu nie będziemy. Był to w każdym razie człowiek dobrych chęci: pracował o ile mu sił starczyło, a starał się pracować najlepiéj jak mógł i rozumiał.

Posiedzeń w roku zeszłym Towarzystwo odbyło dziesięć, na których przeważnie rozpatrywano nadsyłane prace. Na jedném z nich, Towarzystwo datę 1 Stycznia 1877 r., do jakiéj miały być nadsyłane prace konkursowe, przedłużyło do 1 Stycznia 1878 r. Rzeczone prace były wyznaczone na temat następujący: „Najzupełniejszy, najlepiéj ułożony i, przynajmniéj co do wcześniejszych publikacyj, krytycznemi uwagami opatrzony spis dzieł, bądź drukiem, bądź litografią w języku polskim ogłoszonych, jako téż artykułów, w różnych pismach zbiorowo lub pojedyńczo publikowanych, z działu matematyki i fizyki oraz ich zastosowań.“ Zdanie nasze o pożyteczności i właściwości tego konkursu wypowiedzieliśmy w poprzedniém sprawozdaniu. Nie przestajemy jednak i teraz nawoływać do zmiany kierunku w konkursach, przez Towarzystwo ogłaszanych. O ileżby korzystniéj i praktyczniéj, ze względu na warunki w jakich się znajdują pracownicy nasi na polu nauk ścisłych, było stawiać za temat do konkursu wprost jakąś kwestyą specyalną do rozwiązania, a chociażby nawet opracowanie jakiego dogodnego w użyciu szkolném podręcznika, lub téż obrobienie umiejętne jakiego działu matematyki wyższéj, czy też innéj gałęzi nauk ścisłych. Nagroda konkursu pozostała dawna 1.000 franków, wyznaczonych przez prezesa.

W roku 1877 ogłosiło Towarzystwo tom IX swoich „Pamiętników“ oraz dzieło oddzielne „o równaniach różniczkowych“ p. Wł. Zajączkowskiego. Z powodu tego ostatniego dzieła musimy tu zaznaczyć, jak się okazało, słuszność naszego przypuszczenia w poprzedniém sprawozdaniu wypowiedzianego (str. 173), że na wydane oddzielnie przez bibliotekę kórnicką różne dzieła matematyczne i inżynierskie Towarzystwo nauk ścisłych nie wywierało żadnego wpływu. Niewłaściwego więc ogłoszenia kilku z tych dzieł nie należy kłaść na rachunek Towarzystwa, które, chcąc już na przyszłość

uwydatnić swoję pod tym względem nieodpowiedzialność, postanowiło w roku zeszłym, na dziełach wydawanych przez siebie wyraźnie zaznaczać: „wydawnictwo Towarzystwa nauk ścisłych,“ co właśnie znajdujemy na tytule pracy p. Zajączkowskiego. Jest więc ona pierwszém, oddzielném od „Pamiętników“ dziełem, wydaném sub auspiciis Towarzystwa.

Pamiętnik Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu, tom IX (Paryż 1877, 4-to, 50 arkuszy, 75 drzeworytów, 13 tablic rysunków. Cena 20 franków), prócz przedmowy redakcyi, listy członków, dalszego ciągu materyałów do słownictwa naukowego polskiego, zawiéra następujące prace:

1) *Michała Girdwoynia: „Patologia ryb*, czyli krótki rys o chorobach i potworach rybich, opracował..... z okazów żyjących, jakie obserwował podczas swych studyów rybactwa we wszystkich pierwszorzędnych zakładach Europy“ (str. 21 oraz 11 tablic rysunków). Jestto ustęp z obszerniéj przez autora pomyślanéj pracy: „Postępowa hodowla ryb, należących do rodziny Łososiowatych,“ w którym to ustępie p. Girdwoyń zajmuje się podaniem cech zewnętrznych chorób ryb w stanie jaja, pęcherzyka żółtkowego, oraz w stanie doskonałym, wskazuje przyczyny powstawania takowych i środki od nich zabezpieczające, nadto podaje opis zewnętrzny napotykanych dziwolągów rybich. Kończy zaś rzecz objaśnieniem nader staranie wykonanych 112 rysunków różnych stanów chorobliwych i potwornych ryb. Praca ta ma charakter objaśnienia okazów, złożonych przez autora w muzeach Londynu, Paryża i Krakowa; mimo to ważne ona może oddać usługi w racyonalnie urządzoném gospodarstwie rybném, które u nas jest dotychczas jeszcze bardzo zaniedbaném.

2) *Mieczysława Szystowskiego: „Nowy sposób kreślenia krzywéj ciśnień w sklepieniach*“ (str. 36, drzeworytów w tekście 15 i jedna tablica). Autor, po krytycznym przeglądzie główniejszych teoryj stałości sklepień (z których szczegółowe wyłożenie nowéj teoryi p. Peaucellier'a przedstawia interes dla specyalistów) oraz wyłożeniu pewnych wstępnych wiadomości ze statystyki wykreślnéj, podaje sposób kreślenia krzywéj ciśnień w sklepieniach symetrycznych, prowadząc linie pionowe przez środki ciężkości oddzielnych zworników i składając ciężar każdego zwornika z parciem w kluczu sklepienia i ciężarami poprzednich zworników. Następnie, w obec małego dotąd rozpowszechnienia zasad statyki wykreślnéj, p. Szystowski przedstawia analityczne udowodnienie swojéj teoryi. Tu szczególnie zasługuje na uwagę podanie równania, służącego do obliczenia parcia w kluczu sklepienia. Pracę tę, niezależnie od ważnéj jéj treści, zaleca ściśle umiejętny sposób traktowania przedmiotu, od-

powiedni nastrojowi czasopisma naukowego. Została też ona, po przetłómaczeniu, pomieszczoną w jednym z czasopism francuskich, inżynieryi poświęconych. P. Szystowski, inżynier szkoły politechnicznéj rygskiéj i szkoły dróg i mostów w Paryżu, przez tę poważną pracę pozyskał prawo być zaliczonym do nielicznego u nas zastępu inżynierów, którzy nie rozstali się z teoryą i posiadają zamiłowanie w ścisłych badaniach naukowych.

3) *Władysława Gosiewskiego: „O potencyale sprężystości“* (str. 6). Wyniki swych badań autor tak zestawia: a) hypoteza Green'a, za pomocą któréj otrzymał on potencyał o 21 spółczynnikach, jest zupełnie zgodną z zasadami mechaniki i nadto ogólniejszą od hypotezy Cauchy'ego; b) taż hypoteza, będąc konieczną, nie jest dostateczną do określenia sprężystości doskonałéj.

4) *Władysława Gosiewskiego: „O prawie Mariotte'a“* (str. 4), w któréj autor zajmuje się wyznaczeniem takiego prawa sił atomowych, aby układ ciągły atomów, im poddanych, oddziaływał na swoję powłokę ciśnieniem, posłusznem prawu Mariotte'a.

5) *Lucyana Wojciechowskiego: „Sposób ścisły obliczania objętości wykopów i nasypów“* (str. 15, drzeworytów w tekście 5). Pracę tę można uważać poniekąd za uzupełnienie poprzedniéj pracy p. Wojciechowskiego: „Nowy sposób obliczania powierzchni wykopów i nasypów,“ ogłoszonéj w tomie V „Pamiętnika,“ która to praca w skutek zdania specyalistów i na zasadzie rozporządzenia ministra robót publicznych została wprowadzoną we Francyi do urzędowych obliczeń (cf. sprawozdanie za poprzednie lata, str. 185). Nie nazywa autor swego sposobu „nowym“ tylko dlatego, że wszystkie dotąd używane sposoby obliczania wykopów i nasypów nie są ścisłemi, że témsamém sposób przezeń podany jest pierwszym sposobem ścisłym. A ponieważ, jak to autor udowodnia, jest on najprostszym możliwym, więc innego sposobu być nie może, a zatém metoda podana tego obliczania objętości, będąc pierwszém, jest zarazem ostatniém słowem w téj kwestyi. Z tematu téj rozprawy wypada, że mamy tu do czynienia z różnemi kwestyami elementarnéj natury. Zasługą autora jest zręczne pokonanie napotkanych trudności oraz prostota w rozwiązaniu zadania. Nie mogąc tu przytaczać szczegółów téj ciekawéj pracy i odsyłając specyalistów do saméj rozprawy, nadmienimy tylko, że autor rozpoczyna rzecz swą od wyłożenia istniejącego już tak zwanego sposobu ścisłego i wykazania o ile się on oddala od istotnéj ścisłości, następnie przedstawia swój sposób obliczania i uzasadnia takowy, w końcu zaś wypowiada uwagi, dlaczego sposób prostszy od podanego przezeń jest niemożliwy, innemi słowy, dlaczego sposób, jego jest najprostszy.

6) *Bernharda Riemann'a*: „*O hypotezach, które służą za podstawę geometryi*, rozprawa....; przekład polski z objaśnieniami Władysława *Gosiewskiego*, dokonany przez Samuela *Dicksteina*" (str. 26). Literatura nasza posiada tak mało przekładów dzieł klasycznych, a także mniejszych prac, stanowiących wybitne momenta w rozwoju pojęć matematycznych, że doprawdy z prawdziwą radością wypada przyjąć przekład powyższéj pracy Riemann'a. Chociaż pogląd na Riemann'owskie idee i w jego ojczyźnie dziś wielce się zmienił, to jednak, w każdym razie, w obec absolutnego ignorowania dotąd w naszéj literaturze matematycznéj zapatrywań się tego uczonego na zasadnicze hypotezy, przekład ten jest cennym dla nas nabytkiem. Przekład p. Dicksteina jest bardzo poprawny. Odpowiednie terminy obmyślane dość starannie. Wolelibyśmy tylko zamiast wyrażenia „rozmaitość," zbyt bezbarwnego, spotkać inne, choćby np. wielość lub wielorakość. W przedmowie p. Dickstein podaje treść rozprawy Riemann'a, czyżby nie korzystniéj było przedstawić dobitniéj zasadniczą ideę Riemann'a aby ta przedmowa stanowiła, że tak powiemy, dla czytelnika wprowadzenie przystępne do téj obcéj sfery pojęć? W przypisku przedmowy p. Dickstein podał życiorys Riemann'a, opracowany na zasadzie nekrologów, jakie się w dziennikach matematycznych po jego śmierci pojawiły. Objaśnienia podane przez p. Gosiewskiego są zupełnie zgodne z duchem pracy Riemann'a i zalecają się pomysłowością; szkoda tylko, że ze względu na naszych czytelników nie są nieco elementarniéj traktowane. Przypisek prof. H. Webera (z Królewca), wyjęty z jego listu do tłómacza, odznacza się prostotą i elegancyą.

7) *Kaźmirza Brandta*: „*Wytrzymałość ciał. Sposób praktyczny budowy murów oporowych*" (str. 88, drzeworytów w tekście 18 oraz 21 rysunków na oddzielnéj tablicy). Autor postawił sobie w téj pracy za zadanie podać praktyczne wzory do obliczenia grubości murów oporowych, odpowiednio do przypadków na które w praktyce natrafić można, oraz wskazać, w jaki sposób postępować należy dla osiągnięcia największéj oszczędności, zachowując, zawsze też samę wytrzymałość. Praca ta jest nazbyt specyalną, abyśmy o niéj zdanie wypowiedzićć mogli. Tém więcéj, że chociaż poprzednie samodzielne prace autora są do pewnego stopnia rękojmią wartości téj rozprawy, grzeszy wszakże ona, jak wiele z prac inżynierskich pomieszczonych w poprzednich tomach „Pamiętnika," niejasném wydzieleniem tego, co pomysłowości autora przypisać należy. Sam autor uważa tę pracę za rezultat długiéj i mozolnéj praktyki i mogącą oddać ważne usługi młodym zwłaszcza inżynierom.

8) *Jana Śniechowskiego*: „*Teorya mechaniczna ciepła*" (str. 145,

drzeworytów w tekście 43). W górnolotnéj przedmowie, w któréj jest mowa o wielu rzeczach do przedmiotu nienależących, niepodobna dopatrzéć się myśli przewodniéj autora, a mnóstwo oddawna znanych i niczém niepowiązanych z sobą aforyzmów oraz nagromadzenie efektownych wyrazów pozbawia ją wszelkiéj treści. Za przykład lekkomyślności w redakcyi saméj pracy posłużyć może taki np. ustęp: „Cieplik. Twierdzenie pierwsze. Stan ciała mniéj więcéj gorący lub zimny nazwanym został jego temperaturą.“ I to ma być twierdzenie! A co znaczy: mniéj więcéj gorący lub zimny? Że to nie jest omyłka druku, to mamy wskazówkę na stronicy 32, gdzie autor podaje „wniosek z twierdzenia (sic!) pierwszego.“ Treścią zaś tego wniosku jest to, co według autora, na poprzedniéj stronicy wraz z nim „przeczuwamy“ (sic!). Cała praca jest nieudolném zestawieniem wiadomości wyjętych z podręczników i kursów, lub téż różnych przykładów mających służyć za dowody „praw rządzących.“ Tablice dodane przez autora wcale nie są wynikiem jego badań, ale po części zostały wzięte nawet z podręczników fizyki. Samodzielność należy przyznać autorowi w niepojętym układzie treści, w niewytłómaczoném ograniczeniu się do rzeczy, w znacznéj części nic ważnego nie przedstawiających lub nie ściśle przeprowadzonych, w niezaznajomieniu się nawet z tylu znakomitemi, osobliwie niemieckiemi podręcznikami teoryi mechanicznéj ciepła. A jeśli miał to być wykład początków téj nauki, to przedewszystkiém należało autorowi swobodnie nad niemi zapanować, a sam wykład opracować starannie, mając na uwadze korzyść czytelnika. Widzimy więc, że ważna teorya mechaniczna ciepła oczekuje jeszcze na sumienny wykład jéj zasad w języku naszym.

Taka jest treść IX tomu „Pamiętnika.“ W ogłoszeniu od redakcyi znajdujemy wskazówkę, że w tomie X, który jest w druku, ogłoszone będą, między innemi, ciekawe prace: profesora uniwersytetu petersburgskiego, p. Juliana *Sochockiego*: „Wyznaczenie stałych mnożników we wzorach dla transformacyi liniowéj funkcyi Theta. Sumy Gauss'a i prawo wzajemności symbolów Legendre'a“; oraz doktora Teofila *Chudzińskiego*: „Anatomia porównawcza zwojów mózgowych,“ o któréj nader pochlebnie w ocenieniu swém wyraził się taki specyalista, jak prof. Z. Laskowski w Genewie. Nie możemy tu nie wspomnieć, że wyjątki z pracy p. Józefa *Rostafińskiego* „Śluzowce,“ ogłoszonéj w tomach V, VI i VIII „Pamiętnika,“ zostały przetłómaczone przez p. M. C. Cooke p. t. „The Myxomycetes of Great Britain Arranged to the Method of Rostafiński.... translated from the Polisch,“ (London. 1877. 8-vo, str. 96 i 24 tablic). Fakt ten wskazuje na ważność niektórych z prac, jakie się pojawiły w „Pamiętnikach.“

Drugiém w ciągu roku 1877-go wydawnictwem Towarzystwa nauk ścisłych był:

Wykład nauki o równaniach różniczkowych przez Władysława Zajączkowskiego (Paryż. 1877. 8-vo, str. 926. Cena 25 franków).

Różne metody całkowania równań rożniczkowych rozproszone są w oddzielnych monografiach lub artykułach rozmaitych czasopism matematycznych. Do niektórych podręczników rachunku całkowego lub fizyki matematycznéj wprowadzone są tylko najelementarniejsze badania w tym kierunku, i to zwykle wyłożone jednostronnie, ze względu na pewne zastosowania. Dotąd jednak nie było dzieła, któreby w wykładzie systematycznym przedstawiało przyzwoite i możliwie zupełne zestawienie wyników prac różnych uczonych w tym kierunku. Wprawdzie p. Józef Bertrand przygotowuje, jako trzeci tom swego obszernego „Traité de calcul différentiel et de calcul intégral,“ wykład całkowania równań różniczkowych, lecz ten tom, zapowiadany oddawna, dotąd nie wyszedł z druku. Dzieło zaś Boole'a Treatise on differential equations, mimo opracowania mistrzowskiego, jest więcéj elementarném i ma program mniéj obszerny. Praca więc p. Zajączkowskiego ma znaczenie nietylko w naszéj literaturze, lecz nie ma sobie odpowiedniéj w żadnéj innéj. Okoliczność ta jest nader ważną. Przy układzie bowiem nowego kompendyum, w razie gdy są już inne podobne w téj materyi, praca jest dwustronnie ułatwioną. Raz dlatego, że już każdéj prawdzie jest mniéj więcéj właściwe wyznaczone miejsce i wykazany jest związek, zachodzący między nią a innemi prawdami. Powtóre, podane są wskazówki, które ułatwiają wyszukanie źródeł i ocenienie wartości oddzielnych badań. Inaczéj rzecz się ma, gdy wypadnie dokonać pierwszego w tym kierunku zestawienia prac różnych autorów. Wszystkie trzeba należycie wystudyować, odszukać między niemi zachodzący związek, ocenić i często sprawdzić podawane wyniki, a wszystko, co zasługuje na wyłożenie, przyprowadzić do należytego systematu i odpowiedniéj formy. Taką właśnie mozolną i ogromną pracę miał p. Zajączkowski, z któréj wywiązując się poważnie, wzbogacił ogólną literaturę matematyczną pierwszym dopiéro zupełnym wykładem nauki o równaniach rożniczkowych i to w języku polskim.

Praca taka nie mogła być rezultatem dorywczo powziętego postanowienia: poprzedzić ją musiały długie studya w tym kierunku, dozwalające autorowi swobodnie zapanować nad przedmiotem. Jakoż, śledząc działalność p. Zajączkowskiego w b. Szkole Głównéj, następnie w Uniwersytecie warszawskim, a obecnie w Instytucie technicznym we Lwowie (którego jest profesorem zwyczajnym), wi-

dzimy go w ciągu tych lat kilkunastu jeśli nie corocznie wykładającym tęn przedmiot, to niemal corocznie ogłaszającym jednę lub więcéj prac w tym kierunku. Pierwszą z nich, jeśli się nie mylimy, była rozprawa „O całkowaniu równań rożniczkowych, o częściowych pochodnych rzędu pierwszego,“ obroniona przez autora w roku 1866 na stopień doktora w b. Szkole Głównéj. Następne prace zostały umieszczone w „Archiv der Mathematik“ Grunertta, w „Wiadomościach C. Uniw. Warsz.“ w „Pamiętnikach“ Tow. n. ś. i Akademii umiejętności w Krakowie. Po długiém tylko i sumiennéni przygotowaniu można się było wziąć do wypracowania takiego dzieła.

Treść dzieła p. Zajączkowski podzielił na cztery części, którym nadaje różne od siebie rozmiary, zależnie od materyału, jaki się do wyłożenia nadawał.

Bardzo zręcznie w części pierwszéj prócz określeń, podziału równań różniczkowych i ich przekształceń ogólnych, pomieszczone zostały różne uwagi nad powstawaniem równań różniczkowych, tak zwyczajnych jak i częściowych. Choć można się zgodzić z autorem, że kwestye te należą do rachunku różniczkowego i tam winny być traktowane (jak to robi np. p. Bertrand), to jednak, przy wykładzie nauki o równaniach rożniczkowych na skalę przyjętą przez p. Zajączkowskiego, rzecz ta jest koniecznym wstępem i najtrafniejszém wprowadzeniem czytelnika, czy słuchacza, do tego działu rachunku nieskończonościowego. Tém więcéj, że przy całkowaniu równań spotka się on z rezultatami, których wyjaśnienie, przez wiadomości w tym wstępie wyłożone, będzie dlań wielce ułatwionéni.

W części drugiéj, poświęconéj równaniom rożniczkowym zwyczajnym, po badaniach ogólnych własności rozwiązań tych równań, z których na szczególną uwagę zasługuje badanie istoty rozwiązań osobliwych, przeprowadzone w należytéj ogólności, autor przystępuje do całkowania tych równań. Postępując zaś w tém systematycznie, od przypadków prostszych do działów ogólniejszego porządku, przy podaniu metod całkowania każdéj z oddzielonych klas równań, autor zręcznie umié się wciąż utrzymać na jak najogólniejszém stanowisku, nie uciekając się, pod wpływem szczególnych założeń, do różnych znanych sposobów postępowania, trafnych wprawdzie dla osiągnięcia danego celu, ale za to niedających dość ogólnego poglądu. Systematycznie wykładając rezultaty badań różnych uczonych, nie przeładowywa jednak niemi swéj pracy, starannie unika podawania tego wszystkiego, co przez późniejsze prace zostało uproszczone lub zastąpione i posiada dziś tylko znaczenie historyczne. Np. nie

podaje znamion Euler'a, Poisson'a, Timmermans'a, Cauchy'ego na odróżnienie całek szczególnych od rozwiązań osobliwych, w obec faktu prostoty i pewności nowych znamion, wynikających z pracy p. Darboux. Słusznie badaniom rozwiązań osobliwych autor wiele troskliwości poświęca. Pewne szczególne zamiłowanie, jakie autor ma do téj kwestyi, wychodzi na wielki pożytek czytającego. Podanie zasad wielce uprawianego przez angielskich badaczów rachunku symbolicznego i zastosowanie ich do całkowania tych równań jest może pewnym zbytkiem, lecz przez prostotę, przy ścisłości wykładu téj części, usprawiedliwione zostało to wprowadzenie, tyle w każdym razie odrębnego sposobu całkowania, którego pożyteczność wydaje się nam kwestyą, mogącą tylko przez dalsze dotąd oczekiwane rozwinięcie być wyjaśnioną. Badania własności i zastosowań mnożnika Jacobi'ego są przedstawione wyczerpująco.

W części trzeciéj, stosunkowo najmniejszej, autor zajmuje się równaniami o rożniczkach zupełnych, do których, jako do kształtu ogólnego, dają się sprowadzić tak równania rożniczkowe zwyczajne jak i równania rożniczkowe cząstkowe, a których teorya, jak słusznie autor wypowiada w przedmowie, obejmie z czasem całą teoryą równań różniczkowych. Ogranicza się tujednak p. Zajączkowski tém, co mu jako wstęp do części czwartéj koniecznem było wyłożyć. Mimo to jasność z jaką różne kwestye w téj części są traktowane pozwala nam sądzić, że obszerność jéj do całości dzieła jest odpowiednią.

W części czwartéj, mającéj za przedmiot równania różniczkowe cząstkowe, jest wyczerpująco i do wyników najnowszych badań doprowadzone całkowanie równań różniczkowych cząstkowych rzędu pierwszego, a z teoryi całkowania równań rzędów wyższych podane to, co nie podlega dziś dyskusyi. Takim chyba tylko sposobem możemy sobie objaśnić, że autor nie podaje nigdzie nawet wzmianki o metodzie Darboux (Annales de l'école normale. r. 1870) Niektóre z podanych przez autora zastosowań tworzą niemal oddzielne badania, które nader są ciekawe dla czytelnika, dając mu jednocześnie pojęcie o ważności i szczegółach teoretycznie wyprowadzonych metod i ich wyników. Do takich zaliczamy zastosowania do teoryi perturbacyj i do różnych kwestyj z fizyki teoretycznéj. W tym rozdziale autor zamieszcza badania pani Zofii z Korwinów—Krukowskich Kowalewskiéj, wyjęte z jéj rozprawy doktorskiéj a odnoszące się do istnienia całki równania różniczkowego cząstkowego, dającéj się rozwinąć na szereg potęgowy, w pewnym zakrésie zbieżny.

W „Dodatku“ pomieścił autor: Teoryą ogólną rozwiązań osobliwych równań różniczkowych zwyczajnych, na którą się złożyło uogólnienie i systematyczny wykład badań poprzedników na tém polu, jako téż rezultaty samodzielnych dociekań p. Zajączkowskiego. W ustępie tym autor dotychczasowe różne kwestye o rozwiązaniach osobliwych oblekł w szatę doktryny.

Mimo takiéj obszerności wykładu przy staranném unikaniu wszystkiego, co zbyteczném dziś się stało, materyał nie został jeszcze wyczerpanym. Autor pominął badania, mające na celu z własności równań różniczkowych wyprowadzenie własności funkcyj, zadość tym równaniom czyniących, a témsamém będących ich rozwiązaniami. Pominięcie to było słusznem. To, co zdobyto dawniéj w tym kierunku, przedstawia rezultaty otrzymane przez metody szczególne, dobre na razie, lecz potrzebujące być zastąpionemi przez inne, ogólniejsze. To zaś, co jest rezultatem prac późniejszych nieco i spółczesnych, przedstawia się dotąd w postaci mało nadającéj się do podręczników. Teorye owe muszą się rozwijać przez czas jakiś w tym samym co dotąd charakterze, dopóki takowy nie zostanie zmienionym przez pewne uproszczenie i ujednostajnienie. Wtedy dopiéro będzie właściwie wciągać je do podręczników.

Takie kilkostronne umiejętne ograniczenie materyału, z którego autor korzystał, jest jedną z nader ważnych jego zasług. Inną jest zasługą umiejętne powiązanie prawd; przy wykładzie systematycznym rezultatów różnych prac, autor nie jeden z dowodów uprościł, nie jeden podał własny, na czém tylko zyskała jednostajność i dostępność wykładu.

Nastrój, w jakim praca jest trzymana, odpowiada wysokości zadania. Autor nie wchodził w uprzystępnianie zbyteczne wykładu i wyprowadzanie rzeczy, które czytelnikowi powinny być wiadome, ułatwiając mu zapełnienie braku w tym względzie (gdyby takowy się okazał) przez wskazanie: gdzie i w jakich podręcznikach owe rzeczy się znajdują. Nadto staranne wskazanie prac, w których były pierwszy raz przeprowadzone kwestye rozbiérane, ułatwia czytelnikowi odszukanie źródła, gdyby z takowém zapoznać się pragnął.

Bogaty i staranny zbiór przykładów podnosi wielce wartość dzieła. A jestto nader ważna strona każdego podręcznika.

Język nieco odrębny, znamionujący wszystkie prace p. Zajączkowskiego, jest w każdym razie jasny, a wysłowienie wszędzie staranne. Razi tylko z obcego języka żywcem wzięty wyraz „linijny,“ który tak często musi być przez autora używanym. Czyżby

nie lepiéj było używać już wyrazu „liniowy,“ który jest zgodny z duchem języka a został przez p. Frączkiewicza utworzonym i zawsze był przezeń w wykładach używanym; przez to uniknęlibyśmy wyrażeń: linijny i linearny.

Sprawozdanie nasze z pracy p. Zajączkowskiego, za długie być może dla czytelników „Ateneum,“ kończymy szczerém wyznaniem, że Towarzystwo przez wydanie powyższéj pracy przyniosło zarówno uczącym się, jak i literaturze naukowéj znakomitą usługę, pod wpływém czego trudno nam nie powiedzieć: więcéj prac takich!

KRYTYKA.

Źródła dziejowe. Tom II.—Dzieje zjednoczenia Ormian polskich z kościołem rzymskim w XVII wieku, z dwóch rękopisów włoskiego i łacińskiego, w przekładzie polskim wydał Adolf Pawiński. Warszawa. 1876, str. V i 222.

Nie wielką była ludność ormiańska w Polsce, rachowano ją zaledwie na 3.000 głów. Szczupła garstka przybylców, rozproszona na kilkunastu odległych punktach, byłaby zapewne utonęła bez śladu w masie ludności miejscowéj, gdyby wyjątkowe zdolności tego plemienia nie zapewniły mu wydatnego w kraju stanowiska. Ormianie skupili w swych rękach prawie cały nasz handel ze Wschodem i na téj drodze dobili się bogactw, znaczenia i przywilejów. Dawno to już mędrzec grecki powiedział, że gdyby nie podróże obywateli, społeczeństwo pozostałoby zbiorowiskiem istot dzikich i nieokrzesanych. Zajęcia handlowe właśnie zmuszały Ormian do częstych podróży, dawały im znajomość ludzi, miejsc i rzeczy, podnosiły oświatę i ogładę towarzyską. Poseł francuski, przejeżdżający przez Lwów za czasów Jagiełły, chwali sobie ucztę i tańce „z damami,“ jakie wyprawili mu tamtejsi Ormianie. Przez podróże nabywali oni znajomości języków obcych, która podziwienie budziła w innych krajowcach. Łazarz Słoniowski „zwiedził znaczną część świata, zna téż dlatego 78 języków,“ „dobry człowiek“ i zasłużony krajowi, za co obdarzony został szlachectwem. Marya, mniszka ormiańska w Kamieńcu, liczyła lat tylko 35, a już „świat cały zwiedziła, Armenią, Ziemię św. i Włochy,“ więc „oprócz języka ruskiego i tatarskiego, mówiła po włosku i po ormiańsku.“ Obok podróży, Ormianie szukali oświaty i w kraju. Nie mając szkół własnych, posyłali dzieci na naukę do szkół łacińskich: uczono się filozofii u jezuitów, teologii u dominikanów, niektórzy jeździli do akademii w Zamościu. Więk-

sza część rajców ormiańskich we Lwowie mówiła po łacinie. Dowiadujemy się tu ciekawego faktu: za pośrednictwem naszych szkół i naszych Ormian cywilizacya zachodnia sięgała w głąb' Azyi i, być może, odegrała tam ważniejszą rolę, aniżeli bezpośrednie wpływy przodujących w oświacie narodów europejskich, bo teatyni włoscy wysyłani do Mingrelii byli wyłącznie lekarzami, kiedy tymczasem wpływowe stanowisko sekretarza patryarchy zajmował lwowianin, uczeń jezuitów.

Jakże więc dziwnie obok tego wyglądają wiadomości, podawane o ciemnocie panującéj wśród Ormian polskich w XVII wieku! Czémże objaśnić ten nagły niby upadek? Ależ bo społeczeństwo ormiańskie dzieliło się na dwa nader różne odłomy. „Wszyscy prawie Ormianie (mówi nasze źródło) dziś są albo księżmi, albo kupiectwu się oddają“ (1). Jakoż, w obec nielicznéj ludności świeckiéj, uderzająco wielką była cyfra duchowieństwa; księża byli żonaci, dzieci swe kierowali do stanu duchownego, co klasę kościelną nadmiernie mnożyło, a zarazem torowało, jak zaraz obaczymy, drogę wpływom ujemnym.

Osiedleni od kilku wieków w południowo-wschodnich ziemiach rzeczypospolitéj, ormianie złączyli się z krajowcami sercem, językiem i obyczajami, wyróżniali się zaś hierarchią osobną i obrządkiem religijnym tylko, że pominiemy tu pewne właściwości dogmatyczne, które w życiu codziennén nie miały zapewne doniosłego znaczenia. Ormianie należeli do kościoła, zwanego gregoryańskim, i uznawali władzę patryarchy eczmiadzyńskiego, mającego siedlisko w Armenii. Arcybiskupi i biskupi, rezydujący w Polsce, oraz większéj od nich używający powagi doktorowie kościelni, wartabiety, otrzymywali święcenia od patryarchy, po które pospolicie jeździć na wschód musieli; podróżowali tam z różnych powodów duchowni niższego stopnia. Nawzajem wschód wyprawiał do Polski nietylko legatów, czasowo tu przebywających dla załatwienia pewnych spraw kościelnych, ale i kapłanów stale osiadających.

Skutkiem tego, duchowieństwo Ormian naszych było pod ciągłym wpływem kraju, zostającego, względnie uważając, na arcy niskim stopniu cywilizacyi, a co większa, rekrutowało się w znacznéj części z ludzi urodzonych na odległym wschodzie. Tym to sposobem wytworzył się ów szczególny kontrast; że gdy społeczeństwu świeckiemu dostępne były wszystkie owoce oświaty europejskiéj

(1) Jedyny w tym względzie wyjątek stanowił ubogi lud w Śniatyniu, „bo Ormianie w tém mieście głównie pasterstwem się bawią“ (str. 82).

wśród kleru panowała umysłowa i obyczajowa pomroka. Tu pokarmy dzielono na czyste i nieczyste. Tu wiara w sny i prognostyki była powszechną: złamanie się pastorału rzuca przestrach na duchowieństwo, jako niemylna wróżba nieszczęścia. W trudnych razach uciekano się do magii i czarów, straszono duchami. Tu opowiadano, że dyabli porwali człowieka z pokoju i zanieśli go na cmentarz, że książka sama się z miejsca ruszyła, poszła, a spocząwszy na ustach nieboszczyka, przywróciła mu życie. Nikt nie wątpił, że żona jednego bezbożnika „porodziła potwór z rogami, jak zwykle czartów malują.“ Szymon, mnich przybyły ze wschodu, ku zgorszeniu nawet najbardziéj zabobonnych, trzymał ukrytą na ołtarzu „kartkę magiczną“ z przepisem „otrzymania różnorakiéj szczęśliwości.“

Ormianie nie mieli drukarń, księgi więc rękopiśmienne, z każdym wiekiem, wzbogacały się nowemi baśniami, do których fantazya wschodnia tak jest pochopną. Można w nich tedy było czytać, że Tyrydat król armeński, za zabicie św. Rypsymy, zamienił się w wieprza; albo znowu, że „jest wysoka góra Ararat, inaczéj Masis, na któréj niedostępnym szczycie dotychczas podobno przechowuje się w zupełności arka Noego, prócz jednéj tylko deski;“ ale i o nią nie potrzebujemy się kłopotać, bo zaraz dodano, że ją „podobno w jakimś kościele pilnie przechowują.“

Wielu pomiędzy księżmi było „prostaczków“ nieukształconych, tak iż niedouczony, ale zręczny „za drugiego uchodził Bazylego między owemi, co ślepi będąc, wysoko wynoszą zézowatego szalbierza.“ Na najwyższe godności kościelne wyświęcano młodzieniaszków lat 22 liczących wieku, nie zasług. Wielu téż pędziło życie gorszące. Jeden, „przyjaciel kart i zabaw“ trzyma karczmę tuż obok kościoła „ku zgorszeniu całego miasta,“ co mu jednak nie przeszkadza ubiegać się o godność oficyała. O drugim, a był on właśnie rodem z Persyi, dowiadujemy się, że to szalbierz, co za złe obyczaje był jakiś czas w zamknięciu, a z Warszawy wypędzono go za różne awantury; trzeciego obito za pijaństwo i osadzono w wieży, która widocznie uleczyła go z pociągu do trunków gorących, skoro po uwolnieniu został muzułmaninem. Innemu zarzucano tylko, że nie dochowywał sekretu spowiedzi. Jeśli takie były obyczaje niższego duchowieństwa, można poniekąd zrozumiéć niezwykłą u nas szorstkość postępowania zwierzchników. Biskup Bogdanii za lada uchybienie bił księży kijem, którym się podpiérał, arcybiskup zaś zerwał publicznie swemu koadyutorowi z piersi łańcuch złoty z krzyżem.

Porządki i obrządki kościelne dawały innowiercom pobudkę do szyderstw i nagany. Metryk nie utrzymywano wcale, nie można

przeto było sprawdzić, czy zawiérający małżeństwo nie znajdują się w zbyt bliskich stopniach pokrewieństwa. Ormianie składali ofiary z bydła przed drzwiami kościołów; obchodzili uroczystość Bożego Narodzenia w dniu 6 Stycznia, „ku wiecznym drwinkom ludu polskiego i ruskiego, który wymawia Ormianom, że najprzód obchodzą święto Obrzezania, a późniéj dopiéro Chrystusowi rodzić się każą.“ „Grecy, którzy Ormian nienawidzą zapamiętale,“ o zachowywanym przez tych ostatnich poście wstępnym powiadali, że go „postanowił jakiś biskup ormiański po śmierci swojego ulubionego psa.“ W Kamieńcu, gdzie Ormianie podlegali żywszemu wpływowi wschodu i używali języka tatarskiego, obchodzono uroczyście „ofiarę żydowską.“ „Wprowadzono do kościoła ofiarę, t. j. wołu ozdobionego kwiatami, ze świécami na rogach i bogatą kapą na grzbiecie. Tym czasem.... razu jednego ktoś dał ognia z rusznicy: wół, przestraszony hukiem, wybiegł na miasto ze wszystkiemi swemi ozdobami, wlokąc za sobą po błocie piękną kapę, ku wielkiéj uciesze i ku pośmiechowisku“ wszystkich innowierców, „którzy ze szczególną przyjemnością widzieli w ten sposób przerwaną ceremonią.“

Bolało to oświeceńszych Ormian i wskazywało na konieczność reformy.

Duchowieństwo nie miało żadnego uposażenia stałego; utrzymywało się z jałmużny wiernych, jałmużny przybierającéj niekiedy cechy wymuszonego poboru. Gmina, dostarczając księżom funduszów, kontrolowała ich użycie, a rajcy, jako jéj przedstawiciele, chcieli rej wodzić w sprawach kościoła: ani wyświęcanie księży, ani zadzwonienie na nabożeństwo nie mogło się obejść bez ich zezwolenia. I duchowieństwu przeto potrzeba odmiany dotkliwie czuć się dawała. Tymczasem jednak wrzały między arcybiskupem a gminą wiekuiste a gorszące kłótnie. Nie mogąc wdawać się w szczegóły, powiemy, że dzieje tych zatargów stanowią wymowny, acz smutny komentarz do owych słów: uderzę w pasterza, a rozproszą się owce.

Chcąc raz położyć tamę rosterkom, Ormianie zjednoczyli się z kościołem katolickim, co zaszło w połowie XVII wieku. Unia ta była wewnętrzną sprawą Ormian i wynikła z własnego ich popędu. Rząd nie miał w tém czynnego udziału. Owszem, znany z tolerancyi Władysław IV sprzeciwiał się z początku ruchowi unickiemu, a Jan Kazimierz, lubo sam był gorliwym katolikiem, trzymał się w téj sprawie na uboczu i, mimo wstawiennictwa Rzymu, nie chciał dać arcybiskupowi za wprowadzenie unii ani opactwa, ani żadnéj innéj nagrody. Nawet szlachta, tylokrotnie pomawiana o fanatyzm,

sprowadzała z Mołdawii Ormian dyzunitów i budowała im kościoły (str. 172).

Pierwszą potrzebą zjednoczonych Ormian było zaradzenie nieuctwu zagnieżdżonemu wśród kleru. Dotychczas radzono sobie w ten sposób, że posyłano kleryków na naukę do szkół łacińskich— środek nie ze wszystkiém dogodny. Taki np. Mytrowicz z Lublina przeszedł kurs u jezuitów aż do poetyki, ale po ormiańsku czytać nawet nie umiał, a podobnych mu było zbyt wielu. Przytém, nieraz uczniowie szkół łacińskich porzucali obrządek ormiański i wstępowali do zakonów katolickich: bliski krewny arcybiskupa był dominikanem. Owóż, gdy pomimo wprowadzenia unii, język ormiański pozostał w kościele językiem obrzędowym, należało pomyśléć koniecznie o własnéj szkole. W r. 1662, w czasie pobytu nuncyusza we Lwowie, Ormianie prosili go o przysłanie z Rzymu ojca Klemensa Galana ze zgromadzenia teatynów, który, jako historyk Armenii, wielkiéj używał sławy. Odtąd sprawę całą prowadzi nuncyusz i misya teatynów, utrzymywana kosztem kolegium de propaganda fide, krajowe zaś duchowieństwo katolickie, jeśli nie stawiało wprost przeszkód unii, to częstokroć utrudniało pracę w tym kierunku (str. 139, 144, 155, 167, 168). Kilka wyjątkowych objawów sympatyi, dosyć zresztą platonicznéj, uchodziło za coś tak nadzwyczajnego, że wywołuje z ust misyonarzy pochwały nadmierne.

W takich występując warunkach, misya dla skutecznego działania wymagała od pracowników wielkiéj gorliwości i większéj jeszcze wiary. I przyznać jéj należy jedno i drugie, kiedy nie zrażała się żadną przeszkodą. Na pierwsze pomieszczenie dano jéj izbę, w któréj prócz tego mieszkało dwóch księży różnych obrządków, żołnierz i pachołek, „pomieszczenie wielce niewygodne, bo na kochanéj ziemi, gdzie zwyczajem tutejszego kraju trochę siana podesłano.“ Choroby, zmiana osób w misyi, niezawsze zgodne poglądy na sposób działania, chwiejność arcybiskupa, odmawianie młodzieży, wreszcie rozbieżenie się kolegium z powodu najazdów tatarskich i kozackich, nie zdołały ostudzić gorliwości teatynów. Praca nieustająca stanowiła zasadę programu szkolnego. Oprócz kształcenia się w naukach, uczniowie obowiązani byli sami utrzymywać porządek domowy. Nie zaniedbywano także „przyjemnych i użytecznych ćwiczeń w deklamacyi i tragedyach, przez co nasi alumni kształcili się na dobrych mówców, a nadto jednaliśmy sobie życzliwość wszystkich warstw ludu, który się z wielką przyjemnością na to schodził.“ Tragedyą o św. Rypsynie „przyjęło całe miasto z nieopisanym zapałem.“ Uczniowie odbywali dysputy, bronili tezy z teologii i filozofii, w językach łacińskim i ormiańskim, a gdy razu pewnego biskup

przysłany od patryarchy „wyzwał do walki biegłego alumna, tak utknął sromotnie wśród dowodzenia, że z miejsca dalej ruszyć nie był wstanie.“ Wiek panegiryków nie mógł się obejść bez szumnych dedykacyj; przypisywano więc tezy znakomitościom duchownym i świeckim. Poświęcono pierwszą tezę papieżowi Klemensowi XI, ale i pana chorążego kamienieckiego zaszczyt podobny nie ominął.

Skutki działalności kolegium były oczywiste dla wszystkich; w r. 1668 ukończyło nauki dwóch alumnów, jeden z nich wnet objął kierunek szkoły w Jazłowcu i tak starannie ją prowadził, że 60 uczniów liczyła. We Lwowie otworzono przy misyi szkołę, w której alumni nauczali 30 zgórą chłopców. Z kolegium misyjnego w ciągu niewielu lat wyszło 17 wykształconych kapłanów, jeden doktor czyli wartabiet, jeden biskup, wielu teologów, kilku kaznodziéjów, z których trzej naczelne nawet między łacinnikami zajmowali miejsce. Czterech alumnów wysłano do Rzymu, o których kardynał Colonna mawiał „że to nie młodzieńcy, ale aniołowie byli, jak Bóg przykazał wychowani.“

Na tém kończy się z rokiem 1676 opowiadanie, ogłoszone w „Źródłach dziejowych.“ Wiemy zresztą, że dzieło, dobrze rozpoczęte, pomyślnie się rozwinęło: dziś Ormianie, zachowując swój osobny obrządek, stanowią szanowną i wielce pożyteczną część naszego społeczeństwa.

Książka, o któréj mówimy, jest przekładem z dwóch rękopisów włoskiego i łacińskiego, czyta się z łatwością i zawiéra dosyć szczegółów do historyi obyczajów i kultury; czytelnik, wziąwszy ją do ręki, z zajęciem karty jéj przebieży. Przekład dokonany jest językiem poprawnym; w kilku tylko miejscach napotkaliśmy wyrażenia niejasne. Tak na str. 11 czytamy, że Ormianie „nowo wyświęconym kapłanom każą przez dni czterdzieści ciągle stać,“ nie chcemy spierać się z księdzem Pidou, czy jego tłómaczem, który uznaje to za „rzecz godną pochwały i naśladowania,“ a więc i możliwą, i lubo czytaliśmy nieraz powiastki tego rodzaju o fakirach indyjskich, jednakże w podobną wytrzymałość muskularną, równie nam trudno uwierzyć, jak w historyą owego chłopca co 40 godzin leżał bez ducha, a przez dotknięcie cudowną książką przywrócony został do życia. Więcéj przeto mamy zaufania do autora drugiego rękopisu, który twierdzi, że „świeżo wyświęceni księża całe czterdzieści dni spędzają w kościele, gdzie śpią, jedzą i czytają.“ Wyrażenie „książka z lekcyami“ jest zbyt literalnym przekładem łacińskiego *liber lectionis* (str. 211), co znaczy raczéj książkę, odczytywaną w refektarzu podczas obiadu (ob. str. 207). Zamiast niemożliwego w ustach katolika wyrażenia „przeklinać jak heretycy Diafizyci“ (str. 7),

bo właśnie katolicy są diafizytami, powinno być: przeklinać diofizytów jako heretyków (porówn. str. 36). W opisie obrządku chrztu nie można zrozumiéć komu starucha ma przedstawić rodziców chrzesnych (str. 10), i dopiéro z opisu na str. 128 przekonywamy się, że w pierwszém miejscu, albo oryginał włoski został zepsuty, albo go źle zrozumiano. Unja *karmelicka* (str. 158) chyba przez lapsus calawi zajęła miejsce unii *ormiańskiéj*. Na str. 170 (wiersz 5 od dołu) mylnie powiedziano „przedstawiając zdanie,“ należało bowiem wyrazić się przeciwnie: zasięgając zdania. Różnic jakie zachodzą w niektórych nazwach ormiańskich (str. 37 i 55, albo str. 11 i 61), nie możemy objaśnić sobie.

Źródła dziejowe. Tom III. Stefan Batory pod Gdańskiem w 1576—7 r. Listy, uniwersały, instrukcye wydał i szkicem historycznym poprzedził Adolf Pawiński (str. LXXII, 360 i A—O). Tom IV. Początki panowania w Polsce Stefana Batorego 1575—1577 r. Listy, uniwersały, instrukcye wydał i rozprawką o Synodzie Piotrkowskim z r. 1577 poprzedził Adolf Pawiński (str. XXXVII, jedna nieliczbowana i 292). Warszawa, 1877 r.

Ktokolwiek pierwszy raz ogląda zbiór naszych numizmatów, zwróci bezwątpienia uwagę na szereg monet, poczynając od dukata a kończąc na szelągu, na których w miejscu zwykłego popiersia królewskiego jest wyobrażenie Chrystusa, trzymającego w ręku jabłko świata, z napisem w otoku: „Broń nas Zbawicielu (Chryste).“ Napis téj treści nie jest w numizmatyce wyjątkowym. Różnemi czasy, dobre i złe sprawy wzywały w taki sposób pomocy niebios: głos dobrych nie zawsze bywał wysłuchany, złym—czasami się powodziło. Jeżeli, przez ciekawość, odwrócimy jednę z tych monet na drugą stronę, ujrzymy dwa krzyże pod koroną—herb Gdańska, a wyryty obok niego rok 1577 wskaże nam, że mamy przed sobą pamiątkę zuchwałego buntu spanoszałych mieszczan, świadka pierwszych dni panowania jednego z najznakomitszych królów.

Do wyświecenia téj właśnie epoki dziejów naszych bogaty przedstawiają materyał dokumenta urzędowe w liczbie 328, ogłoszone w dwóch tomach, których tytuły przywiedliśmy na czele; poznanie zaś jéj ułatwiają znamienicie dwie rozprawy, dołączone przez uczonego wydawcę. W krótkich słowach opowiemy co się w tych księgach zawiéra.

Gdy efemeryczny król Henryk ujechał sobie z Panem Bogiem do Francyi, w kraju zostawił po sobie w spadku nieład moralny i materyalny. Przy wstępnéj elekcyi, głosy się rozdzieliły; jak wiadomo, jedni obrali Stefana Batorego, drudzy—cesarza Maksymiliana, a do

stronnictwa „cesarzjanów,“ jak ich wtedy nazywano, należało i miasto Gdańsk. Po odbytéj koronacyi Stefana, to ostatnie stronnictwo zaczęło szybko topniéć, niknąć, i niebawem nawet najzapaleńsi cesarzjanie uznali Batorego królem. Jeden tylko Gdańsk odmawiał tego uznania. „Nawiedził Pan Bóg koronę tę wielką i szkodliwą trudnością od Gdańszczan nieposłusznych, króla jmci i korony poddanych, z któremi król jmć jako łaskawie postępował, jako się im pilnie starał, żeby je dobremi a prawie ojcowskiemi obyczajami do posłuszeństwa przywiódł, żadnemu to tajemno nie jest. Ale owi, aby rebelią swą upornie prowadzili,“ poczęli się na gwałt zbroić, a co gorsza, wchodzili z postronnemi w stosunki podejrzane, od których do jawnéj zdrady krok jeden tylko zostawał. Gdy wszelkie środki łagodności wyczerpane zostały, a miasto upamiętać się nie chciało, zapozwano Gdańszczan przed sąd królewski, gdzie, po upływie terminów, uznani zostali za jawnych buntowników. Wyrok ten stał się hasłem do wojny, do któréj się wcześnie przygotowali mieszczanie, a rozpoczęli ją od czynów, przypominających poniekąd teraźniejszą walkę w Prusach, prowadzoną pod pretensyonalną nazwą „walki o kulturę.“ Gmin gdański, w dwa dni po zapadłym wyroku, uderza na kościół i klasztór dominikanów, urąga świętościom, mnichom zadaje rany, bibliotekę nieposlednią na owe czasy—zawierała bowiem 669 ksiąg drukowanych, nie licząc rękopisów—niszczy, a kosztowności rabuje. Podobnaż klęska dotknęła opactwo cystersów w Oliwie, pomnik hojności dawnych książąt Pomorza, „klasztor zacny, wystawnym budowaniem zbudowany:“ Gdańszczanie „pobrawszy z niego wielkie i bogate klejnoty kościelne, prawie z gruntu zburzyli i zniszczyli.“ „Miejscy synkowie,“ wyszedłszy na rycerzy kultury, zabili ekonoma opackiego i nie omieszkali wyprzątnąć mu kieszeni; zabrali téż miecz, który był „srebrem ozdobiony.“ Rabunek szerzył się coraz daléj, nie przepuszczano ani szlachcie, ani wieśniakom. „Targnęli się,“ jak król powiada, „na domy szlacheckie, które splondrowali i krwią ich uczciwą oblali.“ W delikatnym języku mieszczan zwało się to „drobnemi przykrościami sąsiedzkiemi.“ Ale największy gniew Gdańska padł na posiadłości Karnkowskiego, biskupa kujawskiego, puszczone z dymem, gdzie tłuszcza gospodarowała „niegorzéj Tatara,“ z którym miasto weszło właśnie w konszachty. „Kronikarz gdański milczy o pobudkach tego wybuchu;“ p. Pawiński, nie bez słuszności domniemywa się, że udział Karnkowskiego w konstytucyach z r. 1570, noszących jego imię a ujmujących miasto w kluby prawa, był przyczyną téj barbarzyńskiéj zemsty. Dodajmy, że to Karnkowski, zastępując niechętnego prymasa, włożył w Kra-

kowie koronę na czoło Stefana i tém zadał cios dotkliwy nadziejom „cesarzjanów.“

Król z garstką żołnierzy wyruszył ku Gdańskowi, ale do prowadzenia wojny energicznie nie miał ani wojska, ani przyborów oblężniczych, ani pieniędzy, których stan rycerski, zebrany na sejm w Toruniu, nie bardzo był ochoczy dostarczyć; bez tego zaś akcya poważna stawała się niemożliwą. Bo nie z jednėm miastem przychodziło walczyć. Posiłki szły do Gdańska z Pomorza, Lubeki, Danii, Szkocyi, a z regestru jeńców widzimy, że nie byłato wcale zbieranina, ale żołdacy z rzemiosła, którzy po 20 lat i więcéj wojskowo służyli. Inflanty i Kolonja przysłały wodzów doświadczonych; niektóre miasta Prus królewskich wyraźnie były monarsze niechętne, a Żuławianie zdradzali. Królewiec dostarczał buntownikom żywności i zapasów; statki i dostatki Gdańszczan znajdowały tu bezpieczne schronienie, gmin stolicy Prus książęcych zagrażał przybyłym tam komisarzom królewskim, a rządcy tego lennego kraju przeszkadzali, gdzie mogli działaniom Stefana. W takich okolicznościach, kroki wojenne przerywane były układami, zrywanemi i na nowo zawiązywanemi. Gdańszczanie „rozmaitych fortelów najdować i używać przez te wszystkie czasy nie zaniechali. Posyłali częste posły swe do jkmci, glejty sobie wyprawowali, traktaty czynili, kondycye podawali; ale wszystkie te ich postępki obłudne i wykrętne były, gdyż pod tym czasem ludzi żołnierskich więcéj do miasta przyjęli, miasto wały, municyami tém więcéj umocnili.“

Gdy zima przyniosła faktyczne zawieszenie broni, pycha mieszczan nie znała już granic. Z wiosną umyślili już nie czekać napaści pod osłoną swych murów, lecz wstępnym bojem zgnieść szczupłe wojsko królewskie, obozujące pod Tczewem; poczém, nietrudno było, jak marzyli, oderwać całe Prusy od Korony. Dowództwo zamierzonéj wyprawy powierzyli biegłemu w sztuce rycerskiéj mężowi, Janowi z Kolonii. Kilkakroć jednak odkładano termin wyruszenia w pole z powodu przeszkód, których rodzaj, jako i „kasturę“ obojga stron walczących poznać możemy ze słów spółczesnego pisarza. „Pan Bóg wszechmogący z łaski swéj naprzód począł łaskawie ostrzegać onego nadętego hetmana gdańskiego, znacznie mu okazał znak gniewu swego, bo skoro się ruszył z ludem, powstało wielkie powietrze, łyskawica, trzaskanie gromu i deszcz gwałtowny. Owa, gdy z bramy miejskiéj wychodzili, dwa mu rajtarowie w przekop z mostu wpadli, jednego ledwie ratowano, drugi utonął. Pod samym Hans-Kolnem koń także bardzo szwankował, aż knechci, którzy podle niego szli, zaledwie go uchwycili. Sztuka się niemała baszty urwała i w przekop wpadła: on to bacząc, kazał się z ludem nazad wrócić.

Wszakoż tego nie przypisował on nadęty niemiec kaźni ani napominaniu Pańskiemu, ale gusłom abo czarom babim, i dał wsadzić dwie stare białegłowy, przyczytając im to, aby ony tego czarami swymi nabroić miały“ (Paprocki).

Wszakoż w końcu Jan z Kolna wyprowadził swe roty lądem i wodą. Na wieść o tém, hetman Zborowski, zostawiwszy w Tczewie małą załogę (1), dla strzeżenia miasta i Wisły, wyruszył o milę na zachód ku Rokitkom i tu uszykował swe wojsko (2). Przed samém południem, 17 Kwietnia 1577 r. „poczęło się wojsko Kolnowe sypać jak czarny las.“ „Naszych garstki i wrogów gromady“ ruszyły naprzód i stoczyły bój śmiertelny... dla niemców. „Wszystko ono ich wojsko od małéj liczby ludzi jkmci jest prawie na głowę porażone i zbite.“ Mnóstwo ich potonęło w jeziorze Lubieszowskiém, które swéj nazwy użyczyło téj bitwie. Pościg rozgromionych był długi i krwawy. Liczby „pobitych ludzi trudno wiedziéć, bo w pogoni różno je bito, a ktemu chłopstwo po lesiech, po górach, po wsiach, po stodołach bili, mordowali.“ Na samém pobojowisku „według karbów, co przysiężni ludzie karbowali, pochowano ich 4416.“ Strata Zborowskiego nie dochodziła sta ludzi. Jeńców wzięto tysiąc; „u ślachty i u wieśniaków tyle czworo, bo już one niemce zbiérali po górach i po dąbrowach tak jako grzyby.“ Trofea stanowiły wszystkie działa i pięć proporców, z których na jednym był napis: „Złota wolność,“ godło równie wtedy dla Gdańszczan, jak późniéj dla nas fatalne. Po téj porażce „mógł się każdy spodziéwać, że to miasto miało wżdy już ku sobie przyjść a poczuć się w powinności swojéj. Ale nad mniemanie wszystkich, najmniéj tym nie będąc wzruszone, jeszcze większą, jadowitszą rebelią swoję“ daléj prowadziło.

Nie będziemy streszczali dalszych kolei wojny, ciekawy czytelnik znajdzie je w obszernem opowiadaniu prof. Pawińskiego skreślone żywo i z talentem, któremu sprostać byłoby nam zbyt trudno. Poprzestaniemy tu na wzmiance, że jeśli działania wojenne nie dosyć żwawo prowadzone były, wina za to spada nie na króla Stefana. W Koronie opozycya niezupełnie przycichła, Litwa i Ruś miały in-

---

(1) Paprocki mówi, że sto drabów z roty Firleja, z czterema działami; według p. Pawińskiego, „zaledwie 50 koni“; ale sam Zborowski pisze, że 50 pieszego ludu.

(2) Prof. Pawiński mówi, że wojsko Gdańskie zajęło na noc „stanowiska pod wsią Langowem, prawie naprzeciwko rot polskich.“ Owóż Langów czyli Langenau leży zdala, bo w połowie drogi z Gdańska do Tczewa i wcale nie naprzeciwko Rokitek. Paprocki między Langowem a Tczewem liczył półtory mili drogi.

nych nieprzyjaciół na karku, a ziemie pruskie, których sprawa gdańska dotyczyła bezpośrednio, uchwaliły wprawdzie pobór na roty zaciężne, lecz w uiszczeniu onego mało dawały dowodów gorliwości i dobréj woli. Trzy tamtejsze starostwa żywności „nic dodawać nie chcą,“ lubo je posiadali ludzie bogaci, jak Jan Dulski, Anna Konopacka i wojewoda malborski. Opieszałość w spełnianiu rozporządzeń królewskich okazywano w sposób gorszący: 7 Maja Stefan polecił starostom, aby wójci i sołtysi dostawili konie, ale wojewodzie malborskiemu musiał to ponawiać jeszcze 31 Maja. Nawet duchowieństwo pruskie, czegoby się trudno było spodziéwać, boć tam i o jego najdroższe interesa, jeśli nie o sam byt, chodziło, grubym a niedaleko patrzącym grzeszyło egoizmem. Tak kapituła warmińska, która od opłaty uchwalonego na sejmiku poboru wykręca się, zwłóczy od Maja do Sierpnia i rozkłada go sobie na raty, w ciągu jednéj nocy znalazła pieniądze na złożenie okupu korsarzom duńskim, którzy Gdańskowi na pomoc przybyli. Tysiąc talarów zaraz nie odesłała sama, wraz z więźniem, którego władze krolewskie oddały jéj pod nadzór, a siedm tysięcy obiecała niebawem zapłacić, Ciż sami kanonicy warmińscy, co na usprawiedliwienie zwłoki względem króla nie umieli nic przytoczyć (incertum qua de causa), jakże się wymownemi stają, kiedy chodzi o przekonanie dzielnego Bekiesza, że mimo jego zakazu, resztę obiecanéj „piratom“ sumy wypłacić muszą. Jakby przejęci byli duchem niepojętéj dla nas emulacyi, powołują się, niby na wzór godzien naśladowania, na to, że Brunsberga „już cały“ okup wypłaciła. Nie mogą się oprzéć „łzom biédnych wieśniaków,“ którzy w złożeniu okupu widzą swoje jedyne ocalenie. Przecięż i wrogowi dotrzymać należy słowa, jak mniemają rzetelni w tym razie kanonicy. „Zwyczaj i księgi nauczają nas, że nawet królowie i książęta zwykli dochowywać nieprzyjaciołom wiary, a my temi nędznemi pieniędzmi najprzód słowa danego z konieczności dotrzymamy, a powtóre, na przyszłość zapewnimy sobie u wszystkich szacunek.“ Śmiech bierze, czytając te wyrazy, bo ci idealni niewolnicy danego słowa targowali się, jak pisze Bekiesz, z piratami i zamiast sześciu tysięcy, cztery im tylko dawali.

Gdzie tacy są pasterze, czegóż się po owieczkach spodziewać można? Oto już wiemy, że Brunsberga dała pięć tysięcy talarów okupu, z takim pośpiechem, że nawet niepochopny do rozwiązania worka Frauenburg doznał uczucia zawiści. Tolkmicko, wprzódy nim mu zagroziło niebezpieczeństwo istotne, przyjmuje nieprzyjacielską załogę. Ztąd wysyłają na okręty korsarskie beczki z piwem, ztamtąd dostarczają węgorzy aż sześcią łodziami. Szpiegostwo do tego stop-

nia rozwinięte, że nieprzyjaciel o ilości dochodu Warmiaków tak dobrze był zawiadomionym, „iż krajowiec nawet tamtejszy dokładniéj wszystkiego wiedziéć nie mógł.“ Wszystkiemu temu towarzyszą jednak ciągłe a solenne zapewnienia o niezachwianéj niczém wierności królowi, oraz denuncyacye na bliższych i dalszych sąsiadów. Zaiste, trudno o widok bardziéj szpetny i wstrętny,—wstrętnym téż był nawet dla bezstronnych cudzoziemców. Kasper Bekiesz powiada wprost, „że nic nie może być nikczemniejszego nad tych tu ludzi“ (III, 236), a trudno nie dać wiary członkowi, którego Batory zwał „mężem poważnym,“ w którym spółcześnie wysławiali „męstwo i umiarkowanie,“ „wielki umysł, rozum i ludzkość.“

Wśród tylu okoliczności nieprzyjaznych, niepodobna było ważyć się na kroki stanowcze, zwłaszcza przy szczupłéj liczbie wojska, a zupełnym prawie braku pieszych ludzi, „których do téj sprawy najwięcéj było potrzeba.“ Robił jednak król Stefan co było możliwe. Ustanowił najprzód rodzaj gwardyi konnéj. P. Pawiński dopatruje w niéj podobieństwo do zbrojnych drużyn, któremi się otaczali w średnich wiekach książęta, do owego kwiatu rycerstwa, które miał obok siebie Kanut W. Mniemamy, że te porównania niedokładne dają wyobrażenie o charakterze i organizacyi hufca batorowskiego. Nie był on wcale drużyną średniowieczną, złożoną z ochotników goniących za sławą, walczących z dobréj woli i nieznoszących hierarchicznego ustopniowania. Przeciwnie, wojsko to składało się z zaciężnych, stale płatnych, ex quovis ordine et sorte hominum, zbiéranych ze wszystkich prowincyj, a organizacyą swą zbliżało się raczéj do typu wojsk nowoczesnych. Hufiec podzielony był na roty, które zwerbować mieli rotmistrze. By jednak roty mieć podatniejszemi, aniżeli były poczty nadworne wielkich panów, którym werbunek powierzono, król postanowił, że rotmistrz w swéj rocie, liczącéj 100 koni, nie może mieć na swym żołdzie więcéj nad 24 jeźdźców, resztę między towarzyszów czyli dziesiątników rozdzielić powinien. Towarzyszowi znowu nie wolno było mieć więcéj sześciu koni, mniéj—dozwolono. W organizacyi dawniejszéj wojska przechowały się istotnie niektóre zwyczaje średniowieczne, a dla powodzenia kampanii szkodliwe. Batory starał się je wykorzenić. Tak np. wojsko po bitwie Lubieszowskiéj stawia, między wielu innemi, takie żądanie: „A iż téż wiele nas jest, którzy gwałtowne potrzeby do domów swych mamy, gdyż opatrzenia około praw naszych nie mamy, prosim, aby za łaską jkmci mogliśmy na krótkie czasy odjeżdżać.“ Nam takie żądanie wydawać się musi, co najmniéj, zabawném; onego czasu nie było takiém, gdyż je uświęcał obyczaj wiekowy, i mniéj mu się dziwić będziemy, skoro w urzędowym spisie jeńców, wzię-

tych Gdańszczanom, przeczytamy następną notatkę: „Hans z Godbisu, strzelec, z dzieciństwa Kriksman pod Lemką, *do żony się prosi*“. W czasach takiéj naiwności żołnierskiéj, prosty zakaz odjazdu mógłby nie znaléść u szlachty posłuchu; pozwolić nań—było znowu niepodobieństwem. Batory więc odpowiada tak wojsku: „na samych to rozsądek panów żołnierzów JKMość przypuszcza, jeśli się godzi in medio cursu śród wojny odjachać, coby nie tylko z wielgą szkodą reipublicae było, ale téż i z żalem onychże samych by być musiało, gdyby krwawa praca ich i takie zwycięstwo wniwecz się obrócić miało a pożytku reipublicae nie uczyniło, i przeto żądać raczy, aby przez kogo innego na ten czas potrzeby swe *domowe* opatrywali.“ Potrzeby zaś *wojskowe* były szczególnym przedmiotem pieczołowitości i zabiegów króla. W czasie téj wojny bodaj czy nie pierwszy raz spotykamy urząd prowiantmajstrów (proventmagistri), które to obowiązki pełnili dwaj kasztelanowie, śremski i sochaczewski. Oni to winni byli spuszczać Wisłą żywność dla wojska, oni mieli nadzór nad markietanami i ustanawiali obozowe ceny produktów.

Tymczasem pod Gdańskiem boje szły naprzemian, lub jednocześnie, z układami: mieszczanie w jednych i w drugich równą okazywali zaciętość. Szturm do latarni, lubo skończył się dotkliwą Gdańszczan porażką, twierdzy téj wszelako z rąk ich nie wyrwał. W tym właśnie czasie, szlachta powiatów nadmorskich wniosła do króla instancye o wznowienie układów i wzięła na się pośrednictwo w téj sprawie. Niebawem miasto wysyła, jak powiada wydawca naszych dokumentów, „pokorny list do panów senatorów, zawierający w sobie długi wywód niewinności, a w rzeczy samej zawsze te same warunki“. Nam się wydawał list z 18 Sierpnia (bo o nim właśnie tu mowa) nie pokornym, lecz nadmiar zuchwałym, zuchwalszym nad wszystkie inne (1). Gdańszczanie, jak dawniej pisali paszkwile, tak teraz pozwalają sobie dawać nauczki królowi i senatorom, rzucać na niektórych, lubo imiennie niewskazanych, podejrzenia, a czynią to z całą świadomością, i zuchwalstwo listu każą tłómaczyć na dobrą stronę, bo to, „z boleści ich wypłynęło“. Gdyby dyplomacya chodziła ze szczerością w parze, byliby niewątpliwie powiedzieli: wiemy, królu, że brak ci sił dostatecznych, gdyż rzeczpospolita niezbyt skwapliwie cię wspiéra; twarde ci wprawdzie stawiamy warunki, aleć je musisz przyjąć, nietajno nam bowiem, że groźne położenie innych prowincyj nakazuje ci zawrzéć z nami zgodę jak najprę-

---

(1) Znajdujemy w nim wyrażenia w takim np. rodzaju. „Libertates.... et provinciae totius et nostras variis modis imminutas, iura manifeste violata, privilegia ut plurimum eversa fuisse.“

dzéj. Usiłowali więc Gdańszczanie wytargować jak najwięcéj, czuli się jeszcze bezpieczni, posuwali się przeto aż do bezczelności. Bo i jakże inaczéj nazwać ów punkt w *pokornym* liście, gdzie panom rady, otaczającym króla Stefana czynią zarzut z tego, czego domagali się od cesarza Maksymiliana wysłańcy partyi rakuskiéj, partyi, do któréj i Gdańsk należał? (III, 192). Obok tak niesłychanego zarzutu postawićby można chyba dawniejsze ich żądanie, aby mieszkańców Mierzei nie pociągano do przysięgi na wierność królowi (III, 38). W tém to żądaniu zdradza się miasto z swemi ambitnemi marzeniami o zupełnéj niezależności politycznéj, o wyłącznêm panowaniu na morzu. Dawnoż to owe Klefeldy, Ferbery, za lada pozorem ścinali głowy frejbiterom Zygmunta Augusta? Wierność dla Maksymiliana czczą była tylko wymówką, skoro wojna zawrzała w najlepsze już po śmierci tego cesarza. Nie możemy więc listu z 18 Sierpnia nazywać pokornym, a z odpowiedzi, jaką nań w trzy dni potém senatorowie wysłali i ze znakomicie napisanéj odpowiedzi, danéj ze strony króla w połowie Października, przekonywamy się, że i spółcześni nie dopatrywali w nim pokory (1). Będziemyż maskować gorzką prawdę? Kraj nie chciał, czy nie umiał zdobyć się na odpowiednie rozwinięcie sił, miasto zdołało go trzymać w szachu przez półtora roku z górą, bo ono swych zasobów nie skąpiło, w końcu téż postawiło na swojém niemal w zupełności. W tym względzie rozchodzimy się z uczonym wydawcą, który innego jest zdania. Przy ostatecznych układach, Gdańszczanie to redagują projekt aktu, zabezpieczającego swobodę wyznania augsburskiego, projekt przeprosin, które złożyć winni, projekt zniesienia grawaminów (2), projekt potwierdze

---

(1) Jak mało byli Gdańszczanie skłonni do pokory, jak nawet dla osób zdala od pobojowiska przebywających nie było w tym względzie wątpliwości, widzimy, między innemi, choćby z tego, co Anna Jagiellonka odpowiada im na prośbę o wstawienie się do króla. Cały zresztą przebieg wypadków stwierdza to nader wyraźnie.

(2) Projekt ten dwa razy jest wydrukowany (№№ CLVII i CLIX), mniéj potrzebnie, bo cała różnica zawiéra się w czterech wyrazach obojętnych, wprowadzonych do drugiego projektu. Punkta zgody, podane przez króla 4 Października (III, 259) i po 25 Października (III, 304), są także słowo w słowo jednakowe. Podobnież pod № CLXXIX podana jest forma abolitionis, czyli wzór odwołania dekretu proskrypcyjnego, a pod № CLXXXV dekret ten w ostatecznie ustalonéj redakcyi, która wszakże jest literalném powtórzeniem owego wzoru, z usunięciem kilku błędów ortograficznych a dodaniem natomiast innych. Dla kilku warjantów bez znaczenia (np. *et* zamiast *ac,—fidemque* zamiast *fidem*) nie warto było wzoru owego, zajmującego przeszło kartę druku, zamieszczać w całości, i dość było warjanty, jeśli o ścisłość chodziło, podać w ustach pod tekstem ostatecznie przyjętym. W tomie IV, № CXLVIII i CXLIX pomimo różnicy w nadpisie i o jeden dzień różniącéj się dacie, są identyczne: co pierwszy po polsku, to drugi po łacinie powtarza.

nia przywilejów, projekt punktów, odwołujących proskrypcyą, gdzie w punkcie 9 „mieszczankowie“ grożą, że jeśli król całkiem konfiskaty nie cofnie, użyją odwetu na poddanych królestwa. Miasto postawiło na swojém, bo król zgodził się wreszcie na to, że Gdańszczanie wykonają przysięgę dopiéro po odwołaniu dekretu proskrypcyjnego; postawiło na swojém, gdyż w potwierdzeniu przywilejów Gdańska (III, 350) zamieszczony został, zgodnie z jego żądaniem, wyraz *magistros*, zamiast wyrazu *magistratus*, którego król pragnął. Miasto utrzymało się przy swojém, król bowiem, oprócz głównego aktu uspokojenia wydał Gdańszczanom cztery inne dokumenta: 1. cofnięcie dekretu proskrypcyi, 2. potwierdzenie przywilejów, 3. skasowanie procesów i 4. zapewnienie swobody religijnéj, akt zbyteczny, skoro konfederacya już warszawska zapewniła pokój między różnowiercami w całym kraju,—akt szkodliwy, gdyż potwierdzając na rzecz jednego miasta to, co już było ogólném prawem Korony, zdawał się wtórować pretensyom Gdańszczan, jakoby prawa koronne do nich się nie stosowały; psuł zatém dzieło unii Lubelskiéj, do czego głównie mieszczanie zmierzali, lubo w ciągu całych rokowań ani razu nie wymieniono wyraźnie Lublina.

Gdańsk, bez wątpienia, ucierpiał wiele przez wojnę, musiał nadto zapłacić 200.000 złotych p., musiał przeprosić króla, ale ocalił wyłączność swego stanowiska. Korona poniosła również ofiary niemałe, tryumf jéj wszelako nie był zupełnym. Jeden tylko Elbląg miał powód radować się szczerze: uzyskał nowe przywileje, król darował miastu temu większą część poboru, złożonego na wojnę, a syndyk tamtejszy obdarzony został szlachectwem.

W ciągu tych długich i uciążliwych układów, postępowanie króla ze wszech miar było wzorowém. Instrukcya, którą dał komisarzom, mającym odebrać przysięgę od Gdańszczan, pięknie świadczy jak o rozumie politycznym, tak o szlachetności i umiarkowaniu Stefana. Poleca on komisarzom kierować rzecz w taki sposób, aby umysły łagodziły się a nie rozdrażniały, i wzbrania najmniejszéj wzmianki o rzeczach minionych. Wjazdu do Gdańska zrzekł się dobrowolnie, chociaż ugoda dała mu do tego prawo. Umieliż to przynajmniéj ocenić mieszczanie? przestaliż choć na chwilę być kramarzami? Daremne pytanie. Polityka rzadko bywa w dobrém porozumieniu z etyką serca, a uczuciami posługuje się o tyle, o ile z nich oręż zaczepny wykuć sobie może. Od dypłomatów portowego miasta, które urosło ze złotéj pszenicy sandomierskiéj, które bogaciło się z wielkopolskiéj słoniny, z wołyńskich klepek i wańczosu, moglibyśmy tylko wymagać rzetelności kupieckiéj, płacenia pięknem za

nadobne. I w tém wszelako doznamy zawodu. Ostatnie słowa ostatniego z ogłoszonych dokumentów uczą, że mieszczankowie wywzajemnili się królowi, odmawiając wydania tak zwanych rewersalów, to jest aktu, poświadczającego wykonanie przysięgi na wierność. „Miała Polska swoję Wenecyą“ powiada o Gdańsku wydawca; my byśmy rzekli, że miała tylko targowicę, równie zapamiętałą, jak w dwa wieki późniéj inna Targowica.

Bądźmy wszelako bezstronni. I rola Gdańska w tych zapasach nie była pozbawiona wielkości. Widzimy ją, przedewszystkiém, w tém ścisłém zjednoczeniu się wszystkich klas ludności, od dumnych i bogatych patrycyuszów począwszy, a kończąc na ubogim proletaryacie portowym,—zjednoczeniu, którego nie zdołały zachwiać ani porażki w otwartém polu poniesione, ani niedostatek, jaki się mieszkańcom miasta oblężonego z konieczności daje we znaki. I toć to było lepszą dla nich obroną niż grube mury i fosy głębokie. I nie mówcie, że jednomyślność wynikła z potrzeby, z poczucia wspólnego niebezpieczeństwa. *Taka* jak ich, jednomyślność urodzić się jedynie mogła z niekłamanéj a gorącéj miłości do rodzinnych murów, i tylko to uczucie, mniemamy, było w stanie utrzymać węzły zjednoczenia do końca, w obec klęsk, które na Gdańszczan spadały. W istocie, aż do samego zakończenia wojny, widzimy, jak gmin troskliwie czuwa nad wszystkiém, jak pilnuje interesów miasta: pisanie not dyplomatycznych i uczone wywody prawne zdaje biegłym piórom starszyzny, ale o istocie układów, o treści warunków, chce zawsze sam wiedzieć i o nich głos swój daje. Widzimy z drugiéj strony patrycyat, który nie zraża się tą podejrzliwą ostrożnością gminu, nie obwinia go o demagogiczne popędy, nie ucieka, unosząc swe skarby z płonącego budynku, a zostawiając plebs jego losowi,—ale swym rozumem, nauką, stosunkami, bogactwy ratuje wspólną nawę i, dzięki zgodnym wysileniom wszystkich i każdego, doprowadza ją do pożądanego portu.

Daléj chwała Gdańszczan polega na tém, że rozumieli dobrze położenie ówczesne; zgodnie z tém założyli sobie cel, zastósowany do środków, któremi rozporządzać mogli, a gdy raz przyłożyli rękę do pługa, już odtąd, według nauki ewangelicznéj, nie oglądali się wstecz, jeno kroczyli wytrwale do celu owego, dopóki go nie osiągnęli. Stałości i energii, które rozwinęli w całéj téj sprawie, nic osłabić nie było zdolne; owszem, potężniały one z każdym niemal miesiącem, „acz nie szczędził je Pan Bóg, gdyż wszędzie, gdziekolwiek się jedno ten nieprzyjaciel z murów i z błot ukazał, zawżdy był bit i klęskę odniósł.“

Wreszcie, niepodobna odmówić hołdu téj wzniosłości umysłu mieszczan, która nie dozwalała robić z jednostek kozły ofiarne na rzecz niby dobra ogólnego. W każdéj odezwie miasto żąda lub prosi o uwolnienie swych delegatów i powtarza swe prośby dopóty, aż delegaci wolność odzyskali. O los najemnych żołnierzy, obcych miastu pochodzeniem, Gdańsk z równą zabiega troskliwością, jak o najdroższe swoje prawa, jak o swobodę religijną, jak o potwierdzenie przywilejów. A wszakto o żołnierzu najemnym powiedziano gdzieindziéj, że to najlepsze wojsko: jak zwycięży—z łupów zapłatę otrzyma, a skoro rozbite zostanie—płacić go nie trzeba. Dodajmyż i to, że miasto zastrzegło u króla najobszerniejszą amnestyą dla wszystkich swoich stronników i pomocników.

Księga podkanclerska, z któréj wydawca przeważnie czerpał dokumenta, zapełniające tomy III i IV „Źródeł dziejowych," oprócz sprawy gdańskiéj, dotyczy polityki wewnętrznéj i zagranicznéj, administracyi, finansów i obejmuje bogactwo szczegółów. Stanowi ona niejako dziennik różnorodnych czynności królewskich, biuletyn moralnego i politycznego zdrowia narodu. Przedmioty i barwy zmieniają się tam jak w kalejdoskopie. Czytelnicy „Ateneum" może zechcą obejrzéć z nami niektóre, wyjęte ztamtąd widoki.

Z pobojowiska nadbaltyckiego, na którém strzały ucichły, ruszamy ku stepom, sięgającym morza Czarnego, na Podole, gdzie, dla sąsiedztwa z Tatary, życie było iście nieustanném czuwaniem z nogą w strzemieniu. Oto co pisze p. Buczacki. „Dziś już na koń wsiadać miałem, do Baru rano posłałem do pana starosty Chmielnickiego, coby miał czynić? Niźli mi przyjachał od niego chłopiec siadłem kęs zjeść. Dano mi z Baru znać, iż w sobotę na zachodzie słońca straż moja spostrzegła Tatar na Runawie.... to miejsce od Baru mil 11; wczora tuż Baru mogli dosiądz albo się z nim zrównać, jeśli spieszno idą.... Dotąd nie mam więcéj, aleć to dosyć złego..... Ludzi sam zgoła nie masz, ani o kupie sam, jako baczę, myślą. My tylko mamy wolą wyjechać z Buczaca a z Jazłowca i to słaby poczet, quid est inter tantos." Lud w popłochu, groźne wieści lotem ptaka kraj obiegają: „tam pewna wiadomość przyszła, że już Tatar wojsko wielkie jest pod Oleskiem;" ztąd znowu donoszą, „że w niedzielę nocowali między Barem a Dołłuskowem." Rozważny p. Herburt „baczy w tém contrarium," „wyjąwszy żeby się na dwoje rozdzielili;" ale „już pewnie, że ci pohańcy są w ziemi," więc chwyta za pióro i „we wtorek świąteczny hora tertia noctis" zawiadamia o wszystkiém p. wojewodę Mieleckiego. A wojewodę właśnie król powołuje pod Gdańsk, kiedy Podole już w płomieniach. Któreż z dwóch niebezpieczeństw wybrać? Bliższe ma więcéj dla wojska uroku, ale

posłuszeństwo królowi ciągnie gdzieś na kraniec świata. „Cny Mielecki, mąż sławny, jakiego wiek nie miał dawny“ bieglejszy w sztuce rycerskiéj, niźli w jeografii, wynurza swój kłopot szwagrowi Zamoyskiemu. „Dziś hora 12 doszedł mnie Wmci list *z jakiejś* Iławy, kędy mi Wmć inter alia raczysz pisać, abych się spieszył.... Teraz w téj godzinie co mię za wieści doszły razem, że już mamy goście, a to Wmci posyłam. Raczże to Wmć J. Kr. Mci oznajmić, a do wieczora co wiedziéć co mię jeszcze dojdzie. Cóż tu czynić, z kimże a do kogóż? Ale by i nabarzej chcieliśmy, wieleż nas? Wszakże nie do cudzoziemca piszę. Zabiegi wielkie i ci co naprzód są, słyszę, oczyma do Lwowa obracają. Ja czekam odpisu od króla JMci: co mi każe uczynić, to uczynię.... By kto chciał z domu, ja pomogę towarzystwa, Boże, by z pożytkiem. Co czas ukaże a Pan Bóg nauczy to będę czynił: jako mi to łacno i lekko, łacno Wmć rozsądzi, gdyżem dyszlem wszystek już i myślą ku królowi JMci.“ Jednym dniem późniéj, p. Sieniawski „oznajmuje podkanclerzemu“ nowinę niepocieszną o tych pohańcach.... że już po Podolu harcują około Baru, Międzyboża i Zinkowa (1), palą, biorą; nadaléj o jutrze sam około Podhajec a Brzezan spodziewam się ich. Posyłamy do jkr. mci o tym wszystkim, harcując a o ratunek prosząc.... Ludzie tak są chętni do kupy, że każdy woli do miast, do zamków uciekać, żonę, dzieci porwawszy.... Wież to Bóg, dadzą li nam wytchnąć, albo stanie li na tym ich teraźniejszym wtargnieniu. Spodziewamy się jeszcze drugich ludzi po nich.“ Ile to w tych harcach przelało się krwi zacnéj—długo byłoby opowiadać; stare księgi prawią o tém z właściwą sobie prostotą: „Którzy do młyna weszli, acz długo się bronili, ci tam zgorzeli od pogan zapaleni.... bronili się póki im prochu stawało, ale czterem trudny odpór niezliczonej liczbie poganom.“ (Paprocki).

Niebezpieczeństwo w domu nie przeszkadza innym prowadzić politykę i wojnę na własną rękę. Takim jest Janusz ks. Zbaraski, wojewoda bracławski, wojownik zasłużony, bo „często we krwi pogańskiéj szablę swą omaczał.“ W jego „imieniu“ Niemirowie „siła się łotrostwa przechowywa;“ ztamtąd chodzą czynić szkody wielkie Wołochom, i to właśnie pod ów czas, kiedy poseł króla zawarł przymierze z Turkami. Stefan ścierpiéć tego nie mógł, wojewodę upomniał, szlachcie rozgromić owe łotrostwo zaleca, a pretendenta na hospodarstwo Iwana Wodę wydać swemu komornikowi nakazuje.

(1) Miasteczko to w t. IV str. 136 i 137 mylnie nazwane Zlukowem, a na str. 180 Zyukowem.

W starych prowincyach koronnych, wolniejszych od najazdów hordy, szlachta zaprawiona do samorządu lubo niezupełnie wyzwoliła się z ducha partykularyzmu prowincyonalnego, probuje wszelako sił na polu polityki państwowéj. Z instrukcyj, ułożonych na sejmiku radziejowskim i łęczyckim (Styczeń i Luty 1576 r.) przekonywamy się, że stan rycerski, gdy króla nie stało, umiał radzić o dobru publicznem i około niego zabiegać. Prymasa hamowano w niewczesnych zapędach, przeciw napaści zagranicznéj postawiono straże, zamki i obronę opatrywano, na wszystkie strony pilną rozciągnięto baczność. Rozerwana elekcya Batorego nasuwała poważne obawy. Szlachta mazowiecka poleca swym posłom na sejm toruński, aby się starali o namówienie artykułu de modo electionis regis (IV, 63); tegoż samego domagali się Małopolanie (IV, 204). Mazury okazują wyraźne poczucie swéj wszechwładzy, obiérają sami wojewodę, co już było wkroczeniem w atrybucye królewskie (1). Wybraniec został „odparty przez Stefana Batorego“ (Niesiec. ed. Bobr. I, 328), ztąd to zapewne powstał ów artykuł instrukcyi warszawskiéj: „Urzędy i dobra królewskie ludziom, przedtém rzeczypospolitéj dobrze zasłużonym, za króla JMci pana dzisiejszego nullo jure victo pobrane, prosić, aby były przywrócone, gdyż to bardzo obraża rzeczpospolitą koronną i prawo pospolite.“ Jakieś przeciwne prądy, niedobrze nam jeszcze znane, ostro się wtedy ściérały na Mazowszu. Podczas bezkrólewia, dziesięciu ziemian ziemi Wiskiéj odsądzono na sejmiku warszawskim od czci. Na późniejszym zjeździe szlachta poleca upraszać króla, aby „ten postępek wszego województwa nie był in dubium wokowan.“ Z ziemi Wiskiéj, jak zapisano w instrukcyi, nikt się na zjazd nie stawił; ale według deklaracyi złożonéj przez Iłowskiego kasztelana wiskiego, oponenci byli obecni, lecz protestowali przeciw uchwałom, raz w Warszawie, drugi raz przed królem. Trudno dziś oceniać ile w tém było prawdy. Zkąd inąd wiemy, że kasztelan Iłowski, obwiniony o bezprawia i zabójstwa, w sześć lat późniéj ścięty został na rynku Wizny z rozkazu Batorego. Nie brakowało więc i symptomatów chorobliwych. Rękojemstwo kmieci na Mazowszu, ostatni zabytek swobody włościan, właśnie w téj chwili zostało zniesione: „i odtąd aby ustało, i już je wygaszamy,“ zapisuje z ślepym tryumfem szlachta. Późniejsza epoka wygasiła różne inne, równie pożyteczne rzeczy, i nie na samém tylko Mazowszu.

Wielkopolanie zwracają główniéj uwagę na kwestye ekonomi-

(1) Był nim Stanisław Radzimiński starosta liwski (IV, 30 i 62); na str. 149 mylnie nazwany Radomińskim.

czne i skarbowe. Zajmują ich urządzenia monopolu solnego i przywrócenie wolnéj żeglugi na Warcie, którą Brandeburgia i Pomorze tamowały rozmyślnie. Rozumieją oni ekonomiczne znaczenie miast dla rolnictwa i protestują przeciw rozporządzeniom rządu, które mogłyby wywołać emigracyą z miasta Kościana. Nie bez pewnego znaczenia jest charakterystyczny kontrast między Rusią, gdzie dzierżawcą ceł jest cudzoziemiec, Kreteńczyk, a nadgoplańską kolébką państwa, która miała już swego rodzinnego finansistę. Był nim Jakób Rokosowski, kasztelan śremski a starosta ostrzeszowski, człowiek zacnego charakteru i niepospolitych zdolności. O pierwszém wnosimy z pochwał, których mu król Stefan nie skąpi, a i z tego, że dobrowolnie podniósł sumę wnoszoną corocznie do skarbu; o drugich przekonywa jego wielostronna działalność. Jestto bowiem jeden z dwóch prowiantmajstrów, o których była wyżéj wzmianka; sprawuje on zarazem urząd podskarbiego nadwornego, jest przełożonym ceł królewskich i dzierżawcą dochodów celnych w Wielkiéj i Małéj Polsce, a obraca oczywiście znamienitemi kapitałami, jeśli skutkiem poczynionych awansów i innych operacyj, skarb pozostał mu dłużnym sumę przenoszącą 70 tysięcy złotych, sumę, o któréj ogromie na owe czasy możemy już z tego powziąć wyobrażenie, iż podwójna kontrybucya, rozłożona w 1577 r. na całe bogate duchowieństwo nasze tyleż właśnie wyniosła. Wielkopolanie, daléj, wskazują, że niektórzy zatrzymują kwartę i domagają się ustanowienia kar na niepłacących podatków, bez czego dzieje się wielka krzywda skarbowi, boć oto ziemia wschowska i powiat wałecki od wielu lat żadnych nie uiszczają poborów. Widać, że bardzo Wielkopolanom chodzi o to, żeby kasy publiczne nie były puste, ale zarazem chcieliby je mieć w swém zawiadowstwie; skarżą się tedy, że król zabrał podatki z czasów bezkrólewia, które, jak rozumieją, do nich wyłącznie należą. Ten sam pogląd wyrażają Podlasianie.

Wszystkie wreszcie prowincye podejrzliwém śledzą okiem każdy krok korony, bacząc na to, aby się „prawu,“ to jest wszechwładztwu stanu rycerskiego, nie stał najmniejszy uszczerbek. Wszystkie przeto „uważają takowy postępek składania sejmików głównych bez walnego sejmu, być nowy i niezwykły,“ i zastrzegają zaraz, „aby w żadną sekwelę takowego postępku na potém nie przywodzono.“ Więc Małopolanie, dowiedziawszy się, iż król wywiera wpływ na obiór nowego opata w klasztorze pokrzywnickim, proszą, aby się mnichom „nic nad prawo nie działo, i owszem żeby je przy starych zwyczajach i prawie pospolitém zostawić raczył i przy wolnéj elekcyi.“ Więc Dobrzyniacy oświadczają, jako przez nadanie starostwa sądowego bobrownickiego kasztelanowi dobrzyńskiemu, który

w ich ziemi władzę wojewodzińską sprawuje, stało się wielkie naruszenie prawa; i mają w tém słuszność, gdyż dwa te urzędy stanowiły incompatibilia i razem chodzić nie mogły. Król znowu zwołał pierwéj sejmik do Koła, a następnie do Korczyna, kiedy wiadomo, że sejmiki korczyńskie dwoma tygodniami wcześniéj odbywać się zwykły, niżli kolskie. Takiego uchybienia prawu Wielkopolanie pokryć nie mogą milczeniem. Mazurowie, z których natrząsali się sąsiedzi, że na pierwszéj elekcyi medytowali kogo wybrać królem: „Rdesta abo Goweńskie książę,“ pragnęli teraz, widać, poprawić sławy, gdyż gorszą się tém, że Batory jest księciem siedmiogrodzkim; tytuł *Transilvaniae* podejrzanym się im wydaje; z całą powagą przeto zapisują w instrukcyi: „O tytuł Transilvaniae, porozumiawszy się z posły inszych województw, si omnibus videbitur, aby był abrogowan.“ Żałujemy niewymownie, że nie wiemy, co téż król Stefan na to mądre żądanie odpowiedział.

Nie lekceważmy jednak Mazurów. W ich tylko instrukcyi dotknięto przedmiotu, o którym inne województwa milczały, a który ściągnął na samego króla naganę u wielu historyków. Chodziło o prawa zwierzchnicze Polski nad lennem księstwem pruskiém. Kwestya to była brzemienna fatalnemi w późniejszych czasach następstwy; dlatego przytoczymy odpowiedni punkt instrukcyi Mazurów. „Nie zaniechają panowie posłowie i tego jkmci odnieść, iż na sejmik łomżyński ten przeszły, szlachta pruska, onéj ziemi przyległa przyjachawszy, odnosili swe angaria (uciążliwości) w pośrodek braciéj naszéj, prosząc, aby tam król jmć komisarze do uspokojenia księstwa feudalnego zesłać raczył, gdyż tam w ziemi téj niektóre osoby z rzesze niemieckiéj windykują sobie imperium i uciskają słabszych; ofiarują téż swe chęci, że i podatek jaki sposobem wdzięczności chcą postąpić, prosząc, aby król jmć radził o nich.“ Czytelnikom „Ateneum,“ którzy w roku zeszłym poznali z opowiadania p. Jarochowskiego „sprawę Kalksteina,“ nie potrzebujemy znaczenia téj kwestyi wyjaśniać.

Całkiem inaczéj przedstawia się nam najmłodsza prowincya państwa—Inflanty. Szlachta tutejsza nic dać nie chce, bo, jak powiada, nie może. Od króla żąda wszystkiego, a głównie obrony, do któréj przyczynia się.... dobrą radą. Przeciwną była elekcyi Stefana, a teraz, lubo ją biéda zmusza prosić o ratunek, z przysięgą na wierność, pomimo upomnień królewskich, dotąd „zuchwale“ zwlekała, a niektórzy na kraj swój naprowadzali wroga z taką zapamiętałością, że Batory dziwi się temu ich „apetytowi do jarzma.“ Obok tego, dla starożytności swego rodu, „która więcéj niż 3oo lat“ wynosi, dla przywilejów cesarskich i królewskich, „które ją zdobią,“

chowa cześć bałwochwalczą, a wyłączności kastowo-prowincyonalnéj strzeże (jak i dzisiaj) niby oka w głowie. Dla wynagrodzenia niejakiego barona Ungerna nie znajduje innego środka, jak prosić, aby król zamek dany kasztelanowi Mińskiemu odebrał i nadał takowy Ungernowi: Litwina można gdzieindziéj wynagrodzić.

Godzi się słówko powiedzieć o stosunkach szlachty z duchowieństwem. Między temi dwoma stanami istniało już nie wczorajsze zwaśnienie, które reformacya jeszcze mocniéj zaogniła. Świeccy obwiniali księży o skażone obyczaje, wykrzykiwali, że kler wyłącza się od ciężarów publicznych, a w juryzdykcyi sądów duchownych widzieli jarzmo, gniotące wolne ich karki i, jako takie, zrzucili. Dłuższa bez porównania była litania zażaleń duchowieństwa: oto dziesięcin nie uiszczano, dobra duchowne szarpano bezkarnie, kapłanów wyganiano z kościołów, a miejscami, żaków szkolnych, a nawet księży, pod pozorem, że są poddanymi, porywano i zapędzano do pługa. Cóż mówić o tylu kościołach „sprofanowanych,“ w których osadzano „ministrów heretyckich,“ kiedy na biskupstwie kijowskiém siedział Mikołaj Pac, jawny kacerz z sekty trynitaryuszów. Sądy, złożone z rycerstwa, wydawały stronne i sprzeczne z prawem, ale przychylne ziemianom wyroki. Szlachta wkładała pobory na księży, którzy w sejmikach udziału nie brali. A tu znowu król wzywa o pieniądze na wojnę gdańską. Duchowieństwo, zebrane na synodzie, składa hojną ofiarę, bo oprócz dobrowolnego datku, rozłożyło na siebie podwójną kontrybucyą; ale z goryczą się skarży na szpetną kalumnią, jakoby „w rzeczach świeckich było stanem nieużytecznym i gnuśnym. Jużci wiadomo to powszechnie, że w ciągu ostatnich lat dwudziestu obrona rzeczypospolitéj dokonywała się tylko wspólnym *kleru i gminu* kosztem, szlachta zaś, któréj te krainy są własnością, ani palcem ruszyła w téj sprawie.“ (1).

Ten ostatni zarzut godzien jest zaznaczenia, ale grzeszy przesadą. Miłość dobra pospolitego, jak mogliśmy choćby w ciągu niniejszego sprawozdania uważać, biła żywém tętnem wśród ziemian, nie zamarła jeszcze nawet w dygnitarzach; w pięknych wylewa ją słowach Stanisław Kryski, poseł do Iwana, widnieje ona i w raporcie Siemieńskiego, posła do Turek. Możemy więc jeszcze zastosować do téj epoki słowa staréj kroniki naszéj:

Fuit, fuit quondam in hac re publica virtus.

Wśród zawieruchy społecznéj, wśród szczęku bojowego, gó-

---

(1) Rzecz o synodzie piotrkowskim pięknie i wyczerpująco opowiedziana jest przez p. Pawińskiego.

ruje ponad wszystkiém wspaniała postać Stefana. Nie poczuwamy się na siłach do kreślenia wizerunku wielkiego króla. Podamy tylko kilka rysów, które w „Źródłach dziejowych" napotkaliśmy.

Batory pokochał szczerze kraj, który mu ofiarował berło Jagiellonów, „wiedząc to, jak się wyraża, iż dobro wszystkiéj rzeczypospolitéj téj i nas, głowy jéj, ma być wspólne." Widział wady w ustroju politycznym państwa i natychmiast wziął się do poprawy. Najprzód starał się określić sposób przyszłéj elekcyi, aby zapobiedz anarchii, zaburzającéj bezkrólewia. Powtóre, wzywał szlachtę do usunięcia instrukcyj sejmikowych, które krępowały głosy posłów na sejmie, chciał, ażeby ci ostatni mieli zupełną władzę i nie potrzebowali brać ad referendum „do braci." W ciągu niecałych dwóch lat, z których posiadamy obecnie dokumenta, Stefan kilkakrotnie nastawał na to (IV, 44, 47, 243, 255—256). Myśl to była znamienita, uprzedzająca wieki. We Francyi, kwestya ta załatwioną została dopiéro pod koniec zeszłego stulecia, kiedy, dzięki energicznéj wymowie Mirabeau, tak zwane cahiers des charges, odpowiadające naszym instrukcyom sejmikowym, zniesione zostały. Dla nas i na owe czasy, może była przedwczesną i niekoniecznie bezpieczną; napotkała też silny opór, mianowicie w Małopolanach.

Wiekuiste pustki w skarbie koronnym bywały czasem źródłem klęsk, a zawsze—niemocy. Batory zaprowadził w nim ład (1), umiał szukać nowych zasobów i położył kres marnotrawstwu, nie dbając o to, że w kraju, psutym przez dwa wieki przysłowiową hojnością Jagiellonów, ścisłe rachowanie się czyniło go niepopularnym. Niesłusznie wszelako zawiedziona chciwość zarzucała mu skąpstwo (2). Widzimy z dokumentów, że ludzi zasłużonych król nagradzał, wyznaczał im znaczne pensye. Znane są jego słowa, wyrzeczone w kilka lat późniéj, kiedy dawał starostwo jednemu z oponentów sejmowych: „Chociaż zły poseł Pękosławski, ale dobry żołnierz." Stefan był tylko rządnym i oszczędnym. Jako sam „przestając na dosyć skromném życiu," pieniędzy skarbowych nie obracał „do pompy swéj," tak też hamował „pompę" magnatów, ilekroć mogła stać się

---

(1) Ob. o wydzierżawieniu ceł królewskich (IV, 78—87 i 227), o cłach na handel z Niemcami (IV, 88), o wywozie saletry (89), o towarzystwie warzenia soli w Bochni i Wieliczce (IV, 107), o sposobie dokonywania wypłat zagranicą (IV, 181), o rozkładzie poborów (III, 33—34), o kursie monety zagranicznéj (IV, 264).

(2) Reakcya opinii w tym względzie nastąpiła wnet po zgonie Stefana. W paszkwilu napisanym wtedy, głos „zmarłego króla" jest taki: „nie ma większego przeciw cnocie występku, jak kiedy się wychwala po śmierci to, czego się niecierpiało za życia." (Zbiór pamiętników Włodz. hr. Broel-Platera, IV, 75).

uciążliwą skarbowi. Wyprawionemu w poselstwie wojewodzie Kryskiemu, który 3oo koni karmił, powiada król otwarcie: „Co się tyczé orszaku wierności waszéj, rozumiemy, że go masz znacznie większy, aniżeli tego sprawa wymaga. Nie widziémy téż coby z tego przyszło, chyba tylko niemałe uciążenie szczupłym i wyczerpanym zasobom skarbu naszego.“ Jakże ta nauka potrzebną była krajowi, co późniéj głośny wjazd Ossolińskiego do Rzymu, czczą ceremonią, do ważnych zdarzeń zaliczał! Przewiduje téż Stefan, że państwo sąsiednie, idąc za tym przykładem, w podwojonym poczcie wyprawi do nas posłów, na których podejmowanie zbyt wielkie wydatki ponosić byśmy musieli. Nie ufał chyba jednak skuteczności słowa i wolał na radzie senatu określić liczebnie orszak różnych ajentów dyplomatycznych: Kryskiemu przyszło blisko o połowę zmniejszyć liczbę koni. Łakome na pieniądz Tatary wyprawiali do nas poselstwa nietylko od chana i synów jego, ale nawet od chańskich dzieci, od niewiast, i całéj téj gromadzie trzeba było dawać stacye; co gorsza, „Horda (1), Turcy, Trachowie, Armeni i Żydowie i inni kupcy przyjeżdżali za posły,“ a w rzeczy saméj trudnili się handlem z uszczerbkiem skarbu i kupców krajowych. Batory oświadcza, że tylko posły od chana i tych jedynie synów jego, „którzy się będą już godzić do wojny,“ otrzymają stacye, a kupców wcale posłami mieć nie chce. Cała instrukcya poselska, z któréj ten szczegół wyjmujemy, odznacza się jakąś ujmującą prostotą. Warto ją odczytać choćby dla tego, że godzi zręczność ze szczerością w sposób, notom dyplomatycznym niezwyczajny.

Wszystkie sprawy życia publicznego zwracały uwagę króla; porządek wewnętrzny w miastach, pokój między dysydentami, krzewienie nauk, urządzenie siły zbrojnéj (wojsko ustanowione na Podolu dla straży od Tatarów liczyło 1.33o koni). Chwalcy Napoleona I nie mają dosyć słów na podziwianie jego wszechstronnéj działalności i przytaczają na przykład, że podczas kampanii rosyjskiéj, wydawał rozporządzenia dla teatru w Paryżu. Nam taka uniwersalność nie imponuje i wyżéj cenimy Stefana, który w chwili staczanych z Gdańskiem bojów, ma na pamięci, „iż nie należy mu zaniedbywać starania około nauk, których użyteczność jest tak wielką, że znikąd indąd większa rodzajowi ludzkiemu przyjść nie może.“ Postanawia więc urządzić w Krakowie nowe gimnazyum królewskie na

---

(3) W „Źródłach histor.“ wydrukowano w tém miejscu wyraz „Bazarcy“: czy to nie omyłka zamiast *Bucharcy?* Mógłby on zresztą oznaczać mieszkańców miasta Karasubazar, leżącego w Krymie.

wzór tego, które Franciszek I urządził w Paryżu (1), i wyprawia zagranicę sekretarza swego, celem sprowadzenia mistrzów wszelkich nauk, którym przyrzeka stałe wynagrodzenie, przywileje i niezależność.

Zajęty sprawami wielkiemi, nie przeto lekceważył rzeczy mniejszéj doniosłości, wszystkiém sam chciał kierować; ztąd, czy komisarzom do Gdańska, czy posłowi na synod piotrkowski, albo na zwykłe sejmiki, czy delegatowi do kapituły przemyskiéj, dawał informacye ścisłe i szczegółowe, a niekiedy wprost dyktował: co i jak mają mówić, jak się zachowywać. Wszędzie zaprowadzając porządek, zaczął od dworu swego, stanowiąc „artykuły spraw i rządu, jaki ma być na dworze króla" (regimen morum). Rozgłośne stacye dworskie, przeciw którym piorunował już nasz publicysta XII wieku, owe stacye tyle uciążliwe dla chłopków, które wyrwały z ust królowéj Jadwigi pamiętne słowa: „któż im łzy powróci?"—król Stefan ujmuje w ścisłe kluby. „A iż też w ciągnieniu i na noclegach przez niebaczne ludzie wielkie się szkody ubogim poddanym tak w zbożu, łąkach, jako i w domiech, ogrodziech i oborach dzieją, tedy ktoby się śmiał tego ważyć.... także też żywność wszelaką domową albo i sprzęty jakiekolwiek gwałtownie brać, ten ma być karan i stronie dwojako zapłacić będzie powinien." Każdy ma wedle szacunku płacić, „aby żaden brać nie śmiał pod łaską i karaniem króla JMci."

Ponad wszystkie jednak zalety wojownika, polityka, administratora, czcimy w królu Stefanie *męża sprawiedliwego*. Zdanie to jest powtórzeniem poglądu tego monarchy; mówił on bowiem: „Ponieważ między cnotami królewskiemi najważniejszą jest sprawiedliwość, dla któréj głównie królowie są ustanowieni, konieczném jest, abyśmy nie tylko innych chcieli mieć takiemi, ale też i sami sprawiedliwi byli." *Suum cuique*, dewiza zapisana na tarczy herbowéj, a gwałcona w praktyce przez dom Brandeburski, była rzeczywistém godłem Batorego; nie nosił jéj wprawdzie w herbie, ale miał zawsze w pamięci: sam stosował się do niéj, innym przypominał ją i zalecał (III, 74; IV, 134). Swój czy obcy, przyjaciel lub wróg, zawsze mogli być pewni ścisłego wymiaru sprawiedliwości; dla faworów nie było miejsca. Żuławianie byli królowi nieprzychylni, zdradzali go nawet; a jednak Stefan osobnym przypiskiem w liście do wodza po-

---

(1) Batory tak się wyraża: „ad instar gymnasii regii Cameracensis Paressiis a domino Francisco primo Galliarum rege conditi" (IV, 178). Mowa tu o słynném Collége de France, założoném po pokoju w Cambrai (Cameracum), około r. 1530.

leca, aby rycerstwo zapłaciło im wszystko, co się należało za żywność. Własność Gdańszczan i tych, którzy mieli z nimi stosunki, uległa sekwestrowi. Gdy mieszczanie elblągscy, grzesząc zbytkiem gorliwości, rozciągnęli ten rygor do kilku osób mniéj słusznie, Batory nakazał zdjąć sekwestr i rozporządził na przyszłość, aby osobom podejrzanym, jeśli rękojemców stawić mogą, nie aresztowano wcale rzeczy. Od wojska przychodzi prośba: „Także też o więźnie prosim JKMość, aby nas porównać raczył z rycerstwem węgierskiem, to jest, aby tych byli, którzy je pojmali,“ „przeto aby chęć rycerstwa do męstwa rosła.“ Król na to: że lubo więźnie „wszyscy są zawżdy iuris regii,“ przychyla się jednak do prośby na ten raz (nie ubliżając na przyszłość temu przywilejowi korony); ale dodaje, „że te więźnie tak Polacy jako i Węgrowie społem znieść mają do pana hetmana, a potem słuszny podział z ich okupu ma się każdemu dostać.“ Toż samo uczucie sprawiedliwości i litości dla pokrzywdzonych kazało mu w odzyskanych późniéj Inflantach pomyśléć o wyzwoleniu uciśnionego tam srodze chłopstwa (Pamiętniki Millerowe).

Polecając starostom rzetelne uiszczanie duchowieństwu dziesięcin, tak rozkaz swój objaśnia: „wiadomo, że zgodę królestw, stanów i osób prywatnych niczem bardziej umocnić nie można, jak sprawiedliwością, z krzywdy zaś łacniej aniżeli z czego innego, rodzą się kłótnie i niezgody, to jest, gdy się nie oddaje co komu należy.“

Potrzebaż jeszcze wspominać o staraniach podejmowanych nad uporządkowaniem sądów, o ustanowieniu trybunałów?

Kto sam tak postępował, miał prawo dawać innym nauki; a nie brakło do tego Batoremu odwagi cywilnéj, na któréj częstokroć wojownikom zbywa. Przy rozdwojonéj elekcyi, wybraniec jednego tylko stronnictwa, Stefan, lubo już odbył koronacyą, zbyt trzeźwo patrzał na rzeczy, aby nie widział, że tron jego jest jeszcze chwiejnym. Cóż mogło być naturalniejszém w jego położeniu nad staranie się o popularność i schlebianie rycerstwu? Atoli nawet w tak trudnych okolicznościach nie zaparł się tego, co uważał za swój obowiązek. Wytyka więc szlachcie „gwałty, łupiestwa, mordy,“ wojsku „swawoleństwa, zuchwalstwa i wszystek inny nierząd“ (IV, 42). Czytając ową instrukcyą królewską na sejmiki, w któréj się znajdują powyższe słowa, miejscami zdaje się, że masz przed sobą jedno z sejmowych kazań Skargi, a piękny język téj odezwy jeszcze bardziéj złudzenie podtrzymuje. Co się odważył Batory napisać, tego nie uląkł się, jak głosi podanie, powiedziéć posłom w żywe oczy: „Złemi jesteście stróżami swojej wolności.“ Gdy Warmia mniejszy, aniżeli

wypadało, złożyła podatek, król wystósował do znanego dziejopisarza, biskupa Kromera, ostre słowa prawdy, które nasuwają myśl, że łatwiéj historykowi pisać na temat patryotyzmu dźwięczne frazesy, niźli praktykować je w życiu.

Nawet wojsku, które odniosło zwycięstwo Lubieszowskie, Stefan nie oszczędzał prawdy, lubo, jako okrytemi świéżą zasługą, napomknął ją delikatniéj. Chodziło o oddanie rycerstwu wszystkich jeńców, których okoliczni ziemianie i chłopi pochwytali po bitwie. Król taką daje rezolucyą: „Do szlachty i do poddanych swych wszystkich JKMość raczył mandaty dać, aby oni wszystki więźnie panu hetmanowi oddali, gdyż *jeśli nie ludzi służebnych, których krwią bitwa wygrana jest*, tedy tém mniéj ich więźnie ci są.“ W rzeczy saméj, świetną tę „wiktoryę“ nie sama tylko wywalczyła szlachta: z listy poległych i rannych widzimy, że giermkowie, pacholikowie i słudzy popisywali się nie mniéj walecznie od panów „towarzyszów.“

Jeszcze rys jeden, wykazujący rzetelność króla, nawet w drobiazgach ścisłą. Znawca i miłośnik broni dostrzegł w skarbcu koronnym dobrą szablę; ale że była w złoto i dyamenty oprawiona, pochwy i rękojeści nie tknął: „król Stefan wziął od niéj żelazo“ (1).

Takim był Batory, takim przynajmniéj widzimy go w rozpatrzonych przez nas dokumentach. Powiadają, że podczas trzechletniego więzienia u Niemców, wiele czytał, że z pomiędzy historyków najwięcéj upodobał sobie Cezara. Wiedząc, jakim był późniéj na tronie, radziéj byśmy przypuścili, że ulubieńcem jego był Plutarch.

Wspomnieliśmy na początku o pieniążkach, będących jedyną pamiątką wyprawy gdańskiéj; obecnie prostujemy to wyrażenie, gdyż „Źródła dziejowe,“ z których osnową pragnęliśmy czytelnika obznajmić, są drugą, ale lepszą i niepożytą pamiątką, a wydawcy słuszny się za to dank należy. Wcale bowiem nie wyczerpaliśmy treści tych dwóch tomów, ani to było naszym zamiarem; chcieliśmy tylko zachęcić miłośnika dziejów do bezpośredniego poznania zgromadzonych tam materyałów, okazać próbkę tego, czego się tam spodziewać może. Nad wartością dwóch szkiców historycznych rozwodzić się nie będziemy: znane imię autora służyć może w tym względzie za rękojmią. W przedmowie do tomu IV p. Pawiński zwraca uwagę na jędrną polszczyznę złotego wieku, którą wiele z

(1) Rewizya skarbu koronnego 1669 r. w L. Huberta, Pamiętniki histor. I, 148. Późniéj, inaczéj się działo: dyamentowa tablica „gdy u królowéj JMci (Maryi Ludwiki) zostawały te klejnoty w zastawie, zginęła“ (tamże 146).

tych dokumentów pisano. W istocie, dosadny ten język dziwny jakiś czar na czytelnika wywiera, a jak błogi wpływ może mieć podobna lektura, widać to najlepiéj z języka wspomnionych szkiców, który żywo przypomina opisywaną epokę.

Wydawca ułożył spis osób, wzmiankowanych w „Źródłach,“ który jakkolwiek nie jest zupełnym, zawsze jednak ułatwia korzystanie z dokumentów. Not ani objaśnień żadnych nie dodano, jeśli pominiemy rzucone tu i owdzie wskazówki, odsyłające do aktów w związku z sobą będących. Nie jest to wprawdzie koniecznym obowiązkiem wydawcy, w wielu jednakże razach przydałoby się, a podarek dla literatury historycznéj byłby o wiele cenniejszym. Mniejsza już o to, czy delegat gdański zwał się Fuyk (III, 38), czy Tuyk, jak podaje Raczyński (N. 8); ale co znaczy znak zapytania przy dodaném nazwisku marszałka koronnego (III, 42): byłże nim Andrzéj Opaliński, lub nie był? Jakżebyśmy pragnęli mieć bliższą wiadomość o Macieju Sarpniku, któremu król powierzył straż morza (IV, 176); jego miano przypomina słynnego Tomasza Sierpinka, dowódcę naszych frejbiterów: czy Maciéj nie był jego krewniakiem? król tytułuje go *nobilis* i *miles noster*. Gdańszczanie mówią, że wojna uchwaloną przeciw nim została w Inowrocławiu, „in comitiis Inovladislaviensibus, paucis consiliariis praesentibus (III, 163; toż samo mówią wcześniéj, na str. 149). P. Pawiński, zgodnie z dokumentami, wspomina tylko zebranie panów rad w Włocławku. Sprzeczność ta nie mogła wyniknąć z nazwy łacińskiéj *Wladislavia*, stosowanéj niekiedy zarówno do obu miast, gdyż król wyraźnie zwołuje „pany rady nasze do Włocławia biskupiego,“ czyli do Włocławka, i tu narady rzeczywiście się odbyły. Z drugiéj strony, niepodobieństwem jest, aby Gdańszczanie w rzeczy tak dla nich ważnéj mylną w urzędowym liście podawali wiadomość. Ponieważ króla widzimy w Bydgoszczy na początku r. 1577 aż do 22 Stycznia, a nie wiemy gdzie następnie przebywał do dnia 12 Lutego, gdy znowu w Bydgoszczy potwierdza wyrok na Gdańszczan i rozsyła wici na wojnę, czyliż nie dałoby się przypuścić, że w przerwie między temi dwoma datami odbył z dygnitarzami naradę w bliskim Inowrocławiu i na niéj wojnę uchwalił? Co to za zamek inflancki Lutrem (IV, 173); jest że to Lauder, czy téż Lucyn, który Niemcy zwali Ludsen? Wojski ziemi Wiskiéj nazwany *Zochowskim* (IV, 189), kiedy u Januszowskiego (fol. 936) jest *Lachowski*, i tak téż czytaliśmy w ekstrakcie z ksiąg ziemskich radziłowskich (r. 1579—1597, fol. 135). Zachodzi téż sprzeczność w imieniu hrabiego Hardeka: Elblążanie, na których miasto napadł, zowią go *Casimirus*, a sam podpisał się *Ferdinandus* (III, 233, 245); możnaby mniemać, że *Casimirus* po-

wstało w skutek mylnego odczytania wyrazu *comes*, którego to tytułu Hardek używał, a właśnie takowego w liście Elblążan brakuje. Czy owi *witnicy*, którym król nakazuje, aby razem ze starostami wzbraniali wywozu saletry, dobrze są odczytani (IV, 89), czy to nie są mytnicy?

Gdzie niegdzie natrafiają się niedokładności. W regestrze starostw pruskich, mających dostarczyć koni (III, 58—61) zamiast *Głuchów* winno być Słuchów, czyli Człuchów, jak jest u Raczyńskiego, a nawet w tomie IV „Źródeł" (str. 3). Starostwa Weinmunsterberg, Berwald, Fürstinwerder wzięte są za nazwiska posiadaczów, kiedy jedynym ich posiadaczem był Reinhold Krokow, zwany też Craków (III, 205), a który podpisywał się Krokowski (III, 212, 215). Zamiast *Szrope*, u Raczyńskiego jest *Człopa*. Suma wszystkich koni podana 635, kiedy z dodania szczegółowych liczb wypada 864; u Raczyńskiego suma ogólna podana na 764, a wynosi istotnie 733. W obec tych czterech sum różnych, mogłaby się obudzić wątpliwość co do autentyczności cyfr pojedyńczych, a nawet całego regestru. Rozpatrując wszakże pozycye szczegółowo, dochodzimy do przekonania, że regestr Raczyńskiego, jeżeli wiernie został przedrukowany (o czém wątpimy), mógł być pierwszym projektem rozkładu koni, regestr zaś p. Pawińskiego obejmuje rozkład ostateczny, poprawiony i uzupełniony; sumę ogólną w tym ostatnim mniejszą o 231 koni od rzeczywistéj wystawiono skutkiem tego, że nie wliczono do niéj koni, które winien był dostawić Kostka, wojewoda sandomirski, a na którego z trzech pozycyj razem przypadało 230 koni. Pozycye te wypełniono, oczywiście, późniéj, już po zsumowaniu, o czém przekonywują dwie inne pozycye Kostki, które pozostały bez zapełnienia. Różnica o jednego konia wynikła bez wątpienia z omyłki pióra.

P. Pawiński (III, str. LXV) nazywa Sprengela burmistrzem Elbląga, byłby to więc proconsul, urzędnik wybieralny; dokumenta wskazują, że był burgrabią, urzędnikiem z nominacyi królewskiéj. Franciszek Górski był tylko posłem liwskim, ale nie nurskim (IV, 63), najprzód dlatego, że nie mógł dwóch ziem naraz reprezentować, a powtóre, że z ziemi nurskiéj nie mogło być jednocześnie trzech posłów, dwóch bowiem tylko każda ziemia wybiérała. Przejęty list tatarski (IV, 109) datowany jest „z Taslików," co wydawca po łacinie wyraził przez *Taslikowii*: alboż to miasto? Taślik jest to rzeka w Dzikich Polach, mająca ujście na saméj granicy podolskiéj, w okolicy Bohopola. W tymże liście czytamy: „szach hetman nizowy," „tego szacha hetmana;' dwukrotny brak inicyału mógłby nasuwać mniemanie, że na Niżu istniał tytuł *szacha*, kiedy

to imię własne czy przezwisko atamana Niżowców. Bartoszewicz czyni tego Szacha następcą Podkowy, ściętego w 1579 r., oczywiście mylnie, skoro znajdujemy go atamanem już w 1576, chyba że dwukrotnie ten urząd sprawował. Odwrotny błąd znajdujemy w miejscu, gdzie powiedziano, że wieżę drewnianą podpalił quidam noster *Gregorius* (III. 174); może tam był w wojsku i nie jeden Grzegórz, ale w tym razie nie o Grzegorzu mowa, i czytać należało *gregarius*, to jest szeregowiec, albo, jak dawniéj mówiono, „pocztowy.“ Już nam Długosz w skutek podobnéj omyłki stworzył jednego Grzegorza (porów. Mon. Pol. hist. I, 418, i Dług. III, str. 226); od drugiego Grzegorza mogło nas uchronić użyte przez Bekiesza wyrażenie „gregarii milites“ (III, 236).

Sejmiku „wołkowyskiego“ (IV, 244) nigdy w Koronie nie bywało: zbiérały się tylko trzy zjazdy, korczyński Małopolan, w Kole dla ziem wielkopolskich, a *warszawski* na Mazowszu. O tym ostatnim właśnie jest tam mowa.

W tytule Hozyusza „sacrae Romanae ecclesiae h. s. clementis presbyter cardinalis,“ wydawca skrócenie czyta *humilis servus*; nic podobnego w tytule kardynalskim nie zdarzało się nam spotykać, a zresztą nie wiemy o żadnym Klemensie, dla którego Hozyusz byłby *sługą*; sądzimy, że w skróceniu winny stać litery *t. s.* i czytać należało *tituli sancti Clementis*, albowiem Hozyusz, między innemi, nosił tytuł ś. Klemensa.

Lukę niewypełnioną (IV, 136, wiersz 7 od dołu) wypada czytać „dobrodżanów,“ to jest Tatarów z Dobrudży, jak to widać z porównania z N-m LXXXI.

Korekta dosyć jest poprawna, wielu jednak omyłek nie wykazano w erratach (1).

---

(1) W tomie III, str. XXIII, wiersz 9, zamiast 28 *września* ma być 26 *września*; str. 2 w. 4 od dołu, *incedium* ma być *incendium*; str. 14 w N. VIII skutkiem mylnie położonych przecinków zrobiło się trzech Węgrów, u Raczyńskiego z tegoż powodu aż czterech, a było ich tylko dwóch; str. 65 w. 6 od dołu, zamiast *naszym* ma być *waszym*, jak u Raczyńskiego, co widać z porównania ze str. 62. Str. 171 w. 9 od dołu, zamiast *Dni Maximiliani* winno być *divi Maximiliani*, gdyż to pisano już po jego zgonie; str. 182 w. 11, zamiast *proconsulibus* ma być *proconsuli*, jak jest na str. 183, gdyż po jednym tylko w miastach bywało burmistrzu; str. 184 w. 9 od dołu, zamiast *praesenti mensis tempore* czytać wypada *messis tempore*, bo list datowany 1 Sierpnia, a więc w czasie żniw; str. 185, zamiast *Josuam Janowicz et Bolschan heredem*, ma być *Josuam Janowicz in Janowicz et Bolschaw haeredem*, jak jest na str. 204, sam podpisywał się *Janowskim* (212, 215); str. 304 w. 7 od dolu zamiast *ac rectis* ma być *acverbis*.

Na zakończenie, niech nam wolno będzie wyrazić nadzieję, że uczony wydawca nie ustanie w swéj pożytecznéj pracy i obdarzy nas jeszcze nie jednym tomem „Źródeł dziejowych," które zasługują na najżyczliwsze poparcie czytającéj publiczności.

St. Ł.

W tomie IV, str. 10 w. 5, zamiast *koronacyéj* ma być *konwokacyéj*; str. 41 w. 9, zamiast *Tczinq*, raczéj *Tehinq*; str. 56 w. 5, zamiast *soldrować* może *foldrować*; tamże w. 19 od dołu, zamiast *stanowi czemu* ma być *stanowniczemu*; str. 71 w 9 od dołu, zamiast *a welikoj*, raczéj *u welikoj*; str. 79 w. 4, zamiast *unicorum* ma być *unicornu*, bo tak zwane jednorożce, oprawione w złoto znajdowały się istotnie w skarbcu koronnym (Hubert Pamięt. hist. I, 148, 151); str. 94 w. 5, zamiast *za uniwersałmi* ma być *z uniwersałmi*; str. 191, w. 10 od dołu, zamiast *mere catorem* ma być *mercatorem*; tamże w. 3 od dołu, zamiast *fratrum* ma być *fratris*; str. 143 w. 12 od dołu, zamiast *rzeczpospolita* ma być *rzeczypospolitéj*; str. 144 w. 5 od dołu, zamiast *pozwan* ma być *pozwał*; str. 151 w. 12, zamiast *Ligęza z Borku* winno być *z Bóbrku*; str. 185 w. 7 od dołu, zamiast *naznaczywa* ma być *naznaczona*.

KRONIKA NAUKOWA.

Skroplenie gazów „stałych."

Czytelnicy wiedzą, iż ciała lotne dzielą się na *pary* i *gazy*. Parami nazywamy ciała lotne, które przy zwykłéj temperaturze (15° C), i zwykłém ciśnieniu barometryczném (760 mm.) stają się cieczami do gazów zaś, te z ciał lotnych zaliczamy, które przy zwykłéj temperaturze i zwykłém ciśnieniu nie zagęszczają się na ciecze. Do pierwszych więc należéć będzie ulotniona woda, alkohol, eter, do drugich— wodór, tlen, azot, chlor, powietrze, kwas węglany, tlenek węgla, gaz błotny, siarkowodór, kwas siarkowy, chlorowodór itd.

Na zasadzie wielkiéj analogii pomiędzy parami a gazami, łatwo powstało przypuszczenie, że i gazy są parami cieczy. Naturalnie mogłyby one istnićć w stanie ciekłym tylko w temperaturze niższéj i przy ciśnieniu wyższém niż zwyczajne. Ażeby więc te ciecze otrzymać, należałoby ich pary (gazy) poddać działaniu niskiéj temperatury i wysokiego ciśnienia. I rzeczywiście doświadczenia stwierdziły ten wniosek. Znakomity Faraday skroplił najprzód za pomocą samego obniżenia temperatury kwas siarkowy, amoniak, cyan itd. a dodawszy do zimna ciśnienie zdołał zamienić na ciecze: chlor, siarkowodór, kwas węglany, chlorowodór, tlenek azotu itp. Tylko sześć gazów opiérało się wszelkim usiłowaniom: tlen, wodór, azot, tlenek węgla, tlennik azotu i gaz błotny (formen) i wskutek tego nadano im nazwę *gazów* prawdziwych, *stałych*, *trwałych*.

Lecz czyż przyczyna téj stałości leżała w saméj naturze gazów, czy téż w słabości środków? Prawdopodobieństwo przechylało się na stronę drugiéj alternatywy. Przedewszystkiém naprowadzało na tę myśl zachowywanie się gazów trwałych podczas sprawdzania prawa Mariotta, według którego objętość gazu jest odwrotnie pro-

porcyonalną do ciśnienia, tj. że np. pod ciśnieniem dwóch atmosfer objętość gazu jest dwa razy mniejsza niż pod ciśnieniem jednéj, pod ciśnieniem trzech, trzy razy mniejsza itd. Już pod ciśnieniem trzech do czterech atmosfer gazy zgęszczalne nie stosują się do tego prawa i naglej zmniejszają objętość, niżby to z prawa wypadało; zboczenie zaś to tém jest większe, im gazy doprowadzone zostały bliżéj punktu skroplenia. Sądzono najprzód, że to się stosuje tylko do gazów dających się skroplić i na tém nawet oparto ich charakterystykę, ale Natterer i Regnault nadzwyczaj ścisłemi doświadczeniami wykazali, że i gazy prawdziwe, trwałe, podobnież się zachowują. Wszystkie one okazały się mocniéj ściśliwemi aniżeli prawo Mariotta wymaga, i tylko wodór przedstawiał wyjątek, nie dlatego, aby zupełnie temu prawu ulegał, ale że zbaczał w stronę przeciwną, tj. okazał się mniéj ściśliwym. Wniesiono więc, na zasadzie téj analogii z parami, że wszystkie gazy trwałe, oprócz wodoru, dadzą się zgęścić, i że wodór tylko jest gazem prawdziwym niezgęszczalnym.

Jak się te przewidywania spełniły, zobaczymy poniżéj.

Faraday w pierwotnych swych doświadczeniach używał temperatur niezbyt niskich i ciśnień niezbyt wysokich. Wynikało to z natury metody, którą postępował. Używał on grubych rurek szklanych, z obu stron zalutowanych, zgiętych w postaci litery V. W jedném ramieniu rurki umieszczał związki, wytwarzające gaz, a drugie oziębiał. Gaz nie mogąc się wydostać z naczynia parł sam na siebie i skroplał się w miejscu oziębioném. Dla umożliwienia większego ciśnienia i otrzymywania większéj ilości gazów skroplonych, Thirolier zbudował z żelaza lanego aparat, w którym przygotowywano kwas węglany ciekły, w znacznych ilościach. Gaz zgęszczał się tutaj tylko za pomocą swego własnego ciśnienia; naturalnie więc parcie na jego ściany było nadzwyczaj wielkie, w skutek czego pękł pewnego razu przy doświadczeniach w szkole farmaceutycznéj w Paryżu i oderwał obie nogi preparatorowi Heroy'emu. Wypadek ten dał powód do otoczenia aparatu kutemi obręczami, oraz do zbudowania innych przyrządów, z których najbardziej znane są Natterer'a i Bianchi'ego.

Używając ciśnień możliwie najwyższych, zastosowano jeszcze silne obniżenie temperatury sprawiane przez ulatnianie się skroplonego kwasu węglanego, obliczane na — 80°, a nawet jeszcze niższe, otrzymywane z mięszaniny kwasu węglanego ciekłego i eteru, dochodzące do 110 stopni pod zerem. Natterer robił nawet doświadczenia przy 2.700 atmosferach ciśnienia (tłok lokomotywy porusza się pod parciem 7 atmosfer), Berthelot poddawał gazy ciśnieniu 800 atmosfer, oziębiając je jednocześnie poniżéj 100 stopni pod zerem,

a jednakże gazy trwałe nie skroplały się. Stracono więc niemal nadzieję zgęszczenia ich.

Jednakże w nauce był punkt wyjścia do dalszych usiłowań. Spostrzeżono, że dla zgęszczenia kwasu węglanego przy temperaturze 78⁰ potrzeba tylko nieco więcéj ciśnienia niż jednéj atmosfery, przy temperaturze 1⁰ należy już użyć 37 atmosfer ciśnienia, a jeśli temperatura gazu znacznie wyżéj się podniesie, to już żadne ciśnienie nie zdoła go skroplić. Wynika więc ztąd, że oziębienie pozwala zmniejszyć ciśnienie, i że powyżéj pewnego stopnia temperatury, gaz staje się niezgęszczalnym.

Zastanawiając się nad faktami podobnemi, fizyk angielski Tomasz Andrews doszedł do wniosku, że dla każdego gazu istnieje pewien *punkt krytyczny* ciśnienia i temperatury, ponad którym gazy nie dadzą się doprowadzić do stanu ciekłego. Trzeba więc zawsze używać kombinacyi ciśnienia i niskiéj temperatury.

Tu właśnie leżało źródło niepowodzeń Natterer'a, Berthelota i innych. Widocznie nie dość zniżali temperaturę. Zdaje się, że ta myśl skłoniła pana Cailletet'a, przemysłowca i uczonego francuskiego, do przedsięwzięcia na nowo pracy uważanéj przez wielu za zbyt śmiałą.

Cailletet postanowił użyć możliwie najniższéj temperatury, a ponieważ wszelkie znane mięszaniny oziębiające nie dają temperatury niższéj od 140⁰ więc wpadł na myśl zastosowania oziębiania, wynikającego z rozszerzania się zgęszczonych gazów.

Czytelnicy wiedzą, że gaz, tak samo jak i ciało stałe w skutek uciskania, czyli zmniejszania objętości, zgęszczania, ogrzewa się. Jeśli pozwolimy mu następnie przyjąć temperaturę otaczającego środka i usuniemy przyczynę ciśnienia, to gaz rozszerza się kosztem swéj temperatury, zużywając część swego ciepła na pracę rozsunięcia i rozprzężenia cząsteczek.

Z tego właśnie faktu skorzystał Cailletet dla osiągnięcia swego celu.

Aparat jego składa się z części następujących. Zbiornikiem, w którym się gaz zgęszcza jest rurka szklana o bardzo mocnych ściankach, u góry zalutowana, u dołu otwarta, wydęta ponad końcem dolnym w podłużną bańkę. Górna jéj połowa jest zanurzona w mięszaninie oziębiającéj tak, że tylko sam koniec ponad jéj poziom wystaje, aby można było widzieć zgęszczające się gazy. Dolna połowa zanurzona jest w mocném żelazném naczyniu, napełnioném rtęcią, ponad którą wchodzi woda z pompy hydraulicznéj. Woda, zastępując stopniowo miejsce rtęci w naczyniu żelazném, wpycha ją do rurki szklanéj przez dolny otwór i zgęszcza tym sposobem gaz

w rurce zawarty, oczyszczony ze wszelkich domieszek. Ponieważ bańka, w którą rurka jest z dołu wydęta, ulega równemu ciśnieniu z zewnątrz i z wewnątrz, a więc nie pęka, choć ma ścianki dość cienkie stosunkowo do swéj objętości. W ten sposób przez wtłaczanie wody nad rtęć można wywrzéć na gaz ciśnienie kilkuset atmosfer, oziębiając go jednocześnie za pomocą mięszaniny oziębiającéj lub ulatniającego się tlenku azotu. Nadto, przy pompie hydraulicznéj, jest przyrząd pozwalający nagle wypuścić wodę, a więc znieść nadane ciśnienie, w skutek czego gaz rozszerzy się do pierwotnéj, kilkaset razy większéj objętości — i naturalnie, stosownie do tego ulegnie bardzo silnemu oziębieniu.

Cailletet użył najprzód do doświadczeń tlenniku azotu. Gaz ten nie skroplał się pod ciśnieniem 270 atmosfer, gdy temperatura wynosiła $+8^0$. Nie był więc doprowadzony do punktu krytycznego. Podobnież tlen i tlenek węgla, doprowadzone do temperatury -29^0 i poddane ciśnieniu około 300 atmosfer, zachowywały swój stan gazowy. Gdy jednak przez wypuszczenie wody ciśnienie zostało nagle zniesione i gazy rozszerzyły się, co według formuły Poissona powinno było obniżyć temperaturę najmniéj o 200^0 od punktu wyjścia (od -29^0), w rurce natychmiast okazała się gęsta mgła, pochodząca z skroplenia, a może i zamiany na ciało stałe gazów zgęszczanych. Kwas węglany, tlenek i tlennik azotu dawały taką samę mgłę. Otrzymawszy tak świetne rezultaty, Cailletet poszedł daléj i zamienił na ciecze azot, powietrze atmosferyczne, a nawet wodór, co do którego, jakeśmy wspomnieli, wielu uczonych utrzymywało, że nigdy zagęścić się nie da.

W sprawozdaniach Akademii Paryskiéj znajdujemy następujące szczegóły o tych gazach.

Azot czysty, czyli suchy, poddany ciśnieniu 200 atmosfer przy temperaturze około $+13^0$, a następnie uwolniony nagle od ciśnienia, zgęszcza się w sposób bardzo wyraźny. Z początku okazuje się w postaci płynu rozpylonego, o wyraźnych kropelkach, późniéj płyn ten znika przy ściankach i ściąga się do środka rurki, gdzie w końcu tworzy się słup pionowy w kierunku osi rurki. Zjawisko to trwa trzy sekundy.

Wodór. W piérwszych swych doświadczeniach z wodorem, Cailletet nie zauważył nic szczególnego w rurce; po pewnéj jednak wprawie, gdy powtórzył doświadczenie 31 Grudnia r. z. w obecności Berthelot'a, H. Sainte-Claire-Deville'a i Mascart'a, spostrzegł oznaki skroplania się wodoru, tak jawne, że nikt o tém nie mógł wątpić. Wodór, poddany ciśnieniu około 280 atmosfer a następnie zwolniony od ciśnienia, zamienia się na mgłę bardzo subtelną, zajmującą

całą długość rurki i nagle znikającą. Powtarzając to doświadczenie znaczną liczbę razy i otrzymując ciągle jeden i ten sam rezultat, uczeni przekonali się, że nie są ofiarą złudzenia.

Powietrze. Po skropleniu azotu i tlenu, jasną było rzeczą, że można zamienić na ciecz ich mięszaninę, t. j. powietrze atmosferyczne. Rzeczywiście powietrze, osuszone i pozbawione kwasu węglanego, skroplało się z wielką łatwością. Rzecz szczególna, że już Lavoisier przewidział możność skroplania powietrza.

Jednocześnie prawie z Cailletet'em, zawiadomił świat uczony o skropleniu gazów stałych p. Raul Pictet z Genewy. Uczony ten również zastosował zniżanie się temperatury, podczas zniesienia parcia, wywieranego na gazy, ale aparat jego na innéj zasadzie jest zbudowany i cokolwiek inne, co do szczegółów drugorzędnych, wydał rezultaty. Główna część przyrządu składa się z naczynia z kutego żelaza, do którego przystosowana jest rurka z podobnegoż materyału, mająca cztery centymetry otworu a pięć centymetrów grubości ścian. Drugi jéj koniec jest zamknięty kranem i opatrzony manometrem. Do naczynia kładą się związki służące do otrzymywania gazu; w rurce skropla się gaz pod własném ciśnieniem, które dochodzi do wysokości 500 lub więcéj atmosfer. Rurka ta jest otoczona obszerniejszą rurą, w którą jednym otworem wtłacza się kwas węglany ciekły, wyprowadzany bez ustanku na zewnątrz za pomocą pompy, któréj tłok wykonywa 100 poruszeń na minutę. Następuje w skutek tego nadzwyczaj silne ulatnianie się kwasu węglanego, które, zamieniając resztę kwasu węglanego na ciało stałe, obniża temperaturę rurki do —140 stopni. Jeżeli po nagromadzeniu się w rurce gazu pod takiém ciśnieniem i przy takiéj temperaturze, otworzymy kran, to gaz, choćby nawet jeszcze nie był skroplony, rozszerzając się i pochłaniając ciepło, zgęszcza się na ciecz i niezmiernie silnym strumieniem kroplistym spada na podłogę. Co więcéj, wypływ ten nie jest ciągły, ale przerywany, co naprowadza na myśl, że w rurce tworzą się skrzepy, tamujące swobodny wypływ, a więc, że gaz trwały zamienia się na ciało stałe.

W ten sposób skroplił Pictet wszystkie gazy trwałe. Nie zdołał ich jeszcze zamknąć w szklaném naczyniu, aby je można było widzieć i przechowywać (co naturalnie nadzwyczaj trudną będzie rzeczą), i nie wiele téż obserwacyj i doświadczeń nad niemi poczynił. Jednakże i teraz już możemy się z czytelnikami podzielić kilku faktami.

I tak, co do tlenu, to węgiel żarzący się, umieszczony w płynnym jego strumieniu, zapala się i płonie z niesłychaną gwałtownością. Ciężar właściwy tlenu płynnego = 1, to jest, że centymetr

sześcienny płynnego tlenu waży tyle co centymetr wody przy $+4^{0}C$. Rzecz szczególna i godna podziwu, że chemik francuski Dumas już dawno powiedział, iż tlen, jeśli zostanie skroplony, to będzie miał gęstość wody. Rozumowanie jego było następujące. Siarka, która przez swe zachowanie się chemiczne należy do téj saméj grupy co tlen, ma wagę atomową 32, a gęstość 2. Waga atomowa podzielona przez gęstość daje *objętość atomową*. Objętość więc atomowa siarki wynosi 16. Rzecz widoczna, że mając dwie z tych liczb, można obliczyć trzecią i tak, mając wagę atomową i objętość atomową można oznaczyć gęstość. Z drugiéj strony, wszystko wskazuje, że objętość atomowa pierwiastków należących do jednéj i téj saméj grupy jest jednakowa, że więc objętość atomowa tlenu wynosi 16. Jeżeli teraz podzielimy jego wagę atomową, wynoszącą 16 przez 16 (objętość atomową), to wypadnie 1, czyli ciężar właściwy wody. Wniosek ten jednak aż dotąd pozostawał bez stwierdzenia faktycznego. Teraz dopiéro, na żądanie Dumas'a, Pictet zmierzył 43,5 gramma tlenu ciekłego (a więc już pokonał trudności manipulacyj z ciekłym tlenem) i przekonał się, że one zajmują 46 centymetrów sześciennych czyli, że jeden centymetr sześcienny tlenu waży prawie 1 gramm, t. j. tyle ile centymetr sześcienny wody. Niedokładność, jaka tu zachodzi, położyć można na karb trudności i delikatności manipulacyi.

Ostatnia wiadomość dotycząca tlenu zgęszczonego donosi, że strumień wypływający z aparatu w chwili zniesienia parcia, badany za pomocą światła spolaryzowanego, zachowuje się tak jak zwyczajna chmura, złożona z igiełek lodu i kłaczków śniegu. Pictet wnosi ztąd, że ta chmurka tlenu składa się z tlenu stałego a może i skrystalizowanego.

Co się tyczy wodoru, to strumień jego wytryskujący ze zgęszczalnika, oświetlony światłem elektryczném ma okazywać dwie warstwy. Wewnętrzna ma być nieprzezroczystą, koloru niebieskawo-stalowego, i ta jest ciekła, zewnętrzna zaś jest gazową przezroczystą, niebieskawą. Padając na kamienną posadzkę, strumień ten ma wydawać dźwięk metaliczny, — coby potwierdzało, iż wodór rzeczywiście jest metalem. Przypominają sobie czytelnicy, że przed kilku laty Graham spostrzegł, iż metal pallad stykając się z wodorem *in statu nascendi*, powiększa swą objętość, tworząc z tym gazem, jakby jakiś amalgamat, zkąd uczony ten wniósł, iż wodór jest metalem, podobnym pod niektóremi względami do rtęci. Ciekawą tę wiadomość rozniosły swego czasu wszystkie gazety po świecie. Oba te fakty stwierdziły, że przewidywania chemików o metalicznéj naturze wodoru nie były czczą teoryą.

W skutek tych wszystkich odkryć, znika odrębność pomiędzy trzema stanami ciał: stan stały, ciekły i lotny, są tylko zależne od temperatury i ciśnienia. Nie możemy się wstrzymać od położenia nacisku na kilka sprawdzonych proroctw naukowych, których zasadniczość okazały prace Cailletet'a i Pictet'a. Lavoisier jakeśmy wspomnieli, już w zeszłym wieku przewidział, że powietrze lub też jedna z jego części składowych może uledz skropleniu (1), wszyscy uczeni od dawnych czasów byli przekonani, iż gazy stałe dadzą się zmienić na ciecze, że one są tylko parami odpowiednich cieczy, i że jeżeli dotychczas tego uczynić nie zdołano, to tylko dlatego, że nauka nie posiadała dość dzielnych środków. Następnie Dumas z góry obliczył gęstość płynnego tlenu, a od lat już kilkudziesięciu chemicy powszechnie uważali wodór za metal. Wszystko to dobitnie okazuje, że choć chemia daleką jest jeszcze od swéj doskonałości, jednakże zaszła już bardzo wysoko, a co ważniejsza znajduje się na zupełnie pozytywnéj, odpowiadającéj naturze rzeczy, drodze i urągać może wszelkim napaściom, chcącym wykazać wątłość jéj podstaw, dla usprawiedliwienia chwiejnych fundamentów rozmaitych hipotez.

Na zakończenie powiemy słówko w kwestyi zaszczytu pierwszeństwa odkryć powyższych. *Pictet* wprawdzie pierwszy podał do wiadomości rezultaty swéj pracy, ale *Cailletet* pierwéj swoje wykonał i 2 Grudnia r. z. przesłał panu H. Sainte-Claire-Deville list, zawiadomiający o zgęszczeniu tlenku węgla i tlenu. Deville złożył tę wiadomość w kopercie zapieczętowanéj na ręce stałego sekretarza Akademii Nauk w Paryżu. Nie ogłosił go, według wyraźnego życzenia Cailletet'a, który, jako kandydat na członka korespondenta Akademii, nie chciał przedstawić świeżéj pracy, dopóki nie zostanie stwierdzoną w obecności sędziów kompetentnych.

Otóż więc Cailletet pierwszy zgęścił gazy trwałe—jeżeli chodzi o drobnostkę kilku dni. Ale ponieważ ta różnica nic a nic nie sta-

---

(1) W II tomie Reweil des mémoires de chimie de Lavoisier, na str. 804 zastanawia się autor nad tém: „coby się stało z rozmaitemi substancyami składającemi kulę ziemską, gdyby temperatura została gwałtownie zmienioną.“ „Gdyby ziemia,“ mówi, „została przeniesioną nagle w sfery bardzo zimne, np. Jowisza i Saturna, woda, która tworzy dzisiaj rzeki i morza i prawdopodobnie większą część znanych cieczy, zamieniłaby się na skrzeple góry . . . Powietrze, w tém przypuszczeniu, albo przynajmniéj jedna z części powietrznych, wchodząca do jego składu, przestałaby bez wątpienia istniéć w postaci płynu niewidzialnego z powodu braku dostatecznego ciepła; przeszłaby więc w stan cieczy i ta zmiana wytworzyłaby nowe ciecze, o których nie mamy żadnego pojęcia.“

nowi, i ponieważ obydwaj uczeni samodzielnie, niezależnie jeden od drugiego doszli do osiągnięcia swych świetnych rezultatów, więc wszelkie zaszczyty należą im się w równym stopniu. Co się zaś tyczy sposobów otrzymywania, to metoda Pictet'a jest ważniejszą, gdyż pozwala przygotowywać znaczne ilości gazów zgęszczonych i uprzystępnia je badaniu. Sposób zaś pomyślany przez Cailletet'a będzie miał, jak się zdaje, tylko znaczenie teoretyczne.

A jakież praktyczne zastosowanie będzie miało to odkrycie? zapytają czytelnicy. W téj chwili jeszcze nic na to odpowiedzieć nie możemy. Ale choćby nawet żadnego nie znalazło w przyszłości, co jest rzeczą nieprawdopodobną, to i tak będzie uważane za jednę z największych zdobyczy naukowych naszego wieku, potwierdzających siłę logiki umysłu ludzkiego.

Zdolność przystosowywania się u Salamandry czarnéj (Salamandra atra).

Pod tym tytułem napotykamy w czasopiśmie „Naturforscher" artykuł bardzo ciekawy, tak ze względu na przedmiot, jak i na badacza. Jest nim bowiem panna Marya Chauvin, która swą oryginalną pracę przedmiotu tego dotyczącą pomieściła w 29-tym tomie „Zeitschrift für wissenschaftliche Zoologie."

Wiadomo, że salamandra z żółtemi plamami (s. maculosa) składa swe żywo urodzone kijanki w wodę, gdzie dokonywa się ich przeobrażenie na zwierzęta lądowe; przeciwnie potomstwo czarnéj salamandry (s. arta) żyjącéj w okolicach górzystych, zaraz po opuszczeniu łona matki, przedstawia zwierzęta lądowe: metamorfoza ich dokonywa się w łonie matki, gdzie się żywią masą żółtkową, pochodzącą z jaj niezapłodnionych. Na zasadzie wielkiego podobieństwa dwóch tych gatunków salamandry, można było wnieść, że przed wielu tysiącami lat salamandra atra przechodziła taką samę koléj rozwoju, jak salamandra plamista, czyli że składała w wodę swe młode, które dopóty w niéj pozostawały, dopóki nie stały się zdolnemi do życia na lądzie. Teraźniejszy zaś sposób rozwoju, salamandra alpejska mogła przyjąć, w skutek powolnie i stopniowo zmieniających się okoliczności otaczających, przystosowując się, w szeregu licznych pokoleń, do odmiany warunków miejscowych i atmosferycznych. Rezultatem tego była obecna forma rozwoju: zatrzymywanie w macicy płodu dopóty, dopóki nie rozwinie się z niego salamandra lądowa.

Wniosku tego nie podobna sprawdzić bezpośrednią obserwacyą zjawisk w przyrodzie się dokonywających, gdyż nie posiadamy okazów, ani téż obserwacyj z dawnych czasów. Trzeba więc było uciec

się do doświadczenia sztucznego, do wywołania wstecznego rozwoju. To też panna Chauvin postanowiła wydobyć z łona ciężarnéj salamandry czarnéj niedojrzałe potomstwo i, umieściwszy je w wodzie, czekać dalszego rozwoju wypadków. Naturalnie, koniecznym warunkiem udania się doświadczenia było natrafienie na młode, które jeszcze nie doszły do specyficznego stanu salamandry lądowéj i które przytém mają dość siły, aby wytrzymać wpływ nagłéj zmiany warunków życia.

W końcu Lipca 1875 roku znalazła panna Chauvin pomiędzy 74 salamandrami alpejskiemi 15 ciężarnych samiczek, z których wydobyła 23 kijanek, będących w rozmaitych stadyach rozwoju. Jednakże wszystkie one przyjęły już cechy salamandry lądowéj i jedna tylko stanowiła wyjątek. Zdawało sie nadto, że już daleko postąpiła w rozwoju, że zdoła wytrzymać bezkarnie zmianę warunków życia.

Kijanka ta, znalazłszy się w wodzie, nie okazywała żadnych oznak niezadowolenia. Na drugi dzień przyjmowała już pokarm złożony z małych dżdżowników. Bardzo delikatne jéj skrzela zbladły już drugiego dnia, skuliły się, zostały zupełnie krwi pozbawione i na trzeci dzień odpadły. Na ich miejscu jednak pojawiły się najprzód po prawéj a potém i po lewéj stronie głowy nowe małe przysadki skrzelowe, które się powoli rozwinęły w kuliste pęcherzyki, opatrzone w liczne nitki skrzelowe i gęstą siatką naczyń krwionośnych poprzerzynane. Gdy skrzela doszły do długości 22 milimetrów, kijanka stała się bardziéj ożywioną i raźnie pływała po wodzie za pomocą szerokiéj i grubéj płetwy ogonowéj, która wyrosła na miejscu pierwotnéj, wązkiéj i przezroczystéj, odpadłéj w pierwszym tygodniu pobytu w wodzie.

Przystosowanie więc do warunków, w których się teraz kijanka znajdowała, było jak najlepszém, i zdawało się, że salamandra lądowa stała się zwierzęciem wodném. Ale po czternastu tygodniach takiego życia, zaczęły marnieć nowe skrzela, płetwa przyjmowała powoli inną postać, skóra stała się czarną i nierówną i we dwa tygodnie potém przeobrażenie na salamandrę ziemną było zupełne: trzeba ją było wynieść na powietrze, aby mogła używać swych płuc do oddychania.

Widzimy więc, że wpływ wody był tu widocznym i bardzo wielkim. Jemu należy przypisać nowe, większe skrzela, które kijance umożebniły dłuższy pobyt w wodzie i pozwoliły jéj dłużéj pozostać w stanie niedojrzałym; on także wywołał utworzenie się grubéj i szerokiéj płetwy na miejscu cienkiéj. Jednakże odziedziczona od poprzednich pokoleń natura przemogła, i salamandra stała się

nareszcie zwierzęciem lądowém. Czy udałoby się z niéj za pomocą innych doświadczeń otrzymać zwierzę, przez całe życie w wodzie żyjące? O tém p. Chauvin wątpi. Niezależnie od tego, w doświadczeniu tém, sprawdzoném przez kilkanaście dalszych, podobnych doświadczeń, znajdujemy potwierdzenie wniosku na ustępie wyrażonego, że salamandra górska przechodziła niegdyś takie same stadya rozwoju jak salamandra żółtoplamista. Gdyby było inaczéj, to nie możnaby zrozumiéć, dla czego kijanki górskiéj salamandry, wycięte z ciała matczynego, mogą w wodzie uskuteczniać dalszy ciąg swego rozwoju.

Przyczynek do teoryi snu.

Pod tym tytułem podaje „Naturforscher" następującą wiadomość, wyjętą z Archiwum Pflügera, tom XV str. 573.

W jesieni r. 1876 przybył do kliniki w Lipsku dziewięcioletni chłopiec, którego skóra była na całéj powierzchni ciała nieczułą. Podobnąż nieczułością odznaczały się wszystkie błony śluzowe ciała, oraz brak mu było tego co nazywamy czuciem mięśniowém. Przytém wszystkiém nieszczęśliwe dziecko nie miało smaku i węchu, było ślepe na lewe oko i głuche na prawe ucho. Było to więc zestawienie własności ujemnych w skutek którego, nieszczęśliwe dziecko tylko dwie bramy zmysłowe miało otwarte na wrażenia ze świata zewnętrznego: jedno oko i jedno ucho. Ponieważ łatwo było zamknąć je w każdym czasie, więc można było dowolnie odosabniać mózg pacyenta od wszelkich zewnętrznych pobudzeń.

P. Adolf Strümpel, który obserwował to indywiduum, doszedł do następujących rezultatów, kilkakrotnie powtarzanych w obecności innych osób.

Po zawiązaniu zdrowego oka i zatkaniu zdrowego ucha, okazywał chory z początku zdziwienie, poruszał się niespokojnie, lecz już po 23 minutach objawy te znikały i oddech stawał się spokojnym, regularnym. Chory wpadał *w sen głęboki*. Okazała się więc możliwość wywołania snu sztucznym sposobem przez powstrzymanie dopływu zmysłowych pobudzeń do mózgu.

Nie mniéj ciekawém, jak zasypianie, było budzenie się pacyenta. Można go było obudzić tylko za pomocą głosu wpadającego w odetkane ucho lub światła rzuconego na odkryte oko, popychanie zaś i wstrząsanie żadnego skutku nie wywoływało. Jeśli jednak pozostawiano śpiącego w spokoju, to budził się sam po kilku godzinach. Powodem tego były zapewne albo pobudzenia wewnętrzne, albo powiększona pobudliwość mózgu, albo téż lekkie podrażnienia zewnętrzne, których niepodobna w zupełności uniknąć.

Sztuczne rubiny.

Wiadomo, że korund i jego odmiany: rubiny i szafiry są tylko glinką krystaliczną, i że najprzód Ebelmen i Senarmont, a późniéj Deville i Caron oraz Gaudin i Debrąy otrzymywali z glinki, z dodatkiem pewnych substancyj barwiących, kilka rodzajów drogich kamieni zwanych *wschodniemi* (rubin itd). Prace ich jednak miały tylko znaczenie teoretyczne, gdyż kryształki były nadzwyczaj małe, prawie mikroskopijne. Jednakże pp. Fremy i Feil byli tyle szczęśliwi, że zdołali otrzymać korund sztuczny w wielkich kryształach. Metoda ich polega na długiém ogrzewaniu glinkanu ołowiu z krzemionką. W piecu fabryki p. Feila umieszczali trzydzieści kilogrammów téj mięszaniny i zostawiali ją przez dwadzieścia dni pod wpływem wysokiéj temperatury. W skutek jéj działania rozkłada się powoli glinkan ołowiu, i glinka krystalizuje się w postaci korunda bezbarwnego. Krzemionka służy tu tylko za topnik. Jeżeli używa się do prażenia tygla z gliny ogniotrwałéj, to w takim razie krzemionka nie jest już potrzebną. Dostarczają jéj wtedy ściany tygla. Eksperymentatorowie spostrzegli, że po wyprażeniu w takim tyglu mięszaniny złożonéj w połowie z glinki, w połowie z minii, tworzą się na jego ścianach dwie warstwy różne: jedna jest szklista, utworzona głównie z krzemianu ołowiu, druga krystaliczna, zawiérająca często czerepy, napełnione pięknemi kryształami glinki—korundu bezbarwnego. Barwa nadaje się przez wprowadzenie do pierwotnéj mięszaniny odpowiednich substancyj. I tak za dodaniem 2—3% dwuchromianu potasu, korund przybiéra barwę rubina, domieszka małéj ilości tlenniku kobaltu do którego dodano ślad dwuchromianu potasu zamienia korund na szafir. Do naturalnych kamieni są one ściśle podobne pod względem ciężaru gatunkowego, twardości, blasku i koloru, a nawet, jak p. Jannetaz dowiódł, pod względem własności krystalograficznych i optycznych. Rubiny p. Fremy'ego i Feil'a rysują kwarc i topaz, ciężar ich właściwy wynosi 4—4,1, silnie ogrzane tracą, tak jak naturalne, swój kolor i odzyskują go po oziębieniu; są tak trudne do szlifowania jak rubiny naturalne i nadzwyczaj szybko niszczą przyrządy szlifierskie. PP. Frémy i Feil oświadczyli, iż praca ich miała tylko na celu stronę teoretyczną kwestyi i że bezinteresownie oddając ten wynalazek ogółowi będą się czuli szczęśliwymi, gdy przemysł potrafi z niego skorzystać.

Bronisław Rejchman.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Ekonomista wychodzi co tydzień w formacie arkuszowym i kosztuje w Warszawie rs. 6, na prowincyi rs. 8 rocznie (Redaktor. A Nagórny, Elektoralna, 2). Treść pisma podzielono na dwa działy: pierwszy ekonomiczny i finansowy, drugi handlowy i statystyczny. W pierwszym mieszczą się rozprawy i postanowienia rządowe, w drugim — cyfry, dotyczące bliższych nam i wybitniejszych zjawisk ekonomicznych. Podział ten, w praktyce dobry, grzeszy bałamutnością tytułów, o co zresztą nie będziemy się spiérali.

W rubryce statystycznéj mieszczą się rachunki różnych naszych instytucyj finansowych, jako to: Banku Polskiego, Banku Dyskontowego i Handlowego; kursa giełdy warszawskiéj, dochody z wyzysku dróg żelaznych i ceny targowe. Te ostatnie obejmują prawie wszystkie artykuły gospodarskie, a nadto cenę pracy wykonywanéj w polu przez robotników pieszych i ciągłych. Razi tu jeden szczegół, a mianowicie: „za wołu płacono od 5o do 94 rs., za wieprza od 2o do 5[illegible] rs.“ więcéj pouczałaby cena za funt „żywéj wagi.“ W praktyce przecież notowanie to wystarcza, do innego zaś może cyfr brakować. Nie rozumiemy tylko, dlaczego *Ekonomista*, ogłaszając ceny, nie podaje zarazem ilości przywożonych na targi warszawskie zbóż i zwierząt, co w części robi nawet „Gazeta Policyjna?“

W tém miejscu zboczę na chwilę od przedmiotu. Czytelnik dostrzegł, że ośmielam się stawiać zarzuty „Ekonomiście,“ mam nadzieję, że nie będę jednak zaliczony w poczet téj młodzieży literackiéj, która z jednakową pewnością siebie krytykuje taniec baletniczek, rozprawy naukowe, miejskie mosty, dzieła malarzy i porządek

świata i radaby przymusić wszystko i wszystkich, aby szli przez nią wskazywanemi drogami. Bawi to specyalistów, lecz niekiedy wykoszlawia opinie czytelników. Do podobnych robót nigdy nie przykładałem ręki, a tém bardziéj nie chcę robić nic podobnego w stosunku do *Ekonomisty*. Mniéj często, ale skuteczniéj pewno dotykaćby można kwestyj społecznych i ekonomicznych, gdyby zabiérali w nich głos bez przerwy ludzie, posiadający odpowiednie kwalifikacye naukowe. Nieszczęściem, ludzie ci przez długi czas milczeli, a w dziennikach pragnących zaspokoić gorącą i słuszną pod tym względem ciekawość ogółu, pojawiły się chwasty statystyczno-społeczne i już nie wiém jakie, które plenić musiał każdy, choć cokolwiek obeznany z zaczepianemi, a właściwie poniewieranemi kwestyami!

Jeżeli więc na uwagi moje nie zgodzi się redakcya *Ekonomisty*, wówczas nim zawoła: „człowieku! kim jesteś i jakiém prawem rościsz sobie pretensyą do kierowania naszym warsztatem?“ niech wprzód uderzy się w piersi i wyzna, że biédy téj narobiła dawniejsza obojętność czy powściągliwość ludzi fachowych. Wszak panowie, dziś pisujący do *Ekonomisty*, żyliście w owéj epoce anarchii literacko-ekonomicznéj, wszak widzieliście: jak ludziom w głowach mącono? Nie dziwcież się więc, gdy dziś mniéj obeznani z waszym fachem ludzie zarzucają wam, że nie notujecie cen funta żywéj wagi, albo że źle tytułujecie działy pisma. Taka jest koléj rzeczy ludzkich.

Wracając do przerwanéj kwestyi, wspomnimy o ciekawym artykule, również z działu statystycznego, p. t. „Finanse Rossyi za rok 1876“ przez An. An. Egera, z któréj to pracy przytoczymy kilka cyfr.

Dochody ogólne państwa w r. 1876 wynosiły	559.263.000
Rozchody	624.105.000
Był za tém deficyt dochodzący	64.842.000

Dług państwa w dniu 1 Stycznia 1877 r. wynosił 1.900.148.000 rubli, a procent roczny od niego 109.345.000 rs. Z zestawienia dwu tych liczb wypada, że państwo płaci średnio $5^3/_4$% od swego długu.

Ważniejsze i ciekawsze dochody wyrażone w procentach sumy ogólnéj były następujące:

Spirytus i trunki	34,17%
Podatki osobiste i gruntowe	20,58
Cło	12,72
Za prawo handlu	2,60
Sól	2,05
Tytuń	1,89
Cukier	0,89
Stempel	1,76

Za paszporty	0,46
Poczty	1,95
Telegrafy	0,96
Mennica	0,64
Od wychowańców zakładów naukowych rządowych	0,07
Opłata od Kirgizkiéj Wewnętrznéj hordy	0,03

Wydatki zaś państwa ważniejsze były:

Ministeryum wojny		37,21%
Opłata długu państwowego		17,52
Ministeryum	Skarbu	14,05
—	Spraw wewnętrznych	8,63
—	Komunikacyi	3,93
—	Marynarki	4,59
—	Dóbr państwa	3,17
—	Oświecenia publicznego	2,44
—	Spraw zagranicznych	0,52
Zarząd stadnin rządowych		0,13.

Z Królestwa Polskiego dochód wynosił 47.974.000 rs., rozchód — 44.636.000 rs., było zatém przewyżki 3.338.000 rs. W końcu nadmienić wypada, że w roku tym na jednego mieszkańca przypadało średnio 7 rs. 20 kop. wydatków państwowych.

W czwartym tygodniu istnienia *Ekonomista* uczuł potrzebę wprowadzenia swego własnego słownictwa i ogłosił na początek 13 wyrazów. Niektóre z nich, jako to: *wytwór*, *wytwórca* (zamiast produkt, producent), *spożycie*, *spożywca* (zam. konsumcya, konsument), są już nieco utarte. Nie zły, zdaje się, być *obieg powierczy*, zam. cyrkulacya pieniędzy papiérowych, choć nie powiém, aby jasno określał zjawisko, *podatnik* zaś, zamiast: kontrybuent, mocno trąci galicyjską słoworobnią. Do téj pory jednak wszystko jeszcze jest dobre: dają nam bowiem wyrazy swojskie zamiast cudzoziemskich; nie rozumiém jednak, dlaczego redakcya wyrazy polskie już dość upowszechnione tłómaczy znowu na polskie bardzo świeżéj daty? Tak np. dawne *bezrobocie* po dzisiejszemu ma się nazywać *zmową* (niestety! oba wyrazy są jednakowo bałamutne, jako posiadające po kilka znaczeń), dawniejszy: *pracodawca* ma ustąpić miejsca starszemu wprawdzie. lecz już dymisyonowanemu *przedsiębiercy*, a bardzo nowa: *samopomoc* ma się przezwać: *samoradą*. Pominąwszy już, że dzięki téj zmianie, ci, którzy słuchali niegdyś o samopomocy, w kształceniu się w zaciąganiu długów i t. d. będą musieli słuchać: o samoradzie w kształceniu się i t. d. liberalizm „Ekonomisty“ na złe może wyjść językowi. Przy podobnym bowiem systemie, wyrazy specyalne wy-

biérane będą jak prezydenci Stanów zjednoczonych na lat cztery, a najwyżéj na ośm.

Jakkolwiek drobna to rzecz na pozór owe: własne słownictwo, jakkolwiek dla „kontrybuenta“ obojętnym może być tytuł „podatnika,“ byle sama funkcya była słodszą, jakkolwiek „obieg powierczy“ i „cyrkulacya pieniędzy papiérowych“ jednakowo mniéj dokuczliwemi będą w obec większéj ilości złota i srébra, z témwszystkiém należy ostrożnie płodzić nowe wyrazy, abyśmy nie doszli do przeludnienia, czy téż przewyrazowania. Nadmierna praca w tym kierunku po długoletniéj „zmowie“ czy „bezrobociu“ może zdyskredytować język, a słownikarsko-ekonomiczna „samorada“ łatwo przejść w samowolę i stworzyć drugą edycyą wieży Babel, choć już i bez niéj, w bardzo wielu kwestych, rozchodzą się synowie Noego! Ekonomista zrobi wiele, gdy wyrazy cudzoziemskie przetłómaczy na polskie, dokładnie malujące pojęcia; podział zaś ich na ładne i niełądne, i zastępowanie wyrazów już utartych przez nowe, jakoby lepsze, trzeba zostawić Akademii, która się może weźmie kiedyś do ustalenia polskiego słownictwa.

Dział ekonomiczny odznacza się doborem artykułów, z których kilka postaramy się streścić.

O składach towarowych. Warszawa leży na granicy Wschodu wytwarzającego i Zachodu spożywającego zboże. Ztąd wysyłać można towar ten na Szląsk, do części Niemiec północnych, Saxonii, Bawaryi i Westfalii; tu także zatrzymuje się lub tylko przejeżdża zboże z dróg żelaznych: Moskiewsko-Brzeskiéj, Riażsko-Wiaziemskiéj, Kijowsko-Brzeskiéj, Kursko-Kijowskiéj i Landwarowo-Romeńskiéj. W r. 1876 zatrzymywało się w Warszawie 1.472.000 pudów a przejeżdżało wprost zagranicę 920.000 pudów zboża, przedstawiającego wartość z górą dwu milionów rubli, na czém zarobiły koleje 300 tysięcy rs. a komisanci 12 tysięcy rs. w ciągu roku.

Zyski nasze zwiększyćby się mogły, gdyby miejscowi kupcy nabywali zboże w cesarstwie, sprowadzali je do Warszawy w wielkich ilościach, gatunkowali i wyczekiwali na ceny lepsze. Nie dość na tém: kupcy bowiem zagraniczni, wiedząc iż się znajdują w Warszawie znakomite zsypy zboża, tu robiliby zamówienia, nie odnosząc się do punktów dalszych, a kupcy rosyjscy nie staraliby się o nabywców zagranicą, lecz w Warszawie. Warszawa bowiem, dzięki zwyczajom handlowym na tryb europejski urobionym, a z drugiéj strony, większéj łatwości zbadania i zużytkowania stosunków rosyjskich, dla obu stron mogłaby stanowić wygodny łącznik. I gdyby raz, według „Ekonomisty,“ wytworzyło się u nas tego rodzaju pośrednictwo, ilość sprowadzanego zboża do Warszawy i załatwianych

u nas a zyskownych interesów wielkie mogłaby przybrać rozmiary. Nie zapominajmy bowiem, że czerpać jest zkąd: w r. 1875 wywieziono z cesarstwa zboża 237 milionów pudów, z której to cyfry ledwie 1/200 część tylko przejechała przez Warszawę, przyczém nasz świat handlowy odegrał skromną rolę pośrednika lub tragarza, nie zaś kupca. Dodać jeszcze wypada, że prócz wymienionych dróg żelaznych, z których już otrzymujemy zboże, możemy jeszcze zużytkować: Morszańsko-Szyzrańską, Riażsko-Morszańską, Tambowsko-Kozłowską i Moskiewsko-Riazańską, z których dotychczas nic do nas nie przybywa.

Dla umożliwienia jednak tych rozległych działań handlowych, przy których wiele osób znaléźćby mogło utrzymanie, potrzebne są składy towarowe, czyli obszerne, suche i bezpieczne budynki, połączone za pomocą szyn z warszawskiemi stacyami dróg żelaznych. Kupcy nasi daliby sobie radę z podobnemi operacyami, dozorców i tragarzy równieżby nie zabrakło, tylko brakuje składów tak dalece, że nie raz na stacyi drogi Terespolskiéj zboże przez długi czas leży pod odkrytém niebem, co na ciężkie straty naraża właścicieli. Składy przedstawiają i tę jeszcze dogodność, że świadectwa wydane na towar, złożony w nich, są papiérami wartościowemi i łatwo na gotówkę zamienione być mogą.

Jeżeliśmy jasno rzecz przedstawili, w takim razie nie potrzebujemy już kłaść nacisku na potrzebę wzniesienia podobnych składów, dzięki którym Warszawa może się stać na prawdę jedném z większych europejskich ognisk handlowych. Słusznie „Ekonomista“ dodaje, że prócz składów na zboże, należałoby téż wznieść składy na len, łój, konopie i inne wytwory surowe, dziś ocierające się tylko o szyny naszych stacyj. Ale śpieszyć się trzeba z wzniesieniem budowli i uregulowaniem obsługi, ponieważ Berlin i Wrocław już myślą o składach towarowych, a gdy raz je posiądą i prąd handlu w swoję stronę skierują, walka będzie trudna, jeżeli nie niemożliwa.

W końcu „Ekonomista“ sądzi, że do budowy składów przystąpićby mogła jakaś instytucya finansowa, lub towarzystwo w tym celu zawiązane: kapitał bowiem potrzebny, w każdym razie, dosiągnąłby kilkuset tysięcy rubli. Myślano już podobno o tém u nas przed paru laty, lecz dlaczego nic nie zrobiono? nie wiém. W każdym razie bowiem instytucya ta miałaby większe widoki zysków, aniżeli proponowana kiedyś spółka, mająca zamiar wywozić do cesarstwa wyroby naszego przemysłu, który, jak dziś, stoi o tyle niżéj od niemieckiego, że miejscowych potrzeb zaspokoić nie może.

Oddając każdemu co mu się należy, nadmieniam, że, jeżeli mnie pamięć nie zwodzi, p. Jeleński był albo pierwszym, albo je-

dnym z pierwszych autorów, którzy na kwestyą składów towarowych zwracali uwagę publiczną. Szkoda, że już wówczas ludzie pieniężni nie zajęli się wykonaniem, albo choć wszechstronném zbadaniem projektu.

Kwestya drugorzędnych dróg żelaznych w Królestwie Polskiém, przez K. Kopytowskiego.

Kraj nasz posiada 1.383 werst dróg żelaznych, a tym sposobem na 1 wer. drogi przypada 81 w. kwadr. powierzchni i 4.620 mieszkańców. Tymczasem gdzieindziéj stosunki te są nierównie korzystniejsze i tak:

Na 1 werstę kolei przypada terytoryum	w Belgii	9	wer. kw.
	Wiel. Brytanii	11	„
	Niemczech	20	„
	Francyi	29	„
	Austro-Węgrzech	36	„
	Stan. Zjednoczon.	53	„

Ludności zaś na 1 werstę drogi żelaznéj przypada w

Stan. Zjednoczonych	386	osób
Wielk. Brytanii	1.293	„
Belgii	1.740	„
Niemczech	1.764	„
Francyi	2.271	„
Austro-Węgrzech	2.362	„

Tym sposobem mamy, ze względu na stosunek do przestrzeni, 8 razy mniéj dróg żelaznych aniżeli Belgia, a ze względu na ludność, prawie 12 razy mniéj dróg niż Stany Zjednoczone. Wprawdzie, według projektów rządowych, kraj nasz w nieoznaczonym terminie może otrzymać jeszcze 788 werst kolei, ale i wtedy 1 wersta drogi przypadać będzie na 51 wer. kwadr. terytoryum i na 2.940 mieszkańców. Warunki komunikacyjne poprawią się chociaż w sposób dosyć umiarkowany.

Nowy ten jednak przyrost kolei, ze względu na wydatki jakie pochłonęła wojna, jest dość wątpliwy. Rząd nie będzie się kwapił z poręczaniem zysków, a dla osób prywatnych budowanie drogi kosztującéj od 44.500 rs. (Fabryczno-Łódzka) do 104.340 rs. (Warszawsko-Petersburgska) na własne ryzyko jest uciążliwą a nawet niemożliwą rzeczą. Na zwiększenie zatém naszych środków komunikacyjnych pozostaje jeden tylko sposób, a mianowicie: budować prywatnemi kapitałami drogi żelazne tanie.

P. Kopytowski dzieli koleje na dwie klasy. Klasa pierwsza obsługuje przemysł już rozwinięty, przewozi mnóstwo osób i towarów i odznacza się wielką ilością szybko biegnących pociągów, tudzież

budową kosztowną. Klasa druga, cechująca się tanią budową, małą ilością wolnobiegnących pociągów i niewielką długością, służy do rozwinięcia przemysłu w okolicach, które go posiadają w zawiązku. Według p. K. drogi już wybudowane lub projektowane u nas należą do typu pierwszego, podczas gdy typ drugi wcale jeszcze nie istnieje. Słyszałem od znawców, że nasze kołeje w ogóle mniéj uwzględniają interesa przemysłowe, a więcéj strategiczne, przeto i ów typ pierwszy występuje u nas niedość wyraźnie i nie oddaje odpowiednich usług.

Drogi klasy drugiéj, których zadaniem byłoby łączyć miasta gubernialne i powiatowe z liniami głównemi, mogą być budowane taniéj dlatego, że ruch na nich jest mały: nie trzeba zatém wykonywać robót i konstrukcyj kosztownych. Biorąc za punkt wyjścia cenę 1 wersty drogi Warszawsko-Bydgoskiéj (45.493 rs.), p. K. oblicza, że linia drugorzędna kosztować może na werstę:

bez taboru 17.100 rs.
z taborem 20.620 rs.

Nadto zaś sądzi, że droga, po któréj w każdą stronę przejedzie codzień 44 podróżnych i 3.966 pudów towaru, nietylko pokryje koszta wyzysku, ale nadto przyniesie 5% od kapitału zakładowego i 1/10 % rocznie na umorzenie takowego. Żałujemy, że brak miejsca nie pozwala nam, choć w streszczeniu, przytoczyć rachunków szan. autora, istotnie ciekawych i nauczających. Ograniczymy się więc na powtórzeniu za nim jakie to kierunki linij drugorzędnych mogłyby dziś być wybudowane i przynosić zyski.

	Długość werst
Lipno—Włocławek (brzeg Wisły)	23
Płock—Kutno (brzeg Wisły)	45
Sochaczew—Ruda Guzowska	23
Rawa—Skierniewice	25
Łęczyca—Ostrowy	28
Łódź—Ozorków	23
Lutomiersk—Łódź	17
Przasnysz—Ciechanów	23
Pułtusk—Nasielsk	23
Ostrów—Małkinia	18
Łomża—Czyżew	46
Suwałki—Grajewo	70
Sokołów—Siedlce	26
Radzyń—Łuków	25
Hrubieszów—Chełm	45

W celu budowania dróg podobnych, p. K. radzi zawiązywać towarzystwa z obywateli ziemskich, zamieszkujących interesowane w sprawie okolice. Stowarzyszeni muszą przedewszystkiém zebrać pieniądze na studya przygotowawcze (w stosunku 60 rs. na werstę), daléj wystarać się o daty statystyczne, które określą bliżéj możność istnienia drogi, następnie porobić dokładne plany i na ich zasadzie ustanowić wysokość kapitału zakładowego. Potém idzie rozmieszczenie akcyj nowéj kolei, zatwierdzenie ustawy, która bardzo różnić się musi od ustaw obowiązujących dziś budowane drogi, a nareszcie skontraktowanie technika, który ma kierować nietylko budową, lecz i wyzyskiwaniem czyli eksploatacyą kolei.

Ciekawe są ułatwienia, jakie autor wskazuje tym, których przestraszyć mogą wielkie koszta podobnego przedsiębierstwa. Suma 17.100 rs., reprezentująca cenę jednéj wersty kolei bez taboru, rozpada się na trzy części.

6.000 rs. na roboty ziemne, ciesielskie i kamieniarskie, którą okoliczni właściciele przyjąć mogą, biorąc akcye za dostarczenie materyałów i robocizny, a co im łatwiéj przyjdzie niż opłacenie akcyj gotówką.

7.000 rs. na szyny i połączenia, które nabyć można również za akcye od rządu posiadającego znaczne zapasy tych przedmiotów.

Pozostaje więc do wypłacenia gotówką tylko 4.000 rs. na werstę, którą to sumę ściągnąć można znowu za pomocą akcyj. Papiéry te zdaniem p. K. chętnych znajdą nabywców, jeżeli gminy, przez które kolej przechodzi, zechcą poręczyć akcyonaryuszom 5¹/₁₀%, czyli 872 rs. na każdą werstę drogi rocznie. Poręczenie to obciążyłoby każdy mórg ziemi (rozumié się w najgorszym razie) opłatą 14¹/₂—22 kop. rocznie.

Praca p. Kopytowskiego z dwu względów zasługuje na uwagę: raz jako myśl nowa i użyteczna, drugi raz jako wykład. Artykuł p. K. jest projektem, podobnym z tego powodu do tysiąca innych, lecz zarazem jakże się on różni od nich! Wnioski autora są hipotezami, które jednak opierają się na dobrze zbadanym gruncie faktycznym, wywodzą się rachunkiem a sprawdzają znowu zapomocą aktów. Czytając piękną tę rozprawę, człowiek czuje się w nowéj atmosferze, jakby go z zatęchłych murów miasta, dobre wróżki przeniosły w górską dolinę. Jak blado wyglądają przy tym projekcie inne, któryscheśmy tak wiele czytali. Ileż to razy autorowie koszlawych rozumowań przysięgali na logikę, sądząc w dobréj wierze, iż sam ten wyraz wypłoszy z ich artykułów złego ducha majaczeń i niekonsekwencyj. W pracy p. K. o „logice" nie wspomniano ani

razu, choć przegląda ona z każdego zdania, panuje nad każdym okresem. Ale też co prawda w szkołach politechnicznych uczą sztuki robienia projektów, w naszéj zaś literacko-dziennikarskiéj rzeczypospolitéj wszystko dzieje się pod wpływem natchnienia, niezawsze znoszącego kajdany, jakie nakłada rozsądek.

W podobny sposób treścią „Ekonomisty“ zapełnićbym mógł całą kronikę, ograniczę się jednak na przytoczeniu kilku jeszcze tytułów prac tam pomieszczonych, a mianowicie: „Spółki spółdzielcze,“ „Handel drzewem,“—„Kasy oszczędności w Królestwie Polskiem,“—„Zmiany cen we Francyi od pół wieku“ itd. Każdy artykuł „Ekonomisty“ podaje jakąś myśl wyraźną i skoncentrowaną, rzuca światło na kwestyą, którą przedstawia, słowem, uczy. Sądzę, że pismo to, gdy się da lepiéj poznać, każdemu poważnemu czytelnikowi dostarczy wybornego materyału do rozmyślań i zajmie jedno z pierwszych miejsc w naszéj literaturze peryodycznéj. Z tych powodów gorąco polecamy je ukształconéj publiczności.

Każdy czas i każdy kraj ma swoje hasło czy ideę, którą większość radaby urzeczywistnić. Niemcy pragną zniweczyć wpływ kościoła na sprawy państwowe, Francuzi chcą utrwalić rzeczpospolitą, Włosi zaokrąglić granice, a my—pozyskać kredyt. Potrzeba kredytu jest sztandarem, pod którym gromadzą się najsprzeczniejsze żywioły: o kredyt wołają miasta, kredyt niezbędnym jest dla podniesienia własności mniejszéj, bez kredytu większa własność upadnie, oto głosy odzywające się nieustannie w dziennikach i stosunkach prywatnych. Brak pieniędzy jest tak dotkliwy, a lichwa tak wysysającą, że, mówię to bez żadnéj przenośni, gotowi jesteśmy połowę kraju zastawić, mniejsza o to w czyim banku, byle dostać gotówki na procent niewielki.

Moralna odpowiedzialność za nieszczęsne to położenie nie spada na ogół, a tém mniéj na ludzi dzisiejszych, którzy skutkiem tysiącznych okoliczności znaleźli się w matni bez wyjścia. Wiemy, że tani kredyt postawiłby nas na nogi: umożliwił reformy w gospodarstwie wiejskiém, ożywił przemysł i handel. Wiemy, że o miedzę leżą kapitały gotowe służyć za 4% lub 5% rocznego wynagrodzenia, lecz jednocześnie wiemy i to, że owe kapitały nie przyjdą do nas nawet za 10%, ponieważ straciliśmy zaufanie. Sąsiedni kapitalista kupi chętniéj akcyą nowo odkrytéj kopalni w Ameryce, aniżeli jakiegoś banku rolniczego, gdyby takowy pojawił się u nas. Oryginalne położenie!

W owéj gonitwie za kredytem, dziwniéj wydaje się to, że pisma, które najgłośniéj protestują przeciw dopuszczaniu niemców do kraju, pisma, dla których kilkunastu obdartych kolonistów wydają

się być mieczem Damoklesa, zawieszoném nad naszą narodowością, one właśnie najgorliwiéj upominają się o kredyt dla rolnictwa. Dobrze! ale któż da pieniędzy, skoro ich nie ma w kraju? Naturalnie, że Francuzi, Anglicy, a najprawdopodobniéj Niemcy!.. Gdyby či Niemcy pożyczyli nam ze 200 milionów rubli na 5%, ogłosilibyśmy ich za dobrodziejów i obchodzilibyśmy uroczystość odrodzenia się rolnictwa, zapominając, że odrodzone rolnictwo byłoby warsztatem, a uszczęśliwieni rolnicy sługami kapitalistów niemieckich, którzy przy pierwszéj lepszéj sposobności staliby się właścicielami już nie kilkomorgowych kolonijek tu i owdzie rozrzuconych, ale całych powiatów, jak są długie i szerokie.

Złożywszy hołd konsekwencyi opiekunów naszego ziemiaństwa, przechodzę do rozprawy o banku hipotecznym, napisanéj przez „Młynarza z nad Warty“ a drukowanéj w *Niwie*. Autor artykułu zbadał przedmiot i zna go dobrze, czy lęka się marnych kolonistów, o tém nie wiém, ale to pewna, że nie lęka się gorszego od nich napływu kapitałów obcych,—w czém może ma racyą, jeżeli tak jak my ufa niespożytéj energii swojego społeczeństwa. Tragikomiczną jednak stronę artykułu stanowią dwie jego zasadnicze a wykluczające się prawdy. Pierwsza, że kraj mógłby zaciągnąć dość wysoką pożyczkę, gdyż przedstawia gwarancyą faktyczną, druga—że kraj nie może zaciągnąć pożyczki, ponieważ mu jéj nie dadzą, z powodów, któreby godziło się nazwać brakiem gwarancyi teoretycznéj; stosunki ułożyły się u nas tak zabawnie, że same ustawy Towarzystwa Kredytowego podkopują kredyt, i że nową pożyczkę na warunkach dogodnych otrzymaćbyśmy mogli nie prędzéj, aż po zmianie zasad, na których opiéra się dziś kredyt ziemski.

Do roku 1863 rolnictwo nasze zasilane było w znacznéj części kapitałami niemieckiemi, Niemcy bowiem chętnie i w znacznych ilościach nabywali Listy Zastawne. Od téj pory jednak stan rzeczy zmienił się na niekorzyść, ponieważ Niemcy stracili zaufanie do naszych papiérów: „Młynarz z nad Warty“ wskazuje trzy powody tego opłakanego zjawiska. Jednym jest chwianie się naszéj waluty, skutkiem czego Listy Zastawne szły w górę lub spadały pospołu z rublem papiérowym. Drugim powodem jest ten, że w umysłach ludzi obcych od pewnego czasu bezpieczeństwo nasze własności ziemskiéj stało się wąpliwém, skutkiem jakoby uwłaszczenia. Trzecim wreszcie jest ten, że według taksacyi, zaprowadzonych przez Tow. Kred. w r. 1869, wydaje się, iż nasze majątki ziemskie obdłużone są do *połowy* swéj wartości, podczas gdy faktycznie pożyczka Towarzystwa niewiele wyżéj sięga nad część *trzecią*. Każdy zrozumié, że dwa pierwsze powody nierównie silniejsze są od ostatnie-

go, lecz samo jego istnienie jest dziwne i w rażący sposób cechuje miejscowe stosunki.

Dwie zasady przewodniczą Towarzystwu w sprawie udzielania pożyczek. Pierwszą jest taksa, czyli oszacowanie wartości dóbr, któréj połowa odpowiada wysokości pożyczki. Drugą zasadę stanowi najwyższa granica owéj połowy, którą ma być 56 razy wzięty podatek gruntowy. Ponieważ własność większa w ogóle płaci owego podatku rocznie 2.337.117 rs., zdawaćby się zatém mogło, że ogólna wartość majątków większych *co najwyżéj* wynosi 269.757.104 rs., gdy tymczasem, podług obrachowań autora, wartość ta dosięga cyfry 340.858.928 rs. Tym sposobem, na mocy orzeczeń Tow. Kredyt., ogół własności większéj uboższym jest o 71 milionów rubli. Opinia ta mogłaby nas nic nie obchodzić, gdybyśmy właśnie ztamtąd nie potrzebowali pieniędzy!

Opiérając się na swéj cyfrze, autor bada, na jakich wartościach oprzéćby się mógł Bank Hipoteczny u nas, przypuszczając, że takowy udzielałby pożyczek do ³/₄ wartości majątku, na pierwszą hipotekę po Towarzystwie Kredytowem. ³/₄ wartości

ogólnéj własności większéj	rs.	230.079.777
Najwyższa cyfra pożyczki udzielonéj i mogącéj się udzielić przez Tow. Kredytowe	rs.	134.878.552
Zostaje więc dla Banku Hipotecznego . . .	rs.	95.201.225
³/₄ wartości drobnéj własności ziemskiéj (nie wiem dlaczego autor bierze całą?) . . .		195.265.858

Więc Bank Hipoteczny oparłby się na gruntach, mogących zaciągnąć około 300 milionów rs. pożyczki, nie licząc lasów, wartości zakładów przemysłowych rolnych i budynków miejskich. Podstawa bez porównania szersza od téj jaką posiada Towarzystwo Kredytowe Ziemskie. Nawiasowo dodamy, że pożyczka Banku Hipotecznego na 1 mórg własności większéj wyniosłaby około rs. 8¹/₂, zaś na jedne dobra około 13 tysięcy rs. Suma taka, użyta w części na ulepszenia, w części na kapitał obrotowy, mogłaby poprawić stan własności większéj, chociaż zapytać wypada: ileby z niéj zostało, po pokryciu długów prywatnych?

Z kolei autor przechodzi do zbadania usług, jakie mógłby oddać Bank Hipoteczny, założony przez wielkich kapitalistów, i wyprowadza trafny wniosek, że choć kupony listów owéj instytucyi przynosiłyby tylko 6% nabywcom, dłużnicy jednak płacićby musieli od zaciągniętéj pożyczki w pierwszym roku 10¹/₂%, w następnych 9¹/₂%. Trzebaż bowiem wynagrodzić kapitalistów za poręczenia, utrzymać administracyą, zbierać fundusz rezerwowy i spłacić zaciągnięty dług w pewnym okresie czasu (43¹/₂ lat). Ale 10% i 9% są

zbyt wysokie dla rolnika, zrujnowałyby go, zamiast uratować, i z tego powodu autor stanowczo odpycha projekt Banku Hipotecznego w podobnych założonego warunkach. Tu zrobić muszę wzmiankę, że według opinii osób kraj znających, nawet 10% byłby jeszcze ulgą dla rolników, którzy (może być że nie w każdéj okolicy) płacą nierównie większe procenta za niezbędny kapitał obrotowy.

Cóż zatém proponuje autor, który odepchnął ostatnią deskę ratunku, w postaci Banku Hipotecznego? Oto przedewszystkiém zaleca środki, zdolne obudzić zaufanie kapitalistów obcych, a mianowicie: zreformować istniejące u nas zasady kredytu ziemskiego. I tak: ponieważ formuła, że połowa wartości dóbr jest mniejszą od 56 razy wziętego podatku gruntowego, obniża istotną wartość majątku, więc należy ją usunąć, a natomiast oprzéć się na taksacyach i handlowéj wartości majątków. Tym sposobem kredyt ziemski pozyska szersze podstawy.

Ponieważ innym powodem osłabienia ufności zagranicy było chwianie się kursu Listów Zastawnych spłacanych obecnie rublami papiérowemi, należy więc przywrócić Listom tym metaliczne podstawy. Mówimy *przywrócić*, ponieważ do r. 1855 płacono za nie metalem, w owéj zaś epoce tymczasowo wprowadzono obieg papiérowy, co się do dziś dnia utrzymało. Powrót taki do wartości metalicznéj, przy ogólnéj cyrkulacyi papiérowéj, napotkałby zapewne w przeprowadzeniu liczne trudności, z jakiemi dzisiaj już mają do walczenia niektóre banki ziemskie w Cesarstwie, które bilety swe w metalicznéj monecie w kurs wypuściły. O tych trudnościach i innych niedokładnościach w pracy autora, zastrzegamy sobie wypowiedzenie jeszcze słów kilku.

Daléj żąda autor, aby do przepisów określających kredyt wprowadzono czynnik kulturowy, co jest słuszne, ponieważ wyższa kultura nadaje majątkowi wyższą wartość, co dziś nie bywa uwzględniane i co przedstawia niezmiernie trudne do wypełnienia w praktyce warunki, na które autor nie zwrócił sam uwagi. W końcu zaś domaga się, aby prawo z r. 1869 uzupełniono dodatkowemi przepisami, obejmującemi kredyt na kapitał nakładowy, melioracye i zakłady przemysłowe rolne, tudzież przywrócono moc odnośnemu artykułowi prawa w kodeksie Napoleona. Krótko mówiąc, „Młynarz z nad Warty“ żąda bardzo rozsądnie, aby dzisiejsze Towarzystwo Kredytowe, przez rozszerzenie zakresu działań i pozyskanie trwałych i realnych podstaw, przyjęło na siebie funkcye proponowanego Banku Hipotecznego.

Wyznać trzeba, że plan ten jest o tyle prosty, o ile głęboki. Gdyby wykonany został, jeżeli wykonanym być może, ujrzelibyśmy

w kraju pieniądze metalowe, stopa procentu spadłaby znakomicie, obywatele ziemscy odetchnęliby, włościanie mogliby przystąpić do skupienia swoich rozrzuconych gruntów, i cały kraj przybrałby inną fizyognomią, słowem, byłoby rozkosznie, mnie się jednak nie wydaje, abyśmy rychło tych czasów doczekali. Wszystko bowiem zależy od zmian ustaw na korzyść rolnictwa, rzeczy zaś takie nie przychodzą u nas ani zbyt łatwo, ani zbyt prędko.

Wiadomo, że w pierwszém półroczu 1881 roku mają być zupełnie wycofane z obiegu 4% Listy Zastawne III-go okresu i zastąpione 5% listami z r. 1869. Wycofywanie to i zamiana poczęły się już w r. 1870, lecz następnie uległy pewnemu opóźnieniu, skutkiem czego Tow. Kred. ma zamiar w nadchodzącém losowaniu wzmocnić o 1½ miliona rubli fundusz, przeznaczony na umorzenie, i sumę tę obrócić na wykup List. Zast. III-go okresu.

Tymczasem jednak papiéry te kryją się i idą w górę, tak dalece, że przeskoczyły o 1,25% pożyczkę z r. 1869, która przecież większy daje procent. Gdy zaś daléj tak pójdzie i gdy każdy z wymianą opóźniać się będzie do ostatecznego terminu, wówczas listy nowe mogą spaść jeszcze znaczniéj i ogół poniesie straty.

Dla zaradzenia temu, Towarzystwo już dziś wymienia Listy Zastawne III-go okrésu na nowe z r. 1869 i dopłaca różnicę kursów. Ktoby więc miał podobne papiéry, niech wykona tę operacyą, ponieważ i ulży Towarzystwu i otrzyma wyższy procent. Pewność hypoteczna obu papierów jest ta sama, jedyną zaś różnicę stanowi to, że listy dawne w razie kradzieży, lub zniszczenia przez ogień dawały prawo do pozyskiwania duplikatów, któréj to korzyści obecne nie przedstawiają. Lecz i za tym przywilejem uganiać się nie ma powodu, gdyż za lat cztery skończy się on współcześnie z wycofaniem Listów III-go okrésu. Zresztą nie kładziemy nacisku, choć jeszcze raz przypominamy większy procent.

Dość osobliwym wydaje się fakt, że właśnie w trakcie zwiększonéj pracy wycofywania i wymiany Listów, zniesioną została delegacya finansowa towarzystwa, która nietylko zajmowała się tą czynnością, ale nadto rozporządzała kapitałem rezerwowym. Te ostatnie operacye, wymagające swobody ruchów i szybkich postanowień, przynosiły duże zyski: tak, że naprzykład ostatnia delegacya przysporzyła Towarzystwu 113.000 rubli korzyści. Obecnie zastąpić ją ma zwykły komplet radców Dyr. gł., z pomiędzy których referentów mianować będzie prezes. Zmiany takie dowodzą niewątpliwie czynności i energii, przysparzać muszą dużo zadowolenia wewnętrznego, ale zysków chyba nie przysporzą, jeżeli nie zmniejszą.

Ci, którzy mieli sposobność zauważyć, jak dalece dziennikarstwo ruguje książki z domów i pochłania zdolności mogące w poważniejszym pracować kierunku, z przyjemnością zapewne usłyszą, iż literatura peryodyczna przykłada się w miarę możności do wytworzenia dzieł głębszych i trwalszych. Dwa bowiem pisma nasze: *Bluszcz* i *Biblioteka Warszawska* wystąpiły z zadaniami konkursowemi.

W temacie *Bluszczu* „O wychowaniu macierzyńskiém" uwzględnione mają być następne punkta: 1) Jak matka ma postępować z dzieckiem od pierwszych chwil dzieciństwa, aby otrzymać wpływ stanowiący wychowanie? 2) Jaki powinien być stosunek działań matki na syna a jaki na córkę? 3) Formalne działanie wychowania macierzyńskiego i nauka. Jakie, względnie do umysłowego kształcenia dziecka, są obowiązki matki? Jéj stosunek do nauczycieli i szkoły. 4) Co należy rozumiéć przez wykształcenie człowieka? O ile godzi się uwzględniać naturalny kierunek zdolności i siły wrodzonego usposobienia? Wykształcenie humanitarne i zawodowe. 5) Jak wychowanie macierzyńskie działać powinno na wyrobienie się charakteru dziecka? O szczepieniu poglądów i przekonań. 6) Dziecko chowa się dla przyszłości; jak zatém iść w wychowaniu za prądem idei nowych i jak stosować je w wychowaniu? Co należy rozumiéć przez postęp? 7) O dojrzałości myśli wychowawczéj: o jedności i spokoju działań edukacyjnych. 8) Jak wpływy wychowawcze powinny równoważyć złe wpływy zewnętrzne tak zwanego świata i nieprzyjaznych okoliczności życia, wśród których znaléźć się może dziecko młodsze i dziecko starsze? 9) Jak powinien urobić się stosunek moralny dziecka do rodziny i tradycyj rodzinnych? 10) Jakiém winno być stanowisko matki, gdy córka z ukończeniem nauki obowiązkowéj, a syn, z ukończeniem szkół średnich, staną w obec matki jako młódź dojrzałości już bliska, a przecięż jeszcze niedojrzała? 11) Jak ofiara przywiązania rodzicielskiego powinna posunąć się daleko, gdy dziecko zupełnie już dorosłe ma wstąpić w życie, jako jednostka niezależna? Jakie być powinno pojęcie matki, co do obowiązku zapewnienia szczęścia dziecku i jak daleko w tym kierunku wolno jéj oddziaływać na przyszłość dziecka? 12) Czego z chwilą niezależności zupełnéj rodzice i dzieci mogą wzajemnie żądać już tylko od siebie, a co pozostaje między nimi na zawsze, jako obowiązek, nienaruszony przez czas i okoliczności życia?

Ostatni termin konkursu 1 Kwietnia 1879 roku; nagroda za dzieło najlepsze rs. 200.

Konkurs ten pożyteczny jest z wielu względów, jeżeli się uda. Rezultat jego stanowić będzie wcale pokaźny nabytek w literaturze na-

széj i zwróci uwagę ogółu na kwestye wychowawcze, któremi osobliwie w czasach ostatnich zajmujemy się bardzo mało. Światła i kochająca matka, która rozumié cały ciężar swych obowiązków i nie raz walczy z mnogiemi a kłopotliwemi wątpliwościami, jakie wychowanie nastręcza, otrzyma w każdym wypadku ogólne przynajmniéj wskazówki. Te zaś matki, dla których ideałem dobrego wychowania była guwernantka francuzka „z fortepianem,“ poznają prawdziwe cele edukacyi, a może choć któraś z nich opamięta się dość wcześnie i nie powiększy własnemi dziećmi cyfry bezdusznych lalek.

Cokolwiek mówi się o porównaniu kobiét z mężczyznami, jest fakt i zapewne na długo tak pozostanie, że kiedy mężczyzna reprezentuje siłę, rozsądek i pożytek praktyczny, kobiéta, przynajmniéj w ukształceńszych warstwach, przedstawia uczucie i dążności estetyczne. Otóż, w wychowaniu dzisiejszém, w całym świecie nietylko u nas, przeważa żywioł rozumowy i fachowy, który zapewnia utrzymanie, lecz jednocześnie bardzo zaniedbanemi są uczucia i wspiérający się na nich charakter człowieka. Miejmy nadzieję, że to upośledzenie charakteru w wychowaniu zniknie u nas, gdy się matki wykształcą a nadewszystko gdy zrozumieją swój stosunek z jednéj strony do dzieci, z drugiéj—do społeczeństwa. Życzymy téż redakcyi *Bluszczu*, aby konkurs jéj stał się punktem wyjścia do obszernych i wytrwałych prac w tym kierunku w łonie rodzin.

Nierównie szerszy temat przedstawiła *Biblioteka Warszawska*, ogłaszając konkurs na dzieło obejmujące wykład obowiązków, potrzeb i zadań obywatela współczesnego w kraju naszym. Rzecz to łatwa i trudna zarazem: obowiązki bowiem wypływające z praw obywatelskich mają u nas nader szczupłe granice, które rozszerzyć może tylko wielka miłość dla swego narodu i cierpliwe zbadanie drobnych szczelin, umożliwiających jaki taki rozwój. Redakcya zaleca, aby książkę opracowano na podstawie historyi, głównie własnéj, choć nie wyłącza innych, jako punkt wyjścia zaś wskazuje: „Żywot poczciwego człowieka“ przez Reja,—„Pana Podstolego“ i „Żywoty zacnych mężów z Plutarcha“ Krasickiego. Dziwią się niektórzy, że obok typów świeckich postawiono „Żywoty świętych“ Skargi. Może być, że redakcya zrobiła to dla zaakcentowania swéj pobożności, w każdym jednak razie dążność ta dobre może wydać owoce. Istotnie bywają położenia, w których powszednie cnoty i męztwo cywilne nie wystarczają, a wówczas potrzeba wznosić oczy ku tym wzniosłym przykładom ludzi, co dla idei, dla dobra przyszłości, poświęcili mienie swoje i siebie samych, oczekując nagrody i uznania zasług w owym

świecie, kędy Bożemu miłosierdziu nie stają w poprzek występki ludzkie.

Ci, którzy przystąpią do téj pracy, powinni nietylko pilnie rozglądać się dokoła, ale też zbadać historyą powszechną i skąpać ducha w filozofii. Wówczas dopiéro z ręki ich może wyjść dzieło, w którém wątpiący znajdą otuchę, smutni pociechę a słabi siłę. Te zapewne cele miała na myśli redakcya, naznaczając wysoką, jak na nasze stosunki, nagrodę 750 rs. Czy tylko termin do dnia 1-go Maja 1879 roku nie jest zbyt krótkim?

Miło mi w końcu zrobić uwagę, że książka o obowiązkach współczesnego obywatela znajdzie u nas grunt przygotowany. Istotnie, że w społeczeństwie naszém, przy wszystkich jego wadach i kłopotach, pojawiają się od czasu do czasu fakta dowodzące niepospolitéj żywotności, a nadewszystko uczuć wyższych i szlachetniejszych.

Izraelita, jak to sam tytuł wskazuje, jest organem ludności starozakonnéj, wśród niéj głównie ma czytelników, z pomiędzy niéj wybiéra współpracowników, słowem—jest on żwierciadłem opinij, krążących przynajmniéj w pewnych klasach téj części naszego narodu. Dodajmy, że nie wszyscy czytelnicy *Izraelity* zamienili konserwatywny chałat na postępowy tużurek, i zobaczmy teraz w jaki sposób przemawia do nich redakcya w artykule: „Czém być winniśmy?“

„Jako wyznawcy bądźmy wiernymi synami Judaizmu, krzewicielami jego prawd wzniosłych, przestrzegaczami jego nauk obyczajowych, czysto humanitarnych, najwyższą miłością człowieka dyktowanych; wychowujmy starannie w przeczystych zasadach wiary, i miłości dzieci nasze—bądźmy słowem izraelitami, a będziemy czém być powinniśmy.“

„Na tém kończyć się winna, jak najskrupulatniéj, cała nasza tak zwana odrębność. Po za tą ściśle religijną sferą, która zresztą nie staje w sprzeczności z żadną inną dobrze zrozumianą religiją, a jak najmniéj z prawdziwemi zasadami Chrześcijaństwa, po za tą sferą, która zamyka się w świątyni, w kole rodzinném i w sumieniu, znika wyznawca i zaczyna się człowiek — obywatel.“

„Tu, precz z wszelkim seperatyzmem, z wszelkim cieniem odłączności, w myśli, czuciu, mowie i czynie! Nie jesteśmy tu więcéj żydami, ale krajowcami w całém najistotniejszém tego słowa znaczeniu! Umiłować szczerą miłością ziemię, na którejśmy się urodzili, wzrośli i wychowali, czuć się za jedno, jedno nierozdzielne z narodem, wśród którego żyjemy, jego dobra pragnąć, jego pomyślnością się cieszyć, jego tryumfami się szczycić, do jego dobrobytu i sławy wedle sił się przykładać, jego troski dzielić, dolegliwości odczuwać

i jego boleścią boleć, w téj miłości dla kraju, pokolenie przyszłe, kiedyś nas w społeczeństwie mające zastąpić, wychowywać, — oto stanowisko społeczne, na którém stanąć i wytrwać winniśmy, niczém niezrażeni, ni jawnie okazywaną nam przez piastunów średniowiecznéj tradycyi niechęcią, ni pokątnie w stokach ciemności i fanatyzmu wichrzącą nienawiścią. Gdy niechęci te i nienawiści wygasną, a wygasną prędzéj czy późniéj — niechaj społeczeństwo zastanie nas wtedy na posterunku, na którém cało i niepodzielnie za swoich nas uzna i klątwę obczyzny na wsze czasy z nas zdejmie. . . .“

„Te wielką zagadkę dwoistéj, z pozoru tak sprzecznéj powinności, jako wyznawców i obywateli, rozwiązali najpierwéj nie teoretycznie — gdyż duch Judaizmu téj kwestyi w teoryi nie zna — ale praktycznie, izraelici w ojczyźnie swobody, we Francyi. Tam imię „żyd“ bratnio się kojarzy z mianem „francuz,“ a nad tym pięknym i serdecznym związkiem unosi się błogosławieństwo szacunku i czci współobywateli. Izrael z nad Sekwany przyświeca wzorem i nadzieją reszcie potomków Judy, pośród narodów Europy rozsianych.“

Takie to zdania padają na świeże umysły młodzieży starozakonnéj i pobudzają do rozwagi czytelników dojrzalszych, są to ci sami ludzie, których pewien dziennik berliński radził wypędzić z Niemiec jako niebezpiecznych. My, jak się pokazuje, nie będziemy ich wypędzali, ponieważ na naszym gruncie siew ten, przed wiekami obcy, dziś pod tchnieniem cywilizacyi poczyna dobre wydawać owoce.

Solidarności społecznéj, która zawsze jest pomyślnym objawem, dowodzi świéży fakt innego rodzaju. Lekarz warszawski dr. Perlmutter wyjechał na czas wojny do Bukaresztu, zkąd przed kilkunastoma dniami przysłał do redakcyi „Kuryera Warszawskiego“ sumę *jedenastu tysięcy rubli* na cele dobroczynne. Z téj kwoty przeznaczył 10.000 rs. na rzecz mającéj się zawiązać kasy pożyczkowéj studentów naszego uniwersytetu, 600 rs. na opłacenie wpisów uniwersyteckich a 400 rs. na zakupienie maszyn do szycia dla ubogich szwaczek, którą to sumę zwiększył jeszcze o 150 rs.

Ogół przyklasnął téj ofierze, choć tu i owdzie ludzie „wyżsi“ nad opinią tłumu starali się „wyjaśnić“ datek panującym w świecie popędem do reklamy. Nie zbijając nawet tego rodzaju komentarzy, zapytujemy: co téż jest lepsze, czy szukanie „reklamy“ w kraju przez dzieła obywatelskie, czy też wywożenie pieniędzy za granicę, aby tam kupić tytuł hrabiego od kelnerów? Był czas, że widywaliśmy i ludzi i postępki podobne, z czego skutki zbiéramy obecnie; pozwólmyż więc, aby ogół dobrym wiedziony instynktem uczcił to, co zawsze i wszędzie pozyskiwało szacunek, jako oznaka społecznego

zdrowia. Niechaj ci, którzy krwawo zapracowany grosz narodowy sieli na obczyźnie, okrywając kraj swój śmiesznością, zawstydzą się dziś i w podobnych powyższemu wypadkach niech dostrzegą zaranie nowéj epoki, która nawet ich winy odkupi. Poszukujcie tylko wszyscy, którzy możecie tego rodzaju reklamy, a nie będziemy potrzebowali obcym filantropom przeciwstawiać naszych utracyuszów i ubolewać nad własnym upadkiem!

Miłośnicy nauki z przyjemnością zapewne dowiedzą się, że znakomita *Logika* filozofa angielskiego Baina wyjdzie wkrótce w przekładzie polskim. Dzieło Baina streszcza w sobie najnowsze postępy logiki i odznacza się jasnym, realnym wykładem przedmiotu. Oprócz wszechstronnego traktowania dwu zasadniczych metod, jakiemi posługuje się umysł ludzki: indukcyi i dedykcyi, znajduje się tam logika zastosowana do różnych typów nauk, jako to matematyki, fizyki, chemii, medycyny, nauk społecznych i t. d. Jest to dzieło o tyle przystępne, że je siedmioklasista z przyjemnością czytać może; a o tyle niezbędne, że je każdy oświecony człowiek nietylko posiadać, ale wystudyować powinien. Dla naszéj literatury stanowić ono będzie nieoceniony nabytek, tém więcéj, że przekładu podjął się uczony, który bodaj czy nie najlepiéj u nas rozumié wielkich myślicieli angielskich i którego jędrny styl stawia w szeregu rzeźbiarzy słowa. Nie będąc upoważnionym do przedwczesnego głoszenia o tém, popełniam może niedyskrecyą, mojem zdaniem jednak, wiadomość jest zbyt ważna, abyśmy nie mieli prawa podzielić się nią z czytelnikami.

Aleksander Głowacki.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**

KONKURS HISTORYCZNY.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk

ogłasza dla chcących ubiegać się o nagrodę zadanie następujące:

Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych między Elbą a granicami dawnéj Polski, od czasu wystąpienia ich na widownią dziejową aż do utraty politycznego bytu i znamion narodowych.

W rozwiązaniu tego zadania pożądany jest szczególny wzgląd na:

a) związek etnograficzny między pomienionemi plemionami słowiańskiemi a ludnością Polski Piastowéj;

b) stan kultury tychże plemion w owéj epoce, mianowicie z rzutem oka na religią, zwyczaje i obyczaje, ustrój polityczny i społeczny, na stan rolnictwa, przemysłu, handlu, budownictwa i sztuki ówczesnéj w ogóle;

c) zewnętrzny przebieg dziejowych wypadków, ze szczególném uwydatnieniem wydarzeń, które spowodowały w różnych stronach Słowiańszczyzny północno-zachodniéj ostateczną zagładę rozmaitych plemion;

d) wreszcie stosunek między temi plemionami a Polską.

Praca wyczerpująca w zupełności przedmiot ten oraz mająca odpowiednie zalety układu i stylu, a obejmująca przynajmniéj *25 arkuszy* druku w dużéj ósemce, otrzyma *1.500 marek* nagrody.

Jeźliby między nadesłanemi taka się nie znajdowała, wtedy rozprawa względnie dobra, to jest odpowiadająca przynajmniéj głównym warunkom zadania otrzyma *900 marek* nagrody.

Pozostałe *600 marek* zostaną albo w całości przyznane dziełu najlepszemu po poprzedniém, albo téż rozdzielą się między rozprawy przynajmniéj częściowo przedmiot wyczerpujące.

Prace nagrodą uwieńczone pozostają własnością autorów, którzy jednakże będą obowiązani ogłosić je drukiem w przeciągu roku, po otrzymaniu nagrody. Gdyby tego nie spełnili, Zarząd, jeźli uzna stosownem, ogłosi je swym kosztem na dochód Towarzystwa. Manuskrypt przeto musi pozostać w rękach Zarządu.

Każdy rękopism opatrzony być winien dewizą lub jakim innym znakiem, a nazwisko autora dołączone w zamkniętéj kopercie z równém oznaczeniem.

Ostateczny czas nadsyłania oznaczony na dzień 1-go Października roku 1879, pod adresem:

Hieronim Feldmanowski w Poznaniu, ulica Młyńska 35.

Poznań w Czerwcu r. 1877.

Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk Pozn.

OMYŁKI DOSTRZEŻONE W TOMIE I-YM.

Stronica	*wiersz*	*zamiast*	*powinno być:*
47	2 i 3 od góry	Kuno, Fischer,	Kuno-Fischer,
135	21 „	Fruzdy	Frondy
326	„ „	Zanikowski	Janikowski
„	2 od dołu	obchodzenie	wchodzenie
327	13 od góry	Rassereau	Bassereau
„	14 „	Watzer'a	Wutzer'a
365	9 „	zowodu	zawodu
„	10 „	rzadko fizycznemi	metafizycznemi.



NOWE KSIĄŻKI,

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu Lutego r. 1878.

---

1. **Kilka listów o naszym przemyśle fabrycznym** p. *Bronisława Babel.* Przemyśl, r. 1877.
2. **Sztuka i literatura w XVIII i XIX wieku,** epoka rozwoju ducha i ideały ludzkości, *Maurycego Carrier*, przekład z niemieckiego, uzupełniony poglądem na poezyą polską w XIX stuleciu skreślonym p. *P. Chmielowskiego.* Wydawnictwo M. Glücksberga. Warszawa, r. 1878.
3. **Sprawozdanie rady gubernialnéj Warszawskiej i rad opiekuńczych** powiatowych, z ich czynności pod względem zarządu zakładami dobroczynnemi za rok 1876. Warszawa 1877.
4. **Pogadanki o rzeczach pożytecznych** wydał Sz. *T. Włoszek*, Warszawa, r. 1878. Cena gr. 10.
5. **Przysłowia Salomona** przełożone i objaśnione p. *Izaaka Kramstück.* Warszawa, r. 1878.
6. **Józef Ignacy Kraszewski,** z powodu pięćdziesięciolecia pracy i zasługi jego dla społeczeństwa, napisał *T. J. Rola.* Warszawa, r. 1878.

ATENEUM,

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzić będzie na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniej 12 arkuszy druku zawierającemi.

W „Ateneum“ pomieszczane będą: studya ze wszystkich gałęzi nau historycznych, społecznych i ścisłych, z dziedziny sztuki i przemysłu; op podróży, powieści, poezye i utwory dramatyczne; krytyka dzieł polski i obcych, bibliografia, przeglądy, korespondencye i rozmaitości.

Prenumerata w Warszawie, w guberniach Cesarstwa i Królest oraz zagranicą we wszystkich krajach związku pocztowego, wyn

Rocznie	. . . .	**Rs. 12.**
Półrocznie	. . . .	„ **6.**
Kwartalnie (tylko w Warszawie)	. . . .	„ **3.**

Prenumerować można **głównie**

w REDAKCYI ATENEUM,

Niecała, Nr. 7,

oraz we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

Prenumeratorów z prowincyi uprasza się o nadsyłanie prenu raty *bezpośrednio*

DO REDAKCYI.

Дозв. Цензурою. Варшава, 18 Февраля 1878 г. Druk. K. Kowalewskiego, Królewska 2